



NEIL
GAIMAN

DRAŻLIWE
TEMATY

Krótkie formy i punkty zapalne

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wstęp

Robienie krzesła

Księżycowy labirynt

Problem z Cassandrą

W bezsłoneczną morską toń

„Prawda to jaskinia w czarnych górach...”

Moja ostatnia gospodyni

Przygoda

Kalendarz opowieści

Śmierć i miód

Człowiek, który zapomniał Raya Bradbury’ego

Jerozolima

Klik-Klak Grzechotka

Inwokacja indyferencji

„I zapłaczę jak Aleksander”

Godzina Nic

Brylanty i perły: baśń

Powrót Chudego Białego Księcia

Żeńskie końcówki

Przestrzegać formalności

Śpiąca i wrzeczono

Czarownica

W Relig Odhráin

Czarny pies

Neil Gaiman

DRAŻLIWE TEMATY

Krótkie formy i punkty zapalne

Przełożyła Paulina Braiter

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2015

Tytuł oryginału:
Trigger Warning: Short Fictions and Disturbances

Copyright © 2015 by Neil Gaiman

Copyright for the Polish translation
© 2015 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Joanna Figlewska

Korekta:
Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:
Dagmara Matuszak

Opracowanie graficzne okładki:
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:
Tomek Laisar Fruń

Wydanie II

ISBN 978-83-7480-546-9

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel. 22 813 47 43, fax 22 813 47 60
e-mail kurz@mag.com.pl
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Sam nie wiem, jakim cudem trafiłem do szanowanego hollywoodzkiego agenta, który dla przyjemności czyta książki, ale osiemnaście lat temu tak właśnie się stało.

Wciąż jest moim agentem, nadal szanowanym, i ciągle najbardziej lubi opowiadania.

Ten zbiór opowieści dedykuję Jonowi Levinowi.

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Wstęp

I. To, co drażni

Istnieją rzeczy, które nas denerwują. Tu jednak nie mówimy dokładnie o nich. Myślę raczej o owych obrazach, słowach bądź ideach, które otwierają się pod nami niczym zapadnia, tak że wypadamy z bezpiecznego, normalnego świata w miejsce znacznie mroczniejsze i mniej gościnne. Serce wystukuje nam gorączkowy rytm w piersi, walczymy, by złapać oddech. Krew odpływa z twarzy i palców, pozostawiając nas bladych, zdyszanych i wstrząśniętych.

A oto, czego dowiadujemy się o sobie w takich chwilach, gdy coś naciśnie wrażliwy punkt: przeszłość nie umarła. Istnieją rzeczy, które czekają na nas cierpliwie w mrocznych zakamarkach życia. Sądzimy, że zostawiliśmy je za sobą, uwolniliśmy się od nich, porzuciliśmy, by zaschły, skurczyły się i rozpadły w pył. Ale się mylimy. Czekają na nas w ciemności, ćwicząc, trenując najboleśniejsze ciosy, ostre, twarde fangi w brzuch, zabijając czas, póki się nie pojawimy.

Potwory w naszych szafach i umysłach zawsze czają się w mroku, niczym pleśń pod deskami podłogi i tapetą, a ciemności jest bardzo wiele, niewyczerpane zapasy. Wszechświatowi nigdy nie brakuje nocy.

Przed czym powinno się nas ostrzec? Każde z nas ma swoje własne, drażliwe tematy.

Po raz pierwszy zetknąłem się z określeniem drażliwe tematy w Internecie: służyło głównie do ostrzegania ludzi przed linkami do obrazów bądź tekstów, które mogły ich zdenerwować, przywołać nieprzyjemne wspomnienia, wzbudzić grozę. Po to, abyśmy mogli odfiltrować je spośród innych albo by osoba czytająca mogła się mentalnie przygotować na spotkanie.

Zafascynowało mnie odkrycie, że ostrzeżenia przed drażliwymi tematami przekroczyły granicę dzielącą Internet od świata rzeczy, których można dotknąć. Ogłoszono, że kilka uczelni rozważa umieszczenie ostrzeżeń na dziełach literatury, sztuki bądź filmu, by uprzedzić studentów, co na nich czeka. I pomysł ten coraz bardziej mi się podoba (oczywiście, że lepiej dać znać ludziom, których coś może zranić, że istnieje taka możliwość), a jednocześnie budzi głęboki niepokój: kiedy pisałem „Sandmana” i ukazywał się jako comiesięczny komiks, na każdym numerze widniało ostrzeżenie mówiące, że przeznaczony jest dla czytelników dorosłych, co uważałem za słuszne. Informowało potencjalnego czytelnika, że nie jest to komiks dla dzieci i może zawierać obrazki bądź pomysły dla nich nieodpowiednie, oraz sugerowało, że jeśli jesteś już dorosły (cokolwiek to akurat znaczy), radź sobie sam. Co do zagadnień, które mogły ludzi poruszyć bądź nimi wstrząsnąć, albo skłonić do myślenia o czymś, czego nigdy dotąd nie rozważali, uważałem, że sami powinni się pilnować. Jesteśmy dorośli i sami decydujemy, co czytać, a czego nie.

Uważam, że lekturom dorosłych nie powinny towarzyszyć żadne ostrzeżenia, poza być może jednym: wchodzisz na własne ryzyko. Sami musimy się przekonać, czym jest literatura, co dla nas oznacza, że przeżywamy ją w sposób niepodobny do tego, w jaki przeżywają wszyscy inni.

Budujemy historie w swoich głowach. Bierzemy słowa, nadajemy im moc, spoglądamy cudzymi oczami i doświadczamy tego, co widzą inni. Zastanawiam się, czy opowieści to bezpieczne miejsca? A potem pytam sam siebie: a powinny być bezpieczne? Istnieją historie, które czytałem w dzieciństwie, po czym szczerze żałowałem, że w ogóle się z nimi zetknąłem, bo nie byłem na nie gotowy i mnie przygnębiały: historie pełne bezradności, opowieści, w których ludzie byli poniżani czy kaleczeni, w których dorośli stawali się wrażliwi na ciosy, a rodzice w niczym nie mogli mi pomóc. Opowieści te dręczyły mnie i prześladowały w snach i na jawie, martwiły i smuciły w sposób niezwykle głęboki, ale też nauczyły mnie, że jeśli chcę nadal czytać literaturę, czasami mogę się przekonać, gdzie leży moja granica komfortu czytelniczego, jedynie ją przekraczając. A teraz, jako dorosły, nawet gdybym mógł, nie wymazałbym owych doświadczeń.

Wciąż istnieją sprawy, które poruszają mnie do głębi, gdy się z nimi zetknę, nieważne: w sieci, w świecie słów czy też rzeczywistości. Nigdy nie stają się łatwiejsze, wciąż pobudzają serce do szalonego biegu, nie pozwalają mi uciec nietkniętym. Ale czegoś mnie uczą, otwierają mi oczy, a jeśli nawet ranią, to w sposób, który sprawia, że myślę, rozwijam się i zmieniam.

Czytając o owych dyskusjach uczelnianych, zastanawiałem się, czy pewnego dnia ludzie nie umieszczą ostrzeżenia o drażliwych tematach na moich tekstach. Zastanawiałem się, czy nie byłaby to decyzja usprawiedliwiona. A potem postanowiłem zrobić to pierwszy.

W książce tej, podobnie jak w życiu, są sprawy, które mogą was poruszyć bądź zranić. Jest tu śmierć i ból, są lzy i dyskomfort, najróżniejsza przemoc, okrucieństwo, nawet dręczenie. Mam jednak nadzieję, że czasami jest też dobroć. A nawet kilka szczęśliwych zakończeń (ostatecznie bardzo mało opowieści kończy się nieszczęśliwie dla wszystkich uczestników). I jeszcze coś więcej: znam pewną panią imieniem Rocky, która ma fobię na punkcie macek i autentycznie potrzebuje ostrzeżenia przed czymś, co ma macki, zwłaszcza macki z przyssawkami. W obliczu niespodziewanej porcji ośmiornicy bądź kalmara, roztrzęsiona chowa się za najbliższą kanapą. Gdzieś na tych stronach kryje się olbrzymia macka.

Wiele z opowieści tego zbioru kończy się źle dla co najmniej jednej osoby. Uznajcie się za ostrzeżonych.

II. Prezentacja zasad bezpieczeństwa przed lotem

Czasami wielkie prawdy bywają wypowiedziane w nietypowym kontekście. Zbyt często latam – w młodości nie potrafiłbym pojąć tego zdania i samej idei, bo wówczas każda podróż samolotem była czymś cudownym i ekscytującym; spoglądałem wtedy przez okno na chmury w dole i wyobrażałem sobie, że to miasto albo świat, miejsce, po którym mógłbym bezpiecznie wędrować. Mimo wszystko jednak, wciąż na początku każdego lotu odkrywam, że rozważam i analizuję głębię mądrości przedstawionej przez stewardesy, jakbym miał do czynienia z koanem albo krótką przypowieścią, czy też szczytowym osiągnięciem ludzkiej myśli.

Oto, co mówią:

„Założcie maski najpierw sobie, a dopiero potem innym”.

I myślę o nas, o wszystkich ludziach i maskach, które nosimy, maskach, za którymi się ukrywamy, i maskach, które nas ukazują. Wyobrażam sobie ludzi udających kogoś, kim są naprawdę, i odkrywających, że inni są czymś znacznie większym bądź mniejszym niż sobie wyobrażają, niż się przedstawiają. A potem myślę o potrzebie pomagania innym i o tym, jak przywdziewamy maski, by to zrobić, jak zdjęcie maski czyni nas bezbronniymi...

Wszyscy nosimy maski. To właśnie sprawia, że jesteśmy interesujący.

Oto historie o owych maskach i ludziach, którzy się pod nimi kryją.

My, pisarze, handlujący opowieściami, by przeżyć, stanowimy continuum wszystkiego, co oglądamy i słyszymy, i co najważniejsze, wszystkiego, co przeczytamy.

Mam przyjaciół, którzy grzmia, warczą i eksplodują z frustracji, bo ludzie nie wyłapują odniesień, nie orientują się, co się im podsuwa, zapominają autorów, historie i światy. Ja zwykle patrzę na te kwestie z innej perspektywy: sam także byłem kiedyś pustą kartką pergaminu czekającą na zapisanie. Uczyłem się o sprawach i ludziach z opowieści, tak samo jak o innych autorach.

Wiele, może nawet większość historii zawartych w tym zbiorze, stanowi część tego samego continuum. Istnieją, ponieważ wcześniej istnieli inni autorzy, inne głosy, inne umysły. Mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciw temu, że w tym wstępie skorzystam ze sposobności i przedstawię wam część owych autorów i miejsc, bez których opowieści te, być może, nigdy nie ujrzałyby światła dziennego.

III. Szczęście w losowaniu

To mój trzeci zbiór krótkich tekstów i dobrze wiem, jak wielkie mam szczęście.

Dorastałem, kochając i szanując opowiadania. Wydawały mi się najczystszyimi i najdoskonalszymi dziełami ludzkimi: w najlepszych nie znalazło się ani jedno zbędne słowo. Jedno machnięcie ręki autora i nagle powstawał świat, mieszkający w nim ludzie, idee. Początek, środek i koniec, które zabiorą was przez cały wszechświat i doprowadzą z powrotem. Uwielbiałem najróżniejsze zbiory opowiadań, począwszy od antologii o duchach i opowieści grozy, które czytałem w dzieciństwie, do zbiorów pojedynczych autorów, zmieniających umeblowanie wnętrza mojej głowy.

Moje ulubione zbiory nie tylko oferowały mi opowiadania, ale mówiły też o sprawach, których wcześniej nie znałem, o historiach w książce i sztuce pisania. Szanowałem autorów niepiszących wstępów, ale nie potrafiłem pokochać ich tak mocno jak tych, którzy pozwalali mi zrozumieć, że każde z opowiadań antologii zostało napisane, naprawdę wymyślone, słowo po słowie, przez jakiegoś człowieka, który podobnie jak ja myślał, oddychał, chodził, a może nawet śpiewał pod prysznicem.

W przemyśle wydawniczym powszechnie uważa się, że zbiory opowiadań się nie sprzedają. Jakże często traktuje się je jako dowody próżności autorów albo wydaje w niewielkich oficynach. Ludzie nie uważają ich za prawdziwe dzieła, takie jak powieści. Dla mnie jednak opowiadania to miejsca, w których mogę wzlecieć, eksperymentować, bawić się. Mogę popełniać błędy, przeżywać krótkie przygody, a proces kompletowania zbioru ma w sobie coś zarówno przerażającego, jak i oświecającego: kiedy układam teksty razem, ponownie pojawiają się, uwidaczniają i kształtują tematy przewodnie. I odkrywam, o czym właściwie pisałem przez

ostatnie dziesięć lat.

IV. Ogólne przeprosiny

Szczerze wierzę, że zbiory opowiadań powinny gromadzić podobne teksty. Nie powinny stanowić przypadkowych, chaotycznych zbieranin opowieści ewidentnie nieprzeznaczonych do tego, by trafić między te same okładki. Krótko mówiąc, nie powinny zawierać opowieści grozy, historii o duchach, opowiadań science fiction i bajek, łgarstw i poezji. Zbiory opowiadań powinny by szacowne.

Ten zbiór nie spełnia owych warunków.

Proszę zatem o waszą wyrozumiałość i wybaczenie z powodu tego niepowodzenia. I pozostaje mi tylko liczyć, że gdzieś na tych stronach znajdziecie może historię, której w przeciwnym razie nigdy byście nie przeczytali. Spójrzcie, oto jedna króciutka, która czeka na was teraz.

Mroczak

Niektóre stworzenia polują. Inne żerują. Mroczaki czają się. Czasem owszem, skradają się ukradkiem, ale zwykle się po prostu czają.

Mroczaki nie snują sieci. Cały świat jest ich siecią. Mroczaki nie kopią jam. Jeśli tu jesteś, już w nią wpadłeś.

Są zwierzęta, które cię ścigają, pędzą jak wiatr, niestrudzenie, by zatopić w tobie kły i powalić. Mroczaki nie ścigają, po prostu udają się tam, gdzie się znajdziesz, gdy pościg dobiegnie końca, i tam na ciebie czekają, w miejscu mrocznym i nieokreślonym. Znajdują ostatnie miejsce, w jakie zajrzysz, i trwają tam tak długo, jak trzeba, aż w końcu staje się ostatnim miejscem, w które zagładasz, i wówczas je widzisz.

Nie można uciec przed Mroczakami. Były tu pierwsze. Nie można wyprzedzić Mroczaków, czekają u kresu podróży. Nie da się walczyć z Mroczakami, bo są cierpliwe i będą zwłaczać aż do ostatniego dnia, dnia, gdy opuści cię wola walki, gdy zadasz już ostatni cios, ostatni raz pchniesz nożem, wypowiesz ostatnie okrutne słowo. Wtedy, i tylko wtedy, pojawią się Mroczaki.

Nie pozerają niczego, co nie jest gotowe do pożarcia. Obejrzyj się za siebie.

V. O zawartości tej książki

Witajcie na tych stronach. Możecie przeczytać teraz o zebranych tu historiach albo też ominąć ten fragment, a potem wrócić do niego i sprawdzić, co mam do powiedzenia, gdy już je przeczytacie.

Robienie krzesła

Są takie dni, kiedy słowa nie przychodzą. W owe dni zazwyczaj próbuję zredagować coś, co

już istnieje. Tamtego dnia zrobiłem krzesło.

Księżycowy labirynt

Gene'a Wolfe'a poznałem ponad trzydzieści lat temu, gdy jako dwudziestodwuletni dziennikarz przeprowadzałem z nim wywiad na temat jego czteroczęściowej powieści, „Księgi Nowego Słońca”. Podczas następnych pięciu lat zaprzyjaźniliśmy się i pozostaliśmy przyjaciółmi. To dobry człowiek i świetny, głęboki pisarz, zawsze pełen podstępów, zawsze mądry. Jego trzecia powieść, „Pokój”, powstała, gdy byłem jeszcze niemal chłopcem, to jedna z moich ukochanych książek. Najnowsza „The Land Across” to lektura, która sprawiła mi największą radość w tym roku, jest równie złudna i niebezpieczna jak wszystko, co napisał.

Jedno z najlepszych opowiadań Gene'a nosi tytuł „Słoneczny labirynt”. Opowiada o labiryncie zrobionym z cieni. To opowieść mroczniejsza niż wydaje się z pozoru.

Tę historię napisałem dla Gene'a. Ostatecznie, jeśli istnieją labirynty słoneczne, powinny być też księżycowe. I Wolfe wyjący do księżyca.

Problem z Cassandrą

Kiedy miałem czternaście lat, wymyślenie sobie dziewczyny wydawało mi się łatwiejsze, niż znalezienie jej naprawdę – to bowiem wymagałoby rozmowy z dziewczyną. Postanowiłem zatem napisać imię na okładce książek z ćwiczeniami, a zapytany, zaprzeczyć, jakobym cokolwiek o niej wiedział. Wyobrażałem sobie, że w ten sposób wszyscy uznają, że naprawdę mam dziewczynę. Nie sądzę, by to zadziało. Nigdy nie wyobraziłem sobie o niej niczego więcej oprócz imienia.

Tekst ten napisałem w październiku 2009 roku, na wyspie Skye, kiedy moja ówczesna dziewczyna, Amanda, chorowała na grypę i próbowała ją odespać. Gdy się budziła, dawałem jej zupę i napoje z miodem, a potem czytałem kolejny fragment historii. Nie mam pewności, jak wiele zapamiętała.

Dałem ten tekst Garnerowi Dozois i George'owi R.R. Martinowi do ich antologii „Songs of Love and Death” i nieopisanie mi ulżyło, kiedy im się spodobał.

W bezsłoneczną morską toń

„Guardian” postanowił uczcić Światowy Dzień Wody tygodniem opowiadań o wodzie. Byłem wtedy w Austin w stanie Teksas, na festiwalu South by Southwest, gdzie nagrywałem audiobooki „Oceanu na końcu drogi” i pierwszego zbioru opowiadań, „Dymu i luster”.

Myślałem o Grand Guignol, o rozdzierających serce monologach szeptanych przez samotnych artystów zafascynowanej widowni i wspominałem co boleśniesz opowieści z „Kalendarza Newgate”. A także Londyn w deszczu, jakże daleki od Teksasu...

„Prawda to jaskinia w czarnych górach”

Istnieją historie, które budujemy i inne, które konstruujemy, ale są też takie, które wyciosujemy ze skały, usuwając z niej wszystko, co nie jest opowieścią.

Chciałem zredagować antologię tekstów będących po prostu znakomitą lekturą z być może lekkim zabarwieniem fantasy bądź SF, ale głównie sprawiających, że ludzie z zapalem przewracają kartki. Al Sarrantonio został moim współredaktorem. Zatytułowaliśmy tę książkę

„Historie” i mógł to być całkiem dobry tytuł – przed powstaniem Google’a. Nie wystarczyła mi sama praca redaktora. Musiałem też coś napisać.

Odwiedzałem wiele niezwykłych miejsc na całym świecie. Miejsc, które chwytają mocno umysł i duszę i nie chcą puścić. Niektóre z nich są egzotyczne i niezwykle, inne zupełnie zwyczajne. Najdziwniejszym z nich, przynajmniej dla mnie, pozostaje wyspa Skye przy zachodnim wybrzeżu Szkocji. Wiem, że nie jestem w tym odosobniony. Sporo ludzi, odkrywając Skye, już z niej nie wyjeżdża, a nawet tych z nas, którzy wyjechali, owa mglista wyspa prześladowuje i zatrzymuje na swój własny sposób. Tam właśnie jestem najszczęśliwszy i najbardziej sam.

Otta F. Swire napisała wiele książek na temat Hebrydów i samej Skye, wypełniając je niezwykłymi i tajemniczymi informacjami. (Wiedzieliście, że 3 maja to dzień, gdy diabła wypędzono z nieba, a tym samym dzień, kiedy nie można wybaczyć popełnionej zbrodni? Dowiedziałem się tego z jej książki o mitach Hebrydów). W jednej z książek wspomniała o jaskini w Black Cuillins, do której śmiałem mógł się zapuścić i zdobyć złoto, nic nie płacąc, lecz każde odwiedzenie w jaskini czyniły go gorszym, pożerały duszę.

I jaskinia ta wraz z jej obietnicą zaczęła mnie prześladować.

Wziąłem kilka prawdziwych historii (albo historii uważanych za prawdziwe, a to niemal to samo) i oddałem je dwóm mężczyznom. Umieściłem ich w świecie niemal, ale nie do końca, naszym, po czym opowiedziałem historię o zemście i podróży, o żądzy złota i o tajemnicach. Zdobyła nagrodę Shirley Jackson dla najlepszego dłuższego opowiadania („Historie” wygrały w kategorii najlepszej antologii) i nagrodę Locusa dla najlepszego dłuższego opowiadania. Jestem z niej bardzo dumny.

Nim ukazała się drukiem, miałem wystąpić na scenie opery w Sydney. Poproszono mnie, bym przygotował coś wspólnie z australijskim kwartetem smyczkowym FourPlay (to prawdziwe gwiazdy rocka wśród kwartetów smyczkowych, zdumiewająco wszechstronni muzycy, otoczeni kultem), może też mogłyby towarzyszyć temu dzieła sztuki wyświetlane na scenie?

Pomyślałem o „Prawdzie...”, jej lektura na głos wymagałaby około siedemdziesięciu minut. Zastanawiałem się, co by się stało, gdyby kwartet smyczkowy stworzył nastrojową, cudowną ścieżkę dźwiękową, a ja opowiedziałbym całą historię niczym film. I co, gdyby szkocki rysownik, Eddie Campbell, ten sam, który rysował „Prosto z piekła” Alana Moore’a, autor i ilustrator mojego ulubionego komiksu „Alec”, stworzył obrazki do tej najbardziej szkockiej z moich opowieści i wyświetlił je nade mną podczas lektury. Wychodząc na scenę, okropnie się bałem, ale doświadczenie okazało się niesamowite, historię przyjęto oklaskami na stojąco. Po niej nastąpił wywiad (przeprowadzony przez Eddiego Campbella) i wiersz, także w towarzystwie FourPlay.

Pół roku później znów wystąpiliśmy razem, z kolejnymi obrazami Eddiego, w Hobart na Tasmanii, przed trzema tysiącami ludzi, na wielkiej scenie festiwalowej – i znów widzowie byli zachwyceni.

Teraz mieliśmy problem. Jedyni ludzie, którzy oglądali nasz występ, mieszkali w Australii. W jakiś sposób wydawało się to niesprawiedliwe. Potrzebowaliśmy pretekstu, by wyruszyć w podróż, by sprowadzić kwartet smyczkowy FourPlay do innych części świata (to naprawdę wspaniali muzycy, świetnie otrząskani w popkulturze, nim jeszcze ich poznałem, zakochałem się w ich wersji tematu z „Doktora Who”). Na szczęście, Eddie Campbell stworzył jeszcze więcej obrazów, a potem dopasował do nich tekst, tak że powstało coś pomiędzy ilustrowaną

opowieścią a komiksem, HarperCollins wydawali to w Stanach, a Headline w Wielkiej Brytanii.

Wyruszyliśmy w trasę, FourPlay, Eddie i ja, odwiedzając San Francisco, Nowy Jork, Londyn i Edynburg. W Carnegie Hall pożegnano nas owacją na stojąco. Lepiej już być nie może.

Do tej pory zastanawiam się, jak wiele z tej historii sam napisałem, a jak wiele po prostu na mnie czekało, niczym szare skały tkwiące jak kości na niskich wzgórzach Skye.

Moja ostatnia gospodyni

Tekst miał się ukazać w Informatorze Światowego Konwentu Horroru. W tamtym roku odbywał się on w Brighton. W dzisiejszych czasach Brighton to tłoczna, artystowska, ekscytująca i energiczna metropolia nadmorska. Ale kiedy byłem chłopcem, wyjeżdżaliśmy do Brighton poza sezonem, było tam wówczas upiornie, zimno i morderczo.

Oczywiście akcja tego tekstu dzieje się w owym dawno minionym Brighton, a nie w obecnym. Dziś, jeśli zatrzymacie się tam w pensjonacie, nie macie się czego bać.

Przygoda

O napisanie tego tekstu prosił mnie Ira Glass, chciał go użyć w swym programie radiowym „This American Life”. Opowiadanie mu się spodobało, ale jego producentom nie, toteż zamiast tego napisałem inny tekst, o tym, jak „owszem, przygody bywają bardzo przyjemne, ale stanowczo nie doceniamy regularnych posiłków i braku bólu”, ta historia zaś trafiła do „McSweeney’s Quarterly”.

Wiele myślałem o śmierci i o tym, że kiedy ludzie umierają, zabierają ze sobą swoje historie. Można to uznać za tekst towarzyszący mojej powieści „Ocean na końcu drogi”, przynajmniej pod tym względem.

Pomarańcz

Jonathan Strahan to miły człowiek i dobry redaktor. Mieszka w Perth w Zachodniej Australii. Mam okropny zwyczaj łamania mu serca: piszę coś do antologii, którą przygotowuje, a potem zabieram. Zawsze jednak próbuję uleczyć jego złamane serce, pisząc coś innego. To jedno z owych cosiów.

Sposób, w jaki opowiada się historię, jest równie ważny jak sama historia, choć zazwyczaj bywa nieco mniej oczywisty niż w tym przypadku. Miałem w głowie opowieść, ale się nią nie stała, póki nie pomyślałem o formacie kwestionariusza, wówczas wszystko zaskoczyło. Pisałem ten tekst na lotniskach i w samolocie do Australii, dokąd leciałem, by wziąć udział w festiwalu literackim w Sydney. Dzień czy dwa po lądowaniu odczytałem ją całkiem sporej widowni, a także mojej bladej i groźnej córce chrzestnej, Hayley Campbell, której narzekania na pomarańczowe plamy od samoopalacza na łódowce mogły stać się natchnieniem do powstania tego tekstu.

Kalendarz opowieści

To jedna z najdziwniejszych i najprzyjemniejszych rzeczy, jakie stworzyłem w ostatnich latach.

Kiedy byłem młody, z rozkoszą czytywałem zbiory opowiadań Harlana Ellisona. Uwielbiałem te opowiadania, ale równie mocno kochałem jego relacje o tym, jak powstawały. Wiele się

nauczyłem od Harlana, ale najważniejszą sprawą, jaką wyniosłem z jego wstępów, kwestią, która wywarła na mnie największy wpływ, była idea, że kiedy piszemy historię, sami odwalamy całą robotę. Po prostu się zjawiamy i pracujemy.

Nigdy nie wydawało się to jaśniejsze ani bardziej oczywiste, niż gdy Harlan wyjaśniał, że napisał taki czy inny tekst na wystawie w księgarni albo na żywo w radiu czy w podobnych okolicznościach. Że ludzie podsuwali mu tytuły bądź słowa. Demonstrował światu, że pisanie to rzemiosło, nie owoc magii. Czasami jakiś autor siada gdzieś i pisze. Zachwycił mnie pomysł próby pisania na wystawie. Ale pomyślałem, że świat się zmienił. Teraz można mieć wystawę pozwalającą niezliczonym tysiącom ludzi przytknąć twarze do szyby i patrzeć.

Ludzie z BlackBerry zwrócili się do mnie z pytaniem, czy zechciałbym wziąć udział w jakimś projekcie w mediach społecznościowych. Zupełnie dowolnym. I bardzo im się spodobało, gdy zasugerowałem, że chciałbym napisać kalendarz opowieści, każdą wywodzącą się z odpowiedzi na tweet na temat danego miesiąca – pytania typu dlaczego styczeń jest niebezpieczny, co najdziwniejszego widziałeś w lipcu (niejaka @mendozacarla odpowiedziała „igloo zrobione z książek” i wiedziałem już, o czym będzie moja historia), kogo znów chcielibyście zobaczyć w grudniu?

Zadałem pytania, otrzymałem dziesiątki tysięcy odpowiedzi i wybrałem dwanaście.

Napisałem dwanaście historii (marzec był pierwszy, grudzień ostatni), potem zaprosiłem ludzi, by na ich podstawie stworzyli własne prace, które je zilustrują. Powstało o tym pięć krótkich filmów, cały proces opisywano na blogach, twitterze i słowami, za darmo w sieci. Publiczne tworzenie owych historii okazało się cudownym przeżyciem. Harlan Ellison nie należy do wielkich fanów twittera i jemu podobnych, ale po zakończeniu projektu zadzwoniłem do niego i powiedziałem, że to jego wina i że mam nadzieję zainspirować kogoś, kto obserwował to wszystko, tak jak on zainspirował mnie swymi opowieściami o pisaniu na wystawach.

(Ogromnie dziękuję @zyblonius, @TheAstralGypsy, @MorgueHumor, @_NikkiLs_, @StarlingV, @DeKaSakar, @mendozacarla, @gabbioatstn, @TheGhostRegion, @elainelowe, @MeiLinMiranda i @GeminitiTm, za ich tweety, które stały się dla mnie natchnieniem).

Śmierć i miód

Z historiami o Sherlocku Holmesie zetknąłem się jako chłopiec. Natychmiast się w nich zakochałem i nigdy nie zapomniałem Holmesa, srogiego doktora Watsona, który opisywał sprawy detektyw; Mycrofta Holmesa, brata Sherlocka, ani Arthura Conana Doyle’a, umysłu, który stał za nimi wszystkimi. Uwielbiałem racjonalizm, ideę, że inteligentny, uważny człowiek może z pomocą kilku wskazówek stworzyć cały świat. Uwielbiałem odkrywać, kim są ci ludzie, opowieść za opowieścią.

Holmes rzucił swój cień na wszystko. Kiedy zacząłem hodować pszczoły, zawsze pozostałem świadomy, że podążam jedynie w ślady Holmesa. Potem zastanowiło mnie, dlaczego Holmes zajął się pszczelarstwem. Ostatecznie nie jest to najbardziej wymagające z emeryckich hobby. A Sherlock Holmes nigdy nie był szczęśliwy, jeśli nie pracował nad sprawą: lenistwo i nieróbstwo oznaczały dla niego śmierć.

Lesla Klintera poznałem na swoim pierwszym spotkaniu Baker Street Irregulars, w 2002 roku. Bardzo go polubiłem. (Polubiłem wszystkich tamtejszych ludzi: dorosłe kobiety i mężczyzn, którzy w chwilach, gdy nie byli znanymi prawnikami, dziennikarzami, chirurgami

i nierobami, postanowili wierzyć, że gdzieś zawsze jest rok 1889 przy Baker Street 221B, a pani Hudson wkrótce poda podwieczorek i przyprowadzi sławnego klienta).

Opowiadanie to napisałem dla Lesa i Laurie King do ich zbioru „A Study in Sherlock”. Zainspirował mnie słój śnieżnobiałego miodu, który podano mi na zboczu góry w Chinach.

Napisałem je w ciągu tygodnia w pokoju hotelowym; tymczasem moja żona, najmłodsza córka i jej przyjaciółka spędzały czas na plaży.

„Śmierć i miód” zostało nominowane do nagrody Anthony, nagrody Edgara i nagrody Srebrnego Sztyletu Stowarzyszenia Autorów Kryminałów. Fakt, że żadnej z nich nie zdobyło, wcale nie zepsuł mi radości: nigdy wcześniej nie zostałem nominowany do nagrody za kryminał i pewnie już nigdy nie zostanę.

Człowiek, który zapomniał Raya Bradbury’ego

Zapomniałem mojego przyjaciela. Czy raczej pamiętałem o nim wszystko, z wyjątkiem imienia i nazwiska. Umarł ponad dziesięć lat wcześniej. Pamiętałem nasze rozmowy telefoniczne, wspólnie spędzony czas, to, jak mówił i gestykulował, książki, które napisał. Postanowiłem, że nie wejść do sieci i nie poszukam. Po prostu przypomnę sobie, jak się nazywał. I kiedy tak krążyłem dookoła, próbując sobie przypomnieć, zaczęła mnie prześladować myśl, że jeśli mi się nie uda, to jakby nigdy nie istniał. Wiem, że to głupie, ale jednak...

Napisałem „Człowieka, który zapomniał Raya Bradbury’ego” w prezencie na dziewięćdziesiąte urodziny Raya Bradbury’ego, by pokazać jak wielki wpływ wywarł na mnie w dzieciństwie i w czasach dorosłości, i – na ile zdołałem – jak wpłynął na cały świat. Miał to być list miłosny, podziękowanie i prezent urodzinowy dla autora, dzięki któremu marzyłem, który nauczył mnie słów i tego, co potrafią zdziałać, i który, kiedy dorastałem, nigdy mnie nie zawiódł jako czytelnika ani człowieka.

Moja redaktorka u Williama Morrowa, Jennifer Brehl, odwiedziła go i przy łóżku przeczytała mu tę historię. Filmik z podziękowaniem, który mi wysłał, oznaczał dla mnie bardzo wiele.

Mój przyjaciel Mark Evanier powiedział mi, że jako jedenasto- czy dwunastolatek poznał Raya Bradbury’ego. Gdy Bradbury dowiedział się, że Mark chce zostać pisarzem, zaprosił go do swojego gabinetu i przez pół dnia opowiadał o tym co najważniejsze: że jeśli chcesz zostać pisarzem, musisz pisać. Codziennie. Nieważne, masz ochotę czy nie. Że nie możesz napisać tylko jednej książki i przestać. Że to praca, ale najlepsza z najlepszych. Mark wyrósł na pisarza, z tych, którzy piszą i utrzymują się z tego.

Ray Bradbury należał do ludzi, którzy poświęciliby pół dnia dzieciakowi pragnącemu zostać pisarzem, kiedy dorośnie.

Z jego opowiadaniem zetknąłem się w dzieciństwie. Pierwszym, jakie czytałem był „Homecoming”, o zwykłym chłopcu w świecie potworów w stylu rodziny Addamsów, który chciał do nich pasować. Wówczas pierwszy raz ktokolwiek napisał historię, która przemówiła do mnie osobiście. Gdzieś w naszym domu walał się egzemplarz „Srebrnej szarańczy” (to angielski tytuł „Kronik marsjańskich”) – przeczytałem go, zachwyciłem się i kupiłem wszystkie książki Bradbury’ego dostępne w wędrowniej księgarni, która raz na semestr pojawiała się w naszej szkole. Od Bradbury’ego dowiedziałem się o Poem. W jego opowiadaniach kryła się poezja i nieważne, że tak wiele nie zrozumiałem: to, co zaczerpnąłem z tych historii, wystarczyło.

Niektórzy autorzy, których w dzieciństwie czytałem i uwielbiałem, z wiekiem zaczęli mnie

zawodzić. Ale nie Bradbury. Jego opowieści grozy pozostały równie straszne, mroczne fantazje równie mrocznie fantastyczne, fantastyka naukowa (nigdy nie przepadał za nauką, interesowali go tylko ludzie i dlatego te opowiadania tak dobrze się sprawdzały) nadal odwoływała się do poczucia zachwyty i ciekawości, jak wtedy, gdy byłem dzieckiem.

Był dobrym pisarzem i świetnie mu szło w różnych dziedzinach. Jako jeden z autorów science fiction wyrwał się z magazynów „pulpowych”, pojawiając się w tych „eleganckich”. Pisał scenariusze do filmów hollywoodzkich. Na podstawie jego powieści i opowiadań powstawały dobre filmy. Na długo przed tym, nim zostałem pisarzem, Bradbury stał się autorem, do którego pozycji aspirują inni.

Opowiadanie Raya Bradbury'ego – same te słowa już coś znaczyły. Nie mówiły nic o tym, do jakiego gatunku będzie należeć ten tekst, ale wiele o atmosferze, języku, o magicznej ucieczce do innego świata. „Death is a Lonely Business”, jego opowieść detektywistyczna to historia równie bradbury'owska, jak „Jakiś potwór tu nadchodzi” czy „451 stopni Farenheita” albo jakikolwiek inny horror science fiction czy realizm magiczny, jaki można znaleźć w jego zbiorach. Stanowił własny, odrębny gatunek i działał na własnych, odrębnych zasadach. Młody człowiek z Waukegan w stanie Illinois, który wyjechał do Los Angeles, uczył się w bibliotekach i pisał, dopóki nie stał się dobry, a potem wykroczył poza granice gatunków i stał się jednoosobowym gatunkiem, często naśladowanym, absolutnie nie do podrobienia.

Po raz pierwszy spotkałem go, gdy byłem młodym autorem, a on przyjechał do Anglii na obchody siedemdziesiątych piątych urodzin w Muzeum Historii Naturalnej. Zaprzyjaźniliśmy się w dziwny, opaczny sposób, siedząc obok siebie podczas sesji autografów. Byłem tam, kiedy Ray przez lata występował publicznie, czasami przedstawiałem go widowni. Byłem mistrzem ceremonii, gdy Ray otrzymał nagrodę Wielkiego Mistrza, przyznawaną przez stowarzyszenie amerykańskich autorów science fiction i fantasy: opowiedział im o dziecku, z którego nabijali się koledzy, bo chłopiec chciał wejść do sklepu z zabawkami. Mówili, że jest już na nie za stary. I o tym, jak on sam pragnął powiedzieć chłopcu, by nie przejmował się przyjaciółmi i pobawił się zabawkami.

Opowiadał o praktycznych aspektach życia pisarza („Musicie pisać!”, powtarzał ludziom „Musicie pisać codziennie! Ja wciąż piszę codziennie!”) i jak wewnątrz wciąż jest dzieckiem (twierdził, że ma pamięć fotograficzną sięgającą aż do niemowlęctwa i może istotnie tak było), o radości, o miłości.

Był człowiekiem życzliwym i łagodnym w ów klasyczny amerykański sposób, nieoznaczający braku charakteru, lecz coś pozytywnego. Podchodził do wszystkiego z entuzjazmem i zdawało się, że ów entuzjazm pozwoli mu żyć wiecznie. Autentycznie lubił ludzi. Dzięki niemu świat stał się lepszym miejscem i pozostawił w nim lepsze miejsca: czerwone piaski i kanały Marsa, amerykańskie Halloween, małe miasteczka, mroczne lunaparki. I wciąż pisał.

– Kiedy patrzę na całe swoje życie, przekonuję się, że miłość to odpowiedź na wszystko – powiedział kiedyś Ray podczas wywiadu.

Dał ludziom tak wiele powodów, by go kochali. I kochaliśmy. I, jak dotąd, nie zapomnieliśmy.

Jerozolima

Opowiadanie to zamówiło BBC z okazji tygodnia Williama Blake'a. Spytałem, czy mógłbym napisać coś do przeczytania w Radio Four, coś zainspirowanego wierszem Blake'a.

Niedawno odwiedziłem Jerozolimę i zastanawiałem się, czego potrzeba, by zbudować

Jerozolimę w Anglii zielonej, kraju łąk, i jaki człowiek chciałby to zrobić.
Wiele rzeczy wymyślam, ale syndrom jerozolimski istnieje naprawdę.

Klik-Klak Grzechotka

Napisałem ten tekst w domu moich przyjaciół, Petera Nichollsa i Clare Coney, w Surrey Hills, Melbourne, w Australii. Było Boże Narodzenie. O dziwo, mimo morderczych temperatur, okazało się białe: w czasie świątecznego obiadu spadł gruby jak szklane kulki grad, pokrywając trawnik Coney-Nichollsów. Tekst ten miał trafić do książki o nowych potworach, pod redakcją Casey Landsdale, ale najpierw został opublikowany jako audiobook przez Audible w Stanach i Wielkiej Brytanii. Rozdawali go za darmo z okazji Halloween, płacąc drobną sumę na zbożny cel za każdą osobę, która go ściągnęła. Wszyscy zatem byli szczęśliwi, prócz tych, którzy ściągnęli tę historię i wysłuchali jej późną nocą, a potem chodzili po całym domu, zapalając światła.

Dom w tej historii był zainspirowany domem mojej przyjaciółki Tori w Kinsale w Irlandii. Oczywiście nie jest nawiedzony, a odgłosy ludzi na górze przesuwających szafy, gdy jesteśmy sami na dole, to pewnie tylko dźwięki, które wydaje każdy stary budynek, gdy myśli, że nikt go nie widzi.

Inwokacja indyferencji

Dzieci napędza poczucie niesprawiedliwości. Pozostaje w nas, gdy dorastamy, choć próbujemy je pogrzebać. Wciąż gryzie mnie, że niemal czterdzieści lat temu, kiedy miałem piętnaście lat, napisałem opowiadanie na próbny egzamin z angielskiego, za które obniżono mi ocenę z wyjaśnieniem nauczyciela, że jest „zbyt oryginalne. Niewątpliwie musiałeś je skądś przepisać”. Wiele lat później sięgnąłem po ulubiony pomysł z tamtego opowiadania i umieściłem go w tym. Jestem niemal pewien, że był oryginalny, ale z wielką przyjemnością włączyłem go do opowiadania dedykowanego Jackowi Vance’owi i osadzonego w świecie „Umierającej Ziemi”.

Pisarze żyją w domach wzniesionych przez innych ludzi.

Mężczyźni i kobiety, którzy zbudowali nasze domy, byli olbrzymami. Zaczęli od pustkowia i wzniesli na nim gmach Prozy Fantastycznej, zawsze pozostawiając go niedokończonym, tak by ludzie, którzy przyjdą po nich, mogli dołączyć kolejny pokój albo kolejną historię. Clark Ashton Smith wykopał fundamenty historii z „Umierającej Ziemi”. Potem pojawił się Jack Vance i wznosił wysokie, wspaniałe mury, niezwykle wysokie i niezwykle wspaniałe, w świecie, w którym cała nauka stała się magią, na samym końcu czasu, kiedy słońce ciemnieje i lada moment zgaśnie.

Odkryłem „Umierającą Ziemię”, gdy miałem trzynaście lat, w antologii pt. „Błyskające miecze”. Opowiadanie nosiło tytuł „Morreion” i zacząłem o nim marzyć. Potem znalazłem angielski egzemplarz „Umierającej Ziemi”, pełen dziwnych literówek, ale wciąż były w nim historie równie magiczne jak „Morreion”. W ciemnym antykwariacie, do którego mężczyźni w długich płaszczach przynosili używaną pornografię, natrafiłem na egzemplarz „The Eyes of The Overworld”, a potem małe, zakurzone zbiorki opowiadań. Po dziś dzień uważam, że „Księżycowa ćma” to najdoskonalej skonstruowane opowiadanie sf, jakie kiedykolwiek napisano – a potem książki Jacka Vance’a zaczęły się ukazywać w Anglii i nagle, by je przeczytać, wystarczyło tylko kupić. I kupowałem: „The Demon Princes”, trylogię „Alastor” i pozostałe.

Uwielbiałem jego dygresje, uwielbiałem sposób, w jaki tworzył, a najbardziej uwielbiałem to, jak to opisywał: z cierpkim, łagodnym rozbawieniem, jak bóg patrzący z góry, nigdy nieodrwiący ze swoich dzieł, niczym James Branch Cabell, obdarzony jednak nie tylko rozumem, ale też sercem.

Od czasu do czasu zauważam, że tworzę zdanie w stylu Vance'a i zawsze bardzo mnie to cieszy – ale nie jest on pisarzem, którego kiedykolwiek ośmieliłbym się naśladować. Nie sądzę, by to było możliwe. Nie ma zbyt wielu autorów, których kochałem w wieku lat trzynastu, do których mógłbym z powodzeniem wracać za dwadzieścia lat; Jacka Vance'a będę czytał zawsze.

„Inwokacja indyferencji” zdobyła nagrodę Locusa dla najlepszego opowiadania, co niezmiernie mnie ucieszyło, choć uznałem to w równym stopniu za nagrodę dla Jacka Vance'a, jak dla mojej historii. Poczulem też, że mój wewnętrzny nastolatek podchodzący do próbnego egzaminu gimnazjalnego został w końcu pomszczony.

„I zapłacę jak Aleksander”

Od dawna zdumiewa mnie, że żaden z wynalazków, które obiecywano nam, gdy byłem chłopcem, tych, które miały znacznie ubarwić nasze życie i sprawić, że świat stanie się ciekawszy, nigdy się nie zmaterializował. Mamy komputery i telefony, które robią wszystko to, co komputery. Ale nie mamy latających samochodów, wspaniałych statków kosmicznych, łatwych podróży na inne planety (jak to ujął Ted Mooney).

Opowiadanie to powstało jako część charytatywnego zbioru na rzecz nagród Arthura C. Clarke'a. Książka „Fables From The Fountain” pod redakcją Iana Whatesa, była oparta na „Tales From The White Hart” Arthura C. Clarka, tak samo jak jego zbiór powstał na bazie klubowych opowieści z początku dwudziestego wieku (opowiadania lorda Dunsany'ego o panu Josephie Jorkensie to moje ulubione). Nazwisko Obediah Polkinghorn zaczerpnąłem z jednego z tekstów Arthura C. Clarke'a, jako hołd dla niego. (Poznałem go i przeprowadziłem z nim wywiad w roku 1985. Pamiętam, że bardzo zdumiał mnie wyraźny zachodni akcent w jego głosie).

To bardzo niemądra historia, toteż nadałem jej nieco pompatyczny tytuł.

Godzina Nic

Całym sercem, bezwstydnie uwielbiam serial telewizyjny „Doktor Who”, odkąd jako trzylatek rozpocząłem naukę w szkole pani Pepper w Portsmouth, a William Hartnell był Doktorem. Pisanie scenariuszy do prawdziwych odcinków serialu niemal pięćdziesiąt lat później było jedną z najfajniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobiłem (jeden z nich zdobył nawet nagrodę Hugo). W tym czasie Matt Smith grał Jedenastego Doktora. Wydawnictwo Puffin spytało, czy byłbym zainteresowany napisaniem opowiadania do ich zbioru „Doktor Who: jedenastu Doktorów, jedenaście historii”. Zdecydowałem się osadzić akcję swojego tekstu podczas pierwszego sezonu serii Matta.

Być może sądzicie, że trzeba wiele wiedzieć o „Doktorze Who” (to w końcu pięćdziesięcioletni serial), by móc w pełni docenić to opowiadanie. Ale wcale nie. Wystarczy tylko wiedzieć, że Doktor to obcy, Władca Czasu, ostatni ze swej rasy, podróżujący w czasie i przestrzeni w błękitnej budce, większej wewnątrz niż na zewnątrz. Czasami ląduje tam, gdzie chce. Jeśli coś jest nie tak, być może to naprawi. Jest bardzo sprytny.

W Anglii istnieje taka zabawa, czy może istniała; kiedy dorastałem, nazywaliśmy ją „Która godzina, Panie Wilku?”. Jest świetna. Czasami Pan Wilk podaje nam godzinę. Czasami mówi

coś znacznie bardziej niepokojącego.

Diamenty i perły: baśń

Pierwszy raz spędziłem nieco czasu z kobietą, która miała zostać moją żoną, kiedy chciała wydać album ze zdjęciami przedstawiającymi ją samą jako martwą i dołączyć do płyty „Kto zabił Amandę Palmer?”. Robiła sobie takie zdjęcia, odkąd skończyła osiemnaście lat. Napisała do mnie, mówiąc, że nikt nie kupi zbioru zdjęć martwej kobiety, tak naprawdę niebędącej nawet martwą, ale może gdybym dołączył jakieś podpisy, znalazłby się chętni.

Fotograf Kyle Cassidy, Amanda i ja zebraliśmy się w Bostonie na kilka dni, tworząc sztukę. Zdjęcia Kyle'a przypominały fotosy z zaginionych filmów, ja pisałem towarzyszące im historie. Niestety, większość z nich po usunięciu fotografii nie ma sensu. (Moja ulubiona to historia kryminalna o kobiecie zabitej przez maszynę do pisania).

Tę jednak bardzo lubię i nie potrzeba zdjęcia (młodej Amandy z otwartymi ustami i z podłogą usłaną sztuczną biżuterią), by ją zrozumieć.

Powrót Chudego Białego Księcia

Tytuł to cytat z piosenki Davida Bowiego. Sama historia zaczęła się kilka lat temu od pisma o modzie, które poprosiło niezwykłego japońskiego artystę, Yoshitakę Amano, by narysował dla nich sesję przedstawiającą Bowiego i jego żonę Iman. Pan Amano spytał, czy nie zechciałbym napisać tekstu towarzyszącego rysunkom. Napisałem pierwszą połowę, z planami dokończenia w następnym numerze pisma. Ale przed publikacją pierwszej części redaktorzy stracili zainteresowanie i zupełnie o nim zapomniałem. Przygotowując tę antologię, pomyślałem, że fajną przygodą byłoby dokończenie tekstu i sprawdzenie, co się wydarzy i dokąd on zmierza. Nawet jeśli raz kiedyś wiedziałem (a musiałem wiedzieć), wciąż odkrywałem, że czytając to jak dzieło kogoś obcego i odchodzę samotnie we mgłę, by dowiedzieć się, dokąd zmierza.

Żeńskie końcówki

Życie naśladuje sztukę, ale niezręcznie kopiując jej ruchy, gdy myśli, że nie patrzy.

Istnieją historie, których przelanie na papier wydaje się niemal świętokradztwem, w obawie, że opisane w nich wydarzenia zaczną wpływać na świat rzeczywisty.

Poproszono mnie, bym napisał list miłosny do zbioru listów miłosnych. Przypomniałem sobie ludzki posąg na placu w Krakowie, mieście, pod którym drzemie smok z dymu.

Kiedy spotkałem kobietę, którą pewnego dnia miałem poślubić, wymienialiśmy się historiami z naszego życia. Wspomniała mi, że kiedyś była ludzkim posągiem. Wysłałem jej to opowiadanie i jej nie odstraszyło.

Wkrótce po naszym poznaniu, z okazji moich urodzin zaskoczyła mnie w parku swym wcieleniem ludzkiej rzeźby. Jako posąg miała na sobie suknię ślubną, którą kupiła za dwadzieścia dolarów, i stała na skrzynce. Nazwali ją Dwumetrową Panną Młodą. Tę samą suknię włożyła w dniu naszego ślubu. Odtąd nikt już jej nie widział.

Przestrzegać formalności

Nie boję się złych ludzi, złowieszczych łotrów i stworów nocy. Ludzie, którzy budzą mój lęk, są pewni własnej prawości. To ci, którzy wiedzą, jak się zachować i jak powinni postępować ich

sąsiedzi, by pozostać po stronie dobra.

Wszyscy jesteśmy bohaterami naszych własnych historii.

W tym przypadku „Śpiącej królowny”. Która, oglądana z innej strony, stanowi także temat opowiadania...

Śpiąca i wrzeczono

Napisałem ją dla Melissy Marr i Tima Pratta do antologii „Rags and Bones” z podtytułem „Nowe wersje ponadczasowych opowieści”. Poprosili kilku autorów, by stworzyli historie oparte na opowieściach, które wywarły na nas wpływ. Ja wybrałem dwie baśnie.

Uwielbiam baśnie. Pamiętam, kiedy pierwszy raz zetknąłem się z „Królowną Śnieżką i siedmioma krasnoludkami” w pięknej, ilustrowanej książce, którą czytała mi matka, gdy miałem dwa lata. Ubóstwiałem w niej wszystko, historie, obrazki, czytała mi ją i wkrótce sam zacząłem czytać. Dopiero gdy byłem starszy, zastanowiły mnie co osobliwsze części opowieści i napisałem „Śnieg, szkło, jabłko” (w zbiorze „Dym i lustra”).

Uwielbiam też „Śpiącą królownę” we wszystkich jej wcieleniach. Gdy byłem młodym dziennikarzem, przeczytałem tuzin grubych bestsellerów i zrozumiałem, że mógłbym opowiedzieć na nowo historię Śpiącej Królowny jako grubaśny, pełen seksu i zakupów blockbuster, łącznie ze złowieszczą międzynarodową korporacją, szlachetnym młodym uczonym i młodą dziewczyną w tajemniczej śpiączce. Postanowiłem tego nie pisać: wydało mi się zbyt wyrachowane, coś takiego mogło zniechęcić mnie do kariery pisarskiej, na którą liczyłem.

Kiedy Melissa i Tom poprosili o opowiadanie, zastanowiłem się, co by się stało, gdyby obie te historie wydarzyły się jednocześnie. A co, gdyby kobiety będące bohaterkami tych historii miały nieco więcej do zrobienia, okazały się aktywne, nie pasywne...?

Kocham to opowiadanie może bardziej niż powinienem (teraz jest także dostępne jako ilustrowana książeczka z obrazkami nieustraszonego Chrisa Riddella).

Czarownica

Kiedy byłem mały i czytałem zbiory wierszy, bardziej niż niezdrowo zastanawiałem się nad osobą, która opowiada historie. Wciąż to robię, nawet w przypadku moich własnych wierszy. W tym mamy czarownicę i obserwatora. On także powstał jako prezent na przeprosiny dla Jonathana Strahana po tym, jak zorientowałem się, że „Ocean na końcu drogi” zamienia się w powieść.

W Relig Odhrain

To prawdziwa historia. No, w przypadku opowieści o irlandzkim świętym z szóstego stulecia. Cmentarz wciąż istnieje na Ionie. Można go nawet odwiedzić.

Nie zamierzałem napisać tego jako wiersza, ale metrum samo pojawiło się w mojej głowie, a potem nie miałem już nic do gadania.

W dawnych czasach grzebano ludzi żywcem w murach bądź fundamentach, by budynek przetrwał. Nawet świątyn.

Czarny pies

Po raz pierwszy spotkaliśmy Baldura „Cienia” Moona w „Amerykańskich bogach”, w których zostaje zaplątany w wojnę między bogami w Ameryce. We „Władcy górskiej doliny”, opowiadaniu w zbiorze „Rzeczy ulotne”, Cień zaczyna pracę ochroniarza na przyjęciu w północnej Szkocji.

Wciąż zmierza do Ameryki, ale w tym opowiadaniu dotarł zaledwie do Peak District w hrabstwie Derby. (Było to ostatnie opowiadanie z tego zbioru, jakie napisałem, i jak podkreślają zawsze na okładkach, nigdzie wcześniej nie zostało opublikowane).

Chciałbym podziękować moim przyjaciołom, Colinowi Greenlandowi i Susannie Clarke, za to, że zabrali mnie do pubu „Pod Trzema Jelenimi Łbami” w Wardlow, który wraz z kotem i lurcherami zainspirował początek, a także Colinowi, za opowieść o Czarnym Shucku, wędrującym Troat Lane, gdy spytałem go o czarne psy.

Pozostaje jeszcze jedna historia do opowiedzenia, o tym, co spotyka Cienia, kiedy dociera do Londynu. A potem, jeśli przeżyje, trzeba będzie odesłać go do Ameryki. W końcu od czasu jego wyjazdu tak wiele się zmieniło.

VI. Ostatnie ostrzeżenie

Na tych kartkach czekają potwory, lecz, jak powiedział Ogden Nash w moim pierwszym zbiorze, „Dym i lustro”, tam, gdzie jest potwór, jest także cud. Niektóre teksty są długie, niektóre krótkie. Jest też garść wierszy, być może potrzebują własnego, specjalnego ostrzeżenia dla ludzi, których przeraża, zniechęca bądź wiecznie zdumiewa poezja. (W moim drugim zbiorze, „Rzeczy ulotne”, próbowałem wyjaśnić, że wiersze są za darmo. To premia dla ludzi, którzy nie muszą się martwić, że podstępne, okazjonalne wiersze przyczają się w ich zbiorach opowiadań).

Proszę. Uznajcie się za ostrzeżonych. Na świecie jest wiele drażliwych tematów wciśniętych w mrok. Właściwie opisałem tę książkę. Teraz pozostaje nam tylko martwić się o wszystkie inne, a także oczywiście o życie, wielkie, skomplikowane, które nie ostrzeże was, nim was zrani.

Dziękuję, że przyszliście. Oby spodobały wam się sprawy, które nigdy się nie wydarzyły. Po przeczytaniu załóżcie z powrotem własne maski, ale nie zapomnijcie pomóc też innym.

Neil Gaiman

w chacie w mrocznym lesie,

2014

Robienie krzesła

Dziś planowałem zacząć pisać.
Historie czekają, niczym odległe burzowe chmury,
pomrukując i błyskając na szarym horyzoncie
i mam e-maile i wstępy
i książkę, całą cholerną książkę, o kraju i podróży, i wierze,
którą zamierzam napisać.

Zrobiłem krzesło.
Otworzyłem kartonowe pudełko nożem
(sam złożyłem ten nóż),
wyjąłem części, i zaniósłem, ostrożnie, na górę.

„Funkcjonalne siedzisko do nowoczesnego biura”.
Wcisnąłem pięć kółek w podstawę,
odkrywając, że wskazują na miejsce z niezwykle satysfakcjonującym pyknięciem.
Przykręciłem poręczę śrubami,
zastanawiając się nad tym, która jest prawa, a która lewa,
i że śruby nie są takie jak powinny
według opisu w instrukcji. A potem podstawa
pod siedzeniem,
połączona sześcioma czterdziestomilimetroowymi śrubami (które, ku memu zdumieniu, okazały
się sześcioma czterdziestopięciomilimetroowymi śrubami).

Potem podpórka na głowę do oparcia,
oparcie do siedzenia, i tam zaczynają się problemy,
bo środkowa śruba po obu stronach odmawia
wejścia i wkręcenia.

Wszystko to wymaga czasu. Orson Welles jako Harry Lime
przemawia w starym radio, gdy montuję krzesło. Orson spotyka damulkę
i oszukańczą wróżkę, i tłuściocha, i szefa nowojorskiego gangu na wygnaniu,
potem przespał się z damulką, rozwiązał tajemnicę,
odczytał scenariusz

i odebrał zapłatę,
nim zdążyłem zmontować moje krzesło.

Tworzenie książki przypomina nieco tworzenie krzesła.

Może powinno mu towarzyszyć ostrzeżenie
jak w instrukcji krzesła.

Złożona kartka papieru wsunięta do każdego egzemplarza,
ostrzegająca:

„Tylko dla jednej osoby na raz”.

„Nie używać zamiast stołka ani drabiny”.

„Nieposłuchanie tych ostrzeżeń może doprowadzić do poważnych obrażeń”.

Któregoś dnia napiszę inną książkę, a kiedy skończę,

wdrapię się na nią

jak na stołek albo drabinkę,

albo jak na wysoką, starą drewnianą drabinę opartą o pień śliwy,

jesienią,

i zniknę.

Ale na razie posłucham tych ostrzeżeń

i skończę robić krzesło.

Księżycowy labirynt

Letnim wieczorem wspinaliśmy się na łagodne wzgórze. Minęło już wpół do dziewiątej, ale wciąż miałem wrażenie, że jest dopiero popołudnie. Niebo było niebieskie. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, powlekając chmury złotem, łososiowym różem i fioletową szarością.

– To jak przestał istnieć? – spytałem przewodnika.

– On wciąż istnieje – odparł.

– Ale mówił pan, że już go nie ma – przypomniałem. – Labiryntu.

Wzmiankę o księżycowym labiryncie znalazłem w sieci, w krótkim przypisie na stronie traktującej o wszelkich możliwych ciekawostkach i michałkach ze świata. Nietypowych lokalnych atrakcjach: im bardziej kiczowatych i jarmarcznych, tym lepiej. Nie wiem, czemu tak mnie pociągają: niby-kamienne kręgi zrobione z samochodów albo żółtych szkolnych autobusów, styropianowe modele olbrzymich bloków sera, nieprzekonujące dinozaury z sypiącego się, pylistego betonu itp.

Potrzebuję ich, dają mi pretekst, żebym zrobił sobie przerwę w podróży i porozmawiał z prawdziwymi ludźmi. Zdarzało się, że miejscowi zapraszali mnie do swoich domów i do swego życia, bo z całego serca doceniłem ogrody zoologiczne zbudowane przez nich z części od silników, domostwa wzniesione z puszek po napojach i z kamienia, a potem pokryte folią aluminiową, historyczne zabawy z wykorzystaniem manekinów sklepowych, z których twarze oblażiła farba. A ludzie, ci, którzy tworzą owe miejscowe atrakcje, przyjmują mnie takim jakim jestem.

* * *

– Spaliliśmy go – oznajmił przewodnik.

Był starszym mężczyzną. Idąc, wspierał się na lasce. Spotkałem go, kiedy siedział na ławeczce przed miejscowym sklepem żelaznym i zgodził mi się pokazać miejsce, gdzie kiedyś zbudowano księżycowy labirynt. Niezbyt powoli wędrowaliśmy przez łąkę.

– Taki był koniec księżycowego labiryntu. Poszło łatwo, żywopłot z rozmarynu zajął się ogniem i zapłonął z trzaskiem. Gęsty dym spływał ze wzgórza i wszystkich nas naszła chęćka na pieczone jagnię.

– Czemu nazwaliście go księżycowym labiryntem? – spytałem. – Tylko dlatego, że to ładnie brzmiało?

Zastanowił się.

– W sumie to sam nie wiem – przyznał. – Ani w tę, ani we w tę. Nazywaliśmy go labiryntem

i tak naprawdę nie był niezwykły.

– Był niezwykły – powtórzyłem.

– Mieliśmy swoje tradycje – dodał. – Wędrówkę przez labirynt zaczynaliśmy dzień po pełni. Szło się od wejścia do środka, potem zawracało i odtwarzało drogę powrotną. Jak mówiłem, wchodziliśmy tam, gdy księżyc zaczynał maleć. Wciąż było dość jasno, by się nie zgubić. Robiliśmy to nocą, kiedy księżyc świecił jasno. Wspinaliśmy się tutaj. Szliśmy. Zwykle parami. I tak aż do nowiu.

– Nikt nie odwiedzał go w ciemności?

– O, niektórzy owszem. Ale nie tacy jak my. To były dzieciaki, podczas nowiu zabierały latarki. Wędrowały po labiryncie, złe dzieciaki, robaczywe owoce. Chciały straszyć się nawzajem. Dla nich każdy miesiąc to Halloween. Uwielbiają się bać. Część mówiła, że widziała oprawcę.

– Jakiego oprawcę? – To słowo mnie zaskoczyło: nie słyszy się go zbyt często, zwłaszcza w rozmowach.

– Chyba kogoś, kto torturował ludzi. Ja nigdy go nie widziałem.

Ze szczytu wzgórza powiał ku nam wietrzyk. Pociągnąłem nosem, ale nie wyczułem zapachu płonących ziół, popiołu, niczego, co nie pasowałoby do letniego wieczoru. Gdzieś w okolicy musiały rosnąć gardenie.

– W czasie nowiu chodziły tam tylko dzieciaki. Kiedy na niebie pojawiał się pierwszy sierp księżyc, dzieci robiły się coraz młodsze, rodzice przychodzili na wzgórze i wędrowali razem z nimi. Rodzice i dzieci. Razem przemierzali labirynt aż do środka, a wówczas dorośli pokazywali nowy księżyc, mówili, że wygląda jak uśmiech na niebie, wielki żółty uśmiech. A mali Romulus i Remus, czy jak tam się nazywali, uśmiechali się, chichotali i wymachiwali rękami, jakby próbowali ściągnąć księżyc z nieba i przyłożyć do własnej buzi. Potem, gdy księżyc rósł, pojawiały się pary. Młode pary wspinają się tutaj w ramach zalotów. Były też starsze, dobrze się czujące we własnym towarzystwie, które dawno zapomniały o zalotach. – Wsparł się ciężko na lasce. – Nie zapomniały – poprawił się. – Nigdy się nie zapomina, to kryje się gdzieś w nas. Nawet jeśli mózg zapomni, może zęby pamiętają. Albo palce?

– Czy mieli latarki?

– Zależy od nocy. Czasem tak, czasem nie. Najpopularniejsze były zawsze te, kiedy chmury nie przesłaniały księżyc i można było po prostu wędrować przez labirynt. I wcześniej czy później każdy to robił, a blask z każdym dniem, czy raczej z każdą nocą, stawał się coraz mocniejszy. Ten świat był taki piękny. Parkowali samochody tu, w dole, tam gdzie i pan zaparkował, na skraju parceli, i pieszo wspinali się na wzgórze. Zawsze pieszo, poza tymi na wózkach inwalidzkich i tymi, których nieśli rodzice. A potem, na szczycie, niektórzy przystawali, żeby się poobściskować. Oni też wędrowali przez labirynt. Stały w nim ławeczki, miejsca gdzie można było sobie zrobić postój. Tak właśnie robili i znów się obściskiwali. Można by sądzić, że tylko młodszy, ale starszym też się zdarzało. Ciało do ciała. Czasami słyszeliśmy ich po drugiej stronie żywopłotu, hałasowali jak zwierzęta i wówczas wiedziałeś, że należy zwolnić albo zwiedzić inne odgałęzienie ścieżki. Nie przytrafia się to często, ale kiedy się zdarza, chyba doceniam to bardziej niż wtedy. Usta na skórze. W blasku księżycy.

– Ile dokładnie lat stał tu księżycowy labirynt, nim się spalił? Czy stanął tu przed czy po wzniesieniu domu?

Mój przewodnik prychnął lekceważąco.

– Przed, po... to wszystko jest bardzo stare. Ludzie opowiadają o labiryncie Minosa, ale to nic w porównaniu z tym. Tylko tunele, w których krąży samotny, przerażony i głodny gość z rogami. Tak naprawdę nie miał wcale byczego łba, wie pan o tym?

– A skąd pan wie?

– Przez zęby. Byki i krowy to przeżuwacze. Nie jedzą mięsa. A Minotaur owszem.

– O tym nie pomyślałem.

– Ludzie nie myślą o takich sprawach.

Wzgórze robiło się coraz bardziej strome.

Pomyślałem, że nie ma już oprawców, nie w dzisiejszych czasach, ja też nie byłem oprawcą. Ale powiedziałem jedynie:

– Jak wysoko rosły krzewy tworzące labirynt? Czy to był prawdziwy żywopłot?

– Były prawdziwe. Rosły tak wysoko jak było trzeba.

– Nie wiem, jak wysoko rośnie w tych stronach rozmaryn. – I nie wiedziałem. Działo się to daleko od domu.

– Mamy łagodne zimy. Rozmarynowi tu dobrze.

– Dlaczego ludzie go spalili?

Zawiesił głos.

– Lepiej się pan zorientuje, jak wyglądają sprawy, kiedy dotrzemy na szczyt wzgórza.

– Jak wyglądają sprawy?

– Na szczycie wzgórza.

Wzgórze robiło się coraz bardziej i bardziej strome. Zeszłej zimy zraniłem się w lewe kolano, upadając na lód, co oznaczało, że nie mogłem już dłużej szybko biegać i w owych czasach ogromnie męczyła mnie wspinaczka po zboczach i schodach. Z każdym krokiem kłuło mnie kolano, przypominając gniewnie o swoim istnieniu.

Wielu ludzi, odkrywszy, że miejscowa osobliwość, którą chcieli zwiedzić, spłonęła kilka lat wcześniej, po prostu wsiadłoby z powrotem do samochodu i odjechało. Ja jednak nie zniechęcam się tak łatwo. Najpiękniejsze rzeczy, jakie oglądałem, były martwe: zamknięty park rozrywki, do którego dostałem się, przekupując nocnego strażnika ceną drinka; opuszczona stodoła, w której, jak twierdził rolnik, latem poprzedniego roku mieszkało pół tuzina yeti – podobno wyły po nocach i śmierdziały, ale wyniosły się niemal rok wcześniej. Pozostał po nich ostry, zwierzęcy smród, mogły go jednak zostawić kojoty.

– Kiedy księżyc przygasał, wędrowali po księżycowym labiryncie z miłością – oznajmił mój przewodnik. – Kiedy rósł, chodzili tylko z pożądaniem. Czy muszę wyjaśniać panu różnicę? Owce i kozy?

– Raczej nie.

– Czasami przychodzili też chorzy, okaleczeni i niepełnosprawni, niektórych trzeba było przewozić przez labirynt albo przenosić, ale nawet oni sami wybierali ścieżki, którymi wędrowali, nie ludzie wiozący ich czy niosący. Nikt nie wybierał drogi innym. Kiedy byłem mały, nazywaliśmy ich kalekami, cieszę się, że już tak nie mówimy. Przychodzili też nieszczęśliwie zakochani. Samotni. Szaleńcy – czasem i ich tu przyprowadzano. Ponoć na obłęd wpływają fazy księżyca, więc sprawiedliwie jest, że księżyc miał szansę ich wyleczyć.

Zbliżyliśmy się do szczytu. Zapadał zmierzch, niebo miało teraz barwę wina, chmury na zachodzie jaśniały światłem zachodzącego słońca, choć z miejsca, w którym staliśmy, zniknęło już za horyzontem.

– Sam pan zobaczy, kiedy tam dotrzemy. Wierzchołek wzgórza jest zupełnie płaski.

Chciałem coś dodać, więc odezwałem się:

– Tam, skąd pochodzę, pięćset lat temu miejscowy wielmoża odwiedził króla. Gdy król pokazał mu swój olbrzymi stół, świece, piękne malowane sklepienie, przy każdym z nich miejscowy wielmoża mówił jedynie: „Mam piękniejsze, większe, lepsze”. Król chciał sprawdzić jego blef, więc oznajmił, że za miesiąc przybędzie i zje przy jego stole, większym i piękniejszym niż królewski, oświetlonym świecami w lichtarzach większych i piękniejszych niż królewskie, pod malowanym sklepieniem większym i lepszym niż królewskie.

– Czy ów wielmoża rozłożył obrus na płaskim wierzchołku wzgórza – wtrącił mój przewodnik – wezwał dwudziestu śmiałków, by trzymali świece i czy spożyli posiłek pod bożymi gwiazdami? W tych okolicach też opowiadają tę historię.

– Zgadza się – przyznałem lekko zirytowany, że z taką łatwością zlekceważył mój wkład w rozmowę. – I król przyznał, że ów wielmoża miał rację.

– A czy potem szef nie kazał go uwięzić i torturować? – spytał przewodnik. – To właśnie spotkało go w historii, którą opowiadają w okolicach. Mówią, że nie dotrwał nawet do eleganckiego deseru cordon bleu, który przyszykował jego szef kuchni. Znaleźli go następnego dnia z odrąbanymi dłońmi, odciętym językiem, wsuniętym starannie do kieszonki na piersi, i dziurą po kuli pośrodku czoła.

– Tutaj? W tamtym domu?

– Dobry Boże, nie. Zostawili jego zwłoki w nocnym klubie. W mieście.

Zdziwiłem się jak szybko zmierzch zamienił się w noc. Na zachodzie wciąż pozostała luna, lecz reszta nieba pociemniała w swym śliwkowopurpurowym majestacie.

– Dni przed pełnią księżyca w labiryncie – oznajmił przewodnik – przeznaczono dla niesprawnych i tych w potrzebie. Moja siostra cierpiała na przypadłość kobiecą; powiedzieli, że umrze, jeśli nie da sobie wyskrobać wszystkiego od wewnątrz, a i wtedy mogłoby to się okazać śmiertelne. Brzuch napuchł jej, jakby nosiła dziecko, nie guz, choć dobiegała już pięćdziesiątki. Przydreptała tu dzień przed pełnią księżyca i weszła do labiryntu. Pokonała go od wejścia do środka w blasku księżyca, a potem od środka z powrotem, ani razu nie stawiając błędnego kroku.

– Co się z nią stało?

– Przeżyła – odparł krótko.

Dotarliśmy na szczyt, ale nie zobaczyłem niczego. Było zbyt ciemno.

– Wyciągnęli z niej to coś, co w niej tkwiło. Również przeżyło jakiś czas. – Poklepał mnie po ramieniu. – Proszę tam spojrzeć.

Odwróciłem się i spojrzałem. Rozmiar księżyca zaskoczył mnie. Wiedziałem, że to złudzenie optyczne, że księżyc nie staje się mniejszy, kiedy wschodzi, lecz ten zajmował większą część horyzontu, zza którego się wyłaniał, i nagle przypomniały mi się stare okładki autorstwa Franka Frazetty, na których wojowie unoszą miecze na tle olbrzymich księżyców. Przypomniałem sobie obrazy wilków wyjących na wzgórzach, czarne sylwetki na tle śnieżnobiałej, otaczającej je tarczy. Olbrzymi księżyc wschodzący zza horyzontu miał kremowo-żółtą barwę świeżo ubitego masła.

– Czy jest w pełni? – spytałem.

– Owszem, dziś mamy pełnię. – W jego głosie zabrzmiała satysfakcja. – A oto labirynt.

Ruszyliśmy ku niemu. Spodziewałem się zobaczyć popiół na ziemi albo nic. Zamiast tego

w maślanym blasku księżyca ujrzałem złożony, elegancki układ korytarzy, serię kręgów i spiral wewnątrz wielkiego kwadratu. W tym świetle nie potrafiłem właściwie ocenić odległości, ale odniosłem wrażenie, że każdy bok kwadratu ma co najmniej siedemdziesiąt metrów.

Rośliny okalające labirynt rosły nisko nad ziemią, żadna z nich nie sięgała wyżej niż ćwierć metra. Schyliłem się, podniosłem igiełkowaty liść, czarny w blasku księżyca, i zgmiotłem między kciukiem i palcem wskazującym. Pociągnąłem nosem i natychmiast pomyślałem o surowej jagnięcinie, starannie rozebranej i oczyszczonej, umieszczonej w piecyku na łożu z gałązek i igiełek, które dokładnie tak pachniały.

– Sądziłem, że spaliliście go do gołej ziemi – zauważyłem.

– Tak też zrobiliśmy. To nie są żywopłoty, już nie. Ale we właściwej porze krzaki odrastają. Są rzeczy, których nie da się zabić. Rozmaryn jest twardy.

– Gdzie jest wejście?

– Stoi pan w nim – odparł.

Był stary. Chodząc, wspierał się na lasce i rozmawiał z nieznanymi. Nikt by za nim nie zatęsknił.

– Co się tu działo o pełni księżyca?

– Miejscomi nie chodzili wówczas do labiryntu. To była noc, która płaciła za wszystko.

Postąpiłem krok w głąb labiryntu. Nie było w tym nic trudnego, zwłaszcza że wyznaczające go krzaki sięgały mi do łydki, nie wyższe niż w kuchennym ogródku. Gdybym się zgubił, mógłbym po prostu je przekroczyć i wrócić do początku. Na razie jednak podążyłem ścieżką w głąb labiryntu – łatwo ją było dostrzec w blasku księżyca w pełni. Słyszałem głos przewodnika, który nie przestawał mówić.

– Niektórzy sądzili nawet, że cena jest zbyt wysoka. To dlatego przyszliśmy tutaj, dlatego spaliliśmy księżycowy labirynt. Wspieliśmy się na wzgórze podczas nowiu, niosąc płonące pochodnie jak w starych, czarno-białych filmach. Wszyscy tu byliśmy. Nawet ja. Ale nie wszystko da się zabić. To tak nie działa.

– Dlaczego rozmaryn? – spytałem.

– Rozmaryn znaczy pamięć – odparł.

Maślanożółty księżyc wznosił się szybciej niż sądziłem bądź przypuszczałem. Teraz płonął na niebie, bład niczym widmowa twarz, spokojna, pełna współczucia, a jego kolor był biały jak kość.

– Zawsze istnieje możliwość – rzekł mężczyzna – że wyjdzie się bezpiecznie, nawet w noc pełni. Najpierw trzeba dotrzeć do środka labiryntu. Jest tam fontanna. Sam pan zobaczy. Nie da się jej z niczym pomylić. Potem należy wrócić ze środka, ani jednego błędnego kroku, żadnych ślepych zaułków, pomyłek po drodze. Teraz jest pewnie łatwiej niż wtedy, gdy krzaki rosły wysoko. To szansa. W przeciwnym razie labirynt wyleczy pana ze wszystkiego, co panu dolega. Oczywiście będzie pan musiał biec.

Obejrzałem się. Nie widziałem przewodnika, już nie. Ujrzałem coś przed sobą obok splecionych ścieżek wśród krzaków, czarny cień stąpający bezszelestnie wzdłuż granicy kwadratu. Miał rozmiar dużego psa, ale nie poruszał się jak pies.

Odrzucił w tył głowę i zawył do księżyca – radośnie, wesoło. Wielki, płaski stół na szczycie wzgórza rozbrzmiał echem radosnych skowytów i, czując ból w kolanie po długiej wspinaczce, potknąłem się, gdy szedłem naprzód.

Labirynt miał w sobie prawidłowość, mogłem ją odtworzyć. Nade mną płonął księżyc, jasny

jak w dzień. W przeszłości zawsze przyjmował moje dary, teraz, na końcu też mnie nie oszuka.
– Biegnij – usłyszałem głos przypominający warknięcie.
Pobiegłem niczym rzeźne jagnię do wtóru jego śmiechu.

Problem z Cassandrą

Razem ze Scalliem siedzieliśmy w perukach Starsky'ego i Hutch'a, do kompletu z bakami, o piątej nad ranem, na brzegu kanału w Amsterdamie. Noc zaczynaliśmy w dziesiątkę, łącznie z Robem, panem młodym, którego ostatnio widziałem przykutego kajdankami do łóżka w dzielnicy czerwonych latarni; pianka do golenia pokrywała mu dolne partie ciała, a przyszły szwagier, chichocząc, klepał po tyłku dziwkę trzymającą w dłoni brzytwę, i w tym momencie popatrzyłem na Scalliego, on na mnie i rzekł: „Niewiedza to najlepsza broń?“, a ja pokiwałem głową, bo istnieją pytania, na które nie chcemy odpowiadać, gdy panna młoda zaczyna wypytywać z naciskiem o weekend kawalerski, toteż urwaliśmy się na drinka, pozostawiając ośmiu pijanych facetów w perukach Starsky'ego i Hutch'a (z których jeden, prawie nagi, przypięty do łóżka kajdankami z różowym futerkiem, zaczynał chyba sądzić, że cała ta przygoda to w sumie nie najlepszy pomysł) w pokoju śmierdzącym środkami odkażającymi i tanim kadzidełkiem, i usiedliśmy nad kanałem, opróżniając kolejne puszki duńskiego piwa i rozmawiając o dawnych czasach.

Scallie – naprawdę nazywa się Jeremy Porter i w dzisiejszych czasach ludzie mówią mu Jeremy, ale kiedy mieliśmy jedenaście lat, był Scalliem – i przyszły pan młody, Rob Cunningham, chodzili ze mną do szkoły. Potem straciliśmy kontakt i znaleźliśmy się w leniwy sposób, typowy dla dzisiejszych czasów, przez Friends Reunited, Facebooka i tym podobne, a teraz spotkaliśmy się po raz pierwszy, odkąd skończyliśmy dziewiętnaście lat. Peruki Starsky'ego i Hutch'a, pomysł Scalliego, sprawiały, że wyglądaliśmy, jakbyśmy grali braci w jakimś tanim filmie telewizyjnym – Scallie niskiego, przysadzistego brata z gęstym wąsem, ja tego wyższego. Zważywszy, że od zakończenia szkoły spora część moich dochodów pochodzi z pracy modela, dodałbym „i przystojnego”, ale nikt nie wygląda dobrze w peruce Starsky'ego i Hutch'a, do kompletu z bakami.

Poza tym strasznie drapała.

Siedzieliśmy nad kanałem, a kiedy skończyło się piwo, wciąż gadaliśmy, oglądając wschód słońca.

Kiedy ostatnio widziałem Scalliego, miał dziewiętnaście lat i wielkie plany. Właśnie wstąpił do RAF-u jako kadet, zamierzał pilotować samoloty, a na boku przemycać narkotyki i zarobić w ten sposób niewiarygodny szmal, przy okazji pomagając ojczyźnie. Kolejny szalony pomysł z tych, na które wpadał, gdy chodziliśmy do szkoły. Zwykle wszystko się sypało, czasami po drodze wplątywał nas w kłopoty.

Teraz, dwanaście lat później – jego półroczna służba w RAF-ie zakończyła się przedwcześnie z powodu bliżej nieokreślonych problemów z kostką – był starszym kierownikiem w firmie produkującej nowoczesne okna; dodał też, że od czasu rozvodu mieszka w mniejszym domu

niż według niego zasługuje, w towarzystwie wyłącznie złotego retrievera.

Sypiał z kobietą z firmy produkującej nowoczesne okna, ale nie oczekiwał, że rzuci dla niego chłopaka. W sumie tak było łatwiej.

– Oczywiście od czasu rozwodu zdarza się, że budzę się z płaczem. Tak to już jest – rzekł w pewnym momencie.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak płacze, a zresztą mówił to ze swym szerokim uśmiechem Scalliego.

Opowiedziałem mu o sobie: wciąż pracowałem jako model, pomagałem też w antykwariacie kumpla, żeby mieć jakieś zajęcie, i coraz więcej malowałem. Miałem szczęście, ludzie kupowali moje obrazy. Co roku urządzałem niewielką wystawę w Little Gallery w Chelsea, a choć z początku kupowali w niej tylko znajomi – fotografowie, dawne dziewczyny i tak dalej – teraz trafiali się autentyczni kolekcjonerzy. Rozmawialiśmy o czasach, które pamiętał tylko Scallie, gdy wraz z nim i Robem tworzyliśmy trzyosobową drużynę, niezłomną, nienaruszalną. Rozmawialiśmy o nastoletnich dramatach, o Caroline Minton (obecnie Caroline Keen, żonie wikarego), o tym, jak pierwszy raz odważyliśmy się wybrać na film od osiemnastu lat, choć żaden z nas nie pamiętał, co to był za film.

A potem Scallie powiedział:

– Niedawno odezwała się do mnie Cassandra.

– Cassandra?

– Twoja dawna dziewczyna. Cassandra. Pamiętasz?

– ...Nie.

– Ta z Reigate. Zapisywałeś jej imię we wszystkich podręcznikach. – Musiałem sprawiać wrażenie wyjątkowo tępego, pijanego bądź zaspanego, bo dodał: – Poznałeś ją podczas wyjazdu na narty. Na miłość boską, pierwsza panna, którą przeleciałeś. Cassandra.

– Och. – Nagle sobie przypomniałem; przypomniałem sobie wszystko. – Cassandra.

I pamiętałem.

– Tak – rzucił Scallie. – Odezwała się do mnie na Facebooku. Prowadzi amatorski teatr we wschodnim Londynie. Powinieneś z nią pogadać.

– Poważnie?

– Tak myślę. To znaczy, czytając między wierszami jej wiadomości, możliwe, że wciąż na ciebie leci. Pytała o ciebie.

Wpatrując się w kanał w blasku poranka, zastanawiałem się, jak bardzo jestem pijany. Powiedziałem coś, sam nie pamiętam co, a potem spytałem, czy Scallie pamięta, gdzie jest nasz hotel, bo ja zapomniałem. On odparł, że też zapomniał i że Rob miał wszystkie dane hotelowe, i naprawdę powinniśmy wrócić, poszukać go i uratować ze szponów miłej dziwki z kajdankami i sprzętem do golenia. Co, jak sobie uświadomiliśmy, byłoby znacznie łatwiejsze, gdybyśmy wiedzieli, którędy wrócić w miejsce, gdzie go zostawiliśmy. I szukając jakiejś wskazówki co do pobytu Roba, znalazłem w tylnej kieszeni kartkę z adresem hotelu, toteż tam właśnie pomaszerowaliśmy. A zanim odszedłem od kanału i całej owej dziwnej nocy, zrobiłem coś jeszcze: ściągnąłem z głowy drapiącą perukę i wrzuciłem do wody.

Unosiła się na niej.

– Zapłaciłem za nią kaucję, wiesz? – zaprotestował Scallie. – Skoro nie chciałeś jej dłużej nosić, ja bym ją zabrał. – A potem dodał. – Powinieneś się odezwać do Cassandry.

Pokręciłem głową. Zastanawiałem się, z kim rozmawiał w sieci, kogo za nią wziął, bo

wiedziałem, że to z całą pewnością nie Cassandra.

Problem z Cassandrą jest taki: ja ją wymyśliłem.

* * *

Miałem piętnaście, prawie szesnaście lat. Byłem niezgrabnym nastolatkiem, dopiero co zakończyłem proces gwałtownego rośnięcia i nagle okazało się, że przerastam o głowę większość moich przyjaciół. Wstydzilem się własnego wzrostu. Moja matka miała niewielką stajnię, pomagałem tam, ale dziewczyny – fachowe, kompetentne, końskie sportowe typy – mnie onieśmiały. W domu pisałem kiepskie wiersze i malowałem akwarele, głównie przedstawiające kucyki na polach. W szkole – do mojej szkoły chodzili wyłącznie chłopcy – całkiem dobrze grałem w krykieta, trochę w teatrze, razem z kumplami puszczailiśmy sobie płyty (niedawno weszły na rynek kompakty, ale ich odtwarzacze były drogie i bardzo rzadko spotykane, a wszyscy odziedziczyliśmy po rodzicach bądź starszym rodzeństwie gramofony i sprzęt hi-fi). Kiedy nie rozmawialiśmy o muzyce lub sporcie, schodziło na dziewczęta.

Scallie był starszy ode mnie. Podobnie Rob. Lubili mieć mnie w swojej bandzie, ale też lubili ze mnie żartować. Traktowali mnie jak dziecko, a nie byłem dzieckiem. Obaj robili to już z dziewczynami – właściwie to nie do końca prawda, robili to z tą samą dziewczyną, z Caroline Minton, słynącą z tego, że hojnie obdarza swoimi wdziękami i zawsze jest gotowa to zrobić, jeśli tylko osoba, z którą się spotyka, ma motorynkę.

Ja nie miałem motorynki. Byłem za młody, matka nie mogła sobie na nią pozwolić (mój ojciec zmarł bardzo wcześnie, w szpitalu, po przypadkowym przedawkowaniu środków znieczulających podczas drobnej operacji zakażonego palca u nogi. Do dziś unikam szpitali). Widywałem Caroline Minton na imprezach, ale mnie przerażała, i nawet gdybym miał motorynkę, nie chciałbym przeżyć z nią swoich pierwszych doświadczeń seksualnych.

Scallie i Rob mieli też dziewczyny. Dziewczyna Scalliego, wyższa od niego, imponowała wielkim biustem i interesowała się futbolem, co oznaczało, że Scallie też musiał udawać zainteresowanego futbolem, głównie grą Crystal Palace. Natomiast dziewczyna Roba uważała, że powinni z Robem mieć wspólne zainteresowania, co oznaczało, że Rob przestał słuchać elektropopu z lat osiemdziesiątych, który lubiliśmy wszyscy, i zaczął słuchać hippisowskich zespołów z czasów, gdy nie było nas jeszcze na świecie, co nas nie zachwycało, ale za to mógł przegrzebać niesamowite, należące do ojca zbiory starych programów telewizyjnych na wideo, co nas zachwyciło.

Ja nie miałem dziewczyny.

Nawet moja matka zaczęła to komentować.

Samo imię i pomysł musiały skądś pochodzić, ale nie pamiętam skąd. Pamiętam tylko jak pisałem „Cassandra” na swoich ćwiczeniach, a potem z rozmysłem nic nie mówiłem.

– Kto to jest Cassandra? – spytał Scallie w autobusie do domu.

– Nikt – odparłem.

– To musi być ktoś. Zapisalesz jej imię w ćwiczeniach do matematyki.

– To taka dziewczyna, poznałem ją na nartach. – Miesiąc wcześniej wyjechaliśmy z matką, ciotką i kuzynami na narty do Austrii.

– Poznamy ją?

– Mieszka w Reigate. Więc pewnie tak. W końcu.

– No, mam nadzieję. I co, lubisz ją?

Odczekałem, jak miałem nadzieję dostatecznie długą chwilę.

– Naprawdę dobrze się całuje – odparłem, po czym Scallie roześmiał się, a Rob chciał wiedzieć, czy to francuskie pocałunki z języczkiem i tak dalej, a ja spytałem: – A jak myślisz? – I pod koniec dnia obaj święcie wierzyli już w jej istnienie.

Mama ucieszyła się, że kogoś poznałem; na jej pytania – na przykład, czym zajmują się rodzice Cassandry – odpowiadałem tylko wzruszeniem ramion.

Byłem na trzech „randkach” z Cassandrą. Podczas każdej z nich jechałem pociągiem do Londynu i spędzałem czas w kinie. Na swój sposób było to nawet ekscytujące.

Z pierwszej wyprawy wróciłem z kolejnymi opowieściami o pocałunkach i macaniu piersi.

Podczas naszej drugiej randki (którą w istocie spędziłem samotnie w kinie na Leicester Square, oglądając „Dziewczynę z komputera”), w wersji dla mamy jedynie trzymaliśmy się za ręce na, jak to nazywała, seansie. Ale Robowi i Scalliemu (a także w ciągu tygodnia kilku innym kumplom ze szkoły, którzy usłyszeli plotki od zaprzysiężonych do milczenia Roba i Scalliego i chcieli się przekonać, czy to prawda) wyznałem niechętnie, że tak naprawdę był to Dzień Kiedy Straciłem Dziewictwo, w mieszkaniu ciotki Cassandry w Londynie: ciotka wyjechała, Cassandra wzięła klucz. Miałem (na dowód) paczkę trzech prezerwatyw – brakowało jednej, którą wyrzuciłem – oraz serię czterech czarno-białych zdjęć, które znalazłem podczas pierwszej wyprawy do Londynu w koszu na śmieci w budce fotograficznej na dworcu Victoria. Zdjęcia przedstawiały dziewczynę mniej więcej w moim wieku, o długich, prostych włosach (nie byłem pewien koloru. Ciemny blond? Rude? Jasny brąz?) i przyjaznej, piegowatej, całkiem ładnej twarzy. Gwizdnąłem je. Na zajęciach z plastycznego naszkicowałem ołówkiem trzecie zdjęcie, to, które podobało mi się najbardziej, z częściowo odwróconą głową, jakby wołała niewidocznego przyjaciela stojącego za zasłonką. Wyglądała słodko i czarująco. Chciałem, by była moją dziewczyną.

Powiesiłem rysunek na ścianie swojego pokoju, w miejscu, które widziałem z łóżka.

Po naszej trzeciej randce (seans „Kto wrobił królika Rogera?”) wróciłem do szkoły ze złymi wieściami: rodzina Cassandry wyjeżdżała do Kanady (kraju brzmiącego w moich uszach bardziej przekonująco niż Ameryka), miało to coś wspólnego z pracą jej ojca, i bardzo długo się nie zobaczymy. Tak naprawdę nie zerwaliśmy, ale spójrzmy na to praktycznie: to były czasy, kiedy transatlantyckie rozmowy telefoniczne kosztowały za dużo jak na kieszeń nastolatków. Czyli koniec.

Byłem smutny. Wszyscy zauważyli mój smutek, mówili, że żałują, że jej nie poznali. Może kiedy wróci na święta? Byłem pewien, że do świąt o niej zapomną.

I rzeczywiście. Do świąt chodziłem już z Nikky Blewins i jedynym dowodem, że Cassandra kiedykolwiek stanowiła część mego życia, pozostawało jej imię, zapisane w paru książkach do ćwiczeń i ołówkowy szkic na ścianie w pokoju z podpisem: „Cassandra, 19 lutego, 1985”.

Kiedy matka sprzedała stajnię, rysunek zginął podczas przeprowadzki. W tym czasie studiowałem już malarstwo i uważałem swoje dawne szkice za równie zawstydzające jak fakt, że kiedyś wymyśliłem sobie dziewczynę, toteż zupełnie się tym nie przejąłem.

Nie sądzę, bym przez dwadzieścia lat choć raz pomyślał o Cassandrze.

* * *

Matka sprzedała stajnię, stojący przy niej dom i paddock deweloperowi, który w miejscu, gdzie kiedyś mieszkaliśmy, zbudował osiedle. W ramach umowy dał jej też mały, samodzielny domek na końcu Seton Close. Odwiedzam ją co najmniej raz na dwa tygodnie, przyjeżdżam w piątek wieczór, wyjeżdżam w niedzielę rano. Równie regularnie jak bicie zegara w holu.

Matka bardzo martwi się, żebym był szczęśliwy, zaczęła niedawno wspominać, że jej różne przyjaciółki mają córki w stosownym wieku. Podczas tej wizyty odbyliśmy niezwykle krępującą rozmowę, która zaczęła się od tego, że matka spytała, czy zgodzę się, żeby mi przedstawić organistę z jej kościoła, bardzo miłego młodzieńca w moim wieku.

– Mamo. Nie jestem gejem.

– Nie ma w tym niczego złego, kochanie. Najróżniejsi ludzie to robią. Nawet biorą śluby. No, nie takie prawdziwe, ale to to samo.

– Nadal nie jestem gejem.

– Pomyślałam tylko, że nadal się nie ożeniłeś, no i to malarstwo i modelowanie...

– Miewam dziewczyny, mamusiu. Kilka nawet poznałaś.

– Żadna nie została zbyt długo, kochanie. Pomyślałam, że może po prostu chciałbyś mi coś powiedzieć.

– Nie jestem gejem, mamo. Powiedziałbym ci, gdybym był. – A potem dodałem: – Całowałem się z Timem Carterem na imprezie na akademii, ale obaj byliśmy pijani i nie posunęliśmy się dalej.

Zacisnęła wargi.

– Dość już usłyszałam, młody człowieku. – A potem, zmieniając temat, jakby chciała się pozbyć nieprzyjemnego posmaku, dodała: – Nigdy nie zgadniesz, na kogo wpadłam w Tesco w zeszłym tygodniu.

– Nie zgadnę. Na kogo?

– Na twoją dawną dziewczynę, może raczej powinnam powiedzieć pierwszą dziewczynę.

– Nikki Blewins? Chwileczkę, wyszła za męża, prawda? Nikki Woodbridge?

– Tą poprzednią, kochanie. Cassandrę. Stałam za nią w kolejce. Byłabym przed nią, ale zapomniałam, że będę dziś potrzebować śmietany do jagód, toteż po nią wróciłam i stała przede mną, a ja wiedziałam, że skądś znam tę twarz. Z początku sądziłam, że to najmłodsza córka Joanie Simmond, ta z kłopotami z wymową, kiedyś nazywaliśmy je jąkaniem, ale najwyraźniej teraz nie wolno już tak mówić. Ale potem pomyślałam: wiem, skąd znam tę twarz, przez pięć lat wisiała nad twoim łóżkiem i oczywiście zagadnęłam: „Nie jesteś przypadkiem Cassandra?”, a ona na to: „Owszem”, a ja mówię: „Pewnie mnie wyśmiejesz, kiedy to powiem, ale jestem matką Stuarta Innesa”. „Stuarta Innesa?”, i jej twarz pojaśniała. Zaczekała trochę, kiedy pakowałam zakupy do torby, i wspomniała, że skontaktowała się już z twoim przyjacielem, Jeremym Porterem, na bukfejsie, i rozmawiali o tobie.

– Masz na myśli facebook? Rozmawiała ze Scalliem na facebooku?

– Tak, kochanie.

Wypiłem do końca herbatę, zastanawiając się, z kim tak naprawdę rozmawiała moja matka.

– Jesteś zupełnie pewna, że to była Cassandra znad mojego łóżka?

– O tak, kochanie. Opowiadała mi, jak zabrała ją do kina na Leicester Square i jak bardzo żałowała, że musieli przeprowadzić się do Kanady. Wyjechali do Vancouver. Spytałam, czy kiedykolwiek spotkała mojego kuzyna Lessiego, on też wyjechał do Vancouver po wojnie, ale mówiła, że raczej nie, i okazuje się, że to całkiem spore miasto. Opowiedziałam jej o twoim

szkicu. Wyglądało na to, że świetnie się orientuje co porabiasz. Zachwyciła się, gdy usłyszała, że w tym tygodniu masz wernisaż.

– Powiedziałaś jej o tym?

– Tak, kochanie, chyba chciałyby wiedzieć. – A potem matka dodała niemal z żalem: – To bardzo ładna dziewczyna, kochanie, chyba zajmuje się teatrem amatorskim. – Następnie rozmowa przeszła na emeryturę doktora Dunaningsa, który opiekował się nami jeszcze przed moim urodzeniem, a teraz był jedynym nie-Hindusem pracującym w przychodni, i co moja matka o tym myśli.

Tej nocy leżałem w łóżku w swoim małym pokoju w domu matki, raz po raz odtwarzając w głowie tę rozmowę. Nie ma mnie już na facebooku i zastanawiałem się nawet, czy z powrotem nie otworzyć konta, żeby sprawdzić, kim są przyjaciele Scalliego i czy ta pseudo-Cassandra to jedna z nich, ale zbyt wielu ludzi nie miałem ochoty znów oglądać, toteż dałem sobie spokój, pewien, że kiedy znajdę wyjaśnienie, okaże się ono proste. I zasnąłem.

* * *

Od ponad dziesięciu lat wystawiam swoje prace w Little Gallery w Chelsea. W dawnych czasach miałem ćwierć ściany i nic droższego niż trzysta funtów. Teraz, w październiku, urządzam indywidualną wystawę trwającą miesiąc, i przyznaję uczciwie, że wystarczy, abym sprzedał ze dwadzieścia obrazów, żeby na cały rok opłacić wszystko, czego potrzebuję, czynsz i utrzymanie. niesprzedane obrazy pozostają na ścianach galerii, dopóki nie znikną, a zawsze znikają do Bożego Narodzenia.

Para właścicieli galerii, Paul i Barry, wciąż nazywa mnie pięknym chłopcem, tak jak dwanaście lat temu, gdy po raz pierwszy u nich wystawiałem, i wtedy mogło to być prawdą. Wówczas nosili kwaciaste, rozpięte pod szyją koszule i złote łańcuchy. Teraz, w średnim wieku, wolą drogie garnitury i, jak na mój gust, zbyt dużo gadają o gieldzie. Mimo wszystko jednak lubię ich towarzystwo. Widuję ich trzy razy do roku: we wrześniu, kiedy odwiedzają moje studio, sprawdzając, nad czym pracuję, i wybierają obrazy na wystawę, w galerii, gdy rozwieszamy je i otwieramy w październiku, i w lutym, kiedy rozliczamy rachunki.

Barry kieruje galerią, Paul, współwłaściciel, zjawia się na imprezach, ale pracuje też w pracowni kostiumów Royal Opera House. W tym roku wernisaż odbywał się w piątek wieczorem; wcześniej przez parę nerwowych dni rozwieszałem obrazy, teraz zrobiłem już swoje, pozostawało mi tylko czekać i liczyć na to, że ludziom spodoba się moje malarstwo i nie wyjdę na durnia. Zrobiłem tak jak w każdym z poprzednich dwunastu lat, zgodnie z instrukcjami Barry'ego: „Trzymaj kieliszek z szampanem, pij tylko wodę. Dla kolekcjonera nie ma niczego gorszego niż spotkanie z pijanym malarzem, chyba że słynie ze swojego pijaństwa, ale ciebie to nie dotyczy, mój drogi. Bądź miły, ale enigmatyczny. A kiedy ludzie pytają o historię stojącą za obrazem, odpowiadaj: »Milczę jak grób«. Lecz, na miłość boską, sugeruj, że jest jakaś historia. Bo to ją kupują”.

Obecnie rzadko zapraszam ludzi na wernisaże. Niektórzy artyści tak robią, uważając to za okazję towarzyską. Ja nie. Choć bardzo poważnie podchodzę do swojej sztuki jako takiej i jestem dumny ze swych dzieł (najnowszą wystawę zatytułowałem „Ludzie wśród krajobrazów”, co właściwie całkiem dobrze podsumowuje całą moją pracę), rozumiem, że to w istocie wyłącznie spotkanie handlowe, kojarzące potencjalnych nabywców i tych, którzy mogą

szepnąć dobre słowo innym potencjalnym nabywcom. Mówię to wam, byście się nie zdziwili, że to Barry i Paul zarządzają listą gości, nie ja.

Wernisaż zawsze zaczyna się o wpół do siódmej wieczór. Całe popołudnie rozwieszałem obrazy, sprawdzałem, czy wszystko wygląda jak najlepiej, tak samo, jak to czyniłem każdego roku. Jediną różnicę stanowiło to, jak bardzo podniecał się Paul, niczym mały chłopczyk walczący z pokusą zdradzenia, co wam kupił w prezencie urodzinowym. A także Barry, który, wieszając obraz, mruknął:

– Uważam, że dzisiejsza wystawa sprawi, że znajdziesz się na mapie.

– Chyba macie błąd na tym z Krainy Jezior – odparłem. Chodziło o duży obraz przedstawiający Windermere o zachodzie słońca i dwoje dzieci, patrzących zagubionym wzrokiem na widza z brzegu. – Powinno tam być trzy tysiące funtów, a jest trzysta tysięcy.

– Naprawdę? – spytał obojętnie Barry. – Ojej.

Ale niczego nie zmienił.

Zdziwiło mnie to, tymczasem jednak zjawili się pierwsi goście, nieco zbyt wcześnie, i uznałem, że tajemnica może poczekać. Jakiś młody człowiek zaproponował mi grzybowy pasztecik ze srebrnej tacy. Wziąłem przeznaczony do trzymania kieliszek szampana ze stołu w kącie i przygotowałem się do imprezy.

Wszystkie ceny były wysokie i wątpiłem, by Little Galery zdołała sprzedać za nie jakiegokolwiek obrazy. Martwiłem się o czekający mnie rok.

Barry i Paul zawsze przejmują pałeczkę, oprowadzając mnie po sali i powtarzając:

– A oto nasz artysta, piękny chłopiec, który tworzy te cuda, Stuart Innes.

Ściskam dłonie i się uśmiecham. Do końca wieczoru zdążę przywitać się ze wszystkimi, a Paul i Barry są naprawdę świetni w przypominaniu:

– Stuart, pamiętasz Davida, pisuje o sztuce do „Telegrapha”...

A ja ze swojej strony równie zgrabnie odpowiadam:

– Oczywiście, jak się miewasz? Tak się cieszę, że przyszedłeś.

W galerii zgromadził się właśnie większy tłum, kiedy uderzająco urodziwa, rudowłosa kobieta, której jeszcze mnie nie przedstawiono, zaczęła krzyczeć:

– Naturalistyczne śmieci!

Rozmawiałem właśnie z krytykiem sztuki z „Daily Telegraph”; obaj odwróciliśmy głowy.

– Jakaś znajoma? – spytał.

– Nie wydaje mi się – odparłem.

Wciąż krzyczała, choć gwar imprezy przycichł.

– Nikogo nie interesuje to gówno! Nikogo! – huknęła, po czym sięgnęła do kieszeni płaszcza i wyciągnęła flaszeczkę tuszu. Krzycząc: „Spróbujcie go sprzedać teraz!”, chlupnęła zawartością na „Zachód słońca nad Windermere”. To był granatowoczarny tusz.

Paul nagle znalazł się u jej boku, wyrwał jej buteleczkę.

– To był obraz za trzysta tysięcy funtów, młoda damo – warknął.

Barry złapał ją za rękę.

– Myślę, że policja zechce z tobą porozmawiać – rzucił i zaprowadził ją do biura. Po drodze krzyczała do nas.

– Nie boję się! Jestem dumna! Artyści tacy jak on żerują na was, łatwowiernych miłośnikach sztuki! Wszyscy jesteście bydlęmi! Naturalistyczne pierdoły!

A potem zniknęła i wszyscy zaczęli gadać jednocześnie, oglądając poplamiony tuszem obraz

i patrząc na mnie, a gość z „Telegrapha” pytał, czy chciałbym to skomentować i co czuję, widząc zniszczony obraz za trzysta tysięcy funtów. Zatem wymamrotałem tylko, że jestem dumny z bycia malarzem i wspomniałem o ulotnej naturze sztuki, a on na to, że dzisiejsze wydarzenie samo w sobie przypominało artystyczny happening. Po czym zgodziliśmy się, że kobieta miała nie po kolei w głowie.

Barry wrócił, krążąc od grupki do grupki, wyjaśniając, że Paul zajmuje się młodą damą, a jej ostateczny los zależy ode mnie. Goście wciąż gadali z podnieceniem, gdy żegnał ich w drzwiach. Po drodze przeproszał, zgadzając się, że żyjemy w ciekawych czasach, i wyjaśniał, że jutro będziemy otwarci o zwykłej porze.

– Całkiem dobrze poszło – zauważył, gdy zostaliśmy sami w galerii.

– Dobrze? To była katastrofa!

– Mmm. „Stuart Innes, któremu zniszczono obraz za trzysta tysięcy funtów”. Chyba powinienes okazać wyrozumiałość, nie sądzisz? To także artystka, choć zmiierzająca do innych celów. Czasami potrzebne jest nam drobne kopnięcie, by wynieść nas na kolejny poziom.

Wróciliśmy do biura na tyłach.

– Czyj to był pomysł? – spytałem.

– Nasz – odparł Paul; popijał w biurze białe wino z kobietą o rudych włosach. – No, głównie Barry’ego. Ale potrzebowaliśmy dobrej aktorki, by wypalił, i to ja ją znalazłem.

Uśmiechnęła się skromnie, umiejętnie łącząc w swym wyglądzie pokorę i samozadowolenie.

– Jeśli to nie ściągnie na ciebie uwagi, na jaką zasługujesz, piękny chłopcze – dodał Barry, uśmiechając się do mnie – to nic już nie pomoże. Teraz jesteś dość ważny, by cię atakować.

– Obraz Windermere został zniszczony – przypomniałem.

Barry zerknął na Paula, obaj zachichotali.

– Już się sprzedał, razem z plamami od tuszu, za siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów – oznajmił Barry. – Zawsze powtarzam: ludzie sądzą, że kupują sztukę, ale tak naprawdę kupują historię.

Paul napełnił nam kieliszki.

– A wszystko zawdzięczamy tobie – rzekł do kobiety. – Stuarcie, Barry, proponuję toast: zdrowie Cassandry!

– Zdrowie Cassandry! – powtórzyliśmy i wypiliśmy. Tym razem nie udawałem, potrzebowałem drinka.

A potem, gdy wciąż przetrawiałem to imię, odezwał się Paul.

– Cassandro, ten idiotycznie atrakcyjny i utalentowany młodzieniec, to, jak z pewnością wiesz, Stuart Innes.

– Wiem – odparła. – Prawdę mówiąc, jesteśmy bardzo dawnymi przyjaciółmi.

– Poważnie? – rzucił Barry.

– Cóż – odparła Cassandra. – Dwadzieścia lat temu Stuart zapisał moje imię w swoich ćwiczeniach do matematyki.

Owszem, wyglądała jak dziewczyna z mojego rysunku. Albo dziewczyna ze zdjęć, tylko dorosła. Ostre rysy. Inteligentna. Pewna siebie.

Nigdy w życiu jej nie widziałem.

– Cześć, Cassandro – powiedziałem, bo nic innego nie przyszło mi do głowy.

* * *

Siedzieliśmy w winiarni pod moim mieszkaniem. Podają tam też jedzenie, to więcej niż zwykła winiarnia.

Odkryłem, że rozmawiam z nią jak z kimś, kogo znam od czasów dzieciństwa; musiałem upominać się w duchu, że tak nie jest. Poznałem ją dopiero tego wieczoru, na rękach nadal miała ślady tuszu.

Zerknęliśmy w kartę, zamówiliśmy to samo – wegetariańskie meze – a kiedy je podali, oboje zaczęliśmy od dolmades, przechodząc do hummusu.

– Ja cię wymyśliłem – oświadczyłem.

Nie była to pierwsza rzecz, jaką powiedziałem: najpierw rozmawialiśmy o jej teatrze amatorskim, o tym, jak zaprzyjaźniła się z Paulem, jak złożyła jej propozycję – tysiąc funtów za wieczorny występ – i że potrzebowała pieniędzy, ale głównie zgodziła się, bo uznała to za zabawną przygodę. Poza tym, dodała, kiedy usłyszała moje nazwisko, nie mogła odmówić. Uznała, że to zrządzenie losu.

To wtedy to powiedziałem. Bałem się, że weźmie mnie za wariata, ale i tak wymówiłem te słowa.

– Ja cię wymyśliłem.

– Nie – odparła – nie wymyśliłeś. To znaczy oczywiście, że nie, naprawdę tu jestem. – Po czym dodała: – Chciałbyś mnie dotknąć?

Spojrzałem na nią. Na jej twarz i sylwetkę, na oczy. Była wszystkim, o czym kiedykolwiek marzyłem. Wszystkim, czego szukałem u innych kobiet.

– Tak – przyznałem. – I to bardzo.

– Najpierw zjedźmy kolację – rzuciła, i dodała: – Od jak dawna nie byłeś z kobietą?

– Nie jestem gejem – zaprotestowałem. – Miewam dziewczyny.

– Wiem. Kiedy była ostatnia?

Spróbowałem sobie przypomnieć. Czy to Brigitte? A może stylistka, z którą agencja reklamowa wysłała mnie na Islandię? Nie miałem pewności.

– Dwa lata – odrzekłem. – Może trzy. Po prostu dotąd nie spotkałem właściwej osoby.

– Kiedyś spotkałeś – zauważyła. Otworzyła torebkę, wielką, miękką fioletową torbę, wyciągnęła z niej tekturową teczkę. Ją także otworzyła, wyjęła kartkę papieru, zbrązowiałą od taśmy w narożnikach. – Widzisz?

Pamiętałem go. Jak mógłbym nie pamiętać? Wisiał przez lata nad moim łóżkiem. Oglądała się, jakby rozmawiała z kimś za zasłonką. „Cassandra”, głosił podpis, „19 lutego, 1985”. A niżej podpis: „Stuart Innes”.

Widok własnego podpisu z czasów, gdy miało się piętnaście lat, ma w sobie coś zarówno krępującego, jak i bardzo ciepłego.

– Wróciłam z Kanady w osiemdziesiątym dziewiątym – oznajmiła. – Kiedy tam wyjechaliśmy, małżeństwo moich rodziców się rozpadło i mama chciała wrócić do domu. Zastanawiałam się, co u ciebie, co porabiasz, toteż podjechałam na twój dawny adres. Dom był pusty. Okna powybijane. Bez wątplenia nikt tam nie mieszkał. Stajnię zdążyli już wyburzyć – zrobiło mi się strasznie smutno, jako dziewczynka oczywiście kochałam konie, ale zaczęłam chodzić po domu, póki nie znalazłam twojego pokoju. Bez wątplenia należał do ciebie, choć zniknęły wszystkie meble. Nadal tobą pachniał. A to wciąż wisiało na ścianie. Uznałam, że nikt nie zauważy, że go wzięłam.

Uśmiechnęła się.

– Kim ty jesteś?

– Cassandra Carlisle. Trzydzieści cztery lata. Dawniej aktorka. Nieudana dramatopisarka. Teraz kieruję teatrem amatorskim w Norwood. Terapia sztuką. Sala do wynajęcia. Cztery przedstawienia rocznie plus warsztaty i miejscowa pantomima. A kim ty jesteś, Stuarcie?

– Wiesz, kim jestem. – A potem. – Wiesz, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, prawda?

Pokiwała głową.

– Biedny Stuart. Mieszkasz nad tą knajpką, prawda?

– Tak, czasem bywa trochę głośno, ale metro jest blisko i czynsz niezbyt przegięty.

– Zapłaćmy rachunek i chodźmy na górę.

Wyciągnąłem rękę, by dotknąć jej dłoni.

– Jeszcze nie. – Cofnęła ją szybko. – Najpierw powinniśmy porozmawiać.

Zatem poszliśmy na górę.

– Podoba mi się twoje mieszkanie – oznajmiła. – Wygląda dokładnie jak lokal, który bym dla ciebie wymyśliła.

– Chyba już czas zacząć się rozglądać za czymś trochę większym – odparłem. – Ale pasuje do mnie, na tyłach, w pracowni, mam dobre światło. – Teraz, nocą, tego nie zauważysz, ale świetnie nadaje się do malowania.

To dziwne uczucie, przyprowadzić kogoś do domu, widzimy wówczas swoje mieszkanie jakby po raz pierwszy. W saloniku wiszą dwa moje olejne portrety z czasów krótkotrwałej kariery jako modela malarskiego (brakowało mi cierpliwości, by godzinami stać i pozować, wiem, że to wada), powiększone moje zdjęcia reklamowe w kuchence i kiblu, okładki ze mną – głównie romanse – nad schodami.

Pokazałem jej pracownię, a potem sypialnię. Obejrzała uważnie edwardiański fotel fryzjerski, który uratowałem ze starego, zamkniętego zakładu w Shoreditch. Usiadła na nim i zrzuciła pantofle.

– Kim był pierwszy dorosły, którego polubiłeś? – spytała.

– Dziwne pytanie. Chyba to moja matka. Nie wiem. A u ciebie?

– Miałam trzy, może cztery lata. To był listonosz, pan Poczek. Przyjeżdżał swoją furgonetką pocztową i przywoził mi różne ładne rzeczy. Nie co dzień. Tylko czasami. Paczki w brązowym papierze z wypisanym moim imieniem, a w środku zabawki, słodycze albo inne rzeczy. Miał zabawną, przyjazną twarz i zadarty nos.

– I był prawdziwy? Brzmi jak ktoś, kogo mogłoby sobie wymyślić dziecko.

– Jeździł furgonetką pocztową po domu. Nie była zbyt duża.

Zaczęła rozpinać bluzkę, kremową, wciąż poplamioną kropelkami tuszu.

– Jaka jest pierwsza rzecz, którą pamiętasz? Nie coś, o czym ci opowiedzieli. Coś, co naprawdę pamiętasz?

– Wyjazd nad morze, kiedy miałem trzy lata, z mamą i tatą.

– Pamiętasz go? Czy pamiętasz, jak ci o nim mówili?

– Nie widzę sensu w tych...

Wstała, zakolysała się i zrzuciła spódnicę. Miała na sobie biały stanik i ciemnozielone, lekko obstrzępione majtki. Bardzo ludzkie: nie coś, co się wkłada, by zaimponować nowemu kochankowi. Zastanawiałem się, jak wyglądają jej piersi bez stanika; chciałem je pogłodzić, muskać ustami.

Przeszła z fotela na łóżko, gdzie siedziałem.

– Teraz się połóż. Po tej stronie łóżka. Ja będę obok. Nie dotykaj mnie.

Położyłem się z rękami po bokach, spojrzała na mnie z góry.

– Jesteś taki piękny – rzekła. – Przyznaję szczerze, że sama nie wiem, czy w moim typie. Kiedy miałam piętnaście lat, z pewnością: miły, słodki, niegroźny. Artysta. Kucyki. Stajnia. I założę się, że nigdy nie dobierasz się do dziewczyny, jeśli nie masz pewności, że jest gotowa, prawda?

– Nie – przyznałem. – Raczej nie.

Położyła się obok.

– Teraz możesz mnie dotknąć – powiedziała Cassandra.

* * *

Pod koniec zeszłego roku znów zaczęłam myśleć o Stuarcie. To chyba stres. Do pewnego momentu praca szła nieźle, ale zerwałam z Pawłem, możliwe że autentycznym typem spod ciemnej gwiazdy – z pewnością maczał palce w wielu podejrzanych, wschodnioeuropejskich interesach – i zastanawiałam się nad randkami w Internecie. Przez cały głupi weekend rejestrowałam się na portalach kojarzących ludzi z dawnymi znajomymi, a stamtąd bez trudu przeskoczyłam do Jeremy’ego „Scalliego” Portera i do Stuarta Innesa.

Nie sądzę, bym była w stanie jeszcze to robić – brak mi determinacji i skupienia, dbałości o szczegóły. To kolejna rzecz, którą traci się z wiekiem.

Pan Poczek przyjeżdżał swoją furgonetką, gdy rodzice nie mieli dla mnie czasu. Uśmiechał się wielkim, krasnoludzkim uśmiechem, mrugał porozumiewawczo, wręczał mi paczkę z brązowego papieru z wielkim drukowanym napisem Cassandra, a w środku tkwiły czekoladki, lalka albo książka. Jego ostatnim prezentem był różowy plastikowy mikrofon. Biegałam z nim po domu, śpiewając albo udając, że występuję w telewizji. To był najlepszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

Rodzice nie pytali mnie o prezenty, a ja nie zastanawiałam się, kto mi je przysyła. Pochodziły od pana Poczek, który przyjeżdżał swoją furgonetką przez korytarz do drzwi mojego pokoju i zawsze pukał trzy razy. Byłam wylewną dziewczynką i następnym razem, gdy się zjawił po plastikowym mikrofonie, podbiegłam do niego i objęłam mocno za nogi.

Trudno opisać, co się wtedy stało. Opadł na ziemię jak śnieg albo popiół. Przez chwilę trzymałam kogoś, a potem został tylko biały pył i nic.

Później często marzyłam, by pan Poczek wrócił, ale nigdy już się nie zjawił. To był jego koniec. Po jakimś czasie zaczęłam się wstydić tego wspomnienia: nabrałam się na coś takiego.

Dziwny jest ten pokój. Zastanawiam się, czemu w ogóle pomyślałam, że ktoś, kto uszczęśliwiał mnie, kiedy miałam piętnaście lat, uszczęśliwiłby mnie teraz. Ale Stuart był idealny: stajnia (z kucykami) i malarstwo (dowodzące jego wrażliwości), brak doświadczenia z dziewczynami (żebym mogła być jego pierwszą) i to, jaki był bardzo, bardzo wysoki, ciemnowłosy i przystojny. Imię też mi się podobało: brzmiało tak jakby szkocko i (w moim umyśle) kojarzyło się z bohaterem powieści.

Zapisywałam imię Stuarta w moich ćwiczeniach.

Nie zdradziłam przyjaciółkom najważniejszej rzeczy co do Stuarta: że go wymyśliłam.

A teraz wstaję z łóżka i patrzę z góry na zarys mężczyzny, sylwetkę w mące, popiele bądź pyłe na czarnej, satynowej kapie, i wkładam ubranie.

Zdjęcia na ścianie także blakną. Tego się nie spodziewałam. Zastanawiam się, co pozostanie z tego świata za kilka godzin, czy nie powinnam zostawić go w spokoju, onanistycznej fantazji, czegoś dodającego otuchy i pociechy. Przeżyłby swoje życie, nikogo nie dotykając – tylko obraz, zdjęcie, półwspomnienie garstki ludzi, którzy ledwie już o nim myśleli.

Wychodzę z mieszkania, w winiarni na dole wciąż są ludzie, siedzą przy stoliku w kącie, gdzie wcześniej tkwiłmy ze Stuartem. Świeczka prawie się wypaliła, ale wyobrażam sobie, że to mogliśmy być my. Mężczyzna i kobieta, pogrążeni w rozmowie.

A wkrótce wstaną zza stołu i odejdą, ktoś zdmuchnie świece i zgasi światła, i to będzie koniec tego wieczoru.

Zatrzymuję taksówkę. Wsiadam do niej. Przez moment – mam nadzieję, ostatni raz – odkrywam, że tęsknię za Stuartem Innesem.

A potem rozsiadam się wygodnie na tylnej kanapie i porzucam tę myśl. Mam nadzieję, że będzie mnie stać, żeby zapłacić za taksówkę. Odkrywam, że zastanawiam się, czy rano w torbie znajdę czek, czy też kolejną pustą kartkę. A potem, raczej zadowolona, zamykam oczy i czekam, aż dotrę do domu.

W bezsłoneczną morską toń

Tamiza to paskudna bestia. Wije się przez Londyn jak padalec albo wąż morski. Wpadają do niej wszystkie rzeki, Fleet i Tyburn, i Neckinger, niosące ze sobą cały brud, szumowiny i odpadki, truchła kotów i psów, kości owiec i świń. Wszystkie wpadają do brązowych wód Tamizy, która unosi je na wschód do ujścia, a stamtąd do Morza Północnego, w niepamięć.

W Londynie pada deszcz. Deszcz zmywa brud do rynsztoków, strumienie zamienia w rzeki, rzeki w mocarne prądy. Deszcz hałasuje, bębniąc, pluskając i grzechocząc na dachach. Jeśli nawet z nieba pada najczystsza woda, wystarczy, że tylko dotknie Londynu, by zamienić się w brud, mieszać z kurzem i pozostawić błoto.

Nikt jej nie pije – ani deszczówki, ani wody z rzeki. Ludzie żartują często, że woda z Tamizy natychmiast zabija człowieka. To nieprawda: istnieją nurkowie, którzy zanurzają się głęboko, by odnaleźć wrzucone do rzeki monety, i wypływają, parskając rzeczną wodą, dygocząc i unosząc w górę grosze. Oczywiście nie umierają, nic podobnego, choć żaden z nich ma nie więcej niż piętnaście lat.

Kobieta najwyraźniej nie przejmuje się deszczem.

Krąży po dokach Rotherhithe, tak jak to czyni od lat, od dziesięcioleci: nikt nie wie jak długo, bo nikogo to nie obchodzi. Krąży po dokach albo patrzy w morze. Ogląda statki kołyszące się na kotwicy. Musi robić coś jeszcze, by nie dopuścić do rozpadu partnerstwa ciała i duszy, ale nikt z ludzi z doku nie ma najbłedszego pojęcia co.

Kryjesz się przed ulewą pod brezentową markizą rozpiętą przez producenta żagli. Z początku sądzisz, że nie ma tam nikogo prócz ciebie, ona bowiem stoi nieruchomo, wbijając wzrok w wodę, choć kurtyna deszczu przesłania wszystko. Przeciwny brzeg Tamizy znika.

A potem cię widzi. Widzi cię i zaczyna mówić – nie do ciebie, o nie, ale do szarej wody spadającej z szarego nieba w szarą rzekę.

– Mój syn chciał zostać marynarzem – mówi, a ty nie wiesz, co odpowiedzieć, ani jak odpowiedzieć. Trzeba by krzyku, by usłyszała cię wśród ogłuszającego szumu deszczu, ale wciąż mówi, a ty słuchasz. Odkrywasz, że wyciągasz szyję i wyteżasz słuch.

– Mój syn chciał zostać marynarzem. Prosiłam, by nie wypływał w morze. „Jestem twoją matką”, mówiłam. „Morze nie pokocha cię tak jak ja, jest okrutne”. Ale odparł: „Och, matko, muszę zobaczyć świat, muszę ujrzeć wschód słońca w tropikach, zorzę polarną tańczącą na arktycznym niebie, a przede wszystkim zbić majątek. Potem, kiedy już go zdobędę, wrócę do ciebie, zbuduję ci dom, będziesz miała służbę, a my będziemy tańczyć, matko, och, jak będziemy tańczyć”.

– A po cóż mi elegancki dom? – zapytałam. – Jak głupiec zachwycasz się swymi pięknymi słówkami.

Opowiedziałam mu o ojcu, który nigdy nie wrócił z morza – niektórzy mówili, że zginął, wypadł za burzę, inni przysięgali na wszystkie świętości, że widzieli, jak kieruje burdelem w Amsterdamie.

To nie ma znaczenia. Morze go zabrało.

Kiedy syn miał dwanaście lat, uciekł z domu do doków i zaciągnął się na pierwszy statek. Mówili, że płynął do Flores na Azorach.

Istnieją statki zrodzone pod nieszczęsną gwiazdą. Złe statki. Po każdej katastrofie odmalowuje się je, chrzci na nowo, by oszukać nieświadomych.

Marynarze są przesądni. Wieści się rozchodzą. Ten statek kapitan wprowadził na mieliznę na rozkaz właścicieli, by oszukać ubezpieczycieli. A potem, po naprawie, napadli go piraci. Potem przyjął transport koców i zmienił się w statek zarazy z martwą załogą, zaledwie trzech ludzi doprowadziło go do portu w Harwich...

Mój syn zaciągnął się na statek burzowy. Działo się to podczas ostatniego etapu rejsu do domu. Wiózł mi pobory – był bowiem za młody, by wydać je na kobiety i grog, jak jego ojciec. I wtedy uderzył sztorm.

Syn był najmniejszy w szalupie.

Mówili, że uczciwie ciągnęli losy, ale w to nie wierzę. Był mniejszy od nich, po ośmiu dniach dryfowania w szalupie dręczył ich głód i jeśli nawet ciągnęli losy, to oszukiwali.

Ogryźli jego kości do czysta, kolejno, jedną za drugą, i oddali je jego nowej matce, morzu. Nie przelała łez, przyjęła je bez słowa. Jest okrutna.

Są takie noce, kiedy wołałabym, żeby nie zdradził mi prawdy. Mógł skłamać.

Kości mojego chłopca oddali morzu, ale pierwszy oficer, który znał mojego męża i mnie także, po prawdzie lepiej niż przypuszczał mąż, zatrzymał jedną na pamiątkę.

Kiedy wrócili na suchy ląd, wszyscy przysięgali, że mój syn zginął podczas sztormu, który zatopił statek. On jednak przyszedł nocą i wyznał mi prawdę, a także dał kość, w imię miłości, która nas kiedyś łączyła.

– Źle postąpiłeś, Jack – odparłam. – To był twój syn. Zjadłeś własnego syna.

Tamtej nocy morze zabrało i jego. Wszedł w nie z kieszeniami pełnymi kamieniami i szedł dalej. Nigdy nie nauczył się pływać.

A ja powiesiłam kość na łańcuszku, by pamiętać o nich obu, późną nocą, gdy wiatr pędzi przed sobą fale i ciska je na piasek, gdy wichura zawodzi wokół domów niczym płaczące niemowlę.

Deszcz już ustaje i sądzisz, że skończyła, teraz jednak po raz pierwszy patrzy na ciebie, jakby miała coś powiedzieć. Wyciąga coś zza dekoltu i unosi ku tobie.

– Proszę – mówi. Kiedy wasze oczy się spotykają, jej są brązowe, jak Tamiza. – Chcesz jej dotknąć?

Pragniesz zerwać jej to z szyi, cisnąć w głąb rzeki, gdzie może znajdą bądź zgubią to nurkowie. Ale zamiast tego, potykając się, wybiegasz spod markizy, a krople deszczu spływają ci po twarzy niczym cudze łzy.

„Prawda to jaskinia w czarnych górach...”

Pytacie, czy potrafię sam sobie wybaczyć? Umiem wybaczyć sobie wiele rzeczy. To, gdzie go zostawiłem. To, co zrobiłem. Ale nie wybaczę sobie owego roku, gdy nienawidziłem własnej córki, kiedy wierzyłem, że uciekła, może do miasta. Przez ten rok zabraniałem wymawiać jej imienia, a kiedy pojawiała się w moich modlitwach, gdy się modliłem, prosiłem, by pewnego dnia poznała znaczenie tego, co zrobiła, hańby, którą sprowadziła na naszą rodzinę, czerwonych obwódek wokół oczu matki.

Za to właśnie siebie nienawidzę i nic nie wymaże tej nienawiści, nawet to, co się zdarzyło ostatniej nocy na zboczu góry.

Szukałem niemal dziesięć lat, choć ślad dawno wystygł. Powiedziałbym, że znalazłem go przypadkiem, ale nie wierzę w przypadki. Kiedy wstępujemy na ścieżkę, w końcu zawsze trafimy do jaskini.

Ale to było później. Najpierw dolina na wyżynach, bielony dom na łagodnej łące, przez którą płynęła rozpluskana struga. Dom przycupnięty niczym kwadrat białego nieba na tle zielonej trawy i wrzosu, który właśnie zaczynał fioletowieć.

A potem chłopiec przed domem, zbierający wełnę z ciernistego krzaka. Nie zauważył, jak się zbliżam, i nie podniósł wzroku, póki się nie odezwałem.

– Kiedyś też to robiłem. Zbierałem wełnę z cierni i gałązek. Matka ją prała, a potem robiła mi z niej różne rzeczy. Piłkę i lalkę.

Odwrócił się, wyraźnie wstrząśnięty, jakbym zjawił się znikąd. A wcale tak nie było – przeszedłem wiele mil i czekało mnie jeszcze więcej.

– Cicho się poruszam – oznajmiłem. – Czy to dom Caluma MacInnesa?

Chłopiec przytaknął, wyprostował się na swą pełną wysokość, był jakieś dwa palce wyższy ode mnie.

– Ja jestem Calum MacInnes – oznajmił.

– Czy mieszka tu ktoś jeszcze o tym imieniu? Bo Calum MacInnes, którego szukam, to dorosły mężczyzna.

Chłopiec nie odpowiedział, odplątał jednak grubą kępkę owczej wełny spomiędzy zachłannych palców krzaka.

– Może twój ojciec? – podsunąłem. – Czy on też nazywa się Calum MacInnes?

Chłopiec przyglądał mi się.

– Czym pan jest? – spytał.

– Wzrost mam niewielki – odparłem. – Ale mimo to jestem człowiekiem i przyszedłem się zobaczyć z Calumem MacInnesem.

– Po co? – Chłopiec zawahał się. – I czemu jest pan taki mały?

– Bo mam pytanie do twego ojca. To sprawy dorosłych. – Ujrzałem uśmiech w kącikach jego ust. – Niski wzrost, młody Calumie, to nie taka zła rzecz. Pewnej nocy Campbellowie zastukali do moich drzwi, cała banda, dwunastu chłopów z nożami i kijami. Zażądali od mojej żony, Morag, żeby mnie zawołała, bo przybyli mnie zabić w zemście za wyimaginowaną obrazę. A ona na to: „Mały Johnnie, pobiegnij na tamtą łąkę i powiedz ojcu, żeby wracał do domu, że go wzywam”. I Campbellowie patrzyli, jak chłopak wybiega z domu. Wiedzieli, że jestem człowiekiem niezwykle niebezpiecznym, ale nikt ich nie uprzedził, że także maluszkim – a może i uprzedził, ale nie uwierzyli.

– Czy chłopak pana wezwał? – spytał młodzik.

– To nie był chłopak – odparłem – ale ja sam, we własnej osobie. Już mnie mieli, a jednak przeszedłem przez próg i wymknąłem im się z łapsk.

Chłopiec roześmiał się.

– Czemu Campbellowie pana ścigali?

– Chodziło o spór co do własności bydła. Uważali, że krowy należą do nich, ja twierdziłem, że przestały należeć do Campbellów pierwszej nocy, gdy przeszły za mną za wzgórze.

– Proszę tu zaczekać – rzucił młody Calum MacInnes.

Usiadłem przy strudze, spoglądając na dom. Był całkiem spory: w zwykłych okolicznościach uznałbym, że mieszka tu lekarz albo jakiś prawnik, a nie przygraniczny zbójnik. Ziemię zaścielały kamyki; zebrałem ich stosik i zacząłem wrzucać kolejno do strugi. Mam dobre oko i z wielką przyjemnością posyłałem kamienie nad łąką do wody. Wrzuciłem tak ich setkę, gdy chłopak wrócił w towarzystwie wysokiego, stawiającego długie kroki mężczyzny. Włosy miał przetykane siwizną, twarz pociągłą i wilczą. Na tamtych wzgórzach nie ma już wilków, niedźwiedzie także zginęły.

– Dobrego dnia – pozdrowiłem.

Nie odpowiedział, jedynie patrzył bez słowa. Przywykłem do ludzkich spojrzeń.

– Szukam Caluma MacInnesa – oznajmiłem. – Jeśli nim jesteś, rzeknij, a cię powitam. Jeżeli nie, powiedz od razu, a pójdę swoją drogą.

– Co cię sprowadza do Caluma MacInnesa?

– Chcę go wynająć jako przewodnika.

– A dokąd pragniesz, by cię zaprowadził?

Wbiłem w niego wzrok.

– Trudno to rzec, bo niektórzy twierdzą, iż miejsce to nie istnieje. Na Wyspie Mgieł leży pewna jaskinia.

Mężczyzna milczał. Po chwili rzucił krótko.

– Calumie, wracaj do domu.

– Ale ta...

– Powiedz matce, że kazałem ci dać kilka sucharów. Posmakują ci. No idź.

Na twarzy chłopca na moment odbiła się seria emocji – zdumienie, głód, radość. Potem odwrócił się i biegiem wrócił do białego domu.

– Kto cię tu przysłał? – spytał Calum MacInnes.

Wskazałem ręką strugę, pluszczącą między nami w drodze w dół zbocza.

– Co to jest? – spytałem.

– Woda – odparł.

– I mówią, że za nią żyje król – oznajmiłem.

Wówczas zupełnie go nie znałem i nigdy nie poznałem zbyt dobrze, ale jego oczy przybrały czujny wyraz. Przekrzywił głowę.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteś tym, za kogo się podajesz?

– Niczego nie twierdziłem – odparłem. – Tylko tyle, że pewni ludzie słyszeli, że na Wyspie Mgieł jest jaskinia i że możesz znać do niej drogę.

– Nie powiem ci, gdzie jest jaskinia – oznajmił.

– Nie przychodzę pytać o drogę. Szukam przewodnika. A we dwóch podróżuje się bezpieczniej niż samotnie.

Zmierzył mnie wzrokiem. Czekałem, aż zacznie żartować z mojego wzrostu, ale tego nie zrobił i byłem mu wdzięczny.

– Kiedy dotrzemy do jaskini – powiedział tylko – nie wejść do środka. Sam musisz wynieść złoto.

– Mnie tam za jedno – odparłem.

– Możesz wziąć tylko tyle, ile zdołasz unieść. Ja go nie tknę. Ale owszem, zaprowadzę cię tam.

– Dobrze ci zapłacę za twój trud. – Sięgnąłem za pazuchę i wręczyłem mu trzymaną tam sakiewkę. – To za to, że mnie zaprowadzisz. Kolejna, dwa razy większa, po powrocie.

Wysypał monety z sakiewki na swą wielką dłoń i pokiwał głową.

– Srebro. To dobrze. – A potem: – Pożegnaj się z żoną i synem.

– Nie musisz niczego zabrać?

– W młodości byłem zbójnikiem, a zbójnicy podróżują bez obciążeń. Zabiorę linę, będzie potrzebna w górach.

Poklepał dłonią sztylet wiszący u pasa i wrócił do bielonego domu. Nigdy nie widziałem jego żony, ani wtedy, ani później. Nie wiem, jakiego koloru miała włosy.

Czekając, wrzuciłem do strugi jeszcze pięćdziesiąt kamyków. W końcu wrócił, na ramieniu powiesił sobie zwój liny i pomaszerowaliśmy razem, zostawiając za sobą dom zbyt bogaty jak na zbójnika. Zmierzaliśmy na zachód.

* * *

Góry oddzielające wybrzeże od reszty świata to wznoszące się stopniowo zbocza, łagodne i fioletowe w oddali, mgliste niczym chmury. Wydaje się, że zapraszają do siebie. To powolne góry, takie, na które wspinamy się z łatwością, jakbyśmy wchodzili na wzgórze, ale wdrapanie się na szczyt tych wzniesień wymaga dnia albo jeszcze dłużej. Maszerowaliśmy zboczem i pod koniec pierwszego dnia zrobiło się nam zimno.

Mimo że był środek lata, na szczytach nad nami ujrzałem śnieg.

Owego pierwszego dnia nie odzywaliśmy się do siebie. Nie mieliśmy nic do powiedzenia. Wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy.

Rozpaliliśmy ognisko z suszonego owczego łajna i martwego krzaka: zagotowaliśmy wodę i przyrządziliśmy owsiankę: każdy z nas wrzucił do garnuszka, który przyniosłem, garść owsa i dużą szczyptę soli. Jego garść była wielka, moja malutka tak jak dłonie. Na ten widok uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz zjeść połowy owsianki.

Odparłem, że nie, i w istocie nie zjadłem, apetyt mam bowiem mniejszy niż dorosły mężczyzna. Uważam jednak, że to dobrze, mogę bowiem przeżyć w głuszy na orzechach

i jagodach, które większego człeka nie uchroniłyby przed głodem.

Przez wysokie wzgórza prowadzi coś jakby ścieżka; podążaliśmy nią, nie spotykając niemal nikogo, prócz druciarza na osle, obładowanym starymi garnkami, i prowadzącej go dziewczyny, która uśmiechnęła się do mnie, biorąc mnie za dziecko, a potem skrzywiła się, gdy dostrzegła, kim jestem. I gdyby nie druciarz, który chlasnął ją w ramię witką, którą poganiał osła, cisnęłaby we mnie kamieniem; później wyprzedziliśmy staruszkę i mężczyznę, który podawał się za jej wnuka, wracających ze wzgórz. Zjedliśmy z nią i opowiedziała nam, że asystowała przy porodzie swego pierwszego prawnuka i był to dobry poród. Oznajmiła, że przepowie nam przyszłość, odczytując linie na naszych dłoniach, jeśli mamy monety, by posrebrzyć jej rękę. Dałem starej wariatce spiłowaną czteropensówkę z nizin, a ona przyjrzała się mojej prawej dłoni.

– Widzę śmierć w twojej przeszłości i śmierć w przyszłości – oznajmiła.

– Śmierć czeka w przyszłości każdego z nas – zauważyłem.

Zawahała się, tam na najwyższych z wyżyn, gdzie w tchnieniu letnich wiatrów czuje się zimę, gdzie zawodzą, chłoszczą i tną powietrze niczym noże.

– Kiedyś była kobieta i drzewo. Kiedyś będzie mężczyzna i drzewo.

– Czy to ma coś dla mnie znaczyć? – spytałem.

– Któregoś dnia. Być może. – Zawiesiła głos. – Strzeż się złota. Srebro to twój przyjaciel. –

I skończyła ze mną.

Do Caluma MacInnesa rzekła:

– Kiedyś oparzyłeś sobie dłoń.

Odparł, że to prawda.

– Daj mi drugą rękę – poleciła. – Swą lewą.

Tak też uczynił, a ona wbiła w nią skupiony wzrok, po czym zaczęła.

– Wracasz tam gdzie przyszedłeś, dotrzesz wyżej niż większość innych ludzi. A tam, gdzie zmierzasz, nie czeka na ciebie grób.

– Twierdzisz, że nie umrę? – spytał.

– To przyszłość z lewej ręki. Wiem tyle, co ci powiedziałam, nic więcej.

Wiedziała więcej. Dostrzegłem to na jej twarzy.

Drugiego dnia spotkało nas tylko jedno ważne zdarzenie.

Noc spędziliśmy pod otwartym niebem – była pogodna i zimna, na niebie lśniły gwiazdy tak jasne i bliskie, iż czułem, że gdybym wyciągnął rękę, mógłbym je zebrać jak jagody.

Leżeliśmy obok siebie pod gwiazdami. Calum MacInnes odezwał się.

– Powiedziała, że śmierć na ciebie czeka. Ale na mnie nie. Myślę, że moja przepowiednia była lepsza.

– Możliwe.

– Ach – dodał – to tylko bzdury. Bredzenie staruchy. To przecież nieprawda.

Obudziłem się o świcie i ujrzałem jelenia; przyglądał się nam ciekawie.

Trzeciego dnia dotarliśmy na szczyt gór i rozpoczęliśmy schodzenie.

– Kiedy byłem chłopcem – oznajmił mój towarzysz – sztylet mojego ojca wpadł do kuchennego paleniska. Wyciągnąłem go, ale metalowa rękojeść rozgrzała się od płomieni. Nie spodziewałem się tego, lecz nie chciałem wypuścić sztyletu. Wyniosłem go z ognia i zanurzyłem w wodzie. Zaczęła parować. Pamiętam to dobrze, oparzyłem sobie dłoń, palce wygięły się i zakrzywiły, jakby aż do kresu dni miały ścisnąć miecz.

– Ty i twoja ręka – odparłem. – Ja i mój wzrost. Nieźli z nas bohaterowie, szukający szczęścia na Wyspie Mgieł.

Zaśmiał się krótko, chrapliwie, bez cienia rozbawienia.

– Nieźli bohaterowie – odparł tylko.

Wówczas zaczął padać deszcz, i nie ustawał. Tę noc spędziliśmy w domu przy niewielkiej zagrodzie. Panowała w nim ciemność, ale czułem zapach łoju, jakby jeszcze niedawno płonęła tu świeca, którą ktoś zgasił w pośpiechu.

– Nikogo nie ma – oznajmił Calum, ja jednak pokręciłem głową i ruszyłem naprzód, po czym pochyliłem się, zaglądnąjąc w mrok pod łóżkiem.

– Zechcecie wyjść? – poprosiłem. – Jesteśmy podróżnymi, szukamy ciepła, schronienia i gościny. Podzielimy się z wami naszym owsem i solą, a także naszą whisky. I nie zrobimy wam krzywdy.

Z początku kobieta ukryta pod łóżkiem nie odpowiadała, w końcu rzekła:

– Mój mąż wyruszył na wzgórze. Kazał mi się ukryć, gdyby zjawili się obcy, z obawy, co mogliby ze mną zrobić.

– Mikry ze mnie człowiek, miła pani, nie większy od dziecka; mogłabyś mnie powalić jednym ciosem. Mój towarzysz to człek rosły, ale przysięgam, że nic ci nie zrobi. Chcemy tylko zażyć twojej gościny i się wysuszyć. Proszę, wyjdź.

Kiedy wyłoniła się spod łóżka, pokrywały ją pajęczyny i kurz, lecz nawet z umorusaną twarzą była piękna, a jej włosy, poszarzałe od kurzu i oblepione pajęczynami, pozostawały długie, gęste i złocistorude. Przez krótki moment przypominała mi moją córkę, ale córka ma spojrzalaby mężczyźnie prosto w oczy, ona tymczasem zalękniona wbijała wzrok w ziemię, jak zwierzę oczekujące bicia.

Dałem jej garść owsa, Calum wyciągnął z kieszeni paski suszonego mięsa. Kobieta wyszła na pole i wróciła z dwiema mizernymi rzepami. Szybko przygotowała posiłek dla naszej trójki.

Zjadłem do syta, kobieta nie miała apetytu. Wierzę, że po skończonym posiłku Calum wciąż był głodny. Nalał whisky nam wszystkim: gospodyni napiła się odrobinę, i to z wodą. Deszcz bębnił o dach domu i ściekał z narożników, a choć nikt nas tu nie zapraszał, cieszyłem się, że mam dach nad głową.

To wtedy w drzwiach stanął mężczyzna. Nic nie powiedział, jedynie spojrzął na nas nieufnie, gniewnie. Ściągnął baranicę i czapkę, rzucił na klepisko; woda spływała z nich, tworząc kałuże. Cisza aż przytłaczała.

– Pańska żona udzieliła nam schronienia, kiedy ją znaleźliśmy – oznajmił Calum MacInnes. – A niełatwo ją było znaleźć.

– Poprosiliśmy o gościnę – dodałem. – Prosimy też pana.

Mężczyzna nie odpowiedział, jedynie mruknął pod nosem.

Na wyżynach ludzie wydzielają słowa ostrożnie, jak złote monety, wciąż jednak przestrzega się zwyczajów: nieznanymi proszący o gościnę muszą ją otrzymać, choćbyście toczyli krwawy spór z nimi i z ich klanem bądź rodem.

Kobieta – niewiele starsza od dziecka, choć jej mąż brodę miał siwoszarą, zastanawiałem się zatem przez moment, czy to aby nie córka, ale nie: w izbie stało tylko jedno łóżko ledwie wystarczające dla nich obojga – wyszła na zewnątrz, do sąsiadującej z domem zagrody dla owiec i wróciła z owsianymi ciastkami i suszoną szynką, którą musiała tam schować. Pokroiła ją cieniutko i położyła na drewnianej tacce przed mężczyzną.

Calum nalał mu whisky.

– Szukamy Wyspy Mgieł – oznajmił. – Wiesz, gdzie to jest?

Mężczyzna spojrział na nas. Wiatry wiejące na wyżynach kłają boleśnie i porywają słowa z ludzkich ust. Przez chwilę zaciskał wargi.

– Aye. Dziś rano widziałem ją ze szczytu, jest tam. Nie mogę rzec, czy będzie jutro.

Spaliśmy na twardym klepisku; ogień już zgasł i z paleniska wiało chłodem. Mężczyzna i kobieta spędzili noc w swym łóżku, za zasłoną. Posiadł ją tej nocy, pod kożuchem okrywającym łóżko, a wcześniej ją pobił za to, że nas nakarmiła i wpuściła do domu. Słyszałem ich i nie mogłem przestać słyszeć, toteż owej nocy sen odnalazł mnie z trudem.

Sypiałem w domach biedaków i w pałacach, a także pod gwiazdami. Przed ową nocą powiedziałbym wam, że wszystkie miejsca są dla mnie takie same. Ale wówczas obudziłem się przed pierwszym brzaskiem przekonany, że musimy zniknąć z tego miejsca, choć nie wiedziałem dlaczego. Obudziłem Caluma, przykładając mu palec do ust, i bezszelestnie wymknęliśmy się z zagrody na górskim zboczu, nie żegnając gospodarzy. Nigdy jeszcze tak bardzo się nie cieszyłem, że skądś się wydostałem.

Dopiero milę od owego domu odezwałem się po raz pierwszy.

– Ta wyspa. Pytałeś, czy tam będzie. Z pewnością wyspa jest gdzieś albo jej nie ma.

Calum zawahał się, najwyraźniej starannie ważył słowa.

– Wyspa Mgieł nie przypomina innych miejsc, a otaczająca ją mgła nie przypomina innych mgieł.

Maszerowaliśmy ścieżką wydeptaną przez setki lat wędrówek owiec i saren, a także nielicznych ludzi.

– Nazywają ją także Skrzydlatą Wyspą. Niektórzy twierdzą, że to dlatego, iż oglądana z góry przypomina skrzydła motyla. Nie wiem czy to prawda, czy nie. – Po czym dodał: – „»Co to jest prawda?«, rzekł drwiąco Piłat”.

Schodzenie jest trudniejsze niż wspinaczka.

Zastanawiałem się chwilę.

– Czasami myślę, że prawda to miejsce. W mojej głowie jest jak w mieście: bywa, że istnieje sto dróg, tysiąc ścieżek, które w końcu doprowadzą cię do tego samego punktu. Nieważne skąd przychodzisz, jeśli zdążasz ku prawdzie, to do niej dotrzesz, niezależnie od ścieżki.

Calum MacInnes spojrział na mnie z góry. Przez chwilę milczał.

– Mylisz się – rzekł w końcu. – Prawda to jaskinia w czarnych górach. Istnieje tylko jedno jedyne wejście, wiedzie do niego zdradziecka, ciężka droga, a jeśli wybierzesz niewłaściwą ścieżkę, umrzesz samotnie na zboczu góry.

Pokonaliśmy skalny grzbiet i spojrzeliśmy z góry na wybrzeże. Widziałem w dole wioski tuż nad wodą, a także wysokie czarne granie przed nami, po drugiej stronie morza, wyrastające z mgły.

– Tam właśnie leży twoja jaskinia – oznajmił Calum. – W owych górach.

Kości Ziemi, pomyślałem na ich widok, a że na myśl o kościach poczułem się nieswojo, szybko zmieniłem temat.

– Ile właściwie razy już tu byłeś?

– Tylko raz. – Zawahał się. – Szukałem jej cały swój szesnasty rok, słyszałem bowiem legendy i uwierzyłem, że jeśli będę szukał, to znajdę. Miałem siedemnaście, gdy do niej dotarłem i wyniosłem tyle złotych monet, ile zdołałem udźwignąć.

– A nie bałeś się klątwy?
– W młodości niczego się nie bałem.
– Co zrobiłeś ze złotem?
– Część zakopałem, tylko ja wiem gdzie. Resztę wydałem na posag kobiety, którą kochałem, i na budowę pięknego domu.

Urwał, jakby i tak już powiedział za dużo.

W cieśninie nie zastaliśmy przewoźnika, tylko niewielką łódkę na brzegu, ledwie dość dużą, by pomieścić trzech dorosłych mężczyzn, przywiązaną do pnia poskręcanego, na wpół martwego drzewa, a obok dzwon.

Uderzyłem w niego i wkrótce na brzegu zjawiał się tłusciuch.

– Przeprowa kosztuje szylinga – rzekł do Caluma. – A za chłopaka trzy pensy.

Wyprostowałem się. Nie dorównuję może wzrostem innym mężom, ale żaden z nich nie przewyższa mnie dumą.

– Ja także jestem mężczyzną – oznajmiłem. – Zapłacę pańskiego szylinga.

Przewoźnik zmierzył mnie wzrokiem z góry na dół i podrapał się po brodzie.

– Proszę o wybaczenie, moje oczy nie są już takie jak kiedyś. Zawiozę was na wyspę.

Wręczyłem mu szylinga, zważył go na dłoni.

– Dzięki pańskiej uczciwości nie straciłem dziewięciu pensów. Dziewięć pensów to sporo grosza w tych mrocznych czasach.

Woda miała kolor łupku, choć niebo było niebieskie, a po powierzchni uganiały się białe grzywacze. Tłusciuch odwiązał łódź i z hurgotem powlókł ją po kamieniach. Brodząc w zimnym kanale, wgramoliliśmy się do środka.

Wiosła zanurzyły się z pluskiem w słonej wodzie i łódź ruszyła naprzód w spokojnym tempie. Usiadłem bliżej przewoźnika.

– Dziewięć pensów – rzekłem – to dobry zarobek, ale słyszałem o jaskini w górach na Wyspie Mgieł pełnej złotych monet, skarbów pradawnych.

Lekceważąco pokręcił głową.

Calum wpatrywał się we mnie, zaciskając wargi tak mocno, że aż zbieleły. Zlekceważyłem jego minę.

– Jaskinia pełna złotych monet – podjąłem. – Dar od najeźdźców z północy bądź południa albo tych, którzy ponoć mieszkali tu dawno przed nami: tych, którzy umknęli na Zachód, kiedy przybyli ludzie.

– Słyszałem o niej – przyznał przewoźnik. – Słyszałem też o jej klątwie. Jeśli o mnie chodzi, jedno może pójść w diabły razem z drugim. – Splunął do morza. – Uczciwy z ciebie człowiek, karle. Widzę to po twojej twarzy. Nie szukaj tej jaskini. Nic dobrego z tego nie przyjdzie.

– Z pewnością ma pan rację – odparłem bez nawet cienia fałszu.

– Na pewno – odrzekł. – Nie każdego dnia bowiem przewożę zbójnika i małego karla na Wyspę Mgieł. W tej części świata uważa się, że mówienie o tych, którzy odeszli na Zachód, przynosi pecha.

Resztę drogi pokonaliśmy w milczeniu, choć morze stopniowo coraz bardziej się burzyło i fale uderzały o burty łodzi tak mocno, że musiałem przytrzymywać się ich oburącz, w obawie, że mnie zmyją.

Miałem wrażenie, że upłynęło całe życie, nim łódź przycumowała do długiego cypla z czarnych kamieni. Ruszyliśmy nim, a fale rozbijały się z hukiem wokół nas, słona piana

całowała nam twarze. Na pomoście siedział garbus, sprzedający owsiane ciastka i śliwki wysuszone tak bardzo, że niemal przypominały kamienie. Dałem mu pensa i napełniłem nimi kieszenie kaftana.

Zeszliśmy na ląd Wyspy Mgieł.

Jestem już stary, a przynajmniej nikt nie nazwie mnie młodzikiem, i wszystko, co widzę, kojarzy mi się z czymś, co już widziałem, tak że niczego nie oglądam po raz pierwszy. Hoże dziewczę o płomiennorudych włosach przypomina mi setkę innych dziewcząt i ich matek, jak wyglądały dorastając, i kiedy umierały. To przekleństwo starości – wszystkie rzeczy są odbiciami innych.

Mówię tak, lecz czas spędzony na Wyspie Mgieł, którą mędrcy nazywają także Skrzydlatą Wyspą, nie przypomina niczego, prócz niego samego.

Czarne góry dzielił od przystani dzień marszu.

Calum MacInnes zmierzył mnie wzrokiem, dwa razy niższego od siebie, i ruszył naprzód, stawiając długie kroki, jakby rzucał mi wyzwanie. Nogi niosły go po mokrej ziemi, wśród wrzosu i paproci.

Nad naszymi głowami kłębiły się niskie chmury, szare, białe i czarne, przesłaniając się nawzajem i znów odkrywając.

Dałem mu się wyprzedzić, pozwoliłem, by parł naprzód w deszczu, aż w końcu pochłonęła go mokra, szara mgła. Wtedy i dopiero wtedy puściłem się biegiem.

To jeden z moich sekretów, rzeczy, których nie ujawniłem nikomu prócz Morag, mej żony, oraz Johnniego i Jamesa, moich synów, i Flory, mojej córki (niechaj jej biedna dusza spoczywa pośród Cieni): w razie potrzeby umiem biegać, i to bardzo szybko. Potrafię biec szybciej, dłużej i pewniej niż jakikolwiek dorosły mężczyzna, i tak właśnie pobiegłem wówczas, przez mgłę i deszcz, mknąc po wysokich zboczach i czarnych skalnych grzbietach, lecz zawsze trzymając się nisko, by nie było mnie widać na tle nieba.

Maszerował przede mną, ale wkrótce go wypatrzyłem. Biegłem dalej i dalej, mijając go na wyżynie osłoniętej grzbietem wzgórze. Pod nami płynął strumień. Mogę biec całymi dniami bez przystanku, to pierwszy z moich sekretów. Mam też jednak taki, którego nie zdradziłem nikomu.

Już wcześniej rozmawialiśmy o tym, gdzie rozbijemy obóz pierwszej nocy na Wyspie Mgieł, Calum oznajmił, że zanojujemy pod skałą nazywaną Człowiek i Pies, bo z kształtu przypomina starca z psem u boku. Dotarłem do niej późnym popołudniem. Pod skałą zbudowano szałas, osłonięty i suchy. Ci, którzy bywali tu przed nami, zostawili drwa na rozpałkę, patyki, gałązki i konary. Rozpałiłem ogień i osuszyłem się przy nim, przeganiając chłód z kości. Dym z ogniska rozlewał się po wrzosach.

Było już ciemno, kiedy Calum wmaszerował do szałasów i spojrzał na mnie, jakby nie przypuszczał, że zobaczy mnie przed północą.

– Co tak długo, Calumie MacInnesie? – spytałem.

Nie odpowiedział, cały czas na mnie patrzył.

– Mam tu pstrąga, ugotowanego w górskiej wodzie, i ogień, żebyś mógł ogrzać kości.

Pokiwał głową. Zjedliśmy pstrąga i popiliśmy whisky, by się rozgrzać. Na tyłach szałasów leżała sterta wrzosów i paproci, wysuszonych i zbrązowiałych. Legliśmy na niej, owinięci ciasno w wilgotne płaszcze.

Obudziłem się w nocy, czując zimną stal na gardle – płaz sztyletu, nie ostrze.

– A po cóż to miałbyś zabijać mnie nocą, Calumie MacInnesie? – spytałem. – Przebyliśmy razem długą drogę, a nasza podróż jeszcze się nie skończyła.

– Nie ufam ci, karle – odparł.

– To nie mnie musisz zaufać – oznajmiłem – ale tym, którym służę. A gdybyś odszedł ze mną i wrócił beze mnie, są tacy, którzy poznają nazwisko Caluma MacInnesa i sprawią, że zaczną je powtarzać wśród cieni.

Zimna klinga nadal tkwiła przy moim gardle.

– Jak mnie wyprzedziłeś? – spytał.

– No proszę, a ja zapłaciłem ci dobrem za zło, bo przygotowałem posiłek i ogień. Trudno mnie zgubić, Calumie MacInnesie, a przewodnikowi nie przystoi postępować tak jak ty dzisiaj. Teraz zabieraj ten sztylet ode mnie i daj mi spać.

Nie odpowiedział, lecz po kilku chwilach klinga zniknęła. Zmusiłem się, by nie westchnąć ani nie odetchnąć głęboko, miałem nadzieję, że nie słyszy, jak mocno wali mi w piersi serce. Tej nocy już nie spałem.

Na śniadanie przygotowałem owsiankę, wrzuciłem do niej garść suszonych śliwek, by zmiękły. Góry były czarne i szare na tle białego nieba. Ujraliśmy orły krążące w górze, wielkie ptaki o rozpostartych skrzydłach. Calum narzucił mocne tempo, ja maszerowałem obok, stawiając dwa kroki na każdy jego.

– Ile jeszcze? – spytałem.

– Dzień. Może dwa. Zależy od pogody. Jeśli chmury zejną nisko, dwa dni, nawet trzy...

Chmury zeszły w południe i świat pochłonęła mgła gorsza od deszczu: krople wody wisiały w powietrzu, wsiąkały nam w skórę i w ubrania. Kamienie, po których maszerowaliśmy, stały się śliskie i zdradliwe i musieliśmy z Calumem zwolnić tempo, stąpając ostrożnie. Szliśmy w górę kozimi ścieżkami i poszarpanymi graniami. Skały były czarne i śliskie: maszerowaliśmy, wdrapywaliśmy się, potykaliśmy i przytrzymywaliśmy, lecz nawet we mgle Calum wiedział dokąd zmierza, a ja podążałem za nim.

Na widok spadającego na ścieżkę wodospadu, grubego jak dębowy pień, przewodnik przystanął, zdjął z ramion cienką linę, owinął ją wokół skały.

– Tego tu wcześniej nie było – oznajmił. – Pójdę pierwszy.

Przywiązał się w pasie drugim końcem liny i powoli podreptał ścieżką w głąb wodospadu, przyciskając ciało do mokrej skalnej ściany, przesuwając się powoli, w skupieniu, przez zasłonę wody.

Bąłem się o niego, o nas obu: wstrzymałem oddech, kiedy przechodził, i wypuściłem powietrze dopiero, gdy znalazł się po drugiej stronie. Sprawdził linę, szarpnął ją, gestem polecił mi, bym poszedł za nim – i wtedy kamień pod jego stopą ustąpił, a on pośliznął się na mokrej skale i runął w otchłań.

Lina wytrzymała, grunt obok mnie także. Calum MacInnes dyndał na drugim końcu. Spojrzał na mnie, a ja westchnąłem, zaparłem się mocno o kawał skały nad przepaścią i zacząłem go podciągać, coraz wyżej i wyżej. W końcu wywlokłem go na ścieżkę, gdzie padł, ociekając wodą i przeklinając.

– Jesteś silniejszy niż można by sądzić – zauważył, a ja przekląłem w duchu własną głupotę. Musiał to dostrzec na mojej twarzy, bo kiedy już się otrząsnął (jak pies posyłając w powietrze fontannę kropel), dodał: – Mój chłopak, Calum, powtórzył mi historię, którą mu opowiedziałeś, o tym, jak Campbellowie przyszli po ciebie, a żona posłała cię w pole, gdy uznali, że jest twoją

matką, a ty jej synem.

– To tylko historyjka – odparłem. – Pozwala zabić czas.

– Czyżby? – rzucił. – Sam bowiem słyszałem o oddziale Campbellów, który posłano kilka lat temu, by zemścić się na kimś, kto ukradł im krowy. Poszli i nigdy nie wrócili. Jeśli ktoś tak mały jak ty umiał zabić tuzin Campbellów... cóż, musisz być silny i musisz być szybki.

Muszę być głupi, pomyślałem, żalując, że opowiedziałem to chłopakowi.

Załatwiłem ich kolejno jak króliki, gdy odłączali się od reszty, szli się wysikać albo sprawdzić, co spotkało towarzyszy: zabiłem siedmiu, a moja żona jednego. Pogrzebaliśmy ich na polanie, a nad trupami ułożyliśmy niewielki kamienny kopiec, by je obciążyć i by ich duchy nie mogły wędrować po świecie. Było mi smutno: smutno, że Campbellowie przybyli tak daleko, by mnie zabić, i że ja musiałem pozabijać ich.

Nie cieszy mnie zabijanie: nie powinno cieszyć żadnego męża ni niewiasty. Czasami śmierć to konieczność, ale nie zmienia to faktu, że zawsze jest zła. Nigdy w to nie wątpiłem, nawet po wydarzeniach, o których tu opowiadam.

Odebrałem linę Calumowi MacInnesowi i zacząłem gramolić się w górę skał, w miejsce, skąd spadał wodospad na zboczu. Był tam dość wąski, bym mógł się przepawić. Mimo śliskich kamieni udało mi się bez żadnych problemów. Przywiązałem linę, zrzuciłem jej koniec, zszedłem do mego towarzysza i przeprowadziłem go.

Nie podziękował mi ani za ocalenie mu życia, ani za przepawę, a ja nie oczekiwałem podziękowań. Nie oczekiwałem też tego, co powiedział, czyli:

– Mikry z ciebie człek, a także brzydki. A twoja żona, czy także jest brzydka i mała jak ty?

Uznałem, że nie będę się obrażał, niezależnie od tego, czy zamierzał mnie urazić, czy też nie.

– Bynajmniej – odparłem jedynie. – To wysoka niewiasta, niemal dorównująca ci wzrostem. Gdy była młodsza – kiedy oboje byliśmy młodszy – niektórzy uznawali ją za największą piękność na nizinach. Bardowie opiewali w pieśniach jej zielone oczy i długie złocistorude loki.

Wydało mi się, że wzdrygnął się nagle, ale możliwe, że tylko to sobie wyobraziłem czy też, co bardziej prawdopodobne, chciałem wyobrazić.

– Jak zatem zdobyłeś jej rękę?

– Pragnąłem jej – odparłem zgodnie z prawdą – a zawsze dostaję to, czego pragnę. Nie poddawałem się. Stwierdziła, że jestem mądry i dobry i że zawsze zapewnię jej wszystko, czego potrzebuje. I tak jest.

Chmury znów zaczęły się obniżać i świat rozmył się na krawędziach, złągodniał.

– Powiedziała, że będę dobrym ojcem, i starałem się jak najlepiej wychować nasze dzieci, które, jeśli się zastanawiasz, także są normalnego wzrostu.

– Wbijam rozsądek do głowy młodemu Calumowi – oznajmił starszy Calum. – To nie jest zły chłopak.

– Można to robić tylko póki z nami mieszkają – rzekłem, a potem umilkłem, wspominając ów długi rok, a także Florę, gdy była mała: siedziała na podłodze z buzią umorusaną dżemem i patrzyła na mnie jak na największego mędrca na świecie.

– Uciekłeś, co? Ja też uciekłem, kiedy byłem chłopcem. Miałem dwanaście lat. Dotarłem aż na dwór króla za wodą. Ojca obecnego króla.

– Nikt głośno nie wspomina o podobnych sprawach.

– Nie boję się – oznajmił. – Nie tutaj. Kto by nas usłyszał? Orły? Widziałem go. Był tłusty, przemawiał w cudzoziemskiej mowie, a w naszym języku tylko z wielkim trudem. Ale wciąż był

naszym królem. – Zawiesił głos. – I jeśli ma do nas powrócić, będzie potrzebował złota na statki, broń i by wykarmić zgromadzone wojska.

– Tak uważam – odparłem. – Dlatego właśnie ruszyliśmy na poszukiwanie jaskini.

– To złe złoto – oznajmił. – Nic dobrego z niego nie przychodzi. Ma swoją cenę.

– Wszystko ma swoją cenę.

Zapamiętywałem każdy charakterystyczny punkt: wspiąć się przy owczej czaszce, przeprowić przez pierwsze trzy strumienie i pomaszerować wzdłuż czwartego, do stosu z pięciu kamieni. Poszukać głazu kształtu mewy, przejść między dwiema ostrymi ścianami z czarnej skały, i dalej zbroczem do...

Wiedziałem, że to zapamiętam. Dostatecznie dobrze, by odnaleźć drogę powrotną. Ale mgły mnie myliły i nie miałem pewności.

Dotarliśmy do niewielkiego jeziora wysoko w górach. Napiwszy się świeżej wody, złapaliśmy wielkie, białe stwory, niebędące krewetkami, homarami ani rakami, i zjedliśmy na surowo jak kiełbaski, bo tak wysoko nie zdołaliśmy znaleźć suchych drewna na opał.

Noc spędziliśmy na szerokiej półce obok lodowatej wody. Ocknęliśmy się przed świtem pod chmurami, świat był jeszcze szary i błękitny.

– Szlochałeś przez sen – zauważył Calum.

– Coś mi się śniło – wyjaśniłem.

– Ja nie miewam złych snów.

– To był dobry sen – odparłem.

I rzeczywiście, śniłem, że Flora wciąż żyje. Narzekła na chłopców z wioski i opowiadała mi o wyprawie z bydłem na wzgórze i o różnych nieważnych sprawach. Uśmiechała się pięknie, jak to ona, i odrzucała włosy, złocistorude jak u matki, choć włosy jej matki przetyka teraz siwizna.

– Człowiek nie powinien tak płakać od dobrych snów – zauważył Calum; przez chwilę milczał. – Ja nie mam snów, ani dobrych, ani złych.

– Nie?

– Nie, od czasów młodości.

Wstaliśmy. Nagle coś przyszło mi do głowy.

– Czy przestałeś śnić po wizycie w jaskini?

Nie odpowiedział. Ruszyliśmy wzdłuż zbocza w mgłę, kiedy wzeszło słońce.

Mgła jakby gęstniała i wypełniała się światłem, ale nie znikwała, i pojąłem, że to musi być chmura. Cały świat jaśniał. A potem wydało mi się, że patrzę na mężczyznę mojego wzrostu, drobnego, krągłego mężczyznę o twarzy skrytej w cieniu, stojącego w powietrzu przede mną, jak duch albo anioł. Poruszał się razem ze mną, otaczała go aureola migoczącego światła i nie potrafiłem stwierdzić, czy jest blisko, czy daleko. Oglądałem cuda i bardzo złe rzeczy, ale nigdy nie widziałem niczego podobnego.

– Czy to magia? – spytałem, choć w powietrzu nie czułem jej zapachu.

– To nic takiego – odparł Calum. – Świetlna uluda. Cień. Odbicie. Nic więcej. Ja też widzę obok mężczyznę, porusza się wraz ze mną.

Obejrzałem się, ale obok niego nie zobaczyłem nikogo.

A potem mały lśniący człowieczek w powietrzu zbladł i rozpląnął się razem z chmurą. Był dzień, a my byliśmy sami.

Wspinaliśmy się cały ranek, coraz wyżej i wyżej. Poprzedniego dnia Calum skręcił nogę w kostkę, kiedy pośliznął się pod wodospadem. Teraz widziałem, jak puchnie, obrzmiewa

i czerwienieje, on jednak nie zwolnił kroku, a jeśli dolegał mu ból albo niewygodą, nie dawał tego po sobie poznać.

Gdy zmierzch zaczął rozmywać krawędzie świata, spytałem, ile jeszcze drogi nam zostało.

– Godzina, może mniej. Dotrzemy do jaskini, prześpimy noc. Rano wejdiesz do środka, możesz wynieść tyle złota ile udźwigniesz, a potem razem opuścimy wyspę.

Wówczas spojrzałem na niego, szare pasma we włosach, szare oczy, potężne ciało człowieka wilka.

– Będziesz spał przed jaskinią?

– Będę. W jaskini nie ma potworów. Niczego, co mogłoby wyjść i porwać nas we śnie. Niczego, co by nas pożarło. Ale nie powinienes tam chodzić przed świtem.

A potem okrążyliśmy rumowisko, czarne i szare kamienie, przegradzające część ścieżki, i ujrzelśmy wylot jaskini.

– To wszystko? – spytałem.

– Oczekiwałaś marmurowych kolumn? Albo jaskini olbrzymów z bajek przy ognisku?

– Możliwe. Wygląda niepozornie, ot, dziura w skale. Cień. Nikt jej nie strzeże?

– Nikt. Tylko ona sama i to, czym jest.

– Jaskinia pełna skarbów. I jedynie ty potrafisz ją odnaleźć?

Wtedy Calum roześmiał się, zabrzmiało to jak szczenięcie lisa.

– Wyspiarze wiedzą jak ją znaleźć. Ale są zbyt mądrzy, by przychodzić tu po złoto. Mówią, że jaskinia czyni człowieka złym: że z każdą wizytą, za każdym razem, gdy wchodzisz po złoto, pochłania dobro z twojej duszy, więc tam nie wchodzi.

– To prawda? Sprawia, że człowiek staje się zły?

– ...Nie. Jaskinia żywi się czymś innym. Nie dobrem ani złem. Nie tak naprawdę. Możesz zabrać złoto, lecz potem wszystko staje się... – zawiesił głos – płaskie. Tęcza traci swe piękno, kazanie traci znaczenie, pocałunek – radość... – Spojrzał na wylot jaskini i wydało mi się, że w jego oczach dostrzegam strach. – Wszystkiego jest mniej.

– U wielu ludzi żądza złota przeważa piękno tęczy.

– Na przykład u mnie, kiedy byłem młody. A teraz u ciebie.

– Zatem wejdziemy o świcie.

– Ty wejdiesz, ja zaczekam tutaj. Nie bój się. Jaskini nie strzeże żaden potwór, nie ma zaklęć sprawiających, że złoto zniknie, jeśli nie wyrecytujesz odpowiedniego wierszyka.

Rozbiliśmy obóz, czy raczej usiedliśmy w ciemności, wsparci plecami o zimną skalną ścianę. W tym miejscu nie dało się spać.

– Zabrałeś stąd złoto – powiedziałem – tak jak ja zrobię jutro. Kupiłeś za nie dom, oblubienicę, szacunek innych.

Jego głos dobiegł z ciemności.

– Aye. A kiedy już je zdobyłem, nic dla mnie nie znaczyły. Albo mniej niż nic. Jeśli dzięki twojemu złotu król zza wody wróci tu do nas, będzie nami rządził i wprowadzi w całym kraju radość, ciepło i dostatek, dla ciebie nic to nie będzie znaczyło. Zupełnie jakbyś słyszał o czymś, co spotyka ludzi w opowieściach.

– Całe życie poświęciłem sprowadzeniu króla – oznajmiłem.

– Zabierzesz do niego złoto – odparł. – Twój król zapragnie więcej, bo królowie zawsze chcą więcej. Taka ich natura. Za każdym razem, gdy tu wrócisz, będzie to znaczyć mniej. Tęcza straci znaczenie. Zabijanie ludzi także.

Po tym w ciemności zapadła cisza, nie słyszałem ptaków, jedynie wiatr, który świstał wokół szczytów i zawodził niczym matka szukająca dziecięcia.

– Obaj zabijaliśmy mężów – rzekłem. – Czy kiedykolwiek zabiłeś kobietę, Calumie MacInnesie?

– Nie. Nie zabiłem żadnej kobiety ani dziewczyny.

W ciemności pogładziłem dłońmi swój sztylet, szukając drewna i srebra rękojeści, stali klingi, ścisnąłem go w dłoniach. Nie zamierzałem w ogóle nic mu mówić, tylko uderzyć, gdy opuścimy góry. Uderzyć raz jeden, głęboko. Teraz jednak poczułem, że słowa same się ze mnie wyrrywają, wbrew mojej woli.

– Powiadają, że była pewna dziewczyna. I krzak głogu.

Cisza. Świst wiatru.

– Kto ci powiedział? – spytał, a potem: – Zresztą nieważne, nie zabiłbym kobiety, żaden człowiek honoru nie zabije kobiety...

Wiedziałem, że gdybym odezwał się choć słowem, umilkłby na zawsze i nigdy nie poruszył tego tematu. Toteż milczałem. I czekałem.

Calum MacInnes zaczął mówić, starannie dobierając słowa, jakby wspominał opowieść zasłyszaną w dzieciństwie i niemal zapomnianą.

– Usłyszałem, że bydlę na nizinach jest tłuste i nadobne i że człowiek mógłby zyskać honor i chwałę, zapuszczając się na południe i wracając z pięknymi, czerwonymi krowami. Ruszyłem zatem na południe i żadna krowa mnie nie zachwyciła, dopóki na zboczu wzgórza na nizinie nie ujrzałem najpiękniejszych, najczerwieńszych, najtłustszych krów, jakie oglądał człowiek. Zacząłem je zatem prowadzić w stronę, z której przyszedłem.

Rzuciła się na mnie z kijkiem. Mówiła, że bydlę należy do jej ojca, a ja jestem łajdakiem i łobuzem, nazwała mnie też innymi nieprzystojnymi mianami. Była jednak piękna, nawet w złości, i gdybym nie pojął już młodej żony, mógłbym łagodniej ją potraktować. Zamiast tego dobyłem noża, przyłożyłem jej do gardła i kazałem zamilknąć. A ona posłuchała.

Nie chciałem jej zabić – nie zabijam kobiet, taka jest prawda – toteż przywiązałem ją za włosy do ciernistego drzewa, zabrałem jej nóż zza paska, by nie tak szybko się uwolniła, i wbiłem głęboko w ziemię. Przywiązałem ją do drzewa za długie włosy i nie myślałem o tym więcej, odchodząc z krowami.

Minął rok, nim wróciłem w tamte strony. Tego dnia nie szukałem krów, ale podszedłem na owo zbocze – to było samotne miejsce i gdybym go nie szukał, pewnie bym nie wypatrył. Może nikt jej nie szukał.

– Słyszałem, że szukali – wtrąciłem – choć niektórzy uważali, że porwali ją zbójcy, inni sądzili, że uciekła z druciarzem albo odeszła do miasta. Ale mimo to szukali.

– Aye. Zobaczyłem to, co zobaczyłem – może trzeba było stanąć dokładnie w tym miejscu, by to ujrzeć. Możliwe, że zrobiłem coś złego.

– Możliwe?

– Zabrałem złoto z jaskini we mgle – odparł. – Sam już nie wiem, czy istnieje dobro albo zło. Posłałem wiadomość, przekazałem ją dziecku w gospodzie. Powiedziałem, gdzie ona jest i gdzie ją znajdują.

Zamknąłem oczy, ale świat nie pociemniał.

– Istnieje zło – odparłem.

Oczami duszy znów to ujrzałem: jej szkielet, obrany do czysta z ubrań, obrany do czysta

z ciała, bardziej nagiego i białego nie znajdziesz, wiszący niczym dziecięca marionetka na drzewie, przywiązany do gałęzi za złocistorude włosy.

– O świcie – oznajmił Calum MacInnes, jakbyśmy rozmawiali o zapasach czy pogodzie – zostawisz tu sztylet, bo tak każe zwyczaj, i wejdiesz do jaskini, skąd wyniesiesz tyle złota, ile zdołasz udźwignąć. Zabierzesz je ze sobą na łód. Na całej wyspie nikt, wiedząc, co niesiesz i skąd pochodzi, ci go nie odbierze. Potem pošlesz je do króla za wodą, a on opłaci nim swych ludzi, nakarmi ich i kupi im broń. Pewnego dnia powróci. Wówczas powiesz mi, czy zło istnieje, mały człowieczku.

* * *

Kiedy słońce weszło, wkroczyłem do jaskini. W środku było wilgotno, słyszałem wodę ściekającą po ścianie, na twarzy czułem podmuch – dziwne, bo wewnątrz góry nie wieją wiatry.

Wyobrażałem sobie, że jaskinię wypełnia złoto. Sztabki złota ułożone w sterty, niczym drwa na opał, worki złotych monet, tkwiące między nimi. Miały tam być złote łańcuchy, złote pierścienie i złote talerze, ułożone w wysokie stopy niczym porcelanowe naczynia w domu bogacza.

Wyobrażałem sobie bogactwa, ale niczego takiego nie ujrzałem. Tylko cienie. Tylko kamień.

Coś jednak tam było, coś, co czekało.

Mam różne sekrety, ale pod wszystkimi innymi spoczywa jeden, którego nie znają nawet moje dzieci, choć sądzę, że żona podejrzewa. Moja matka była śmiertelniczką, córką młynarza. Ale mój ojciec przybył do niej z Zachodu i na Zachód powrócił, kiedy już się z nią zabawił. Nie myślę o tym z sentymentem: jestem pewien, że w ogóle jej nie wspominał, i wątpię, by wiedział o moim istnieniu. Przekazał mi jednak ciało, drobne, szybkie i silne – i może wdałem się w niego także pod innym względem, sam nie wiem. Jestem brzydki, a mój ojciec był piękny, a przynajmniej tak mówiła kiedyś matka. Myślę jednak, że dała się zwieść.

Zastanawiałem się, co zobaczyłbym w tej jaskini, gdyby moim ojcem był szynkarz z nizin.

– Zobaczyłbyś złoto – odparł szept niebędący szeptem, z głębi serca góry, samotny głos, roztargniony, znudzony.

– Zobaczyłbym złoto – powtórzyłem. – Byłoby prawdziwe czy też to złudzenie?

W szepcie usłyszałem rozbawienie.

– Myślisz jak śmiertelnik, że rzeczy muszą być tym albo tym. To złoto widzą, złota dotykają. Złoto wnoszą ze sobą, czując jego ciężar w dłoniach. Złoto wymieniają z innymi śmiertelnikami na to, czego potrzebują. Jakie znaczenie ma, czy istnieje, czy też nie, skoro je widzą, dotykają, kradną, mordują dla niego? Potrzebują złota i dają im złoto.

– A co bierzesz w zamian za złoto, które im dajesz?

– Bardzo niewiele, bo potrzeby mam skromne i jestem stara: zbyt stara, by podążyć za moimi siostrami na Zachód. Kosztuję ich przyjemności i radości. Karmię się odrobiną tego, czego nie potrzebują i nie cenią. Odrobiną serca, liźnięciem i skubnięciem sumienia, odłamkiem duszy. A w zamian fragment mnie opuszcza z nimi jaskinię i spogląda na świat ich oczami, widzi to, co widzą, dopóki ich życie nie dobiegnie końca i nie odbiorę tego, co moje.

– Pokażesz mi się?

Widzę w ciemności lepiej niż jakikolwiek człęk, zrodzony z męża i niewiasty. Zobaczyłem, jak coś porusza się wśród cieni, a potem cienie zgęstniały i przesunęły się, ukazując

bezszałtne twory na skraju postrzegania, w którym łączy się ono z wyobraźnią. Poruszony dodałem słowa stosowne w podobnych okazjach.

– Ukaż się przede mną w postaci, która mnie nie skrzywdzi ani nie urazi.

– Czy tego właśnie pragniesz?

Odgłos kapania wody.

– Tak – odparłem.

Wyszła z cieni, patrząc na mnie z góry pustymi oczodołami, uśmiechając się poźółklymi od wiatru zębami. Była cała z kości, oprócz włosów. Włosy miała złocistorude, okręcone wokół gałęzi głogu.

– To uraża moje oczy.

– Wzięłam ten obraz z twojego umysłu – slyszalem szept otaczający szkielet, jego szczęka się nie poruszyła. – Wybrałam coś, co kochałeś. To była twoja córka, Flora, kiedy widziałeś ją po raz ostatni.

Zamknąłem oczy, lecz postać pozostała.

– Zbójca czeka na ciebie u wylotu jaskini – rzekła. – Czeka aż wyjdiesz bez broni, obciążony złotem. Wówczas cię zabije i odbierze złoto z twoich martwych dłoni.

– Ale ja nie wyjdę ze złotem, prawda?

Pomyślałem o Calumie MacInnesie, wilczej szarości jego włosów, szarych oczach, zarysie sztyletu. Był wyższy ode mnie, ale wszyscy ludzie są wyżsi ode mnie. Może byłem silniejszy i szybszy, ale on także poruszał się szybko i nie brakowało mu sił.

Zabił moją córkę, pomyślałem, i sam nie wiedziałem, czy to moja myśl, czy też wykradła się z cieni do mojej głowy. Na głos dodałem:

– Czy istnieje inne wyjście z tej jaskini?

– Opuścisz ją tak jak przyszedłeś, wylotem mojego domu.

Stałem tam bez ruchu, lecz mój umysł przypominał zwierzę w pułapce, badające i przeskakujące od pomysłu do pomysłu, nieznajdujące punktu zaczepienia, pociechy ani rozwiązania.

– Nie mam broni – oznajmiłem. – Powiedział mi, że nie mogę wejść tutaj z bronią, że zabrania tego zwyczaj.

– Teraz zwyczaj głosi, że do mojego domu nie wolno wnosić broni. Nie zawsze tak było. Chodź za mną – polecił szkielet mojej córki.

Podążyłem za nią, bo ją widziałem, nawet gdy było tak ciemno, że nie dostrzegałem niczego innego.

– Pod twoją dłonią – rzekł głos wśród cieni.

Przykucnąłem i pomacałem. Rękojeść przypominała w dotyku kość – może róg? Ostrożnie dotknąłem ostrza w ciemności i odkryłem, że trzymam coś bardziej przypominającego szydło niżli nóż. Był cienki, ostry na czubku. Lepsze to niż nic.

– Ma jakąś cenę?

– Zawsze jest cena.

– W takim razie ją zapłacę. I proszę o jeszcze jedno. Twierdzisz, że oglądasz świat jego oczami.

W pustej czaszce nie było oczu, ale kiwnęła nią powoli.

– W takim razie powiedz mi, kiedy zaśnie.

Nie odpowiedziała. Rozpłynęła się w ciemności i poczułem się sam.

Czas mijał. Podążając za dźwiękiem kapiącej wody, znalazłem skalne źródło i napiłem się, namoczyłem resztkę owsa i zjadłem, przeżuując, póki nie rozpuścił mi się w ustach. Zasnąłem, obudziłem się i znów zasnąłem. Śniłem o swojej żonie, Morag, czekała na mnie, a pory roku mijały i wciąż czekała, tak jak na naszą córkę, czekała całą wieczność.

Coś, może palec, dotknęło mej dłoni: nie było jednak kościste i twarde, tylko miękkie, ludzkie w dotyku, lecz zbyt zimne.

– On śpi.

Wydostałem się z jaskini o błękitnym brzasku przed świtem. Mój przewodnik spał naprzeciw jej wylotu, spał jak kot i wiedziałem, że obudzi go nawet najlżejsze dotknięcie. Unosiłem przed sobą broń, kościaną rękojeść i ostrą jak igła klingę z poczerńałego srebra. Wyciągnąłem rękę i zabrałem to, czego szukałem, nie budząc go.

Potem podszedłem bliżej, a on spróbował chwycić mnie za kostkę i uniośł powieki.

– Gdzie złoto? – spytał Calum MacInnes.

– Nie mam go.

Na zboczach góry wiał zimny wiatr. Odańczyłem dalej, poza zasięg jego rąk, gdy spróbował mnie złapać. Został na ziemi, wsparty na łokciu.

– Gdzie mój sztylet? – spytał po chwili.

– Zabrałem go – odparłem. – Kiedy spałeś.

Spojrzał na mnie sennie.

– A po cóż niby miałbyś to robić? Gdybym chciał cię zabić, zrobiłbym to w drodze tutaj. Mogłem cię zabić z tuzin razy.

– Ale wtedy nie miałem złota, nieprawdaż?

Nie odpowiedział.

– Jeśli sądzisz, że namawiając mnie, abym wyniósł złoto z jaskini, i nie robiąc tego własnoręcznie, ocaliłbyś swoją żalosną duszę, to jesteś głupcem.

Nie sprawiał już wrażenia zaspanego.

– Głupcem, tak?

Był gotów do walki. Jeśli ktoś jest gotów do walki, dobrze go przedtem rozzłościć.

– Nie głupcem – rzekłem. – Nie. Znałem bowiem głupców i idiotów, są szczęśliwi w swym idiotyzmie, nawet nosząc słomę we włosach. Ty jesteś za mądry na głupotę. Szukasz tylko nieszczęścia i nosisz ze sobą nieszczęście, sprowadzasz je na wszystko, czego dotkniesz.

Wówczas wstał, ściskając w dłoni kamień niczym topór, i rzucił się na mnie. Jestem drobny i nie mógł mnie uderzyć, tak jak uczyniłby to z mężczyzną jego wzrostu. Pochylił się, by zadać cios. To był błąd.

Mocno ściskałem kościaną rękojeść i dźgnąłem w górę, uderzając szybko ostrzem szydła niczym wąż. Wiedziałem dokładnie gdzie celuję i wiedziałem co to da.

Calum MacInnes upuścił swój kamień, przyciskając dłoń do prawego ramienia.

– Moja ręka – rzucił. – Nie czuję ręki.

Wówczas zaklął i powietrze wokół nas wypełniły klątwy i groźby. W świetle brzasku na szczycie góry wszystko było piękne i błękitne. W owym świetle nawet krew wsiąkająca powoli w jego strój miała barwę fioletu. Cofnął się o krok, tak że stanął pomiędzy mną i jaskinią. Czułem się odsłonięty, wschodzące słońce miałem z tyłu.

– Dlaczego nie przyniosłeś złota? – spytał.

Ręka zwisała mu bezwładnie.

– Dla takich jak ja nie ma tam złota – odrzekłem.

I wtedy rzucił się naprzód, pędząc ku mnie, i kopnął. Klinga wypadła mi z dłoni, zarzuciłem mu ramiona na nogę i przytrzymałem się mocno, gdy razem runęliśmy ze zbocza.

Górował nade mną i ujrzałem tryumf na jego twarzy, a potem niebo. A potem dno doliny znalazło się w górze i unosiłem się mu na spotkanie. A potem było pode mną i spadałem wprost ku śmierci.

Szarpnięcie, podskok i zaczęliśmy się turlać, raz po raz, spadając ze zbocza. Świat zamienił się w oszalałający wir skał, bólu i nieba, i wiedziałem, że już jestem trupem, nadal jednak z całych sił przytrzymałem się nogi Caluma MacInnesa.

Ujrzałem w górze szybującego złocistego orła, nie potrafiłem już jednak orzec, czy był nade mną, czy pode mną. Leciał tam po porannym niebie, w strzaskanych odłamkach czasu i postrzegania, w bólu. Nie bałem się: nie był to czas i miejsce na ból, brakowało nań miejsca w mojej głowie i w moim sercu. Spadałem przez niebo, trzymając się mocno nogi mężczyzny, który próbował mnie zabić; uderzaliśmy o skały, zarabiając kolejne skaleczenia i sińce, a potem...

...zatrzymaliśmy się.

Zatrzymaliśmy tak gwałtownie, że poczułem szarpnięcie i omal nie odpadłem od Caluma MacInnesa wprost w objęcia śmierci. W tym miejscu zbocze góry odpadło i osunęło się dawno temu, odsłaniając nagą skałę, gładką i lśniącą niczym szkło. Je jednak mieliśmy pod sobą, znajdowaliśmy się natomiast na półce i na półce tej wydarzył się cud: w miejscu, gdzie nie powinno rosnąć żadne drzewo, wysoko ponad linią lasu sterczał karłowaty i poskręcany głóg, niewiele większy od krzaka, choć bardzo stary. Jego korzenie wrastały w górskie zbocze. I właśnie ten głóg chwycił nas w pędzie w swe szare ramiona.

Wypuściłem nogę, zsunąłem się z ciała Caluma MacInnesa na górskie zbocze. Stojąc na wąskiej półce, spojrzałem w przepaść. Nie dało się stąd zejść. W żaden sposób.

Popatrzyłem w górę. Może się uda, pomyślałem. Gdybym wspinał się powoli i dopisało mi szczęście, może wdrapałbym się na tę górę. O ile nie spadnie deszcz. Jeśli wiatr nie będzie zbyt głodny. Zresztą, jaki miałem wybór? Alternatywa to śmierć.

– A zatem, czy porzucisz mnie tu na śmierć, karle?

Nie odpowiedziałem. Nie miałem nic do powiedzenia.

Patrzył na mnie otwartymi oczami.

– Nie mogę poruszać prawą ręką, bo mnie w nią dźgnąłeś, podczas upadku chyba złamałem nogę. Nie wespnę się z tobą.

– Może mi się uda, może nie – rzekłem.

– Uda ci się. Widziałem, jak się wspinasz, po tym, jak ocaliłeś mnie przy wodospadzie. Wdrapałeś się na te skały niczym wiewiórka na drzewo.

Nie podzielałem jego ufności w moje zdolności wspinaczkowe.

– Przysięgnij mi na wszystko, co dla ciebie święte – rzekł. – Przysięgnij na swego króla, który czeka za morzem, odkąd wygnał poddanych z tego kraju. Przysięgnij na rzeczy, które cenią sobie tacy jak wy – na cienie, orle pióra i ciszę. Przysięgnij, że po mnie wrócisz.

– Wiesz, czym jestem? – spytałem.

– Nic nie wiem – odparł. – Poza tym, że chcę żyć.

Zastanowiłem się.

– Przysięgam na wszystkie te rzeczy – oznajmiłem. – Na cienie, orle pióra i ciszę. Przysięgam

na zielone wzgórza i kamienne kręgi. Wrócę.

– Zabiłbym cię – oznajmił mężczyzna wiszący na głogu i rzekł to z rozbawieniem, jakby opowiadał najlepszy żart, jakim mógł się podzielić z kimś innym. – Zamierzałem cię zabić i zabrać sobie twoje złoto.

– Wiem.

Włosy okalały mu twarz niczym szara, wilcza aureola, na policzku zadrapanym podczas upadku czerwieniła krew.

– Mógłbyś wrócić z linami – podsunął. – Moja leży na górze, przy wlocie jaskini, ale będziesz potrzebował więcej.

– Tak – odparłem. – Wrócę z linami.

Spojrzałem nad wznoszącą się nad nami skałę, przyglądając jej się z największą uwagą. Czasami dobry wzrok to różnica między życiem a śmiercią, zwłaszcza gdy jest się wspinaczem. Zobaczyłem, którędy muszę pójść, gdy będę się wdrapywał, zarys drogi po górskim zboczu. Zdawało mi się, że dostrzegam półkę przed jaskinią, z której spadliśmy podczas walki. Tam właśnie się skieruję. Tak.

Dmuchałem w dłonie, by osuszyć pot, nim rozpocznę wspinaczkę.

– Wrócę po ciebie – oznajmiłem. – Z linami. Przysiągłem.

– Kiedy? – spytał i zamknął oczy.

– Za rok – odpowiedziałem. – Wrócę tutaj za rok.

Zacząłem się wspinać. Krzyki mężczyzny ścigały mnie, gdy wdrapywałem się, pełzałem, przeciskałem i podciągałem po zboczu góry, mieszając się z krzykami wielkich, drapieżnych ptaków, i podążały za mną w drodze z Wyspy Mgieł, kiedy maszerowałem z pustymi rękami, zapłata za mój czas i ból. I będę słyszał te krzyki na skraju świadomości, zasypiając lub tuż przed przebudzeniem aż do końca życia.

Deszcz nie spadł, wiatr szarpał mnie i kołysał, ale nie zrzucił. Wspinałem się i wspinałem, bezpiecznie.

Kiedy dotarłem do celu, wylot jaskini wyglądał niczym mroczniejszy cień w południowym słońcu. Odwróciłem się od niego, plecami do góry i cieni gromadzących się już w szczelinach i zakamarkach oraz w głębi mojej czaszki, i rozpocząłem powolną wędrówkę z Wyspy Mgieł. Sto dróg i tysiąc ścieżek mogło zaprowadzić mnie stąd do domu na nizinach, gdzie czekała żona.

Moja ostatnia gospodyni

Moja ostatnia gospodyni? Zupełnie niepodobna do ciebie, ani trochę. W jej pokojach panowała wilgoć. Śniadania były obrzydliwe: tłuste jajka, twarde kielbaski, pomarańczowa breja z fasolki w sosie pomidorowym. Wystarczyło, by się skrzywiła, żeby fasolka skisła. Nie była miła. Ty wydajesz się miłą osobą. Mam nadzieję, że twój świat jest miły. To znaczy, słyszałem, że postrzegamy świat nie takim, jakim jest w istocie, lecz jacy my jesteśmy. Święty widzi świat świętych, a zabójca tylko morderców i ich ofiary. Ja widzę umarłych. Moja gospodyni wspomniała, że nigdy nie wychodzi na plażę, bo pełno na niej broni: dużych kamieni, pasujących akurat do ręki, gotowych do ciosu. W torebeczce nosiła niewiele gotówki, ale twierdziła, że oni zabraliby wytłuszczone banknoty i zostawiliby torebkę pod kamieniem. A ta woda, mówiła: wystarczy kogoś przytrzymać pod zimną słoną wodą, szarą i brązową. Ciężka jak grzech, gotowa wciągnąć człowieka: dzieci bardzo łatwo toną w morzu, zwłaszcza te nadmiarowe, niepotrzebne, albo znające niewygodne fakty, które mogłyby powtórzyć zainteresowanym osobom. Tamtej nocy, dodała, kiedy spłonęło zachodnie molo, byli na nim ludzie.

Przykurzone firanki przesłaniały pokryte miejskim brudem okna. Widok Na Morze: to dopiero farsa. Kiedy raz uniosłem firankę, żeby sprawdzić, czy naprawdę pada, trzepnęła mnie po kostkach. „Panie Maroney”, powiedziała, „W tym domu nie wyglądamy przez okno na morze. To przynosi pecha”, mówiła. „Ludzie chodzą na plażę, żeby zapomnieć o własnych problemach. Tak właśnie robimy. Tak postępują Anglicy. Kiedy porąbią dziewczynę na kawałki, bo jest w ciąży i martwią się, co powie żona jeśli się dowie. Albo otrują bankiera, z którym sypiają, żeby dostać ubezpieczenie, poślubią tuzin mężczyzn w tuzinie nadmorskich miasteczek. Margate, Torquay. Boże, dopomóż, ale czemu stoją tak nieruchomo?”. Kiedy spytałem, kto stoi nieruchomo, odparła, że to nie moja broszka, i że bym na pewno wyszedł z domu

przed południem i nie wracał przed czwartą, bo przychodzi sprzątaczką i tylko bym jej przeszkadzał.

Mieszkałem w tym pensjonacie trzy tygodnie, szukając stałego lokum. Płaciłem gotówką. Pozostali goście byli niekochanymi ludźmi na wakacjach i nie obchodziło ich, czy to Hove, czy może piekło. Razem jedliśmy oślizgłe jajka. Patrzyłem, jak defilują przy pięknej pogodzie, albo kulą się pod markizami w czasie deszczu. Moją gospodynię interesowało tylko, żeby nie wracali aż do podwieczorku. Emerytowany dentysta z Edgebaston, który wpadł na tydzień samotności i mżawki nad morzem, kłaniał mi się przy śniadaniu, albo kiedy mijaliśmy się na promenadzie. Łazienka była na końcu korytarza. Wstałem w nocy. Zobaczyłem go w szlafroku. Pukał do jej drzwi. Widziałem, jak się otworzyły. Wszedł do środka. Nie mam nic więcej do dodania. Gospodyni czekała rano ze śniadaniem, pogodna i wesoła. Powiedziała, że dentysta wyjechał wcześniej z powodu śmierci w rodzinie. Mówiła prawdę.

Tej nocy deszcz bębnił o okna. Minał tydzień, i nadszedł czas: powiedziałem gospodyni, że znalazłem mieszkanie i się wyprowadzam, i zapłaciłem za pokój. Tego wieczoru podała mi szklankę whisky, potem drugą, i powiedziała, że zawsze byłem jej ulubieńcem i że jest kobietą o pewnych potrzebach, kwiatem gotowym do zerwania, i uśmiechnęła się, i to whisky sprawiła, że skinąłem głową, a ona wydała się nieco mniej kwaśna z twarzy i figury. I tak zapukałem tej nocy do jej drzwi. Otworzyła: pamiętam biel jej skóry. Biel jej koszuli. Nie mogę zapomnieć. „Panie Maroney”, szepnęła. Sięgnąłem ku niej, i to był koniec, na zawsze. Kanał był zimny i słonmokry, a ona napełniła mi kieszenie kamieniami, żebym nie wypłynął. Kiedy więc mnie znajdą, jeśli mnie znajdą, będę już nikim, objedzonym przez kraby mięsem i wymytymi przez morze kośćmi.

Chyba spodoba mi się w tym nowym mieszkaniu na wybrzeżu. A ty tak miło mnie powitałaś. Wszyscy mnie powitaliście.

Ilu nas tu jest? Widzę wszystkich, ale nie mogę zliczyć. Tłoczmy się na plaży i patrzmy na światło w pokoju na górze jej domu. Widzimy, jak firanka się porusza, a biała twarz wygląda przez warstwę brudu. Zupełnie jakby się bała, że pewnego niekochanego dnia zaczniemy rzucać kamykami, by ją upomnieć za brak gościnności, ukarać za marne śniadania, ponure święta i nasz los.

Stoimy nieruchomo.
Czemu stoimy tak nieruchomo?

Przygoda

W mojej rodzinie „przygoda” zazwyczaj oznacza „dowolną drobną katastrofę, którą udało nam się przeżyć”, albo nawet „jakikolwiek odejście od rutyny”. Tylko matka wciąż używa tego słowa w znaczeniu „to, co zrobiłam dziś rano”. Wyjście na niewłaściwą stronę parkingu w supermarkecie i wdanie się podczas poszukiwań wozu w rozmowę z kimś, czyja siostra, jak się okazało, była jej znajomą w latach siedemdziesiątych, w oczach mojej matki kwalifikuje się jako pełnoprawna przygoda.

Matka zaczyna się starzeć. Nie wychodzi już tak często z domu jak kiedyś. A przynajmniej nie od śmierci ojca.

Podczas ostatniej wizyty porządkowaliśmy część jego rzeczy. Dała mi czarny skórzany futerał, pełen zaśnieżonych spinek do mankietów, i zaproponowała, żebym wziął sobie wszystkie stare swetry ojca, na pamiątkę. Kochałem swojego ojca, ale nie wyobrażałem sobie, by włożyć jeden z jego swetrów – całe życie był znacznie cięższy ode mnie, nic z jego rzeczy by na mnie nie pasowało.

A potem coś zobaczyłem.

– Co to? – spytałem.

– Och – odparła matka. – To coś, co twój ojciec przywiózł z Niemiec, z czasów, gdy służył w wojsku.

Chodziło o wyrzeźbioną z czerwonego, plamiastego kamienia postać wielkości mojego kciuka. Przedstawiała kogoś, może bohatera czy boga, o zbolałym wyrazie prymitywnie oddanej twarzy.

– Nie wygląda zbyt niemiecko – zauważyłem.

– Bo nie jest niemiecka, kochanie. Chyba pochodzi z... dziś to zdaje się Kazachstan. Nie jestem pewna, co tam było wtedy.

– Co tato robił w wojsku w Kazachstanie?

Musiało to nastąpić około 1950 roku. W czasie obowiązkowej służby wojskowej ojciec kierował klubem oficerskim w Niemczech i w żadnej ze swoich powojennych, poobiadowych opowieści wojskowych nie wspominał o niczym ciekawszym niż wypożyczenie ciężarówki bez pozwolenia albo przyjęcie dostawy whisky z nader niepewnego źródła.

– Och. – Matka miała taką minę, jakby za dużo powiedziała. Po chwili dodała: – Nic takiego, kochanie. Nie lubił o tym rozmawiać.

Odłożyłem posążek na bok razem ze spinkami do mankietów i niewielkim plikiem czarno-białych fotografii o podwiniętych brzegach, które postanowiłem zabrać do domu i zeskanować.

Noc spędziłem w gościnnej sypialni na końcu korytarza, w wąskim zapasowym łóżku.

Następnego ranka wróciłem do pokoju, gdzie niegdyś mieścił się gabinet ojca, by jeszcze raz

na niego spojrzeć. Potem przeszedłem do salonu, matka przygotowała już śniadanie.

– Co się stało z tym kamiennym posążkiem?

– Wzięłam go, skarbie. – Matka zacisnęła wargi.

– Ale czemu?

– No cóż, twój ojciec zawsze mówił, że w ogóle nie powinien być go zabierać.

– Dlaczego nie?

Nalała herbaty z tego samego porcelanowego imbryka, z którego nalewała ją całe moje życie.

– Jacyś ludzie go szukali. W końcu ich statek wybuchł. W dolinie. Bo te skrzydlate stwory wpadły między śmigła.

– Skrzydlate stwory?

Zastanowiła się.

– Pterodaktyle, skarbie. No wiesz, przez p. Tak właśnie twierdził twój ojciec. Oczywiście mówił też, że ludzie w statku powietrznym zasłużyli na to, co ich spotkało, po tym co zrobili z Aztekami w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

– Mamo, Aztekowie wymarli wieleset lat temu. Na długo przed tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim.

– O tak, skarbie. Ci w Ameryce. Nie w tamtej dolinie. Tamci ludzie ze statku, cóż, twój ojciec mówił, że tak naprawdę nie byli wcale ludźmi. Ale wyglądali jak ludzie, choć pochodzili z jakiegoś miejsca o zabawnej nazwie. Gdzie to było? – Zastanawiała się chwilę, po czym dodała:

– Wypij herbatę, skarbie.

– Tak. Nie. Chwileczkę. W takim razie, kim oni byli? A pterodaktyle wymarły pięćdziesiąt milionów lat temu.

– Skoro tak twierdzisz, skarbie. Twój ojciec tak naprawdę nigdy o tym nie rozmawiał. – Zawiesiła głos. – Była pewna dziewczyna. Działo się to co najmniej pięć lat przedtem, nim zaczęliśmy się spotykać z twoim ojcem. W tamtych czasach był bardzo przystojny. A przynajmniej ja tak uważałam. Poznał ją w Niemczech. Ukrywała się przed ludźmi, którzy szukali tego posążka. Była ich królową, księżniczką, kapłanką czy kimś takim. Porwali ją, a że akurat z nią przebywał, porwali i jego. Tak naprawdę to nie byli przybysze z kosmosu, bardziej jak ci, którzy zamieniają się w wilki w telewizji...

– Wilkołaki?

– Chyba tak, skarbie. – Jej twarz zdradzała powątpiewanie. – Posążek był wyrocznią i jeśli do ciebie należał, jeśli nawet go trzymałeś, zostawałeś władcą tego ludu. – Zamieszała herbatę. – Co takiego mówił twój ojciec? Do doliny można się było dostać wąską ścieżką i potem, jak ta Niemka, no tak naprawdę nie była Niemką, ale ci ludzie wysadzili ścieżkę za pomocą... jakichś promieni, żeby odciąć drogę do świata zewnętrznego. Więc twój ojciec musiał jakoś wrócić do domu. Miałby poważne kłopoty. Ale gość, który uciekł wraz z nim, Barry Anscome, służył w wywiadzie wojskowym i...

– Chwileczkę. Barry Anscome? Ten, który często przyjeżdżał na weekend, kiedy byłem mały? Za każdym razem dawał mi pięćdziesiąt pensów? Robił kiepskie sztuczki z monetami? Chrapał? Miał takie głupie wąsy?

– Tak, skarbie, Barry. Kiedy przeszedł na emeryturę, wyjechał do Ameryki Południowej. Chyba do Ekwadoru. Tak właśnie się poznali. Kiedy twój ojciec był w wojsku. – Ojciec wspominał mi kiedyś, że matka nigdy nie lubiła Barry'ego Anscome'a, że był on jego przyjacielem.

– I?

Nalała mi kolejną filiżankę.

– To wszystko działo się bardzo dawno temu, skarbie. Ojciec opowiedział mi o tym tylko jeden raz. Ale nie od razu. Dopiero gdy się pobraliśmy. Twierdził, że powinnam wiedzieć. Wyjechaliśmy w podróż poślubną do małej hiszpańskiej wioski rybackiej. Dzisiaj to wielkie turystyczne miasto, ale wtedy nikt w ogóle o nim nie słyszał. Jak się nazywało? A tak. Torremolinos.

– Mógłbym go jeszcze zobaczyć? Ten posążek?

– Nie, skarbie.

– Schowałaś go?

– Wyrzuciłam – odparła zimno matka, a potem, jakby chciała powstrzymać mnie przed grzebaniem w śmieciach, dodała: – Dziś rano byli śmieciarze.

Potem milczeliśmy oboje.

Sączyła herbatę.

– Nigdy nie zgadniesz, kogo spotkałam tydzień temu. Twoją dawną nauczycielkę. Pamiętasz panią Brooks? Wpadłam na nią w Safewayu. Poszliśmy razem na kawę do księgarni, bo miałam nadzieję, że namówię ją na wstąpienie do miejskiego komitetu do spraw cyrku. Ale księgarnia była zamknięta. Musiałyśmy dojść aż do starej herbaciarni. Co za przygoda!

Pomarańcz

(Odpowiedzi trzeciego świadka na pisemny kwestionariusz śledczego)

Do wyłącznego wglądu.

1. Jemima Glorfinder Petula Ramsay.
2. Dziewiątego czerwca skończę siedemnaście.
3. Ostatnie pięć lat. Wcześniej mieszkaliśmy w Glasgow (w Szkocji), jeszcze wcześniej w Cardiff (w Walii).
4. Nie wiem. Teraz chyba zajmuje się wydawaniem prasy kolorowej. Już z nami nie rozmawia. Rozwód był dość paskudny i skończyło się na tym, że mama zapłaciła mu mnóstwo pieniędzy. Mnie wydaje się to niesprawiedliwe. Ale może było warto, żeby się go pozbyć.
5. Wynalazczyni i przedsiębiorczyni. To ona wynalazła Nadziewane Muffinki™ i założyła sieć Nadziewana Muffinka. W dzieciństwie nawet je lubiłam, ale kiedy na każdy posiłek je się nadziewane muffinki, można mieć tego potąd, zwłaszcza że mama traktowała nas jako króliki doświadczalne. Najgorsza była Nadziewana Muffinka – Kompletny Obiad Świąteczny z Indykiem. Ale jakies pięć lat temu sprzedała swoje udziały w sieci Nadziewana Muffinka i zaczęła pracę nad Kolorowymi Bańkami Mojej Mamy (jeszcze nie™).
6. Dwoje. Moją siostrę Nerys, właśnie skończyła piętnaście lat i brata Pryderiego, lat dwanaście.
7. Kilka razy dziennie.
8. Nie.

9. Przez internet. Zapewne na eBayu.
10. Odkąd postanowiła, że świat płacze z tęsknoty za jaskrawokolorowymi, neonowymi bańkami, zaczęła kupować farby i barwniki z całego świata. Chodzi o takie bańki do puszczenia, z gotowej mieszanki.
11. To nie do końca laboratorium. Znacząca mama je tak nazywa, ale tak naprawdę to tylko garaż. Tyle że za część pieniędzy z Nadziewanych Muffinek™ przebudowała go i zamontowała zlewy, wanny, palniki Bunsena, różne inne sprzęty i kafelki na ścianach i podłodze, żeby było łatwiej sprzątać.
12. Nie wiem. Kiedyś Nerys była zupełnie normalna. Kiedy skończyła trzynaście lat, zaczęła czytać wszystkie te pisma i rozwieszać na ścianie zdjęcia dziwnych lasek, np. Britney Spears i jej podobnych. Przepraszam, jeśli ktoś, kto to czyta, jest fanem Britney;), ale ja po prostu tego nie łapię. Cała ta sprawa z pomarańczem zaczęła się dopiero w zeszłym roku.
13. Krem do sztucznej opalenizny. Kiedy go nakładała, godzinami nie mogliśmy się do niej zbliżyć. I nigdy nie czekała dostatecznie długo, by wysechł, gdy już rozsmarowała go na skórze, więc zostawiała plamy na swojej pościeli, drzwiach lodówki i pod prysznicem. Wszędzie pomarańczowe plamy. Jej przyjaciółki też go nosiły, ale nigdy nie nakładały aż tyle. Prawie się w nim kąpała. Z koloru nie przypominała nawet człowieka i uważała, że wygląda świetnie. Raz poszła do solarium, ale chyba jej się nie spodobało, bo nigdy tam nie wróciła.
14. Mandarynka. Umpa-Lumpa. Marchewa. Pomarańczówka. Oranżyna.
15. Raczej kiepsko. Ale wcale się tym nie przejmowała. Mówimy tu o dziewczynie, która oświadczyła, że nie widzi sensu w uczeniu się matematyki czy przedmiotów ścisłych, bo gdy tylko skończy szkołę, zostanie tancerką na rurze. Powiedziałam, że nikt nie zapłaci, żeby oglądać cię na waleta, a ona na to: skąd wiesz? Więc mówię, że widziałam krótkie filmiki w quicktimie, które nakręciła, jak tańczy na golasa, i zostawiła w aparacie, a ona zaczęła wrzeszczeć i powtarzać oddaj mi je, a ja na to, że je skasowałam. Ale poważnie, wątpię, by miała szansę zostać następną Bettie Page czy kimś takim. Po pierwsze, jest dość kanciasta.
16. Odrę, świnkę, a Pryderi chorował chyba na ospę wietrzną, kiedy odwiedził dziadków w Melbourne.
17. W małym naczyniu. Trochę podobnym do słoika z dżemem.
18. Nie wydaje mi się. Na pewno żadnego ostrzeżenia. Ale był tam adres zwrotny. Przyszło z zagranicy, adres zwrotny zapisano cudzoziemskimi literami.
19. Musicie zrozumieć, że mama przez pięć lat sprowadzała farby i barwniki z całego świata. W neonowych bańkach nie chodzi o to, żeby ktoś mógł puszczać kolorowe bańki, tylko żeby nie pękały i nie zostawiały wszędzie plam farby. Mama mówi, że to gotowa sprawa sądowa. Więc nie.
20. Zaczęło się od tego, że Nerys i mama wrzeszczały na siebie, bo mama wróciła ze sklepu i nie kupiła niczego z listy Nerys oprócz szamponu. Mama tłumaczyła, że nie mogła znaleźć kremu do opalania w supermarkecie, ale chyba po prostu zapomniała. Więc Nerys wybiegła, trzasnęła drzwiami i schowała się w swoim pokoju, po czym puściła głośno jakąś muzykę, pewnie Britney Spears. Ja byłam w ogrodzie na tyłach, karmiłam trzy koty, szynszylę i Rolanda, świnkę morską, która wygląda jak kudłata poduszeczka, więc kłótnia mnie ominęła.

21. Na stole w kuchni.
22. Kiedy następnego ranka znalazłam w ogrodzie pusty słoik. Leżał pod oknem Nerys. Nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby się domyślić.
23. Szczerze mówiąc, uznałam, że nie warto, że skończyłoby się kolejną awanturą, no wiecie. A mama wkrótce sama się zorientuje.
24. Tak, to było głupie. Ale nie jakoś wyjątkowo głupie, jeśli rozumiecie co mam na myśli. To znaczy, jak na Nerys było to zupełnie normalnie głupie.
25. To, że świeciła.
26. Pulsującym i pomarańczowym światłem.
27. Kiedy zaczęła nam mówić, że będą oddawać jej cześć jak bogini, jak u zarania dziejów.
28. Pryderi mówił, że unosiła się cał nad ziemią. Ale ja tego nie widziałam. Uznałam, że po prostu zgadza się na nowe dziwactwa, żeby jej nie rozdrażnić.
29. Nie reagowała już na „Nerys”. Nazywała się głównie Moją Immanencją albo Naczyniem („już czas nakarmić Naczynie”).
30. Gorzką czekoladą. Co dziwne, bo dawniej tylko ja w domu choć trochę ją lubiłam. A teraz Pryderi musiał biegać do sklepu i kupować jej mnóstwo tabliczek.
31. Nie. Razem z mamą myślałyśmy, że to głównie Nerys. Po prostu wykombinowała coś jeszcze bardziej pomysłowego i dziwaczniejszego niż zwykle.
32. Tego wieczoru, kiedy zrobiło się ciemno, widać było pomarańczowy blask pulsujący pod drzwiami. Jak u świetlika czy czegoś takiego. Albo na pokazie świateł. Najdziwniejsze było to, że widziałam go nawet przy zamkniętych oczach.
33. Następnego dnia rano. Cała nasza trójka.
34. Na tym etapie nie dało się nie zauważyć. Nawet już nie wyglądała jak Nerys, wydawała się jakby rozmazana. Coś jak powidok. Zastanawiałam się nad tym i... No dobrze. Załóżmy, że wpatrujemy się w coś bardzo jasnego koloru niebieskiego. Potem zamykamy oczy i widzimy błyszczący, żółtopomarańczowy powidok. Tak właśnie wyglądała.
35. Też nie podziały.
36. Wypuściła Pryderiego, żeby kupił więcej czekolady. Nam z mamą nie pozwalała już wychodzić z domu.
37. Głównie siedziałam w ogrodzie na tyłach i czytałam książkę. Niewiele więcej mogłam zrobić. Zaczęłam nosić ciemne okulary, tak samo mama, bo pomarańczowe światło raniło nas w oczy. Poza tym nic.
38. Tylko kiedy próbowałyśmy wyjść albo do kogoś zadzwonić. Ale w domu było jedzenie. I Nadziewane Muffinki™ w zamrażarce.
39. „Gdybyś tylko rok temu zmusiła ją, żeby przestała się smarować tym durnym samoopalaczem, nic by się nie wydarzyło”. Ale to nie było sprawiedliwe i później przeprosiłam.
40. Kiedy Pryderi wrócił z tabliczkami gorzkiej czekolady. Powiedział, że podszedł do kierującego ruchem i oświadczył, że jego siostra zamieniła się w wielki, pomarańczowy blask i kontroluje nasze umysły. Dodał, że facet potraktował go bardzo nieprzyjemnie.
41. Nie mam chłopaka. Miałam, ale zerwaliśmy po tym, jak poszedł na koncert Rolling Stonesów z moją wredną, tlenioną, dawną przyjaciółką, której imienia nie wymienię. A poza tym, Rolling Stonesi, serio? Chudzi jak kozły staruszkowie skaczący po scenie i udający rockandrollowców? No proszę. Więc nie.

42. W sumie chciałabym studiować weterynarię, ale potem wyobrażam sobie, że musiałabym uśpić jakieś zwierzę, i sama już nie wiem. Chcę trochę popodróżować, nim podejmę decyzję.
43. Wężem ogrodowym. Rozkręciłyśmy go na pełny regulator, kiedy jadła swoją czekoladę i nie zwracała uwagi, i oblałyśmy ją.
44. Tylko pomarańczowa para. Mama mówiła, że ma w laboratorium rozpuszczalniki i takie tam, gdybyśmy tylko mogły się tam dostać. Ale do tego czasu Jej Immanencja kipiała z wściekłości (dosłownie) i jakby przygwoździła nas do podłogi. Nie potrafię tego wyjaśnić. To nie to, że się przylepiłam, ale nie mogłam się poruszyć ani unieść nóg. Stałam tam, gdzie mnie postawiła.
45. Jakieś pół metra nad dywanem. Przechodząc przez drzwi, trochę się obniżała, żeby nie walnąć się w głowę. A po numerze z wężem nie wróciła do swojego pokoju. Została w salonie i nadąsana latała po nim. Miała kolor świetlistej marchewki.
46. Panowanie nad całym światem.
47. Zapisałam to na kawałku papieru i oddałam Pryderiemu.
48. Musiał je odnieść. Nie wydaje mi się, żeby Jej Immanencja rozumiała, jak działają pieniądze.
49. Nie wiem. To był bardziej pomysł mamy niż mój. Chyba liczyła na to, że rozpuszczalnik usunie ten pomarańcz, a na tym etapie nie mógł zaszkodzić, bo gorzej już być nie mogło.
50. Nawet jej nie rozdrażnił jak woda z węża. Mam wrażenie, że jej się spodobało. Chyba widziałam, jak zanurza w nim tabliczki czekolady przed zjedzeniem, choć musiałam zmrużyć oczy, by cokolwiek zobaczyć. Wyglądała jak wielka plama pomarańczowego światła.
51. Że wszyscy umrzemy. Mama powiedziała Pryderiemu, że jeśli wielka Umpa-Lumpa znów go pošle po czekoladę, w ogóle nie powinien wracać. A ja okropnie się martwiłam o zwierzęta: od dwóch dni nie karmiłam szynszyli ani Rolanda, świnki morskiej, bo nie pozwalała mi pójść do ogrodu. Nigdzie nie mogłam pójść. Poza kibelkiem, a nawet wtedy musiałam prosić.
52. Chyba dlatego, iż uznali, że dom się pali. To przez to pomarańczowe światło. Całkiem naturalny błąd.
53. Ucieszyliśmy się, że z nami tego nie zrobiła. Mama mówiła, że to dowodzi, iż gdzieś w środku wciąż jeszcze tkwi Nerys, bo gdyby była w stanie zamienić nas w kisiel, jak strażaków, to by to zrobiła. Odparłam, że może po prostu z początku nie miała dość sił, żeby nas zamienić, a teraz nie zawraca sobie tym głowy.
54. Nie dało się w tym już nawet zobaczyć człowieka. Tylko ostre pomarańczowe pulsujące światło, i czasami przemawiało do nas tylko w głowie.
55. Kiedy wylądował statek kosmiczny.
56. Nie wiem. To znaczy był większy niż cała przecznica, ale niczego nie zgniótł, jakby zmaterializował się wokół nas. Cały dom tkwił w środku. I cała ulica też.
57. Nie. Ale co innego to mogło być?
58. Tacy jasnobłękitni. I nie pulsowali. Migotali.
59. Ponad sześciu, mniej niż dwudziestu. Niełatwo stwierdzić, czy to to samo inteligentne błękitne światło, z którym rozmawiało się pięć minut wcześniej.
60. Trzy rzeczy: po pierwsze, obietnicę, że Nerys nie stanie się nic złego. Po drugie, że jeśli

kiedykolwiek zdołają przywrócić jej poprzednią postać, dadzą nam znać i odwiożą ją. Po trzecie, przepis na fluorescencyjną miksturę do baniek. (Zakładam, że odczytali to w myślach mamy, bo nie wspomniała o niczym głośno. Możliwe jednak, że powiedziała im Jej Immanencja. Z całą pewnością miała dostęp do przynajmniej części wspomnień „Naczynia”). Podarowali też Pryderiemu coś jakby szklaną deskorolkę.

61. Jakby młaśniećcie. Potem wszystko zrobiło się przezroczyste. Ja płakałam, mama także, a Pryderi powiedział „Super sprawa” i zaczęłam chichotać przez łzy, a potem znów znaleźliśmy się we własnym domu.
62. Wyszliśmy do ogrodu i spojrzeliśmy w górę. Bardzo wysoko coś mrugało na pomarańczowo i niebiesko. Z każdą chwilą robiło się coraz mniejsze i mniejsze. Patrzyliśmy, póki zupełnie nie zniknęło.
63. Bo nie chciałam.
64. Nakarmiłam resztę zwierząt. Roland był bardzo wkurzony, koty ucieszyły się, że ktoś znów je karmi, nie mam pojęcia, jak wydostała się szynszyla.
65. Czasami. To znaczy, musicie pamiętać, że była najbardziej irytującą osobą na całej planecie. Bardziej nawet wkurzającą niż ta Jej Immanencja. Ale tak, chyba tak. Jeśli mam być szczerą.
66. Siedzę nocami na dworze, patrzę w niebo, zastanawiam się, co teraz robi.
67. Chce odzyskać szklaną deskorolkę. Mówi, że należy do niego i że rząd nie ma prawa jej zatrzymać. (To wy jesteście rządem, prawda?). Natomiast mama chętnie podzieliła się z rządem patentem na przepis na Kolorowe Bańki. Ten człowiek mówił, że może się on stać podstawą całej nowej gałęzi czegoś tam molekularnego. Mnie nikt niczego nie dał, więc nie musiałam się przejmować.
68. Tylko raz, w ogrodzie, kiedy patrzyłam w nocne niebo. Pomyślałam, że to tylko pomarańczowawa gwiazda. To mógł być Mars, wiem, że nazywają go Czerwoną Planetą. Choć od czasu do czasu myślę sobie, że może odzyskała dawną postać i tańczy gdzieś tam, gdziekolwiek jest, a obcy zachwycają się jej tańcem na rurze, bo kompletnie się na nim nie znają, uważają go za nową dziedzinę sztuki i nie przeszkadza im nawet, że jest dość kanciasta.
69. Nie wiem. Może siedzi w ogrodzie i rozmawia z kotami. Albo puszcza śmieszne, kolorowe bańki.
70. Aż do śmierci.

Zaświadczam, że to prawdziwa relacja z wydarzeń

Jemima Glorfinder Petula Ramsay

Kalendarz opowieści

Opowieść styczniowa

Łup!

– Czy to zawsze tak wygląda?

Dzieciak sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Rozglądał się po pokoju, wyraźnie rozkojarzony. Jeśli nie będzie uważał, to go zabije.

Dwunasty poklepał go po ramieniu.

– Nie. Nie zawsze. Ale jeśli pojawiają się kłopoty, to przychodzą stamtąd, z góry.

Pokazał ręką klapę wiodącą na strych, na suficie nad nimi. Była uchylona, za nią czekała ciemność, niczym oko.

Dzieciak przytaknął.

– Ile mamy czasu? – spytał.

– Razem? Może z dziesięć minut.

– W bazie mnóstwo razy pytałem ich o jedną rzecz, ale nie odpowiedzieli, mówili, że sam się przekonam. Kim one są?

Dwunasty nie odpowiedział. W ciemności na strychu nad nimi coś się zmieniło, zaledwie odrobinę. Przyłożył palec do ust, po czym uniósł broń i gestem polecił dzieciakowi zrobić to samo.

Wypadły zza kłapy: szare jak cegły, zielone jak pleśń, zębate i szybkie, niezwykle szybkie. Dzieciak wciąż majstrował przy spuście, kiedy Dwunasty zaczął strzelać i załatwił je, całą piątkę, nim młody zdążył choć raz wypalić.

Zerknął w lewo. Dzieciak się trząśł.

– Bardzo proszę – rzekł.

– To znaczy, czym one są?

– Czym albo kim, żadna różnica. To wróg. Wślizgujący się spoza krawędzi czasu. W tej chwili, podczas przekazania, atakuje całymi stadami.

Razem zeszli po schodach. Znajdowali się w małym domku na przedmieściach. W kuchni siedzieli kobieta i mężczyzna, na stole stała butelka szampana. Najwyraźniej nie zauważyli dwóch mężczyzn w mundurach, którzy przeszli przez pokój. Kobieta nalewała szampana.

Mundur młodego był świeżo wyprasowany, granatowy i na oko nowiuteńki. Jego roksydra wisiała u pasa, pełna jasnego piasku. Postrzępiony mundur Dwunastego wyblakł, był teraz błękitnoszary, połatany w miejscach, gdzie go rozcięto, rozszarpano bądź przepalono. Dotarli do drzwi kuchennych i...

Łup!

Znaleźli się na dworze, w lesie, w bardzo zimnym miejscu.

– Padnij! – zawołał Dwunasty.

Ostry stwór przeleciał im nad głowami i zderzył się z rosnącym tuż obok drzewem.

– Mówiłeś chyba – zagadnął dzieciak – że nie zawsze tak jest.

Dwunasty wzruszył ramionami.

– Skąd one się biorą?

– Z czasu – odparł Dwunasty. – Ukrywają się za sekundami i próbują przedrzeć do środka.

W lesie nieopodal coś huknęło i wysoki świerk zaczął płonąć migotliwym, miedzianozielonym ogniem.

– Gdzie są?

– Znów nad nami. Zazwyczaj ukrywają się nad lub pod tobą.

Posypały się z góry niczym iskry ze sztucznego ognia, piękne, białe i być może nieco niebezpieczne.

Dzieciak zaczynał łapać o co chodzi. Tym razem obaj wystrzelili jednocześnie.

– Miałeś jakąś odprawę? – spytał Dwunasty.

Po lądowaniu iskry wyglądały mniej pięknie i znacznie bardziej niebezpiecznie.

– Niezupenie. Powiedzieli jedynie, że to trwa tylko rok.

Dwunasty błyskawicznie przeładował. Był pomarszczony, pokryty bliznami. Dzieciak wydawał się za młody, by móc podnieść broń.

– A mówili ci, że ten rok będzie jak całe życie?

Tamten pokręcił głową. Dwunasty przypomniał sobie siebie samego z dawnych czasów, gdy nosił identyczny czysty, nieskalany mundur. Czy kiedykolwiek był taki młody? Taki niewinny?

Załatwił pięć iskrodemonów. Dzieciak zabił pozostałe trzy.

– Czyli to rok walki – podsumował dzieciak.

– Sekunda za sekundą – dodał Dwunasty.

Łup!

Fale rozbijały się o plażę. Tu było gorąco – styczeń na południowej półkuli. Ale wciąż panowała noc. Nad nimi, na niebie wisiały nieruchomo fajerwerki. Dwunasty sprawdził swoją roksydrę: pozostało tylko parę ziarenek. Niemal już skończył.

Przeczesał wzrokiem plażę, fale, skały.

– Nie widzę go – mruknął.

– A ja tak – odrzekł dzieciak.

W chwili, gdy pokazał ręką, coś wynurzyło się z morza, coś wielkiego ponad wszelkie wyobrażenie, gigantyczny masyw, złowieszczy ogrom, same macki i szpony. Uniosło się z rykiem.

Dwunasty w mgnieniu oka ściągnął z pleców wyrzutnię raketową i oparł ją o ramię. Wystrzelił, patrząc, jak ogień rozkwita na ciele stwora.

– Największy jakiego widziałem – zauważył. – Może najlepsze zachowują na koniec.

– Hej! – zaprotestował dzieciak. – Dla mnie to dopiero początek.

I wtedy stwór rzucił się na nich, wymachując i kłapiąc krabimi kleszczami, chłoszcząc mackami, na próżno otwierając i zamykając paszczę. Pobiegli w górę piaszczystej wydmy.

Dzieciak biegł szybciej niż Dwunasty: był młodszy i czasami to daje przewagę. Dwunastego zabolalo biodro, potknął się. Jego ostatnie ziarnko piasku spadało przez roksydrę, gdy coś – najpewniej macka – okręciło mu się wokół nogi i upadł.

Uniósł głowę.

Dzieciak stał na wydmie w rozkroku, jak uczył na obozie szkoleniowym, trzymając w rękach wyrzutnię raketową nieznanego typu – pewnie coś nie z czasów Dwunastego. Pożegnał się w myślach, wleczony po plaży, piasek drapał mu twarz, a potem rozległ się głuchy huk i macka odpadła od jego nogi, gdy stwór poleciał do tyłu w morze.

Koziółkował w powietrzu, kiedy ostatnie ziarnko spadło i zabrała go Północ.

Dwunasty otworzył oczy w miejscu, gdzie odchodzą stare lata. Czternasta pomogła mu zejść z postumentu.

– I jak poszło? – spytała Tysiąc Dziewięćset Czternasta. Nosila białą spódnicę do ziemi i długie białe rękawiczki.

– Z każdym rokiem robią się coraz niebezpieczniejsze – odparł Dwa Tysiące Dwunasty. – Sekundy i stwory ukryte za nimi. Ale podoba mi się ten nowy dzieciak. Myślę, że świetnie sobie poradzi.

Opowieść lutowa

Szare lutowe niebo, mglistobiałe piaski, czarne skały, i morze także wydawało się czarne, jak na monochromatycznym zdjęciu. Jedyne akcent kolorystyczny w tym świecie stanowiła dziewczyna w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym.

Dwadzieścia lat temu stara kobieta krążyła po plaży niezależnie od pogody, pochylona, wbijając wzrok w piasek. Od czasu do czasu schylała się z mozołem, by podnieść kamień i zajrzeć pod niego. Kiedy przestała przychodzić na plażę, pojawiła się kobieta w średnim wieku, jak zakładam, jej córka, i zaczęła wędrować po piasku z mniejszym entuzjazmem niż matka. Teraz i ona przestała przychodzić i zastąpiła ją dziewczyna.

Ruszyła ku mnie. Poza nią byłem jedyną osobą na zamglonej plaży. Nie wyglądałam o wiele starszej od niej.

– Czego szukasz?! – zawołałem.

Skrzywiła się.

– A czemu sądzisz, że w ogóle czegoś szukam?

– Przychodzisz tu co dzień, przed tobą przychodziła jedna pani, przed nią druga, bardzo stara, z parasolką.

– To była moja babka – oznajmiła dziewczyna w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym.

– Co zgubiła?

– Wisiorek.

– Musiał być bardzo cenny.

– Niezupełnie. Ma wartość sentymentalną.

– Musi chodzić o coś więcej, skoro rodzina szuka go od nie wiadomo ilu lat.

– Tak. – Zawahała się, a potem dodała: – Babcia twierdziła, że zabrałby ją do domu. Mówiła, że przybyła tu tylko po to, by się rozejrzeć. Była ciekawa. A potem zaczęła się bać nosić przy sobie wisiorek, więc ukryła go pod kamieniem, by móc znów go znaleźć, kiedy wróci. A gdy faktycznie wróciła, sama nie wiedziała, który to kamień. – Zapomniała. To było pięćdziesiąt lat temu.

– Gdzie stał jej dom?

– Nigdy nam nie zdradziła.

To, jak mówiła dziewczyna, sprawiło, że następne pytanie zadałem z lękiem.

– Czy ona wciąż żyje? Twoja babcia?

– Tak. Mniej więcej. Ale ostatnio już z nami nie rozmawia. Po prostu spogląda w morze. To musi być straszne, taka starość.

Pokręciłem głową. Wcale nie. Potem wsunąłem dłoń do kieszeni płaszcza, wyjąłem i uniosłem ku niej.

– Czy ona tak wyglądała? Znalazłem go na plaży rok temu. Pod kamieniem.

Piasek ani słona woda nie zostawiły żadnego śladu na wisioru.

Dziewczyna spojrzała ze zdumieniem, potem ucisnęła mnie i podziękowała, wzięła wisior i pobiegła mglistą plażą w stronę miasteczka.

Patrzyłem, jak się oddala, błysk złota w czarno-białym świetle, w dłoni ścisnęła wisior babci. Identyczny jak ten, który nosiłem na szyi.

Zastanawiałem się, czy jej babcia, moja młodsza siostra, kiedykolwiek wróci do domu. A jeśli tak, czy wybaczy mi dowcip, jaki jej spłatałem. Może zdecyduje się zostać na ziemi i zamiast tego odeśle dziewczynę. To mogłoby być zabawne.

Dopiero gdy moja cioteczna wnuczka zniknęła i zostałem sam, popłynąłem w górę, pozwalając, by wisior powiódł mnie do domu, w ogrom nad nami, gdzie wędrujemy między samotnymi, niebiańskimi wielorybami, a niebo i morze są jednością.

Opowieść marcowa

...Wiemy tylko jedno, że nie została stracona.

– Charles Johnson, „Ogólna historia napaści i morderstw najgorszych z piratów”.

W wielkim domu było za gorąco, toteż obie wyszły na werandę. Daleko na wschodzie wzbierała wiosenna burza, na horyzoncie już migwały błyskawice, a nieprzewidziane chłodne podmychy wiatru chłodziły je obie. Usiadły wdzięcznie na huśtawce, matka i córka, rozmawiając o tym, kiedy mąż kobiety wróci do domu, bo popłynął statkiem z ładunkiem zbiorów tytoniu do odległej Anglii.

Mary, trzynastoletnia, taka śliczna i tak łatwo się dziwiąca, powiedziała.

– Przyznaję szczerze, rada jestem, że wszyscy piraci zawiśli na szubienicy i ojciec wróci do nas bezpiecznie.

Twarcz matki rozjaśnił łagodny uśmiech, który nie zniknął, gdy odparła:

– Nie życzę sobie rozmawiać o piratach, Mary.

* * *

Kiedy była młodą panienką, ubierała się w męski strój, by ukryć skandal dotyczący ojca. Nie nosiła sukienki, póki nie znalazła się na pokładzie z ojcem i matką, jego służącą i kochanką, którą w nowym świecie miał nazwać żoną. Razem płynęli z Cork do Caroliny.

I właśnie w czasie tej podróży, spowita w obce stroje, niezgrabna w dziwacznych spódnicach,

zakochała się po raz pierwszy. Miała jedenaście lat, i to nie żeglarz skradł jej serce, ale sam statek: Anne siadywała na dziobie, patrząc na falujący w dole szary Atlantyk, słuchając krzyków mew i czując, jak Irlandia oddala się z każdą chwilą, a wraz z nią odchodzą dawne kłamstwa.

Kiedy dotarli do celu, z żalem porzuciła ukochanego, i choć ojciec prosperował w nowym kraju, ona wciąż śniła o skrzypieniu masztów i łopocie żagli.

Jej ojciec był dobrym człowiekiem: ucieszył się, kiedy wróciła, i słowem nie wspomniał o tym, co działo się pod jej nieobecność: o młodym mężczyźnie, którego poślubiła, o tym, jak zabrał ją do Providence. Wróciła do rodziny trzy lata później z dzieckiem u piersi. Oznajmiła, że jej mąż zmarł, a choć krążyły liczne plotki i pogłoski, nawet właścicielkom najostrzejszych języków nie przyszło do głowy, by sugerować, że Annie Riley to piratka Anne Bonny, pierwsza oficer Czerwonego Rackhama.

– Gdybyś walczył jak mężczyzna, nie musiałbyś zdychać jak pies. – Tak według ludzi brzmiały ostatnie słowa Anne Bonny do mężczyzny, który umieścił w jej brzuchu dziecko.

* * *

Pani Riley oglądała grę błyskawic i słuchała pierwszych grzmotów odległej burzy. Włosy już jej siwiały, a skórę miała jasną, jak każda miejscowa zamożna niewiasta.

– Zupełnie jakby strzelali z armat – rzekła Mary (Anne nazwała ją imieniem własnej matki i najlepszej przyjaciółki z czasów, gdy przebywała poza wielkim domem).

– Skąd niby takie pomysły? – spytała wyniośle matka. – W tym domu nie rozmawiamy o armatach.

I wtedy spadł pierwszy deszcz marca, a pani Riley zaskoczyła córkę, wstając z huśtawki na werandzie i wychylając się tak, że obryzgał jej twarz niczym morską pianą. Zupełnie nie pasowało to do tak szanowanej niewiasty.

Kiedy deszcz ściekał jej na twarz, wyobraziła sobie, że znów tam jest: dowodzi własnym okrętem, wokół rozbrzmiewa kanonada, słona bryza niesie ze sobą smród palonego prochu. Pokład jej statku byłby pomalowany na czerwono, by ukryć plamy krwi podczas bitwy. Wiatr wypełniałby wydęte żagle z trzaskiem tak głośnym jak ryk armat, gdy szykowałiby się do abordażu statku kupieckiego, z którego zabraliby co tylko zechcą, klejnoty i monety. A potem ogniście pocałunki z pierwszym oficerem, kiedy obłąd przeminie.

– Matko? – zagadnęła Mary. – Zda mi się, że myślisz o jakimś wielkim sekrecie: uśmiechasz się tak niezwykle.

– Niemądra dziewczyno, *acushla* – odparła matka, a potem dodała: – Myślałam o twoim ojcu.

Mówiła prawdę, a marcowe wiatry dęły wokół nich, niosąc ze sobą szaleństwo.

Opowieść kwietniowa

Wiadomo, że za bardzo naciskamy na kaczkę, kiedy przestają nam ufać, a mój ojciec od zeszłego lata nieustannie próbował je naciągnąć.

Podchodził do stawu.

– Cześć, kaczkę – mówił do kaczek.

W styczniu zaczęły odpływać na jego widok. Jeden szczególnie rozdrażniony kaczor – nazwaliśmy go Donald, ale tylko za jego plecami: kaczkę są bardzo wrażliwe na podobne teksty – zostawał w tyle i ochrzaniał swojego ojca.

– Nie jesteśmy zainteresowani – mówił. – Nie chcemy kupić niczego co sprzedajesz: ani ubezpieczeń na życie, ani encyklopedii, ani sajdingów aluminiowych, ani zapalek, a zwłaszcza środków przeciwko wilgoci.

– Podwajamy stawkę? – zakwakała szczególnie oburzona krzyżówka. – Jasne, a ty rzucisz monetą. Z dwoma orłami...

Kaczki, które miały okazję obejrzyć wzmiankowaną monetę, kiedy ojciec wrzucił ją do stawu, wszystkie zakwakały potakująco i nadąsane odpłynęły elegancko na drugą stronę stawu.

Ojciec wziął to do siebie.

– Te kaczki – mruknął. – Zawsze tam były, jak krowa, którą można wydoić. To frajerki, najlepsze jakie istnieją. Można było do nich wracać raz po raz. A ja schrzaniłem podejście.

– Musisz sprawić, że znów ci zaufają – odparłem. – Albo lepiej, po prostu zacznij być uczciwy. Spuść zasłonę na dawne czasy. Teraz masz prawdziwą pracę.

Ojciec pracował w wioskowej gospodzie, naprzeciwko stawów dla kaczek.

Ale nie spuścił zasłony, najwyżej lekko ją przesunął. Kradł z kuchni świeży chleb, zabierał nie do końca opróżnione butelki czerwonego wina i chodził nad staw, żeby zdobyć sobie zaufanie kaczek.

Zabawiał je przez cały marzec, karmił, opowiadał dowcipy, robił wszystko, by je zmiękczyć. Dopiero kiedy świat zamienił się w jedną wielką kałużę, a drzewa wypuściły nowe, świeże liście i wszystko strząsnęło z siebie zimę, przyniósł talię kart.

– Może zagramy? – zaproponował. – Jak przyjaciele, nie na pieniądze.

Kaczki popatrzyły po sobie nerwowo.

– No nie wiem – mruknęła jedna z nich niepewnie.

A potem starszy samiec krzyżówki, którego nie poznałem, z wdziękiem wyciągnął skrzydło.

– Tyle razy częstował nas świeżym chlebem, tyle razy przynosił dobre wino, że byłoby niegrzecznie odmówić. Może partyjkę remika? Albo zagramy w wojnę?

– A może w pokera? – zaproponował mój ojciec z pokerową twarzą i kaczki się zgodziły.

Mój ojciec bardzo się ucieszył. Nie musiał nawet sugerować, żeby zaczęły grać na pieniądze, bo dzięki temu gra będzie ciekawsza – zrobiła to stara krzyżówka.

Przez lata trochę się nauczyłem na temat rozdawania z dołu, patrzyłem, jak ojciec siedział wieczorami w salonie i ćwiczył raz po raz, ale ten stary kaczor mógł go nauczyć kilku sztuczek. Rozdawał z dołu. Rozdawał ze środka. Wiedział, gdzie jest każda karta w talii, i potrzebował tylko lekkiego ruchu skrzydła, by umieścić je dokładnie tam gdzie chciał.

Kaczki oskubały ojca ze wszystkiego: z portfela, zegarka, butów, tabakiery i ubrania, w którym przyszedł. Gdyby przyjęły zakład o chłopca, straciłby także mnie i możliwe, że pod wieloma względami tak właśnie się stało.

Wrócił do gospody tylko w bieliznie i skarpetkach. Kaczki wyjaśniły, że nie lubią skarpetek. To kacze sprawy.

– Przynajmniej zostały ci skarpetki – powiedziałem.

To był kwiecień, kiedy mój ojciec nauczył się, że nie należy ufać kaczkom.

Opowieść majowa

W maju dostałem anonimową kartkę z życzeniami z okazji dnia matki. To mnie zdziwiło, chyba z pewnością zauważyłbym, gdybym kiedykolwiek urodził jakieś dziecko?

W czerwcu znalazłem kartkę z napisem „Normalne usługi zostaną przywrócone jak najszybciej”, przyklejoną do lustra w łazience, obok kilku małych, zaśniedziałych miedziaków niepewnego nominału i pochodzenia.

W lipcu dostałem trzy pocztówki, co tydzień jedną, wszystkie z pieczętkami ze Szmaragdowego Grodu w Oz, informujące, że osoba, która je wysłała, świetnie się bawi, i zawierające prośbę, bym przypomniał Doreen, żeby zmieniła zamki w tylnych drzwiach i na pewno odwołała dostawę mleka. Nie znam nikogo o imieniu Doreen.

W sierpniu ktoś zostawił mi na progu bombonierkę z czekoladkami. Przyklepiono do niej naklejkę głoszącą, że to dowód w ważnym procesie i czekoladek pod żadnym pozorem nie wolno zjeść, póki nie zdejmie się z nich odcisków palców. Czekoladki roztopiły się w sierpniowym słońcu na lepką brązową masę i wyrzuciłem całe pudełko.

We wrześniu dostałem paczkę, a w środku pierwszy numer „Action Comics”, pierwsze folio dramatów Szekspira i prywatnie wydany egzemplarz powieści Jane Austen, której nie znałem, pod tytułem „Dowcip i dzikość”. Nie interesują mnie komiksy, Szekspir ani Jane Austen, zostawiłem zatem książki w gościnnej sypialni. Kiedy tydzień później potrzebowałem czegoś do poczytania w wannie i poszedłem po nie, odkryłem, że zniknęły.

W październiku znalazłem kartkę z napisem „Normalne usługi zostaną przywrócone jak najszybciej. Słowo” przyklepioną do bocznej ściany akwarium ze złotymi rybkami. Wyglądało też na to, że ktoś ukradł dwie rybki i podmienił na identyczne sobowtóry.

W listopadzie dostałem list z żądaniem okupu, informujący dokładnie, co muszę zrobić, jeśli chcę jeszcze kiedyś zobaczyć mojego wuja Theobalda żywego. Nie mam wuja Theobalda, ale i tak przez cały miesiąc nosiłem różowy goździk w butonierce i żywiłem się sałatkami.

W grudniu przysła kartka świąteczna ze znaczkiem z bieguna północnego, informująca, że w tym roku z powodu błędu urzędnika nie znalazłem się na liście ani grzecznych, ani niegrzecznych. Imię w podpisie zaczynało się na M – to mógł być Mikołaj, ale bardziej wyglądał jak Michael.

W styczniu, obudziwszy się, odkryłem, że ktoś napisał NAJPIERW ZAŁÓŻ MASKĘ SOBIE, A POTEM INNYM na suficie mojej maleńkiej kuchni cynobrową farbą. Kilka kropel ściekło na podłogę.

W lutym na przystanku autobusowym podszedł do mnie mężczyzna i pokazał mi czarny posążek sokoła, który przyniósł w siatce. Poprosił, żebym pomógł mu ochronić go przed jakimś Tłusciochem. A potem zobaczył kogoś za moimi plecami i uciekł.

W marcu dostałem trzy spamowe listy. Pierwszy z informacją, że być może wygrałem już milion dolarów, drugi informujący, że być może zostałem już wybrany na członka Akademii Francuskiej, a trzeci powiadamiający, że być może zostałem ogłoszony tytularnym władcą Świętego Imperium Rzymskiego.

W kwietniu na szafce przy łóżku znalazłem liścik przepaszający za problemy z usługami i zapewniający, że od tej pory wszystkie błędy we wszechświecie zostały raz na zawsze naprawione. „Przepraszamy za niewygodnych”, kończył się.

W maju dostałem kolejną kartkę na dzień matki, tym razem nie anonimową: była podpisana,

ale nie mogłem odczytać podpisu. Zaczynał się na M, ale niemal z całą pewnością nie brzmiał Michael.

Opowieść czerwcową

Moi rodzice nie zgadzają się ze sobą. Tacy już są. To coś więcej niż zwykła niezgoda. Kłócą się. O wszystko. Wciąż nie do końca rozumiem, jakim cudem udało im się przestać kłócić dostatecznie długo, by wziąć ślub, a co dopiero spłodzić mnie i moją siostrę.

Matka wierzy w redystrybucję bogactwa, uważa, że największy problem z komunizmem był taki, że nie zaszedł on dostatecznie daleko. Ojciec postawił na szafce ze swojej strony łóżka fotografię królowej w ramach i głosuje na największych konserwatystów. Mama chciała nazwać mnie Susan, ojciec Henrietta, na cześć swojej ciotki. Żadne z nich nie zgadzało się ustąpić nawet o krok, toteż jestem jedyną Susietą w mojej szkole i pewnie na całym świecie. Z podobnych powodów imię mojej siostry brzmi Alismima.

Nie zgadzają się co do niczego, nawet temperatury.

Ojcu jest zawsze za gorąco, mamie za zimno. Przykręcają i rozkręcają kaloryfery, otwierają i zamykają okna, gdy tylko jedno wyjdzie z pokoju. Ciągłe się z siostrą przeziębiamy i myślę, że to chyba dlatego.

Nie potrafili nawet ustalić, w jakim miesiącu będziemy wyjeżdżać na wakacje. Tato oznajmił, że zdecydowanie w sierpniu, mama oświadczyła, że bez dwóch zdań w lipcu. To oznaczało, że musieliśmy wyjechać na wakacje w czerwcu, co nie odpowiadało nikomu.

Potem nie mogli ustalić, dokąd pojedziemy. Tato upierał się przy wycieczce na kucykach po Islandii, mama zgadzała się pójść na drobne ustępstwa i zaakceptować karawanę wielbłądów przez Saharę. Oboje spojrzeli na nas jak na głupie, kiedy zaproponowałyśmy, że chętnie posiedziałybyśmy na plaży w południowej Francji, czy podobnym miejscu. Przestali się kłócić na dość długo, by nam oznajmić, że nie ma mowy, podobnie wykluczyli wyprawę do Disneylandu i znów zaczęli się spierać.

Kłótnie o to, Dokąd Pojedziemy Na Wakacje, zakończyli w czerwcu, trzaskając mnóstwem drzwi i wrzeszcząc na siebie teksty w stylu „bardzo proszę!”.

Kiedy nadeszła pora niewygodnych wakacji, byliśmy z siostrą pewne tylko jednego: nigdzie nie wyjedziemy. Wypożyczyłyśmy stertę książek z biblioteki, tyle ile mogłyśmy we dwie, i przygotowałyśmy się do wysłuchiwania mnóstwa kłótni przez następne dziesięć dni.

A potem zjawili się ludzie w ciężarówkach, przywieźli do domu różne rzeczy i zaczęli je instalować.

Mama kazała im umieścić saunę w piwnicy. Wysypali podłogę całą kupą piasku, na suficie zawiesili lampę do opalania. Mama rozłożyła ręcznik na piasku pod lampą i wyciągnęła się na nim. Ściany piwnicy oblepiła zdjęciami wydm i wielbłądów, wkrótce jednak zaczęły oblażyć z gorąca.

Tato kazał zamontować w garażu lodówkę – największą lodówkę, jaką znalazł, tak wielką, że dało się do niej wejść. Wypełniła garaż do tego stopnia, że musiał zacząć parkować na podjeździe. Rano wstawał, ubierał się ciepło w gruby, islandzki, wełniany sweter, brał książkę i termos pełen gorącej czekolady oraz kanapki z marmitem i ogórkiem i maszerował tam z szerokim uśmiechem na twarzy. Wychodził dopiero na obiad.

Zastanawiam się, czy ktokolwiek jeszcze ma równie dziwną rodzinę. Moi rodzice nie zgadzają się w żadnej sprawie.

– Wiedziałaś, że mama wkłada płaszcz i popołudniami zakrada się do garażu? – spytała nagle moja siostra, gdy siedziałyśmy w ogrodzie, czytając książki z biblioteki.

Nie wiedziałam, ale widziałam, jak tato ubrany tylko w kąpielówki i szlafrok schodził tego ranka do piwnicy, by pobyć z mamą, z wielkim, niemądrym uśmiechem na twarzy.

Nie rozumiem rodziców. Szczerze mówiąc, uważam, że nikt nie rozumie.

Opowieść lipcowa

W dniu, kiedy żona odeszła, oświadczając, że musi pobyć sama i mieć trochę czasu, aby wszystko przemyśleć, pierwszego dnia lipca, gdy słońce prażyło, rozgrzewając jezioro w samym środku miasta, kiedy kukurydza na otaczających mój dom polach sięgała już do kolan, a przesadnie entuzjastyczne dzieci wystrzeliły w niebo pierwsze rakiety i fajerwerki, aby spłoszyć sąsiadów i rozjaśnić letni wieczór, zbudowałem na podwórku igloo z książek.

Do budowy użyłem tych w miękkich okładkach – bałem się ciężaru spadających tomów w sztywnych oprawach bądź encyklopedii, gdybym popełnił jakiś błąd.

Ale igloo wytrzymało. Miało trzy i pół metra wysokości i tunel, przez który mogłem wczłgać się do środka, chroniący przed mroźnymi, arktycznymi wiatrami.

Zaniosłem do zbudowanego z książek igloo więcej książek i czytałem je tam. Podziwiałem, jakie jest ciepłe i wygodne. Po przeczytaniu książek odkładałem je, robiąc z nich podłogę. A potem przynosiłem kolejne i siadałem na nich, eliminując ze swego świata resztki zielonej lipcowej trawy.

Następnego dnia zjawili się przyjaciele. Na czworakach wczłgali się do mojego igloo. Powiedzieli, że zachowuję się jak wariat. Odparłem, że przed zimowym chłodem chroni mnie jedynie odziedziczony po ojcu zbiór książek z lat pięćdziesiątych, wiele o dość pikantnych tytułach, barwnych okładkach i rozczarowująco przyziemnej treści.

Przyjaciele odeszli.

Siedziałem w swoim igloo, wyobrażając sobie arktyczną noc na zewnątrz. Zastanawiałem się, czy niebo nade mną wypełnia Zorza Polarna. Wyjrzałem nawet, ale zobaczyłem tylko noc, pełną maleńkich gwiazd.

Spałem w igloo zbudowanym z książek. Kiedy zgłodniałem, zrobiłem dziurę w podłodze, opuściłem do niej linkę z haczykiem i czekałem, aż coś się złapie. W końcu wyciągnąłem rybę zrobioną z książek – starych kryminałów Penguina w zielonych okładkach. Zjadłem ją na surowo, bo bałem się rozpalić ogień w igloo.

Kiedy wyszedłem na dwór, zauważyłem, że ktoś usłał cały świat książkami: książkami w jasnych okładkach, wszelkich odcieniach bieli, błękitu i fioletu. Wędrowałem po lodowcach z książek.

Na zewnątrz zobaczyłem na krze kogoś, kto wyglądał jak moja żona. Budowała lodowiec z autobiografii.

– Sądziłem, że mnie opuściłaś – powiedziałem. – Myślałem, że zostawiłaś mnie samego.

Nie odpowiedziała i pojąłem, że była tylko cieniem cienia.

Był lipiec, kiedy w Arktyce słońce nigdy nie zachodzi, ale zrobiłem się zmęczony i ruszyłem

z powrotem do igloo.

Zanim ujrzałem niedźwiedzie, dostrzegłem ich cienie: wielkie i jasne, ze stronic groźnych książek, wierszy starych i nowoczesnych. Krążyły po lodowcach w postaci niedźwiedzi, wypełnione słowami, które mogły ranić swym pięknem. Widziałem papier i pokrywające go słowa i przeraziłem się, że niedźwiedzie mnie zobaczą.

Wczołgałem się z powrotem do igloo, by uniknąć niedźwiedzi. Możliwe, że zasnąłem w ciemności. A potem znów się wyczółgałem i położyłem na wznak na lodzie, patrząc na niespodziewane kolory migotliwej zorzy polarnej i słuchając trzasków i huków odległego lodu, kiedy góra lodowa z bajek odpadła od lodowca z książek o mitologiach.

Nie wiem kiedy uświadomiłem sobie, że ktoś jeszcze leży na ziemi obok mnie. Słyszałem jej oddech.

– Są bardzo piękne, prawda? – spytała.

– To Aurora Borealis, zorza polarna – odparłem.

– To fajerwerki z okazji czwartego lipca, skarbie – poprawiła żona.

Ujęła mnie za rękę i razem oglądaliśmy ognie sztuczne.

Kiedy ostatnie fajerwerki zniknęły w chmurze złotych gwiazd, dodała:

– Wróciłam do domu.

Nie odpowiedziałem. Ale bardzo mocno ścisnąłem jej dłoń i opuściłem igloo zbudowane z książek, by wrócić z nią do domu, w którym mieszkaliśmy, wyciągając się niczym kot w lipcowym upale.

Usłyszałem odległy grzmot. Nocą, kiedy spaliśmy, zaczął padać deszcz, który zburzył moje igloo z książek, zmywając słowa ze świata.

Opowieść sierpniowa

W sierpniu tego roku pożary lasów zaczęły się wcześniej. Wszystkie burze, które mogły zmoczyć świat, odeszły na południe i zabrały ze sobą deszcz. Każdego dnia widzieliśmy helikoptery przelatujące nad nami z ładunkiem wody z jeziora, gotowym, by opaść na odległy ogień.

– W Australii eukaliptus używa ognia, by przeżyć – oznajmił Peter, pochodzący z Australii właściciel domu, w którym mieszkam, sprzątam i gotuję dla nas obu. – Nasiona niektórych eukaliptusów nie wykiełkują, chyba że wcześniej pożar lasu nie zniszczy całego poszycia. Potrzebują takiego gorąca.

– Niemniej to dziwne – zauważyłem. – Coś wykluwa się z płomieni.

– Niezupełnie – nie zgodził się Peter. – To zdecydowanie normalne. Pewnie częściej się to zdarzało, kiedy ziemia była gorętsza.

– Trudno sobie wyobrazić świat gorętszy niż ten.

Prychnął.

– To nic – rzekł, a potem zaczął opowiadać o dotkliwych upałach, które przeżył w dzieciństwie w Australii.

Następnego ranka, w telewizji ogłosili, że mieszkańcy naszej okolicy powinni się ewakuować: mieliśmy bardzo wysokie zagrożenie pożarowe.

– Kupa bzdetów – rzucił z urazą Peter. – Dla nas to przecież nie problem, mieszkamy na wzgórzu, a wokół nas płynie strumień.

Podczas deszczów strumień miewał nawet półtora metra głębokości, teraz najwyżej ćwierć metra, no może pół.

Późnym popołudniem w powietrzu unosił się ciężki zapach drzewnego dymu, a telewizor i radio powtarzały, że musimy uciekać, natychmiast, jeśli zdołamy. Uśmiechaliśmy się do siebie, popijając piwo i gratulując sobie nawzajem dobrego zrozumienia trudnej sytuacji, tego, że nie wpadliśmy w panikę i nie uciekliśmy.

– My, ludzkość, jesteście zadowoleni z siebie – oznajmiłem. – Wszyscy z nas, ludzi. Widzimy, jak liście smażą się na drzewach w gorący sierpniowy dzień, i nadal nie wierzymy, że cokolwiek tak naprawdę się zmieni. Nasze imperia będą trwały wiecznie.

– Nic nie trwa wiecznie – odparł Peter i znalazł sobie kolejne piwo, po czym opowiedział o przyjacielu z Australii, który powstrzymał pożar buszu, próbujący ogarnąć rodzinną farmę, zalewając piwem pierwsze niewielkie zarzewia, gdy tylko się pojawiały.

Ogień nadciągnął doliną w naszą stronę niczym koniec świata i uświadomiliśmy sobie jak niewielką ochronę zapewnia nam strumień. Samo powietrze płonęło.

Wtedy w końcu uciekliśmy, popychając się nawzajem, kaszląc w dławiącym dymie. Zbiegaliśmy ze wzgórza, póki nie dotarliśmy do strumienia. Położyliśmy się w nim, wystawiając nad wodę tylko głowy.

Zobaczyliśmy, jak wykluwają się w ognistym piekle z płomieni, wznoszą i wzlatują. Przypominały ptaki dziobiące płonące ruiny domu na wzgórzu. Widziałem, jak jeden unosi głowę i wydaje tryumfalny okrzyk. Słyszałem go pośród trzasku płonących liści i ryku ognia, usłyszałem zew feniksa i zrozumiałem, że nic nie trwa wiecznie.

Sto ognistych ptaków wzbiło się w niebo, a woda w strumieniu zaczęła wrzeć.

Opowieść wrześniowa

Moja matka miała pierścionek w kształcie lwiej głowy. Za jego pomocą rzucała drobne czary – znajdowała miejsce do parkowania, sprawiała, że kolejka w supermarkecie, w której stała, poruszała się nieco szybciej, powodowała, że sprzecząca się para przy sąsiednim stoliku przestawała się sprzeczać i znów się w sobie zakochiwała. Tego typu sprawy. Po śmierci zostawiła mi go w spadku.

Za pierwszym razem zgubiłem go w kafejce. Chyba bawiłem się nim nerwowo, zdejmując z palca i znów zakładając. Dopiero po powrocie do domu uświadomiłem sobie, że już go nie mam.

Wróciłem do kafejki, ale po pierścionku nie było ani śladu.

Kilka dni później zwrócił mi go taksówkarz, który znalazł go na chodniku przed kafejką. Powiedział, że matka pojawiła mu się we śnie i podała mój adres oraz swój przepis na staroświecki sernik.

Za drugim razem, kiedy zgubiłem pierścionek, opierałem się o poręcz mostu, z roztargnieniem wrzucając szyszki do płynącej w dole wody. Nie sądziłem, że tkwi luźno na palcu, ale zleciał mi z dłoni razem z szyszką. Patrzyłem, jak, spadając, zatacza łuk w powietrzu. Z głośnym pluśnięciem wylądował w mokrym, ciemnym błocie na skraju rzeki i zniknął.

Tydzień później od człowieka spotkanego w pubie kupiłem łososia: zabrałem go z chłodziarki z tyłu starej zielonej furgonetki. Miałem go zjeść na obiad w swoje urodziny. Kiedy rozkroiłem

łososia, wypadł z niego pierścionek mojej matki z lwem.

Za trzecim razem, kiedy go zgubiłem, czytałem i opalałem się w ogrodzie. Był sierpień. Pierścionek leżał na ręczniku obok mnie, razem z okularami przeciwsłonecznymi i kremem do opalania. Nagle duży ptak (podejrzewam, że to sroka albo kawka, ale mogę się mylić. W każdym razie z pewnością jakiś krukowaty) śmignął w dół i odleciał, trzymając w dziobie pierścionek mojej matki.

Następnego wieczoru zwrócił mi go strach na wróble, poruszający się niezgrabnie. Mocno mnie przestraszył, kiedy stanął bez ruchu w kręgu światła lampy nad drzwiami, a potem, gdy tylko wzięłem pierścionek z wypchanej słomą rękawiczki, odszedł chwiejnie w ciemność.

– Niektórych rzeczy nie powinno się zatrzymywać – rzekłem do siebie.

Następnego ranka wsadziłem pierścionek do schowka na rękawiczki w starym samochodzie. Pojechałem autem na złomowisko i z satysfakcją patrzyłem, jak zgniatają wóz, zamieniając go w metalowy sześciąt wielkości starego telewizora, a potem wrzucają do kontenera, który wysła do Rumunii, gdzie zostanie przerobiony na różne użyteczne rzeczy.

Na początku września opróżniłem konto bankowe. Przeniosłem się do Brazylii, gdzie pod przybranym nazwiskiem podjąłem pracę projektanta stron sieciowych.

Jak dotąd nie ma ani śladu pierścionka matki. Ale czasami budzę się z głębokiego snu z walącym sercem, zlany potem, zastanawiając się, w jaki sposób odda mi go następnym razem.

Opowieść październikowa

– To przyjemne – powiedziałem i wyciągnąłem szyję, żeby rozluźnić skurcz.

Nie było to tylko przyjemne, ale doskonałe. Tak długo tkwiłem ściśnięty w lampie, że zaczynałem już myśleć, iż nikt jej nigdy nie potrze.

– Jesteś dżinem – oznajmiła młoda dama ze ściereczką do polerowania w dłoni.

– Istotnie. Sprytna z ciebie dziewczyna, ślicznotko. Co mnie zdradziło?

– To, że pojawiłeś się w kłębie dymu – odparła. – No i wyglądasz jak dżin. Masz turban i szpiczaste buty.

Splotłem ręce na piersi i zamrugąłem. Teraz miałem na sobie dżinsy, szare adidas i sprany szary sweter, męski mundur z tego czasu i miejsca. Uniosłem dłoń do czoła i ukloniłem się nisko.

– Jestem dżinem z lampy – oznajmiłem. – Raduj się, o szczęsna niewiasto, mam moc spełnienia trzech twoich życzeń. I nie próbuj sztuczki z życzeniem sobie dalszych życzeń – nie zadziała i stracisz życzenie. No dobra. Do rzeczy.

Znów splotłem ręce.

– Nie – odparła. – To znaczy, dzięki i w ogóle, ale nie trzeba. Niczego nie chcę.

– Skarbie – rzekłem. – Słoneczko. Cukiereczku. Może źle mnie zrozumiałaś. Jestem dżinem. A trzy życzenia? Rozmawiamy tu o wszystkim, czego zapragniesz. Marzyłaś kiedyś o lataniu? Mogę dać ci skrzydła. Chciałaś mieć majątek, być bogatsza od Krezusa? Pragniesz władzy? Wystarczy powiedzieć. Trzy życzenia. Czego tylko zapragniesz.

– Jak mówiłam – odrzekła – dzięki, nie trzeba. Chciałbyś się czegoś napić? Musisz konać z pragnienia po tylu latach w lampie. Wina? Wody? Herbaty?

Uch... Teraz, kiedy o tym wspomniała, faktycznie poczułem pragnienie.

– Masz może herbatę miętową?

Zaparzyła mi miętę w imbryku będącym niemal bliźniakiem lampy, w której spędziłem większość ostatniego tysiąclecia.

– Dziękuję za herbatę.

– Bardzo proszę.

– Ale nie rozumiem. Każdy, kogo poznałem, zaczynał o coś prosić. Piękny dom. Harem czarujących kobiet. Oczywiście nie mam na myśli, że akurat tego chcesz...

– A może? – odparła. – Nie wolno niczego zakładać z góry. Och, i nie nazywaj mnie skarbem, słoneczkiem ani czymś takim. Mam na imię Hazel.

– Ach! – Zrozumiałem. – Zatem pragniesz pięknej kobiety? Proszę o wybaczenie, wystarczy tylko poprosić.

– Nie. Nie trzeba, nie mam żadnych życzeń. Jak herbata?

Odparłem, że to najlepsza miętowa herbata, jaką kiedykolwiek piłem.

Wtedy spytała, kiedy zacząłem czuć potrzebę spełniania życzeń ludzi i czy odczuwam desperackie pragnienie zadowalania innych. Spytała też o moją matkę, a ja odparłem, że nie może mnie osądzać tak jak śmiertelników, bo jestem dżinem, potężnym i mądrym, magicznym i tajemniczym.

Zapytała, czy lubię hummus, a kiedy odparłem, że owszem, upiekła pitę i rozkroiła ją, żebym miał co zanurzać w hummusie.

Zanurzałem chleb w hummusie i jadłem ze smakiem. To podsunęło mi pewien pomysł.

– Powiedz tylko życzenie – rzekłem życzliwie – a dostarczę ci posiłek godny sultana. Każde danie będzie wspanialsze niż poprzednie, a wszystkie podane na złotych półmiskach. I będziesz mogła zatrzymać półmiski.

– Nie trzeba – odparła z uśmiechem. – Może chciałbyś się przejść?

Poszliśmy razem na spacer po mieście. Przyjemnie było wyciągnąć nogi po tylu latach w lampie. Wylądowaliśmy w parku, usiedliśmy na ławce nad stawem. Było ciepło, ale wietrznie, z każdym podmuchem jesienne liście opadały deszczem z drzew.

Opowiedziałem Hazel o mojej młodości jako dżina, o tym, jak podsłuchiwalismy anioły i jak rzuciły w nas kometami, kiedy kogoś zauważyły. Opowiedziałem jej o złych czasach wojen dżinów i o tym, jak król Sulejman uwięził nas w pustych przedmiotach: butelkach, lampach, glinianych dzbanach i tym podobnych.

Ona opowiedziała mi o swoich rodzicach: oboje zginęli w tym samym wypadku lotniczym i zostawili jej w spadku dom. Opowiedziała o pracy: ilustrowała książeczki dla dzieci. Zajęła się tym przypadkowo, kiedy zrozumiała, że nigdy nie będzie naprawdę fachową ilustratorką medyczną, i bardzo się cieszyła za każdym razem, gdy przysłano jej nową książkę do zilustrowania. Opowiedziała, że raz w tygodniu, wieczorem, uczy rysowania z natury dorosłych w miejscowej szkole dla pracujących.

Nie dostrzegłem w jej życiu żadnych oczywistych skaz, żadnej dziury, którą mogłaby wypełnić życzeniami.

– Masz dobrze życie – oznajmiłem – ale brak ci kogoś, z kim mogłabyś je dzielić. Wypowiedz życzenie, a sprowadzę ci doskonałego mężczyznę. Albo kobietę. Gwiazdę filmową. Może... bogacza.

– Nie trzeba, naprawdę – odparła.

Wróciliśmy do jej domu, mijając inne, przystrojone na Halloween.

- To nienormalne – oznajmiłem. – Ludzie zawsze czegoś chcą.
- Nie ja. Mam wszystko, czego potrzebuję.
- W takim razie, co mam zrobić?

Zastanowiła się, w końcu pokazała ręką frontowy ogródek.

- Potrafisz grabić liście?

– Takie jest twoje życzenie?

- Nie. To po prostu coś, czym mógłbyś się zająć, podczas gdy ja przygotowuję nam obiad.

Zgrabiłem liście na stos przy żywopłocie, by wiatr znów ich nie rozwiewał. Po obiedzie pozmywałem naczynia, noc spędziłem w gościnnej sypialni Hazel.

Nie chciała pomocy. Pozwalała mi pomagać. Robiłem różne rzeczy: odbierałem materiały malarskie i zakupy. W dniach, kiedy długo malowała, pozwalała mi masować sobie kark i ramiona. Mam mocne, zręczne dłonie.

Niedługo przed Świętem Dziękczynienia wyprowadziłem się z gościnnej sypialni na końcu korytarza do głównej sypialni i łóżka Hazel.

Dzisiaj rano przyglądałem się jej twarzy, gdy spała, patrzyłem, jak jej usta układają się przez sen. Pierwszy promień słońca musnął jej twarz, a ona otworzyła oczy, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Wiesz, o co nigdy cię nie spytałam? – rzekła. – O ciebie. Czego byś sobie życzył, gdybym spytała, jakie masz trzy życzenia?

Zastanowiłem się. Potem objąłem ją ręką, a ona położyła mi głowę na ramieniu.

– Nie trzeba – odparłem. – Niczego mi nie brakuje.

Opowieść listopadowa

Koksownik był mały, kwadratowy, zrobiony ze starego, poczerniałego od ognia metalu, być może miedzi bądź mosiądzu. Przyciągnął wzrok Eloise na wyprzedazy garażowej, bo oplatały go zwierzęta, może smoki, może węże morskie. Jednemu z nich brakowało głowy.

Kosztował tylko dolara i Eloise go kupiła, razem z czerwonym kapeluszem z wetkniętym z boku piórem. Jeszcze zanim wróciła do domu pożałowała zakupu kapelusza i pomyślała, że może da go komuś w prezencie. Ale po powrocie czekał na nią list ze szpitala, toteż postawiła koksownik w ogrodzie na tyłach. Wchodząc do środka, schowała kapelusz do szafy i więcej o nich nie myślała.

Mijały miesiące, a z nimi mijało pragnienie opuszczania domu. Każdy dzień ją osłabiał, każdy pozbawiał czegoś nowego. Przeniosła łóżko do pokoju na parterze, bo chodzenie bolało, bo była zbyt zmęczona, by wdrapywać się po schodach, bo tak było prościej.

Nadszedł listopad, a wraz z nim świadomość, że nigdy już nie ujrzy Bożego Narodzenia.

Istnieją rzeczy, których nie da się wyrzucić, rzeczy, których nie można zostawić ukochanym, by znaleźli je po śmierci. Rzeczy, które trzeba spalić.

Wyniosła do ogrodu czarną tekturową teczkę, pełną papierów, listów i starych zdjęć. Napełniła koksownik suchymi gałązkami i brązowymi papierowymi torbami na zakupy, a potem podpaliła zapalniczką do grilla. Dopiero gdy ogień zapłonął, otworzyła teczkę.

Zaczęła od listów, zwłaszcza tych, które chciała uchronić przed wzrokiem innych ludzi. Kiedy studiowała na uniwersytecie, był tam pewien profesor i związek, jeśli można tak go nazwać,

który bardzo szybko stał się bardzo zły i mroczny. Wszystkie jego listy spięła razem spinaczem. Teraz wrzucała je kolejno w płomienie, do tego zdjęcie przedstawiające ich oboje – cisnęła je w ogień jako ostatnie i patrzyła, jak zwija się i czernieje.

Sięgała po następną rzecz w tekturowej teczce, gdy uświadomiła sobie, że nie pamięta imienia profesora, ani tego czego uczył, ani dlaczego związek ów tak bardzo ją zranił, że przez następny rok była bliska samobójstwa.

Jako następne wyjęła zdjęcie swojego dawnego psa, Lassie, leżącej na grzbiecie obok dębu na podwórzu. Lassie nie żyła już od siedmiu lat, ale drzewo wciąż tam stało, teraz pozbawione liści w listopadowym chłodziu. Eloise wrzuciła fotografię do koksownika. Kochała tego psa.

Obejrzała się na drzewo, wspominając...

Na podwórzu nie było drzewa.

Nie został nawet pniak, jedynie brązowy listopadowy trawnik, zasłany liśćmi z drzew u sąsiadów.

Eloise zobaczyła to i nie zmartwiła się, że oszalała. Wstała sztywno i wróciła do domu. Jak zawsze ostatnimi czasy zszokowało ją własne odbicie w lustrze. Włosy miała tak rzadkie i cienkie, twarz tak wychudzoną.

Zabrała ze stolika obok zaimprovizowanego łóżka papiery: na wierzchu leżał list od onkologa, pod nim kilkanaście stron liczb i słów. Pod spodem tkwiły kolejne papiery, wszystkie ze szpitalnym logo na górze pierwszej strony. Zebrała je i do kompletu zgarnęła także rachunki ze szpitala. Ubezpieczenie pokryło większość, ale nie wszystkie.

Wyszła do ogrodu, przystając w kuchni, żeby złapać oddech.

Koksownik czekał, a ona wrzuciła w ogień wszystkie informacje medyczne. Patrzyła, jak brązowieją, czernieją i zamieniają się w popiół w listopadowym wietrze.

Kiedy ostatnia kartka z wynikami spłonęła, Eloise wstała i wróciła do domu. Lustro w holu ukazało ją jednocześnie znajomą i nową: miała teraz gęste kasztanowe włosy i uśmiechała się do siebie ze zwierciadła, jakby kochała życie, a radość postępowała za nią.

Eloise pomaszerowała do szafy w holu. Na półce leżał czerwony kapelusz. Ledwie go pamiętała, ale i tak założyła, obawiając się, że w kontraście z czerwienią jej twarz może wydać się blada i niezdrowa. Spojrzała w lustro. Wyglądała świetnie. Przekrzywiła zawadiacko kapelusz.

Na dworze ostatnia smuga dymu z czarnego, oplecionego węzami koksownika rozplywała się w mroźnym listopadowym powietrzu.

Opowieść grudniowa

Lato na ulicach jest ciężkie, ale latem można przynajmniej sypiać w parku i nie umrzeć z zimna. Zima to co innego. Zima bywa zabójcza. A nawet jeśli nie, mróz nadal wita człowieka jak swego wyjątkowego, bezdomnego przyjaciela i wciska się w każdy aspekt jego życia.

Donna nauczyła się wiele od starszych. Cały trik, mówili, polega na tym, by spać gdzie się da za dnia – linia metra Circle jest świetna, wystarczy kupić bilet i można jeździć cały dzień w kółko, drzemiąc w wagonie. Tak samo różne tanie kafejki, gdzie nie przeszkadza im osiemnastolatka wydająca pięćdziesiąt pensów na kubek herbaty, a potem przesypiająca w kąciku godzinę czy trzy, byle tylko wyglądała mniej więcej porządnie – natomiast nocą, kiedy

spada temperatura, a ciepłe miejsca zamykają drzwi na klucz i gaszą światła, trzeba pozostawać w ruchu.

Była dziewiąta wieczór i Donna spacerowała. Trzymała się dobrze oświetlonych miejsc i nie wstydziła prosić o pieniądze. Już nie. Ludzie zawsze mogli odmówić i większość tak właśnie robiła.

Kobieta na rogu ulicy nie miała w sobie niczego znajomego. W przeciwnym razie Donna by do niej nie podeszła. To był jej najgorszy koszmar – gdyby ktoś z Biddenden zobaczył ją w takim stanie: wstyd i strach, że powiedzieliby mamie (która nie należała do rozmownych, a słysząc, że babcia umarła, mruknęła tylko „najwyższy czas”), a potem mama powiedziałaby tacie, a on mógłby tu przyjechać i zacząć jej szukać i próbować zabrać do domu. To by ją zniszczyło. Nie chciała już nigdy widzieć go na oczy.

Kobieta na rogu przystanęła zaskoczona i rozglądała się, jakby zgubiła drogę. Zbłąkani przechodnie czasami chętnie dzielili się groszem, jeśli wyjaśniło im się którądy mają iść, by dojść do celu.

Donna podeszła bliżej.

– Pani, daj grosik.

Kobieta spojrzała na nią z góry. A potem wyraz jej twarzy się zmienił i wyglądała teraz jak... W tym momencie Donna zrozumiała tradycyjne banalne porównanie, pojęła dlaczego ludzie mówią „wyglądała jakby zobaczyła ducha”. Bo tak właśnie było.

– Ty? – rzuciła kobieta.

– Ja? – odparła Donna.

Gdyby rozpoznała kobietę, pewnie by się wycofała, może nawet uciekła, ale jej nie znała. Kobieta przypominała trochę matkę Donny, ale miłszą, łagodniejszą, pulchną tam, gdzie matka Donny była skrzywiona i wychudzona. Trudno było dostrzec szczegóły, bo miała na sobie grube czarne zimowe ubranie i grubą wełnianą czapkę z pomponem, a jej włosy pod czapką były równie pomarańczowe jak włosy Donny.

– Donna – powiedziała kobieta.

I teraz Donna już miała uciec, ale nie, została w miejscu, bo wszystko to było zbyt szalone, zbyt nieprawdopodobne, zbyt śmieszne, by powiedzieć na głos.

– O Boże – rzekła kobieta. – Donna. Jesteś tobą, prawda? Pamiętam. – Nagle urwała, zdawało się, że mruga zawzięcie, powstrzymując łzy.

Donna patrzyła na kobietę, gdy jej głowę wypełniała nieprawdopodobna, idiotyczna myśl.

– Czy jesteś tym, kim myślę?

Kobieta pokiwała głową.

– Jestem tobą. Albo będę. Pewnego dnia. Spacerowałam tędy, wspominając, jak było wtedy, kiedy ja... kiedy ty... – Znów urwała. – Posłuchaj. To nie będzie trwać wiecznie. Ani nawet bardzo długo. Po prostu nie rób niczego głupiego. Ani niczego nieodwracalnego. Przyrzekam, wszystko będzie dobrze. Jak te filmiki na YouTube, no wiesz? „Będzie lepiej”.

– Co to jest YouTube? – spytała Donna.

– Och, skarbie – mruknęła kobieta.

Objęła Donnę, przyciągnęła do siebie i przytuliła mocno.

– Zabierzesz mnie ze sobą do domu? – spytała Donna.

– Nie mogę – odparła kobieta. – Dla ciebie dom jeszcze nie istnieje. Nie poznałaś jeszcze nikogo z ludzi, którzy pomogą ci zejść z ulicy i znaleźć pracę. Nie spotkałaś człowieka, który

okaże się twoim partnerem. A potem oboje stworzycie bezpieczne miejsce, dla siebie i waszych dzieci. Ciepłe miejsce.

Donna poczuła, jak wzbiera w niej gniew.

– Po co mi to wszystko mówisz?

– Żebyś wiedziała, że będzie lepiej. Żeby dać ci nadzieję.

Cofnęła się.

– Nie chcę nadziei. Chcę ciepłego miejsca. Chcę mieć dom. I chcę go teraz. Nie za dwadzieścia lat.

Po pogodnej twarzy przebiegł grymas bólu.

– To będzie wcześniej niż za dwa...

– Nie obchodzi mnie to! Nie jest dzisiaj! Nie mam dokąd pójść! I strasznie mi zimno. Masz jakieś drobne?

Kobieta pokiwała głową.

– Proszę – rzekła.

Otworzyła torebkę, wyciągnęła banknot dwudziestofuntowy. Donna wzięła go, ale pieniądze nie przypominały znanej jej gotówki. Obejrzała się na kobietę, by o coś ją spytać, ale tamta zniknęła. A kiedy Donna znów spuściła wzrok, odkryła, że zniknęły też pieniądze.

Stała tam, dygocząc. Pieniądze zniknęły, jeśli w ogóle kiedykolwiek tam były. Ale zostało jej jedno: wiedziała, że pewnego dnia wszystko się ułoży. W końcu. I wiedziała, że nie musi robić niczego głupiego. Nie musi kupować ostatniego biletu na metro tylko po to, by rzucić się na tory na widok nadjeżdżającego pociągu, zbyt bliskiego, by zahamować.

Zimowy, mroźny wiatr wgryzał się w nią i kąsał aż do kości, ale nagle zauważyła coś przyciśniętego do drzwi sklepu. Przykucnęła i to podniosła: pięciofuntowy banknot. Może jutro będzie łatwiej. Nie będzie musiała robić nic z rzeczy, które sobie wyobrażała.

Grudzień bywa zabójczy, gdy żyje się na ulicach. Ale nie w tym roku. Nie dzisiaj.

Śmierć i miód

Przez wiele lat ludzie w okolicy zastanawiali się, co się stało ze starym, białym człowiekiem-
duchem, barbarzyńcą dźwigającym na ramieniu wielką torbę. Niektórzy podejrzewali, że został
zamordowany; później rozkopali podłogę stojącej na zboczu chatki Starego Gao
w poszukiwaniu skarbu, ale znaleźli jedynie popiół i osmalone blaszane tace.

Działo się to już po tym, jak sam Stary Gao także zniknął i zanim jego syn wrócił z Lijangu, by
przejąć ule na zboczu góry.

* * *

Oto największy problem, napisał Holmes w roku 1899: znużenie. Oraz brak zainteresowania.
Czy raczej: wszystko staje się zbyt łatwe. Kiedy radość z rozwiązywania zagadek zbrodni
czerpie się z wyzwania, możliwości, że się nie uda, wówczas same zbrodnie wydają nam się
ciekawe. Ale jeśli każda staje się rozwiązywalna, i to bardzo łatwo, nie ma sensu pochyłać się
nad nimi.

Spójrzcie: ten człowiek został zamordowany. Cóż, zatem ktoś go zabił. Zginął dla jednej
z kilku przyczyn: był dla kogoś niewygodny, miał coś, czego pragnął ktoś inny, albo też kogoś
rozzłościł. Gdzie tu wyzwanie?

Czytałem w dziennikach opis zbrodni przerastających policję i odkrywałem, że znajduję
odповідź, nie szczegółową, lecz ogólną, nim jeszcze zakończyłem lekturę. Zbrodnie zbyt łatwo
się rozwiązują. Jak sznurówki. Po co wzywać policjantów i podsuwać im odpowiedzi na
dręczące ich zagadki? Raz po raz zostawiam je w spokoju, by były dla nich wyzwaniem, bo dla
mnie nim nie są.

Żyję tylko wtedy, kiedy znajduję wyzwanie.

* * *

Pszczoly na mglistych wzgórzach, tak wysokich, że czasami nazywano je górą, brzęczały
w jasnym letnim słońcu, przelatując na zboczu od jednego wiosennego kwiatka do drugiego.
Stary Gao słuchał ich bez przyjemności. Jego kuzyn w wiosce po drugiej stronie doliny miał
wiele dziesiątków uli, i wszystkie nawet tak wcześnie w roku pękały od miodu, białego jak
śnieżny jadeit. Stary Gao nie wierzył, że biały miód smakuje lepiej niż żółty bądź jasnobrązowy,
dawany przez jego własne pszczoły, niestety, w bardzo skromnej ilości, ale kuzyn sprzedawał
swoją biały miód dwa razy drożej niż on swój najlepszy.

Po kuzynowskiej stronie wzgórza w ulach mieszkały pełne zapachu, zapracowane złocistobrazowe robotnice, znoszące pyłek i nektar do swych domów w ogromnych ilościach. Pszczoły Starego Gao były złośliwe i czarne, lśniące jak pociski, a miodu wytwarzały tylko tyle, by przeżyć zimę, może odrobinę więcej: dość, by Stary Gao mógł sprzedawać go, chodząc od drzwi do drzwi, mieszkańcom swojej wioski, po niewielkim kawałku plastra. Więcej liczył sobie za plastry trutowe, pełne czerwii, słodkich kąsków białka, kiedy, rzecz jasna, miał je na sprzedaż, co zdarzało się rzadko, bo pszczoły złościły się i obrażały na wszystko i wszystkiego robiły najmniej jak tylko się da – łącznie z płodzeniem nowych pszczół, a Stary Gao zawsze miał świadomość, że każdy kawałek plastra z czerwem, który sprzedawał, oznaczał mniej pszczół, które w przyszłości wyprodukują miód na sprzedaż.

Stary Gao był równie ponury i drażliwy jak jego pszczoły. Kiedyś miał żonę, ale umarła w połogu. Syn, który ją zabił, przeżył tydzień i także zmarł. Nie było nikogo, kto odmówi rytuał pogrzebowy nad zwłokami Starego Gao, nikogo, kto będzie uprzątał jego grób przed świętami ani kładł na nim ofiary. Umrze zapomniany, równie przeciętny i nijaki jak jego pszczoły.

Stary biały nieznajomy przybył z za gór późną wiosną tego roku, gdy tylko śniegi spłynęły z dróg. Na ramionach dźwigał przypiętą do nich dużą, brązową torbę. Stary Gao usłyszał o nim, zanim go zobaczył.

– Jakiś barbarzyńca ogląda pszczoły – poinformował go kuzyn.

Stary Gao nie odpowiedział. Poszedł do kuzyna, by kupić ramę gorszego plastra, uszkodzonego bądź niezamkniętego. Plaster taki szybko się psuł, toteż kupował go tanio, by wykarmić własne pszczoły, a jeśli sprzedawał trochę w swojej wiosce, nikt nie miał o tym pojęcia. Obaj mężczyźni pili herbatę w chacie kuzyna Gao na zboczu. Od późnej wiosny, kiedy pojawiał się miód, aż do pierwszych przymrozków kuzyn Gao opuszczał dom we wsi i przenosił się do chaty na zboczu. Mieszkał tam i sypiał obok uli, w obawie przed złodziejami. Jego żona i dzieci znosili ze wzgórza plastry i butelki śnieżnobiałego miodu na sprzedaż.

Stary Gao nie obawiał się złodziei. Lśniące czarne pszczoły z jego uli nie miałyby litości dla nikogo, kto by zakłócił ich spokój. Sypiał w wiosce, chyba że nadszedł czas zbioru miodu.

– Poślę go do ciebie – oznajmił kuzyn Gao. – Jeśli odpowiesz mu na pytania i pokażesz swoje pszczoły, zapłaci ci.

– Zna nasz język?

– Jego dialekt jest okropny. Twierdzi, że nauczył się mówić od marynarzy, w większości pochodzących z Kantonu. Ale szybko się uczy, choć jest stary.

Stary Gao mruknął coś pod nosem. Nie obchodzili go marynarze. Był późny ranek, wciąż czekały go cztery godziny marszu przez dolinę do własnej wioski, w najgorszym upale. Dokończył herbatę. Jego kuzyn pijał lepszą herbatę niż on sam mógł kiedykolwiek sobie pozwolić.

Było jeszcze jasno, gdy dotarł do swych uli i umieścił większość zakupionego miodu w najsłabszych. W sumie miał ich jedenaście, jego kuzyn – ponad setkę. Przy tej czynności pszczoły użądliły go dwa razy, w grzbiet dłoni i w kark. Za życia pszczoły żądliły go ponad tysiąc razy, sam nie wiedział dokładnie ile. Ledwie czuł żądła obcych, ale użądlenia jego własnych, czarnych pszczół, zawsze bolały, choć ciało nie puchło już ani nie piekło.

Następnego dnia do domu Starego Gao w wiosce przybiegł chłopiec z wiadomością, że ktoś – a dokładniej olbrzymi cudzoziemiec – wypytuje o niego. Gao jedynie mruknął w odpowiedzi. Pomaszerował równym krokiem przez wieś. Chłopiec pobiegł naprzód i wkrótce zniknął mu

z oczu.

Stary Gao znalazł obcego popijającego herbatę na werandzie domu wdowy Zhang. Pięćdziesiąt lat temu znał matkę wdowy, przyjaźniła się z jego żoną. Teraz od dawna już nie żyła; wątpił, by przy życiu został ktokolwiek, kto znał jego żonę. Wdowa Zhang podała Staremu Gao herbatę i przedstawiła sędziwego barbarzyńcę, który zdjął z ramion torbę i siedział przy stoliku.

Razem sączyli gorący płyn.

– Chciałbym obejrzeć twoje pszczoły – powiedział barbarzyńca.

* * *

Śmierć Mycrofta oznaczała kres imperium, tyle że nie wiedział o tym nikt oprócz nas dwóch. Leżał w jasnym pokoju, okryty jedynie cienkim, białym prześcieradłem, jakby już zamieniał się w ducha z popularnych wyobrażeń i potrzebował tylko dwóch otworów na oczy, by złudzenie było całkowite.

Oczekiwałem, że choroba może go wyniszczyć, ale wydawał się grubszy niż kiedykolwiek; napuchnięte palce zamieniły się w białe łojowe kiełbaski.

– Dobry wieczór, Mycroftcie – powiedziałem. – Doktor Hopkins mówi mi, że zostały ci dwa tygodnie życia i że w żadnym wypadku nie powinienem cię o tym informować.

– Ten człowiek to dureń – odparł Mycroft, rżąc głośno między poszczególnymi słowami. – Nie dożyję piątku.

– Najwyżej soboty – dodałem.

– Zawsze byłeś optymistą. Nie. W czwartek wieczorem będę już tylko ćwiczeniem z praktycznej geometrii dla Hopkinsa i przedsiębiorców pogrzebowych z firmy Snigsby i Malterson, przed którymi stanie prawdziwe wyzwanie wydostania mojego trupa z tego budynku, wyposażonego w wąskie drzwi i korytarze.

– Też się nad tym zastanawiałem – przyznałem. – Zwłaszcza biorąc pod uwagę klatkę schodową. Ale pewnie wyjmą ramę okienną i spuszczą cię na ulicę jak fortepian.

Słyszając to, Mycroft prychnął.

– Mam pięćdziesiąt cztery lata, Sherlocku – powiedział. – W głowie przechowuję rząd brytyjski. Nie te bzdury z wyborów i przepychanek, ale prawdziwe sedno. Nikt inny nie wie, co łączy ruchy wojsk na wzgórzach Afganistanu z bezludnymi wybrzeżami północnej Walii, nikt nie dostrzega całości obrazu. Wyobrażasz sobie, jakiego bałaganu narobi ta banda i ich dzieci z niepodległością Indii?

Wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

– A odzyskają niepodległość?

– To nieuniknione. Góra za trzydzieści lat. Napisałem niedawno kilka memorandumów na ten temat. I na wiele innych tematów. Zostawiam memoranda na temat rewolucji w Rosji – założę się, że dojdzie do niej w najbliższym dziesięcioleciu – problemu niemieckiego i... tak wiele innych. Nie żebym oczekiwał, że ktoś przeczyta je czy zrozumie. – Kolejne świszczące rżenie. Płuca mojego brata grzechotały niczym okna w pustym domu. – Widzisz, gdybym tylko żył, Imperium Brytyjskie mogłoby przetrwać jeszcze tysiąc lat, niosąc pokój i nowoczesność całemu światu.

W przeszłości, zwłaszcza gdy byłem chłopcem, słuchając podobnie napuszonych

przechwałek Mycrofta, zwykle mówiłem coś, by go rozzłościć. Ale nie teraz. Nie, kiedy leżał na łożu śmierci. Poza tym byłem pewien, że nie mówił tu o obecnym imperium, niedoskonałej, słabej konstrukcji, wzniesionej przez niedoskonałych i słabych ludzi, lecz o Imperium Brytyjskim istniejącym tylko w jego głowie, wspaniałej potędze, ideale cywilizacji i powszechnego dobrobytu.

Nie wierzyłem i wciąż nie wierzę w imperia. Ale wierzyłem w Mycrofta. Mycroft Holmes. Pięćdziesiąt cztery lata. Widział świt nowego stulecia, ale królowa miała go przeżyć o kilka miesięcy. Była ponad trzydzieści lat starsza od niego i pod każdym względem diablo twarda. Zastanawiałem się, czy dałoby się uniknąć tak nieszczęśliwego końca.

– Oczywiście masz rację, Sherlocku – powiedział Mycroft. – Gdybym zmusił się do ćwiczeń fizycznych. Gdybym żywił się ptasim ziarnem i kapustą, a nie tłustymi stekami. Gdybym zajął się tańcami ludowymi, miał żonę i szczeniaczka, i na wszelkie inne sposoby sprzeciwiał się własnej naturze, może zyskałbym sobie jeszcze z tuzin lat. Ale jakie to ma znaczenie wobec wszechrzeczy? Bardzo znikome. A wcześniej czy później zestarzałbym się. Nie. Uważam, że trzeba by dwustu lat, by wyszkolić sprawnie działającą służbę cywilną, a co dopiero służby tajne...

Milczałem.

Ścian jasnego pokoju nic nie ozdabiało. Nie wisiały na nich dyplomy Mycrofta, żadne rysunki, zdjęcia ani obrazy. Porównałem tę surową siedzibę z moimi własnymi, zagraconymi pokojami przy Baker Street, podziwiając, nie po raz pierwszy, umysł Mycrofta. Nie potrzebował niczego z zewnątrz, bo wszystko, przechowywał w środku – wszystko, co widział, wszystko czego doświadczył, wszystko co czytał. Mógł zamknąć oczy i spacerować po National Gallery albo przeglądać czytelnię Muzeum Brytyjskiego – czy, co bardziej prawdopodobne, porównywać raporty wywiadu z granic imperium z ceną drewna w Wigan i statystykami bezrobocia w Hove, a potem, analizując informacje, kazać kogoś awansować albo dyskretnie stracić zdrając.

Mycroft zarządził ogłuszająco.

– To zbrodnia, Sherlocku – rzekł.

– Słucham?

– Zbrodnia. To zbrodnia, mój bracie, równie potworna i oburzająca jak każda z tanich masakr, jakie badałeś. Zbrodnia przeciw światu, przeciw naturze, przeciw porządkowi.

– Muszę przyznać, mój drogi, że nie do końca za tobą nadażam. Jakaż to zbrodnia?

– W szczególności – wyjaśnił Mycroft – moja śmierć. A w ogólności śmierć jako taka. – Spojrzał mi w oczy. – Mówię poważnie – dodał. – Czyż to nie zbrodnia godna śledztwa, Sherlocku, stary druhu? Zbrodnia, która może skupić na sobie uwagę znacznie dłużej niż ustalenie, że biedak dyrygujący orkiestrą dętą w Hyde Parku został zamordowany przez trzeciego korneta. Strychnina to prawdziwy dysonans.

– Arsenik – poprawiłem niemal odruchowo.

– Myślę, że odkryjesz – wyrzucił Mycroft – iż arsenik, choć obecny, w istocie oderwał się płatkami od pomalowanego na zielono podium dla orkiestry i wpadł mu do posiłku. Objawy zatrucia arsenikiem to zmyłka. Nie, to strychnina załatwiła biedaka.

Mycroft nie powiedział mi już nic więcej, tego dnia ani nigdy. W następny czwartek późnym popołudniem wydał ostatnie tchnienie, a w piątek dostojni tragarze od Snigsby'ego i Maltersona wymontowali ramę z okna jasnego pokoju i opuścili szczątki mojego brata na ulicę niczym fortepian.

W jego pogrzebie uczestniczyłem ja, mój przyjaciel Watson, nasza kuzynka Harriet i – zgodnie z wyraźnym życzeniem Mycrofta – nikt inny. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, Foreign Office, nawet klub Diogenes – żadna z tych instytucji nie przysłała swych przedstawicieli. Mycroft wiódł życie odludka i takim też miał pozostać po śmierci.

Było tam zatem tylko nas troje oraz pastor, który nie znał mojego brata i nie miał pojęcia, że składa właśnie do grobu najbardziej wszechwiedzące ramię rządu brytyjskiego.

Czterech osiłków trzymało kurczowo liny, opuszczając szczątki mego brata w miejsce ostatniego spoczynku. Śmiałem rzec, że z całych sił starali się nie przeklinać jego ciężaru. Każdemu z nich zapłaciłem pół korony.

Mycroft zmarł w wieku pięćdziesięciu czterech lat i kiedy składali go do grobu, w wyobraźni wciąż słyszałem jego rzeźący, ostry głos, jakby mówił:

– To dopiero zbrodnia godna śledztwa.

* * *

Akcent obcego okazał się nie aż taki zły, i choć przybysz dysponował tylko ograniczonym słownictwem, wydawało się, że mówi w miejscowym dialekcie czy czymś bardzo bliskim. Szybko się uczył. Stary Gao charknął i splunął w kurz ulicy. Nie odpowiedział. Nie miał ochoty zabierać obcego na wzgórze, wcale nie chciał zakłócać spokoju swych pszczół. Doświadczenie podpowiadało mu, że im mniej je niepokoi, tym lepiej się spisują. A gdyby użądliły barbarzyńcę, co wtedy?

Włosy obcego były srebrnobiałe i rzadkie, nos – pierwszy barbarzyński nos jaki oglądał Stary Gao, wielki i zakrzywiony – skojarzył mu się z orlim dziobem. Przybysz miał skórę opaloną na ten sam kolor co twarz Starego Gao i głęboko pomarszczoną. Stary Gao nie wiedział, czy potrafi coś odczytać z twarzy barbarzyńcy, tak jak czynił to z twarzami ludzi. Ale wydało mu się, że przybysz traktuje wszystko z niezwykłą powagą i chyba jest nieszczęśliwy.

– Po co?

– Badam pszczoły. Twój brat mówi mi, że masz tu wielkie czarne pszczoły. Niezwykle pszczoły.

Stary Gao wzruszył ramionami. Nie poprawił pomyłki tamtego co do pokrewieństwa łączącego go z kuzynem.

Obcy spytał Starego Gao, czy już jadł, a kiedy tamten odparł, że nie, poprosił wdowę Zhan, by przyniosła im zupę, ryż i cokolwiek pichciła w kuchni, co okazało się potrawką z czarnych nadrzewnych grzybów, jarzyn i maleńkich, przezroczystych rzecznych rybek, niewiele większych od kijanek. Obaj mężczyźni zjedli w milczeniu. Kiedy skończyli posiłek, nieznajomy przemówił.

– Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciał pokazać mi swoje pszczoły.

Stary Gao nie odpowiedział, ale obcy zapłacił hojnie wdowie Zhang i zarzucił torbę na grzbiet. Potem zaczekał, a gdy Stary Gao ruszył naprzód, przybysz podążył za nim. Dźwigał torbę, jakby nic nie ważyła. Jak na starca jest bardzo silny, pomyślał Stary Gao; zastanawiał się, czy wszyscy barbarzyńcy dorównują mu siłą.

– Skąd pochodzisz?

– Z Anglii – odparł obcy.

Stary Gao przypomniał sobie, jak ojciec opowiadał mu o wojnie z Anglikami, wojnie o handel

i opium, ale działało się to dawno temu.

Maszerowali w górę zbocza wzgórze, być może będącego górą. Było strome i zbyt skaliste, by dało się je podzielić na pola. Stary Gao sprawdzał wytrzymałość obcego, idąc szybciej niż zwykle. Tamten z łatwością dotrzymywał mu kroku, mimo torby na plecach.

Nieznajomy zatrzymał się jednak kilka razy. Przystawał, żeby obejrzeć kwiaty – małe białe kwiaty rozkwitające wczesną wiosną w całej dolinie, a późną tu, na wzgórzu. Na jednym z kwiatów siedziała pszczoła; nieznajomy ukląkł i zaczął ją obserwować. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął duże szkło powiększające i uważnie zbadał przez nie pszczołę, zapisując coś w małym kieszonkowym notesie niezrozumiałymi bazgrołami.

Stary Gao nigdy wcześniej nie widział szkła powiększającego. Schylił się, by spojrzeć na pszczołę, taką czarną, silną i jakże różną od innych żyjących w dolinie.

– Jedna z twoich?

– Tak – przytaknął. – Albo bardzo podobna.

– W takim razie pozwólmy jej znaleźć drogę do domu – oznajmił obcy i, nie ruszając pszczoły, schował szkło powiększające.

* * *

THE CROFT

EAST DENE, SUSSEX

11 SIERPNIĄ, 1922

MÓJ DROGI WATSONIE,

WZIAŁEM SOBIE DO SERCA NASZĄ ROZMOWĘ z dzisiejszego popołudnia, rozważyłem ją dokładnie i jestem gotów zmienić swoją wcześniejszą opinię.

Zgodzę się, abyś opublikował relację z incydentów z 1903 roku, zwłaszcza mojej ostatniej sprawy przed emeryturą, pod następującymi warunkami.

Oprócz zwykłych zmian, które wprowadzisz, by ukryć prawdziwą tożsamość ludzi i miejsca, sugeruję też, żebyś zastąpił cały scenariusz, z jakim się zetknęliśmy (mówię tu o ogrodzie profesora Presbury'ego. Więcej nie będę o tym pisał), gruczołami małpiatki, albo innym wyciągiem z jąder małpy bądź lemura, przysłanym przez tajemniczego cudzoziemca. Może małpi wyciąg sprawiłby, by profesor Presbury poruszał się jak małpa – mógłbyś go nazwać „pełzaczem”? – albo może każ mu się wspinać po ścianach budynków i drzewach. Może mógłby wyrosnąć mu ogon, ale to chyba zbyt fantastyczne, nawet jak na ciebie, Watsonie, choć nie bardziej fantastyczne niż wiele innych rokokowych dodatków, które wprowadziłeś do swych historii, przedstawiających dość pospolite wydarzenia z mojego życia i pracy.

Oprócz tego napisałem następującą przemowę, którą winienem wygłosić pod koniec twojej opowieści. Proszę, dopilnuj, aby trafiły tam podobne słowa, w których pomstuję przeciw zbyt długiemu życiu i niemądrym pragnieniom nakazującym niemądrym ludziom czynić niemądre rzeczy, by mogli przedłużyć swe niemądre życia.

Istnieje bardzo poważne zagrożenie dla ludzkości. Gdyby ludzie mogli żyć wiecznie, gdyby młodość była na wyciągnięcie ręki, wówczas materialści, miłośnicy uciech zmysłowych, światowcy, przedłużaliby z chęcią swe bezwartościowe żywoty. Ludzie uduchowieni nie unikaliby wezwań czegoś wyższego. Przetrawiliby najmniej przystosowani. W jakież wówczas bagno zamieniłby się nasz nieszczesny świat?

Myślę, że coś takiego by mnie zadowoliło.

*Proszę, pokaż mi ostateczny artykuł, nim prześlesz go wydawcy.
Stary druhu, pozostaję jak zawsze twym posłusznym sługą,*

Sherlock Holmes

* * *

Późnym popołudniem dotarli do pszczół Starego Gao. Szare drewniane skrzynki uli piętrzyły się za budowlą tak prostą, że ledwie można ją nazwać szałasem. Cztery słupki, dach i zasłony z natłuszczonej tkaniny, chroniące przed najgorszymi wiosennymi ulewami i letnimi burzami. Niewielki koksownik służył jako ogrzewanie, jeśli nakryło się siebie i jego kocem, oraz miejsce do gotowania. Drewniana paleta pośrodku, z antyczną, ceramiczną poduszką, zastępowała łóżko; Stary Gao sypiał na nim, gdy nocował na górze z pszczołami, zwłaszcza jesienią, kiedy zbierał większość miodu. Nie było go wiele w porównaniu z plonami z uli kuzyna, ale dość dużo, by czasami musiał zaczekać dwa lub trzy dni, aż plaster, który pozgniał i rozmieszał z wodą, przesączy się przez materiał do kubłów i garnków, które wniósł na górę. Resztę – lepki wosk, bryłki pyłku, brud i kit pszczeli topił w garnku, by wydobyć czysty wosk, a słodką wodę oddawał pszczołom. Następnie znosił miód i bryły wosku na dół do wioski, na sprzedaż.

Pokazał obcemu barbarzyńcy jedenaście uli i patrzył obojętnie, jak nieznajomy nakłada welon i otwiera jeden z nich, oglądając przez szkło powiększające najpierw pszczoły, potem plastry i larwy, i wreszcie królową. Nie było po nim widać strachu ani niezręczności: każdy jego ruch był łagodny i powolny, nie zgniótł żadnej pszczoły, żadna też go nie użądliła. Zaimponował tym Staremu Gao, który zakładał, że barbarzyńcy to niezrozumiałe, nieprzeniknione, tajemnicze stwory. Ten jednak najwyraźniej ogromnie się cieszył spotkaniem z jego pszczołami. Oczy mu błyszczały.

Stary Gao rozpałił koksownik, by zagotować wodę. Na długo przed tym, nim koks zajął się ogniem, nieznajomy wyjął z torby urządzenie ze szkła i metalu. Górną połowę napełnił wodą ze strumienia, zapalił płomyk i wkrótce miał już imbryk pełen bulgocącej i parującej wody. Wówczas wyjął dwa blaszane kubki i garść zielonych liści zawiniętych w papier. Liście wrzucił do kubka i zalał wodą.

To była najlepsza herbata, jaką kiedykolwiek pił Stary Gao: znacznie lepsza od herbaty kuzyna. Pili, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na podłodze.

– Chciałbym spędzić tu lato, w tym domu – oznajmił nieznajomy.

– Tutaj? To nawet nie dom – zaprotestował Stary Gao. – Zostań w wiosce. Wdowa Zhang ma wolny pokój.

– Zostanę tutaj – odparł nieznajomy. – Chciałbym też wynająć jeden z twoich uli.

Stary Gao od lat się nie śmiał. Niektórzy w wiosce sądzili, że w ogóle tego nie potrafi. Wówczas jednak wybuchnął śmiechem, zdumionym i rozbawionym, który wyrwał się z niego jakby wbrew woli właściciela.

– Nie żartuję – zapewnił obcy. Położył na ziemi między nimi cztery srebrne monety. Stary Gao nie widział, skąd je wyciągnął: trzy srebrne meksykańskie peso, monety, które wiele lat temu zyskały popularność w Chinach, i dużego srebrnego juana. Stary Gao mógł tyle zarobić przez rok na sprzedaży miodu. – Za te pieniądze – oznajmił obcy – chciałbym, by ktoś przynosił mi jedzenie: co trzy dni powinno wystarczyć.

Stary Gao nie odpowiedział; skończył herbatę i wstał. Odsunął natłuszczoną tkaninę

i wyszedł na polanę wysoko na wzgórzu, zmierzając do jedenastu uli. Na każdy składały się dwie większe skrzynki rozrodcze i jedna, dwie, trzy, a w jednym przypadku cztery dodatkowe nad nimi. Zaprowadził obcego do ula z czterema skrzynkami, każdą wypełniały ramki plastrów.

– Ten należy do ciebie – oznajmił.

* * *

To były wyciągi roślinne. Bez cienia wątpliwości. Działały na swój sposób przez krótki czas, ale okazały się też niezwykle trujące. Obserwacja nieszczęsnego profesora Presbury'ego podczas ostatnich dni – jego skóry, oczu, sposobu chodzenia – przekonała mnie, że wybrał nie do końca błędną drogę.

Zabrałem jego skrzynkę z nasionami, strączkami, korzeniami i wysuszonymi wyciągami, i zacząłem myśleć. Rozważałem. Analizowałem. Przetrawiałem. To był problem umysłowy i, jak po wielokroć demonstrował mi mój dawny nauczyciel matematyki, można go było rozwiązać, wyciągając umysł.

To były wyciągi roślinne. Śmiertelnie trujące.

Metody, dzięki którym starałem się wyeliminować truciznę, pozbawiały je wszelkiego działania.

Nie był to problem na trzy fajki, podejrzewam, że wypaliłem ich niemal trzysta, nim w końcu wpadłem na wstępny pomysł – załączek idei – jak przetworzyć rośliny, by ludzkie istoty zdołały je spożyć.

Tych szczególnych badań nie dałoby się łatwo przeprowadzić na Baker Street. Zatem jesienią 1903 roku przenieśliśmy się do Sussex. Przez całą zimę czytałem wszelkie książki, broszurki i monografie, jakie tylko ukazały się drukiem na temat hodowli i opieki nad pszczołami. I tak na początku kwietnia 1904 roku, uzbrojony jedynie w wiedzę teoretyczną, zakupiłem u miejscowego farmera swój pierwszy rój pszczół.

Czasami zastanawiam się, czy Watson czegoś nie podejrzewał. Z drugiej strony, jego nadzwyczajna tępota nigdy nie przestała mnie zadziwiać i czasami w istocie nawet na niej polegałem. Mimo wszystko wiedział, jaki się staję, kiedy nie mogę zająć umysłu pracą, rozwiązaniem nowego problemu. Wiedział, jaka wówczas ogarnia mnie apatia i mroczne myśli.

Jak zatem mógł uwierzyć, że naprawdę przeszedłem na emeryturę? Znał moje metody.

W istocie Watson był obecny w chwili, gdy odebrałem swoje pierwsze pszczoły. Z bezpiecznej odległości patrzył, jak przesypuję je do pustego, czekającego ula, niczym powolną, cicho brzęczącą melasę.

Widział moje podniecenie i niczego nie dostrzegał.

Mijały lata, patrzyliśmy, jak rozsypuje się imperium, jak rząd nie potrafi rządzić, widzieliśmy, jak umierają owi biedni, bohaterscy chłopcy wysłani do okopów we Flandrii, i wszystko to podtrzymywało moje przekonania. Robiłem rzecz nie tylko słuszną – robiłem rzecz jedyną możliwą.

I choć moja twarz stawała się obca, stawy palców puchły i bolały (nie tak bardzo jednak jak mogły, co przypisywałem wielu uządleniom pszczół w pierwszych latach kariery badacza apiologa), a Watson, mój drogi, dzielny, tępy Watson, gasł powoli, bladł i kurczył się, jego skóra szarzała, wąs przybierał ten sam odcień starości, determinacja, że muszę zakończyć badania, nie malała. Przeciwnie, jeszcze rosła.

Zatem: pierwotną hipotezę sprawdziłem doświadczalnie w South Downs, w pszczelarni własnego projektu, z ulami na wzór tych Langstrotha. Wierzę, że popełniłem każdy błąd, jaki zdarza się pszczelarskim nowicjuszom, a także, że względu na swe badania, całą gamę błędów, jakich pszczelarz nigdy by nie popełnił i nigdy już tego nie uczyni. Watson mógł nazwać wiele z nich „Przypadkiem zatrutego ula”, choć „Tajemnica sparaliżowanego Instytutu Kobiecego” przyciągnęłaby większą uwagę do mych badań, gdyby ktokolwiek się nimi zainteresował. (Tymczasem musiałem tylko surowo upomnieć panią Telford za to, że po prostu zabrała słoje miodu z półki, nie pytając mnie wcześniej o zdanie. Dopilnowałem też, by w przyszłości dostała do przyprawiania potraw kilka słoików ze zwykłych uli i by miód z uli doświadczalnych po zebraniu znalazł się pod kluczem. Nie sądzę, by ktokolwiek uznał to za choćby godne wzmianki).

Prowadziłem doświadczenia z pszczołami holenderskimi, pszczołami niemieckimi i włoskimi, z kraińskimi i kaukaskimi. Żałowałem bardzo, że nasze brytyjskie pszczoły wybiła zaraza, a w miejscach, gdzie przetrwały, wymieszały się z innymi odmianami, choć znalazłem niewielki ul, który wyhodowałem z jednego plastra, czerwia i królowej ze starego opactwa St. Albans. Jak sądziłem, pszczoły te pochodziły z pierwotnej rasy brytyjskiej.

Prowadziłem te doświadczenia przez niemal dwa dziesięciolecia, w końcu doszedłem do wniosku, że pszczoły, których szukam, jeśli w ogóle istnieją, nie żyją w Anglii i nie przetrwałyby podróży do mnie pocztą międzynarodową. Musiałem zbadać pszczoły w Indiach. A może nawet zapuścić się jeszcze dalej.

Znam całkiem sporo języków.

Miałem swoje nasiona kwiatów, wyciągi i tynktury w syropie. Nie potrzebowałem niczego więcej.

Spakowałem to wszystko, zapłaciłem, by ktoś raz w tygodniu sprzątał i wietrzył domek na wzgórzach i by mości Wilkins, którego, obawiam się, zacząłem odruchowo, ku jego wyraźnemu niezadowoleniu nazywać „Młodym Villikinsem”, doglądał uli, zbierał i sprzedawał miód na targu w Eastburne i szykował pszczoły na zimę.

Oznajmiłem, że nie wiem, kiedy wrócę.

Jestem już stary. Może w ogóle nie oczekiwali mojego powrotu.

A jeśli tak, to ściślej mówiąc, mieli rację.

* * *

Obcy wbrew samemu Staremu Gao zaimponował mu. Stary Gao całe życie spędził wśród pszczoł, a mimo to z uznaniem patrzył, jak nieznajomy wytrząsa je ze skrzynek wyćwiczonym ruchem przegubu, tak szybko i czysto, że czarne pszczoły, bardziej zaskoczone niż rozszoszczone, po prostu odfrunęły bądź gramoliły się z powrotem do swego ula. Następnie obcy rozstawiał skrzynki pełne plastrów na słabszych ulach, by Stary Gao wciąż miał miód z tego, który wynajmował.

Tak zatem Stary Gao zyskał sobie lokatora.

Zapłacił wnuczce wdowy Zhang kilka monet, by trzy razy w tygodniu zanosila nieznajomemu jedzenie – zwykle ryż i warzywa oraz kamionkowy garnek pełen, przynajmniej w chwili gdy ruszała w drogę, wrzącej zupy.

Co dziesięć dni Stary Gao sam wspinał się na wzgórze. Z początku tylko sprawdzał ule, ale

wkrótce odkrył, że pod opieką obcego cała jedenastka prosperuje jak nigdy wcześniej. W istocie było ich teraz dwanaście, bo nieznamy schwytał rój czarnych pszczoł, na który natknął się podczas wspinaczki na zbocze.

Podczas następnych odwiedzin w szałasie Stary Gao przyniósł drewno. Wraz z obcym kilka dni pracowali bez słowa, zbijając dodatkowe skrzynki, budując ramki, by je zapełnić.

Pewnego wieczoru obcy opowiedział Staremu Gao, że ramki, które budują, wynalazł Amerykanin, zaledwie siedemdziesiąt lat wcześniej. Staremu Gao, który zbijał je tak, jak to wcześniej robił jego ojciec i jak robiono w całej dolinie, a także zapewne, jak to czynił jego dziadek i dziadek dziadka, wydało się to bzdurą, ale nie protestował.

Lubił towarzystwo obcego. Razem budowali ule i Stary Gao pożałował, że tamten nie jest młodszy. Wówczas pozostałby tutaj długo, a on miałby komu zostawić w spadku ule po swej śmierci. Obaj byli jednak starzy, razem zbijali skrzynki, mieli rzadkie oszronione siwizną włosy i stare twarze, i żaden z nich nie obejrzy więcej niż dziesięć zim.

Stary Gao zauważył, że obcy urządził obok wybranego przez siebie ula mały, starannie utrzymany ogródek. Wcześniej przeniósł ul z dala od pozostałych. Zrobił także do niego tylne wejście, tak że jedyne pszczoły, jakie docierały do roślin, pochodziły z wynajętego ula. Stary Gao dostrzegł też, że pod siatką ustawił kilka tac pełnych czegoś podobnego do roztworu cukru – jeden był jaskrawoczerwony, drugi zielony, trzeci zaskakująco błękitny, a czwarty żółty. Wskazał je ręką, ale tamten tylko pokiwał głową z uśmiechem.

Pszczoły jednak spijały syropy, tłocząc się na brzegach blaszanych naczyń, zlizując słodycz, jedząc tak wiele, że więcej już nie mogły, a potem wracały do ula.

Nieznamy szkicował pszczoły Starego Gao. Pokazał mu swoje rysunki i próbował wyjaśnić, w jaki sposób różnią się od innych pszczoł miodnych. Opowiadał o starożytnych pszczołach zachowanych w kamieniu przez miliony lat, ale tu zawiodła go jego chińszczyzna i po prawdzie Starego Gao zupełnie to nie interesowało. Były to jego pszczoły aż do śmierci, a potem stanęły się pszczołami góry. Sprowadzał tu wcześniej inne, ale chorowały i umierały, albo ginęły po najazdach czarnych pszczoł, które zabierały im miód i pozostawiały je na pewną śmierć.

Ostatnia z owych wizyt odbyła się późnym latem. Stary Gao zszedł ze zbocza. Więcej nie widział już obcego.

* * *

Gotowe.

To działa. Już teraz czuję dziwne połączenie tryumfu i zawodu, jakbym poniósł klęskę, jakby odległe burzowe chmury drażniły mi zmysły.

Dziwnie jest patrzeć na własne ręce i widzieć je – nie takie, jakimi je znam, lecz jakie pamiętam z czasów młodości: nienapuchnięte stawy, włosy czarne, nie śnieżnobiałe, na ich grzbietach.

Była to misja, która pokonała tak wielu, problem pozbawiony oczywistego rozwiązania. Trzy tysiące lat temu pierwszy cesarz Chin zginął, o mało nie niszcząc swojego cesarstwa, próbując go rozwiązać. A ja potrzebowałem ilu? Zaledwie dwudziestu lat?

Nie wiem, czy postąpiłem słusznie, czy też nie (choć jakakolwiek „emerytura” pozbawiona podobnego zajęcia dosłownie doprowadziłaby mnie do obłądzenia). Przyjąłem zlecenie od Mycrofta. Zbadałem problem i w końcu odnalazłem nieuniknione rozwiązanie.

Czy powiem światu?

Nie.

A jednak mam w swej torbie pół słoja ciemnobrązowego miodu: pół słoja miodu wartego więcej niż całe narody (miałem ochotę napisać „wartego więcej niż cała herbata w Chinach”, może ze względu na obecne miejsce pobytu, lękam się jednak, że nawet Watson wyśmiałby to jako banał).

A skoro mowa o Watsonie...

Zostało mi jeszcze tylko jedno. Jedyne pozostały cel, i to bardzo skromny. Dotrę do Szanghaju, a stamtąd popłynę statkiem do Southampton, po drugiej stronie świata. A kiedy zejść na ląd, odszukam Watsona, jeśli jeszcze żyje – a zakładam, że żyje. Przyznaję, to nieracjonalne, a jednak jestem pewien, że w jakiś sposób zorientowałbym się, gdyby Watson odszedł z tego padółu.

Kupię stosowne środki, ucharakteryzuję się na starca, by go nie zaskoczyć, i zaproszę starego druha na podwieczorek.

Myślę, że tego popołudnia do herbaty podam grzanki z miodem.

* * *

Ludzie opowiadali o barbarzyńcy, który przeszedł przez wieś, zmierzając na wschód, ale, rozmawiając ze Starym Gao, dodawali, że nie wierzą, by był to ten sam człowiek, który mieszkał w jego szałasie. Ten bowiem był młody i dumny, a włosy miał ciemne. Różnił się od starca przybyłego w te strony wiosną, choć, jak dodała jedna osoba, miał podobną torbę.

Stary Gao wspiął się na zbocze, by zbadać sprawę, choć jeszcze nim dotarł na miejsce podejrzewał, co tam zastanie.

Obcy zniknął, jego torba także.

Wcześniej jednak spalił mnóstwo rzeczy. Stary Gao widział to wyraźnie. Spalił papiery – rozpoznał skrawek rysunku obcego, przedstawiającego jedną z jego pszczół; cała reszta zamieniła się w popiół albo poczerniała tak, że nie dało jej się odczytać, nawet gdyby Stary Gao znał pismo barbarzyńców. Ogień pochłonął nie tylko papiery; części ula wynajętego przez obcego obróciły się w stopy popiołu, znalazł też osmalone, poskręcane paski blachy, która niegdyś mogła mieścić w sobie jaskrawokolorowe syropy.

Obcy wyjaśnił mu kiedyś, że dodał barwnik do syropów, by móc je odróżnić, lecz Stary Gao nie pytał, w jakim celu.

Teraz badał szałas niczym detektyw, szukając wskazówek pomagających określić naturę i miejsce pobytu przybysza. Na ceramicznej poduszce leżały zostawione dla niego cztery srebrne monety – dwa juany i dwa srebrne peso. Schował je szybko.

Za szałasem znalazł wyrzuconą po odsączeniu zawieszinę – ostatnie pszczoły wciąż pełzały po niej, zbierając resztki słodkości z wciąż lepkiego wosku.

Stary Gao zastanawiał się długo i w skupieniu. W końcu zebrał maź, owinął luźno tkaniną i włożył do kociołka, który napełnił wodą. Podgrzał ją na koksowniku, ale nie pozwolił zawrzeć. Wkrótce wosk wypłynął na powierzchnię, pozostawiając w tkaninie martwe pszczoły, brud, pyłek i propolis.

Stary Gao zaczekał, aż ostygnie.

Potem wyszedł na zewnątrz i spojrzął w księżyc. Był niemal okrągły.

Zastanawiał się, jak wielu wieśniaków wie, że jego syn zmarł tuż po urodzeniu. Przypomniawszy sobie żonę, ale jej twarz zatarła się we wspomnieniach, a nie miał żadnych portretów ani zdjęć. Pomyślał, że na całej Ziemi nie ma niczego, do czego nadawałby się lepiej, niż hodowla czarnych, smukłych jak pociski pszczoł na zboczu wysokiego, jakże wysokiego wzgórza. Nikt prócz niego nie znał tak dobrze ich temperamentu.

Woda wystygła. Wyciągnął z niej twardy kawał wosku i położył na deskach łóżka, by do końca ostygł. Potem wyjął z garnka szmatkę pełną brudu i nieczystości. A potem, ponieważ on też na swój sposób był detektywem, a kiedy wyeliminuje się rzeczy niemożliwe, to, co pozostaje, choćby najmniej prawdopodobne, musi być prawdą, wypił słodką wodę z garnka. W zawieszynie zawsze pozostaje sporo miodu, nawet kiedy wyciśnie się już większość i oczyści. Woda smakowała miodem, ale Gao nigdy nie próbował podobnego. Czuł w nim dym i metal, dziwne kwiaty i niezwykle zapachy. Pomyślał, że smakuje trochę jak seks.

Wypił wszystko, a potem zasnął, kładąc głowę na ceramicznej poduszce.

Postanowił, że kiedy się przebudzi, podejmie decyzję, co zrobić z kuzynem oczekującym, że po zniknięciu Starego Gao odziedziczy dwanaście uli na wzgórzu.

Może zostanie synem z nieprawego łoża, młodzieńcem, który niedługo wróci do wioski. Albo może prawym synem, Młodym Gao. Kto by teraz pamiętał? Nieważne.

Uda się do miasta, a potem wróci i będzie hodować czarne pszczoły na górskim zboczu tak długo, jak pozwolą czasy i okoliczności.

Człowiek, który zapomniał Raya Bradbury'ego

Zapominam różne rzeczy, i to mnie przeraża.

Tracę słowa, chociaż nie idee. Mam nadzieję, że nie tracę idei. Bo jeśli nawet, nie jestem tego świadom. Gdybym tracił idee, skąd miałbym wiedzieć? To zabawne, bo zawsze miałem świetną pamięć. Zostawało w niej wszystko. Czasami była tak dobra, że zdawało mi się, iż przypominam sobie rzeczy, których jeszcze nie znałem. Pamiętałem do przodu...

Nie sądzę, by istniało na to słowo, prawda? Na pamiętanie rzeczy, które jeszcze się nie wydarzyły. Nie czuję tego, co zazwyczaj, kiedy szukam w głowie słowa i odkrywam, że go nie ma, jakby ktoś przyszedł i zabrał je w nocy.

Kiedy byłem młody, mieszkałem w dużym domu, dzielonym z innymi lokatorami. Byłem wówczas studentem. Każdy z nas miał własne półki w kuchni, starannie oznaczone naszymi imionami, a także w lodówce, na których trzymaliśmy własne jajka, ser, jogurt, mleko. Zawsze skrupulatnie pilnowałem, by używać wyłącznie własnych zapasów. Inni nie byli tak... No właśnie. Straciłem słowo. Słowo oznaczające „dokładni w przestrzeganiu zasad”.

Inni mieszkańcy domu byli... nie tacy. Zagałęm do lodówki i odkrywałem, że moje jajka zniknęły.

Myślę o niebie pełnym statków kosmicznych, tak wielu, że przypominają rój szarańczy, srebrnej na tle świetlistej, fioletowej nocy.

W tamtych czasach również z mojego pokoju zniknęły przedmioty. Buty. Pamiętam, jak zniknęły mi buty. Czy raczej ktoś je zniknął, bo nigdy nie przyłapałem ich na samym akcie znikania. Buty same sobie nie idą. Ktoś je „poszedł”. Podobnie jak mój wielki słownik, w tym samym domu, w tym samym czasie. Podszedłem do półeczki z książkami obok łóżka (wszystko tam stało obok łóżka: pokój należał do mnie, ale był nie większy od schowka z wstawionym łóżkiem). Podszedłem do półki i słownika nie było, pozostała tylko dziura wielkości słownika pośród innych książek, pokazująca miejsce, z którego zniknął.

Wszystkie słowa i książka, w której się znajdowały, zniknęły. Przez następny miesiąc zabrali mi także radio, pojemnik pianki do golenia. Duży notatnik i pudełko ołówków. I mój jogurt. I, co odkryłem w dniu awarii prądu, świece.

Teraz myślę o chłopcu w nowych tenisówkach, który wierzy, że może biec wiecznie. Nie, to nic mi nie daje. Suche miasto, w którym wiecznie padał deszcz. Droga przez pustynię, na której dobrzy ludzie widzieli miraż. Dinozaur będący producentem filmowym. Miraż był to pałac rozkoszy Kubilaj-Chana. Nie...

Czasami, kiedy słowa znikają, mogę znów je znaleźć, podkradając się do nich z innej strony. Powiedzmy, że zaczynam szukać słowa – na przykład rozmawiam o mieszkańcach planety Mars i uświadamiam sobie, że określające ich słowo zniknęło. Mogę się zorientować, że słowo to

występuje w zdaniu albo tytule. Kroniki _____. Mój ulubiony _____. Jeśli to nic nie da, zaczynam krążyć wokół samej idei. Małe zielone ludzki, myślę, albo wysokie, o ciemnych skórach, łagodne. Ciemnoskórzy byli i złotoocy... I nagle słowo Marsjanie już na mnie czeka, jak przyjaciel bądź kochanka pod koniec długiego dnia.

Odszedłem z domu, kiedy zniknęło moje radio. Zbyt mnie to męczyło – powolne znikanie rzeczy, które uważałem za bezpiecznie swoje, jednej za drugą, przedmiotu za przedmiotem, słowa za słowem.

Kiedy miałem dwanaście lat, pewien stary człowiek opowiedział mi historię, której nigdy nie zapomniałem.

Biedak znalazł się w lesie o zmroku, nie miał przy sobie modlitewnika, by odmówić wieczorną modlitwę. Powiedział zatem:

– Boże, który wiesz wszystko, nie mam modlitewnika i nie znam na pamięć żadnych modlitw. Ale ty znasz wszystkie modlitwy. Jesteś Bogiem. Oto zatem, co zamierzam zrobić. Wyrecytuję alfabet i pozwolę ci samemu złożyć słowa w całość.

W moim umyśle brakuje rzeczy i to mnie przeraża.

Ikar! Nie zapomniałem jeszcze wszystkich imion. Pamiętam Ikara. Podfrunął zbyt blisko Słońca. W historiach jednak było warto. Zawsze jest warto spróbować, nawet jeśli się nie uda, nawet jeśli już zawsze będziesz spadać jak meteor. Lepiej rozbłysnąć w ciemności, stać się natchnieniem dla innych, żyć, niż siedzieć w mroku i przeklinać ludzi, którzy pożyczili i nie oddali ci świec.

Ale straciłem też ludzi.

To dziwne uczucie. Tak naprawdę ich nie tracę. Nie tak, jak traci się rodziców jako małe dziecko, gdy myślimy, że trzymamy matkę za rękę w tłumie, a potem podnosimy głowę i okazuje się, że to nie matka... Albo później. Kiedy trzeba znaleźć słowa, by ich opisać podczas pogrzebu bądź stypy, albo kiedy rozrzucamy prochy w ogrodzie pełnym kwiatów lub w morzu.

Czasami wyobrażam sobie, że chciałbym, by moje prochy rozrzucano w bibliotece. Ale wówczas bibliotekarze po prostu przyszliby wcześniej następnego ranka i pozamiatali, nim zjawiliby się ludzie.

Chciałbym, aby moje prochy rozrzucano w bibliotece albo może w lunaparku. W lunaparku z lat trzydziestych, gdzie jeździło się na czarnym... czarnej...

Straciłem słowo. Karuzeli? Kolejce? Czymś, na co wsiadamy i znów stajemy się młodszy. Diabelskim młynie. Tak. A inny lunapark, który przyjeżdża do miasteczka, przywozi ze sobą zło. „Palec mnie świerzbi, co dowodzi...”.

Szekspir.

Pamiętam Szekspira, pamiętam jego nazwisko, kim był i co napisał. Na razie jest bezpieczny. Może istnieją ludzie, którzy zapomnieli Szekspira. Musieliby mówić o „człowieku, który napisał być albo nie być” – ale nie film, w którym główną rolę grał Jack Benny, prawdziwe nazwisko Benjamin Kubelsky, wychowany w Waukegan w stanie Illinois, godzinę jazdy od Chicago. Waukegan w stanie Illinois, zostało później unieśmiertelnione jako Green Town w stanie Illinois, miejsce akcji serii opowiadań i książek amerykańskiego autora, który opuścił je i zamieszkał w Los Angeles. To oczywiście człowiek, o którym myślę. Widzę go w głowie, kiedy zamykam oczy.

Kiedys często patrzyłem na jego zdjęcie na tylnej okładce książek. Wyglądał łagodnie, a także mądrze. Wyglądał zycliwie.

Napisał opowiadanie o Poem, by Poe nie został zapomniany, o przyszłości, w której palono książki i zapominano o nich. W tej historii znajdujemy się na Marsie, choć równie dobrze moglibyśmy być w Waukegan albo Los Angeles, jako krytycy, jako ci, którzy zwalczają bądź zapominają książki. Jako ci, którzy zabierają słowa, wszystkie słowa, słowniki, radia pełne słów. Jako ludzie, którzy są oprowadzani po domu i mordowani kolejno przez orangutana, przez studnię i wahadło, przez, na miłość boską, Montressora.

Poe. Znam Poego. I Montressora. I Benjamina Kubelsky'ego, a także jego żonę, Sadie Marks, niespokrewnioną z braćmi Marx, występującą pod pseudonimem Mary Livingstone. Przechowuję w głowie wszystkie te nazwiska.

Miałem dwanaście lat. Przeczytałem książki, obejrzałem film, i w chwili, gdy papier osiągnął temperaturę, w której zaczyna płonąć, pojąłem, że będę musiał to zapamiętać. Bo ludzie muszą pamiętać książki, skoro inni ludzie je palą albo zapominają. Zapiszemy je w pamięci. Staniemy się nimi. Staniemy się autorami. Staniemy się książkami.

Przepraszam. Coś tu straciłem. Jakbym zgubił ścieżkę i nagle ta, którą idę, okazała się ślepym zaułkiem, a ja zostałem samotny, zagubiony w lesie. Jestem tu i nie wiem już, gdzie jest „tutaj”.

Ty musisz się nauczyć sztuki Szekspira: będę nazywał cię w myślach Tytus Andronikus. Albo ty, kimkolwiek jesteś, mógłbyś nauczyć się powieści Agathy Christie: staniesz się Morderstwem w Orient Expressie. Ktoś inny zapamięta wiersze Johna Wilmota, hrabiego Rochester. A ty, czytelniku, kimkolwiek jesteś, możesz nauczyć się książki Dickensa i kiedy zechcę się dowiedzieć, co spotkało Barnaby'ego Rudge'a, zgłoszę się do ciebie. A ty mi powiesz.

A ludzie, którzy chcieliby spalić słowa, ludzie, którzy zdejmują książki z półek, strażacy i ignoranci, bojący się historii, słów, marzeń i Halloween, ludzie, którzy tatuowali na sobie historie, i chłopcy! Możecie hodować grzyby we własnej piwnicy! I dopóki twoje słowa będące ludźmi, będące dniami, będące moim życiem, dopóki twoje słowa przetrwają, będziesz żył i się liczył i zmieniał świat, a ja nie mogę sobie przypomnieć twojego nazwiska.

Nauczyłem się twoich książek. Wypaliłem je sobie w głowie na wypadek, gdyby w mieście zjawili się strażacy.

Ale ty sam odszedłeś i czekam, aż do mnie wrócisz. Tak jak czekałem na mój słownik, moje radio, moje buty – i z równie mizernym skutkiem.

Pozostało mi tylko miejsce w umyśle, gdzie kiedyś byłeś.

I nawet tego nie jestem pewien.

Rozmawiałem z przyjacielem i powiedziałem:

– Czy znasz te historie?

Powtórzyłem mu wszystkie słowa, które znałem, te o potworach wracających do domu z ludzkim dzieckiem. Te o sprzedawcy błyskawic i złowrogim lunaparku, który za nim podążał, i Marsjanach, ich upadłych szklanych miastach i idealnych kanałach. Powtórzyłem mu wszystkie słowa, a on odparł, że o nich nie słyszał. Że nie istnieją.

I martwię się.

Martwię się, że to ja utrzymywałem je przy życiu. Jak ludzie w śniegu pod koniec historii, krążący w przód i w tył, zapamiętujący, powtarzający słowa opowieści, sprawiający, że żyły.

Myślę, że to wina Boga.

No bo chyba nie możemy oczekiwać, że zapamięta wszystko. Nie może. Zajęty z niego gość, może zatem przekazuje część obowiązków. Czasami woła: „Ty tam! Chcę, żebyś zapamiętał daty wojny stuletniej. A ty pamiętaj okapi. Ty pamiętaj Jacka Benny'ego, będącego Benjaminem

Kubelskym z Waukegan w stanie Illinois”, a potem, kiedy zapominasz o rzeczach, jakie Bóg polecił ci zapamiętać, bum! Koniec z okapi. Tylko dziura w świecie kształtu okapi, będącego w połowie antylopą i żyrafą. Pa, pa, Jacku Benny. Żegnaj, Waukegan. Tylko dziura w umyśle, w miejscu gdzie kiedyś tkwił człowiek albo idea.

Nie wiem.

Nie wiem, gdzie szukać. Czy straciłem autora, tak jak kiedyś słownik? Albo co gorsza: czy Bóg powierzył mi to jedno drobne zadanie, a teraz go zawiodłem i, ponieważ zapomniałem, on zniknie z półek, zniknie z dzieł naukowych i istnieje już tylko w moich snach...?

W moich snach. Nie znam waszych snów. Może nie śnicie o sawannie będącej tylko tapetą, ale pożerającej dwoje dzieci. Może nie wiecie, że Mars to niebo, w którym ukochani zmarli czekają na nas i pożerają nas nocą. Nie śnicie o człowieku aresztowanym za zbrodnię bycia pieszym.

Ja śnię o tych sprawach.

Jeżeli naprawdę istniał, to go straciłem. Straciłem jego imię. Straciłem tytuły książek, jeden za drugim. Straciłem opowieści.

I obawiam się, że zaczynam wariować, bo to nie może być tylko starość.

Jeśli nie zdołałem wypełnić jedyne zadania, o Boże, pozwól mi zrobić tylko jedno, abyś mógł przywrócić opowieści światu.

Bo może, jeśli to się uda, przypomną sobie o nim. Wszyscy go sobie przypomną. Jego nazwisko znów stanie się synonimem małych amerykańskich miasteczek w Halloween, gdy liście przemykają po chodniku niczym spłoszone ptaki, synonimem Marsa i miłości. A moje nazwisko zostanie zapomniane.

Jestem gotów zapłacić tę cenę, jeśli tylko puste miejsce na regale mojego umysłu znów się zapełni, nim odejdę.

Dobry Boże, wysłuchaj mojej modlitwy.

A... B... C... D... E... F... G...

Jerozolima

Myśl moja już nie spocznie w boju,
Nie uśnie miecz w uścisku rąk,
Póki nie stanie Jeruzalem
W Anglii zielonej, kraju łąk.

– William Blake, „Jeruzalem”,
przeł. Jerzy Pietrkiewicz

Jerozolima, pomyślał Morrison. Jeruzalem. Jerozolima była jak głęboka kałuża, w której zebrała się zbyt gruba warstwa czasu. Pochłonęła go, pochłonęła ich oboje i czuł na sobie nacisk czasu. Zupełnie jakby zanurkował zbyt głęboko.

Cieszył się, że się z niej wydostał.

Jutro znow wróci do pracy. Praca to dobra rzecz. Zapewni mu coś, na czym będzie mógł się skupić. Włączył radio, a potem w połowie piosenki zgasił.

– Podobała mi się – rzuciła Delores.

Sprzątała lodówkę, nim napelni ją świeżym jedzeniem.

– Przepraszam – odparł.

Muzyka sprawiała, że nie mógł myśleć jasno. Potrzebował ciszy.

Morrison zamknął oczy i na chwilę wrócił do Jerozolimy. Poczuł na twarzy pustynny upał. Patrzył na Stare Miasto i po raz pierwszy rozumiał, jakie było małe. Prawdziwa Jerozolima, dwa tysiące lat temu, była mniejsza od zwykłego angielskiego miasteczka.

Ich przewodniczka, szczupła kobieta po pięćdziesiątce, o brązowej skórze, wskazała ręką.

– W tym miejscu Jezus wygłosił Kazanie Na Górze. Tu został aresztowany. Tu uwięziony. Piłat osądził go na drugim końcu Świątyni. Został ukrzyżowany na tamtym wzgórzu.

Raz po raz od niechcenia wskazywała gestem dół i górę zboczy. Zwiedzenie wszystkiego wymagałoby najwyżej kilkugodzinnego spaceru.

Delores robiła zdjęcia. Natychmiast zaprzyjaźniły się z przewodniczką. Morrison nie chciał odwiedzać Jerozolimy, wakacje wolał spędzić w Grecji, ale Delores się uparła. Jerozolima to miasto biblijne, powtarzała. To część historii.

Szli przez Stare Miasto, począwszy od Dzielnicy Żydowskiej. Kamienne schodki. Zamknięte sklepy. Tanie pamiątki. Na ulicy minął ich mężczyzna w wielkiej czarnej lisiej czapie i grubym płaszczu. Morrison aż się wzdrygnął.

– Chyba gotuje się żywcem!

– Tak właśnie ubierali się w Rosji – odparła przewodniczka. – I wciąż robią to tutaj. Futrzane czapy to świąteczne nakrycie głowy, niektórzy z nich noszą jeszcze większe.

Delores postawiła przed nim filiżankę herbaty.

– Grosik za twoje myśli – rzuciła.

– Wspominam wakacje.

– Nie myśl o tym za dużo – rzekła. – Najlepiej o wszystkim zapomnieć. Może wyjdiesz na spacer z psem?

Wypił herbatę. Kiedy schylił się, aby przypiąć smycz, pies popatrzył na niego wyczekująco, jakby chciał coś powiedzieć.

– No chodź, mały – rzucił Morrison.

Skręcił w lewo alejką, zmierzając na błonie. Otaczała go zieleń. Jerozolima była złota: miasto piasku i skał. Przeszli przez Dzielnicę Żydowską, do Dzielnicy Arabskiej, mijając ruchliwe sklepy pełne najróżniejszych słodczy, owoców bądź kolorowych tkanin.

– A potem pościel znika – mówiła do Delores przewodniczka. – Syndrom jerozolimski.

– Nigdy o nim nie słyszałam – odparła Delores, po czym dodała, zwracając się do Morrisona: – Słyszałeś o tym kiedyś?

– Byłem wiele mil stąd – odparł. – Co to znaczy? Te drzwi z mnóstwem rysunków?

– Wita kogoś po pielgrzymce do Mekki.

– No proszę – powiedziała Delores. – Dla nas to była Jerozolima. Ktoś inny jedzie gdzie indziej. Nawet w Ziemi Świętej wciąż żyją pielgrzymi.

– Nikt nie przyjeżdża do Londynu. Nie po to.

Delores puściła jego słowa mimo uszu.

– Czyli znika – rzekła do przewodniczki. – Żona wraca z zakupów albo muzeum i odkrywa, że pościel zniknęła.

– Właśnie – potwierdziła przewodniczka. – Idzie do recepcji i oznajmia, że nie wie, gdzie się podział mąż.

Delores objęła ramię Morrisona, jakby chciała się upewnić, że wciąż tam jest.

– I gdzie się podział?

– Cierpi na syndrom jerozolimski. Stoi na rogu ulicy, odziany jedynie w togę. Stąd te prześcieradła. I wygłasza kazanie: zazwyczaj o tym, że powinniśmy być dobrzy i słuchać Boga. Kochać siebie nawzajem.

– Przyjeżdż do Jerozolimy i zwariuj – wtrącił Morrison. – Nie najlepsze hasło reklamowe.

Przewodniczka zmierzyła go surowym spojrzeniem.

– To – rzekła z czymś, co mógłby uznać za dumę – jedyna choroba psychiczna związana wyłącznie z danym miejscem. I jedyna łatwo wyleczalna. Wie pan, jakie jest lekarstwo?

– Zabrać im pościel?

Przewodniczka zawahała się, a potem się uśmiechnęła.

– Blisko. Trzeba zabrać tę osobę z Jerozolimy. Natychmiast zdrowieje.

– Dzieńdoberek – rzucił mężczyzna mieszkający na końcu ulicy. Od jedenastu lat kłaniali się sobie, a Morrison wciąż nie wiedział, jak tamten ma na imię. – Ładna opalenizna. Było się na wakacjach, co?

– W Jerozolimie – odparł Morrison.

– Brr. W życiu nie dałbym się tam zaciągnąć. Tylko zobaczą człowieka i zaraz wysadzą go w powietrze albo porwą.

– Nas to nie spotkało.

– Mimo wszystko. Bezpieczniej w domu, co?

Morrison zawahał się, po czym zaczął mówić pośpiesznie.

– Przeszliśmy przez schronisko młodzieżowe do podziemnego, um... – zabrakło mu słowa – magazynu wody. Z czasów Heroda. Przechowywali deszczówkę pod ziemią, żeby nie wyparowała. Sto lat temu ktoś przepłynął łodzią wiosłową przez całe podziemia Jerozolimy.

Zagubione słowo czało się na skraju jego świadomości niczym dziura w słowniku. Dwie sylaby, zaczyna się na z, oznacza miejsce głęboko pod ziemią, w którym przechowują wodę.

– No i tak – odparł sąsiad.

– Właśnie – rzucił Morrison.

Błonie było zielone, z łagodnie pofalowanej trawy wyrastały dąb i buk, kasztanowiec i topola. Morrison wyobraził sobie świat, w którym Londyn został podzielony, w którym Londyn był miastem, przeciw któremu odbywano krucjaty, tracono, zdobywano i znów tracono. I tak bez przerwy.

Może, pomyślał, to nie obłąd. Może w tym miejscu szczeliny są po prostu głębsze, niebo dość cienkie, by dało się słyszeć, jak Bóg przemawia do swoich proroków. Ale w dzisiejszych czasach nikt nie przystaje, by posłuchać.

– Zbiornik – powiedział.

Zieleń błonia stała się sucha i złocista, upał parzył mu skórę, jak po otwarciu drzwiczek piekarnika. Zupełnie jakby nigdy nie wyjechał.

– Bołą mnie nogi – mówiła Delores, a potem: – Wracam do hotelu.

Przewodniczka spojrzała na nią z troską.

– Chcę po prostu potrzymać trochę stopy w górze – wyjaśniła Delores. – Strasznie dużo tego wszystkiego.

Mijali właśnie sklepik w więzieniu Chrystusa. Sprzedawano w nim pamiątki i dywany.

– Namoczę nogi. Wy dwoje idźcie dalej, zgarniecie mnie po lunchu.

Morrison chciał protestować, ale zapłacili przewodniczkę za cały dzień. Skórę miała ciemną i zniszczoną słońcem, kiedy się uśmiechała, jej uśmiech zaskakiwał niezwykłą bielą. Zaprowadziła go do kawiarni.

– I jak? – spytał Morrison. – Interesy dobrze idą?

– Nie przyjeżdża zbyt wielu turystów – odparła. – Nie od czasu początku intifady.

– Delores. Moja żona. Zawsze chciała tu przyjechać. Obejrzeć święte miejsca.

– Mamy ich tu tak wiele. Nieważne, w co się wierzy, chrześcijaństwo, muzułmanie, żydzi, to nadal święte miasto. Mieszkam tu całe życie.

– Pewnie nie może się pani doczekać, aż w końcu wszystko rozstrzygną – rzekł. – Em. To znaczy, problem palestyński. Politykę.

Wzruszyła ramionami.

– Jerozolimy to nie obchodzi – odparła. – Ludzie przybywają. Ludzie wierzą. Potem zabijają się nawzajem, by dowieść, że Bóg ich kocha.

– No cóż – rzekł. – A pani jak by to naprawiła?

Obdarzyła go najbielszym z uśmiechów.

– Czasami – rzekła – myślę, że najlepiej by było zbombardować ją całą. Zamienić w radioaktywną pustynię. Kto by ją wtedy chciał? Ale potem myślę, że i tak by tu przybyli, zebrali radioaktywny pył, mogący zawierać atomy Kopalni Skały, Świątyni albo muru, o który oparł się Chrystus w drodze na ukrzyżowanie. Ludzie walczyliby o zawładnięcie trującą pustynią, gdyby ta pustynia była Jerozolimą.

– Nie podoba się tu pani?

– Powinien się pan cieszyć, że tam, skąd pan pochodzi, nie ma Jerozolimy. Nikt nie chce podzielić Londynu. Nikt nie wyrusza z pielgrzymką do świętego miasta Liverpoolu. Po Birmingham nie krążą prorocy. Wasz kraj jest zbyt młody. Nadal zielony.

– Anglia nie jest młoda.

– Tu ludzie wciąż walczą o decyzje podjęte dwa tysiące lat temu. Przez ponad trzy tysiące lat walczyli o to, do kogo należy to miasto. Wtedy król Dawid zajął je po bitwie z Jebusytami.

Tonął w czasie, czuł, jak go miażdży, niczym pradawny las, zgniatany, zamieniający się w ropę.

– Macie państwo dzieci? – spytała przewodniczka.

Pytanie zaskoczyło Morrisona.

– Chcieliśmy mieć. Ale nie wyszło.

– Czy ona... pańska żona szuka cudu? Czasami tak tu bywa.

– Ona ma swoją... wiarę. Ja nigdy nie wierzyłem. Ale nie, nie wydaje mi się. – Pociągnął łyk kawy. – Zatem. Um. Jest pani zamężna?

– Straciłam męża.

– To była bomba?

– Co?

– Jak straciła pani męża?

– Amerykański turysta. Z Seattle.

– Ach.

Skończyli kawę.

– Pójdziemy sprawdzić, jak się miewają nogi pańskiej żony?

– Jestem naprawdę samotny – rzekł Morrison, gdy maszerowali wąską uliczką w stronę hotelu. – Mam pracę, której nie cierpię, wracam do domu, do żony, która mnie kocha, ale nieszczęśliwie lubi i czasami mam wrażenie, jakbym nie mógł się ruszyć i pragnę tylko, by cały świat zniknął.

Pokiwała głową.

– Owszem, ale nie mieszka pan w Jerozolimie.

Przewodniczka czekała w hotelowym lobby, tymczasem Morrison pojechał do pokoju. W jakiś sposób nawet się nie zdziwił, odkrywając, że Delores nie ma w sypialni ani w małej łazience i że pościel, jeszcze rano leżąca na łóżku, zniknęła.

Jego pies mógłby godzinami spacerować po błoni, ale Morrison zaczynał się męczyć, a z nieba padał drobny deszcz. Zawrócił, maszerując przez zielony świat. Zielony, miły świat, pomyślał, wiedząc, że to nie do końca prawda. Jego głowa przypominała szafkę z aktami, która spadła ze schodów, wszystkie informacje pomieszały się i zniekształciły.

Dogonili jego żonę na Via Dolorosa. Owszem, miała na sobie prześcieradło, ale sprawiała wrażenie skupionej, nie szalonej. Była spokojna, przerażająco spokojna.

– Wszystko jest miłością – mówiła ludziom. – Wszystko jest Jerozolimą. Bóg to miłość. Jerozolima to miłość.

Turysta zrobił zdjęcie, ale miejscowi nie zwracali na nią uwagi. Morrison objął ją ramieniem.

– Chodź, kochanie – powiedział. – Wracajmy do domu.

Spojrzała na niego na przestrzał; zastanawiał się, co widzi.

– Jesteśmy w domu – odparła. – W tym miejscu ściany świata są cienkie. Słyszymy, jak On

woła nas zza tych ścian. Posłuchaj. Z pewnością Go usłyszysz. Słuchaj!

Nie walczyła ani nawet nie protestowała, gdy poprowadzili ją z powrotem do hotelu. Nie wyglądała na prorokinię, tylko kobietę przed czterdziestką ubraną wyłącznie w prześcieradło. Morrison podejrzewał, że przewodniczkę to bawi, ale gdy dostrzegł jej spojrzenie, wyczytał w nim tylko troskę.

Z Jerozolimy pojechali do Tel Awiwu, i dopiero na plaży przed hotelem, przespawszy niemal dobę, Delores doszła do siebie. Lekko oszołomiona, niewiele pamiętała z poprzedniego dnia. Morrison próbował z nią rozmawiać o tym, co widział, o tym, co mówiła, ale urwał, gdy przekonał się, że ją denerwuje. Udali zatem, że to się nie wydarzyło, i więcej o tym nie wspominali.

Czasami zastanawiał się, co czuła owego dnia, w swojej głowie, słysząc głos Boga przenikający przez złociste kamienie, ale po prawdzie wołał nie wiedzieć. Tak było lepiej.

To syndrom związany z miejscem. Wystarczy zabrać chorego z Jerozolimy, pomyślał, zastanawiając się, tak jak wcześniej sto razy przez ostatnie kilka dni, czy to naprawdę dość daleko.

Cieszył się, że wrócili do Anglii, że są w domu, gdzie nie ma dość czasu, by zmiażdżyć człowieka, zdusić, zamienić w pył.

Maszerował przez skąpaną w mżawce alejkę, mijając drzewa na chodniku, starannie utrzymane frontowe ogródki, letnie kwiaty i idealną zieleń trawników. Czuł chłód.

Wiedział, że zniknęła, nim jeszcze skręcił za róg, nim zobaczył otwarte frontowe drzwi kołysane wiatrem.

Pójdzie za nią. I, pomyślał niemal z radością, znajdzie ją.

I tym razem posłucha.

Klik-Klak Grzechotka

- Zanim położysz mnie do łóżka, opowiesz mi historię?
- Naprawdę chcesz, żebym położył cię do łóżka? – spytałem chłopca.

Zastanowił się.

– Tak – odparł ze skupioną powagą. – Chyba tak. Ponieważ skończyłem już odrabiać zadanie domowe, powinienem się położyć i trochę się boję. Nie bardzo. Tylko odrobinę. Ale to strasznie duży dom i bardzo często światło nie działa i jest tak jakby ciemno.

Wyciągnąłem rękę i poczochnąłem mu włosy.

- Świetnie rozumiem – odparłem. – To wielki, stary dom.

Pokiwał głową. Siedzieliśmy w kuchni, jasnej i ciepłej. Odłożyłem czytane pismo na kuchenny stół.

- Jaką historię miałbym ci opowiedzieć?

– No cóż – odparł z namysłem. – Nie powinna być zbyt straszna, bo potem, kiedy kładę się do łóżka, cały czas myślę o potworach. Ale jeśli nie będzie choć odrobinę straszna, to mnie nie zaciekawia. Poza tym wymyślasz przecież straszne historie, prawda? Wiem, bo mówiła, że właśnie tym się zajmujesz.

– Przesada. Owszem, piszę historie. Jak dotąd jednak niczego nie wydałem. A piszę mnóstwo różnych rodzajów historii.

- Ale pisujesz też straszne historie?

– Tak.

Chłopak spojrzał na mnie z cieni przy drzwiach, gdzie czekał.

- Znasz jakieś historie o Klik-Klaku Grzechotce?

– Nie wydaje mi się.

– To najlepsze historie.

- Opowiadają je w waszej szkole?

Wzruszył ramionami.

– Czasami.

- Jaka jest historia o Klik-Klaku Grzechotce?

Był dzieckiem nad wiek rozwiniętym i z dezaprobatą przyjął ignorancję chłopaka siostry.

– Wszyscy je znają.

– Ja nie – odparłem, próbując się nie uśmiechnąć.

Popatrzył na mnie, jakby starał się rozstrzygnąć, czy go nabieram, czy też nie.

– Może powinienes zaprowadzić mnie do pokoju, a potem opowiesz mi historię, nim zasnę. Ale raczej nie straszna, bo będę wtedy na górze w swojej sypialni, a tam jest trochę ciemno.

- Mam zostawić twojej siostrze kartkę, żeby wiedziała, gdzie jesteśmy?

– Możesz. Ale usłyszysz kiedy wrócą, drzwi frontowe strasznie trzaskają.

Wyszliśmy z ciepłej, przytulnej kuchni do hallu wielkiego domu, chłodnego, ciemnego i pełnego przeciągów. Nacisnąłem przełącznik, ale hall pozostał ciemny.

– Żarówka wysiadła – wyjaśnił chłopiec. – To się ciągle zdarza.

Nasze oczy przywykły do mroku – księżyc był niemal w pełni i błękitnobiałe promienie wpadały przez wysokie okna nad schodami, wnikając aż do sieni.

– Poradzimy sobie – oznajmiłem.

– Tak – odparł z powagą chłopiec. – Bardzo się cieszę, że tu jesteś.

Teraz sprawiał wrażenie mniej dojrzałego. Jego dłoń odnalazła moją, zacisnął ją wokół moich palców, ufnie, przyjaźnie, jakby znał mnie całe życie. Poczułem się odpowiedzialny i dorosły. Nie wiedziałem, czy uczucia, jakie żywiłem wobec jego siostry, mojej dziewczyny, to miłość, jeszcze nie, ale podobało mi się, że dzieciak traktował mnie jak członka rodziny. Poczułem się jak jego starszy brat, wyżej uniosłem głowę i gdyby nawet w pustym domu było coś niepokojącego, nie przyznałbym tego za żadne skarby.

Schody zaskrzypiały pod wyświeconym dywanem.

– Klik-klaki – oznajmił chłopiec – to najlepsze potwory na świecie.

– Są z telewizji?

– Raczej nie. Wątpię, czy ludzie wiedzą, skąd przychodzą. Zazwyczaj przybywają z mroku.

– To dobre miejsce dla potwora.

– Tak.

Maszerowaliśmy górnym korytarzem wśród cieni, przechodząc z jednej plamy księżycowego światła na drugą. To był naprawdę wielki dom. Pożałowałem, że nie zabrałem latarki.

– Przychodzą z mroku – oznajmił chłopiec, ściskając mi dłoń. – Myślę, że są zrobione z ciemności i zjawiają się, kiedy nie zwracamy uwagi. To wtedy przychodzą i zabierają cię do swoich... nie gniazd. Jak się nazywa coś takiego jak gniazdo, ale nie?

– Dom?

– Nie, to nie dom.

– Kryjówka?

Przez chwilę milczał.

– Chyba tak brzmiało to słowo – rzekł wreszcie. – Właśnie. Kryjówek. – Uścisnął mi dłoń. Umilkł.

– No dobrze, zatem prowadzą nieuważnych ludzi do swojej kryjówki. A co wtedy robią te twoje potwory? Wysysają ci krew jak wampiry?

Prychnął.

– Wampiry nie wysysają całej krwi. Piją tylko odrobinę. Tylko żeby się posilić i, no wiesz, móc sobie polatać. Klik-klaki są znacznie straszniejsze od wampirów.

– Nie boję się wampirów – poinformowałem go.

– Ja też nie. Ja też się nie boję wampirów. Chcesz wiedzieć, co robią klik-klaki? One cię wypijają – oznajmił chłopiec.

– Jak colę?

– Cola jest strasznie niezdrowa – zaprotestował chłopiec. – Jeśli wsadzisz ząb do szklanki z colą, do rana całkiem się rozpuści. Oto, jak niezdrowa jest cola i czemu zawsze wieczorem trzeba czyścić zęby.

W dzieciństwie też słyszałem historyjkę o coli. Jako dorosły dowiedziałem się, że to

nieprawda, ale uznałem, że kłamstwo promujące higienę dentystyczną to dobre kłamstwo, i odpuściłem.

– Klik-klaki cię wypijają – oznajmił chłopiec. – Najpierw gryzą cię, a potem robisz się ciapaty w środku, całe twoje mięso, mózg i wszystko oprócz kości i skóry zamienia się w mokrą breję, jak koktajl i klik-klak wysysa ją przez dziury, gdzie kiedyś tkwiły oczy.

– To obrzydliwe – powiedziałem. – Sam to wymyśliłeś?

Dotarliśmy na ostatni podest, daleko w głębi wielkiego domu.

– Nie.

– Nie mogę uwierzyć, że wymyślacie podobne historie.

– Nie spytałeś mnie o grzechotkę – zauważył.

– Słusznie. Co to za grzechotka?

– Cóż – odparł poważnie, trzeźwo, cichy głosik w ciemności obok mnie. – Kiedy zostają z ciebie tylko kości i skóra, klik-klaki wieszają cię na haku i grzechoczesz na wietrze.

– A jak wyglądają te całe klik-klaki?

Już w chwili, gdy zadawałem to pytanie, pożałowałem, że nie mogę go cofnąć. Pomyślałem: wielkie, pająkowate stwory, jak te pod prysznicem dziś rano. Boję się pajaków.

Użyło mi, kiedy chłopiec odparł:

– Wyglądają jak coś, czego się nie spodziewasz. Na co nie zwracasz uwagi.

Teraz wspinaliśmy się po drewnianych schodach. Opierałem się o poręcz po lewej, prawą trzymałem go za rękę, a on dreptał obok mnie. Tu, wysoko, powietrze pachniało kurzem i starym drewnem. Chłopiec jednak stąpał pewnie, mimo że blask księżyca niemal tu nie sięgał.

– Wiesz już, jaką historię mi opowiesz, kiedy położysz mnie do łóżka? – spytał. – Jak mówiłem, tak naprawdę nie musi być straszna.

– Nie do końca.

– Może po prostu opowiedz mi o tym wieczorze. Opowiedz, co robiłeś.

– To niezbyt ciekawa historia. Moja dziewczyna przeprowadziła się właśnie do nowego domu na skraju miasta. Odziedziczyła go po ciotce czy kimś podobnym. Jest bardzo wielki i bardzo stary. Dziś spędzę w nim z nią pierwszą noc, więc czekam już od godziny, aż wróci z współlokatorami, przynosząc wino i indyjski obiad na wynos.

– Widzisz? – rzucił chłopiec. Znów w jego głosie usłyszałem dojrzałe rozbawienie, ale wszystkie dzieciaki potrafią być czasem nieznośne, gdy uważają, że wiedzą coś, czego my nie wiemy; zapewne dobrze im to robi. – Wiesz to wszystko. Ale nie myślisz. Pozwalasz po prostu, by twój mózg wypełniał luki.

Otworzył pchnięciem drzwi wiodące na strych. Teraz było absolutnie ciemno, lecz otwarcie drzwi poruszyło powietrze i usłyszałem, jak coś grzechocze cicho, niczym suche kości w cienkich workach, poruszone lekkim prądem powietrza. Klik. Klak. Klik. Klak. O tak. W tym momencie cofnąłbym się, gdybym mógł; ale małe, mocne palce pociągnęły mnie naprzód, nieustępliwie, w mrok.

Inwokacja indyferencji

Na całej Florydzie roi się od pchlich targów, a ten nie był wcale najgorszy. Kiedyś budynek służył za hangar lotniczy, ale miejscowe lotnisko zostało zamknięte ponad dwadzieścia lat temu. Teraz za metalowymi stołami stała setka handlarzy. Większość oferowała podrabiane towary: okulary przeciwsłoneczne, zegarki, torebki bądź paski. Pewna afrykańska rodzina sprzedawała rzeźbione drewniane zwierzęta, za nimi krzykliwa kobieta o napuszonej fryzurze, niejaka (takich nazwisk się nie zapomina) Charity Parrot, handlowała pozbawionymi okładek książkami i starymi magazynami pulpowymi o zbrązowiałych, kruszących się kartkach. Obok niej, w kącie, Meksykanka, której imienia nigdy nie poznałem, rozwiesiła plakaty filmowe i pozwijane fotosy.

Czasami kupowałem książki od Charity Parrot.

Wkrótce kobieta z plakatami zniknęła i zastąpił ją drobny mężczyzna w ciemnych okularach. Na metalowym stole pokrytym szarym obrusem rozłożył małe rzeźby. Przystanąłem, by je obejrzeć – osobliwe stworenia, zrobione z szarej kości, kamienia i ciemnego drewna – a potem przyjrzałem się jemu samemu. Zastanawiałem się, czy nie uczestniczył może w jakimś koszmarnym wypadku, takim, który wymaga operacji plastycznych: kąt nachylenia jego twarzy i kształt były dziwnie niewłaściwe. Skórę miał zbyt bladą, przesadnie czarne włosy niemal na pewno wyglądały na perukę, być może zrobioną z psiego włosia. Ciemne szkła okularów całkowicie ukrywały oczy. Na florydzkim pchlim targu nie wydawał się jednak nie na miejscu: wszystkie stoły wynajmowali dziwaczni ludzie, a równie dziwni robili tu zakupy.

Niczego od niego nie kupiłem.

Kiedy następnym razem wpadłem na targ, z kolei Charity Parrot gdzieś się przeniosła. Jej miejsce zajęła hinduska rodzina sprzedająca szisze i inne sprzęty do palenia, ale człowieczek w ciemnych okularach nadal stał w kącie na tyłach targu przed stołem z szarym obrusem. Spoczywały na nim kolejne rzeźby stworzeń.

– Nie rozpoznaję żadnego z tych zwierząt – zauważyłem.

– Nie.

– Sam pan je robi?

Pokręcił głową. Na pchlim targu nie wolno nikogo pytać, skąd bierze swój towar. W takich miejscach istnieje niewiele tematów tabu, ale to jeden z nich: źródła są nietykalne.

– Dużo pan sprzedaje?

– Dość, by mieć co włożyć do ust – odparł – i opłacić dach nad głową. – A potem dodał: – Są warte więcej niż za nie żądam.

Podniosłem coś, co wyglądało trochę jak sarna, gdyby sarna była mięsożerna.

– Co to takiego?

Zerknął w dół.

– To chyba prymitywny tawny, trudno powiedzieć. Należał do mojego ojca.

W tym momencie rozległ się gong informujący, że wkrótce zamykają targ.

– Chciałby pan coś zjeść? – spytałem.

Spojrzał na mnie czujnie.

– Ja stawiam – wyjaśniłem. – Żadnych zobowiązań. Po drugiej stronie ulicy jest Denny. Albo może w jakimś barze.

Zastanowił się.

– Denny mi pasuje – odparł. – Spotkajmy się tam.

Czekałem u Denny'ego. Po półgodzinie nie spodziewałem się już, że się zjawi, ale zaskoczył mnie, przybywając pięćdziesiąt minut po mnie. W ręku trzymał brązowy skórzany worek, przywiązany do przeguba długim kawałkiem szpagatu. Wyobrażałem sobie, że przechowuje w nim pieniądze, bo zwisał jak pusty – z pewnością nie pomieściłby w nim swoich towarów. Wkrótce pochłonął niemal cały talerz naleśników i wreszcie przy kawie zaczął mówić.

* * *

Minęło południe, gdy słońce nieco pociemniało. Najpierw zamigotało, a potem zaczęło szybko czernieć z jednej strony. Czerń zakradała się na szkarłatną tarczę, aż w końcu przesłoniła ją całą. Słońce wyglądało teraz jak węgiel wyrzucony z ogniska, a na świat powróciła noc.

Balthazar Nierychliwy zszedł szybko ze wzgórza, zostawiając siatki na drzewach, niesprawdzone i nieopróżnione. Nie odezwał się ani słowem, oszczędzając oddech, poruszając się tak szybko, jak pozwalała mu jego potężna tusza. W końcu dotarł do stóp wzgórza i drzwi jednoizbowej chaty.

– Hej, ośle! Już czas! – zawołał.

Potem ukląkł i zapalił lampę z olejem rybnym, który pryskał, cuchnął i płonął migotliwym pomarańczowym ogniem.

Drzwi chaty otwarły się i stanął w nich syn Balthazara: nieco wyższy od ojca, znacznie chudszy i pozbawiony brody. Młodzika nazwano imieniem jego dziadka i póki tamten żył, znany był jako Farfal Młodszy; teraz wszyscy nazywali go, nawet w jego obecności, Farfalem Pechowcem. Jeśli przyniósł do domu nioskę, ta przestawała znosić jajka; jeśli zrąbał drzewo, zawsze wywracało się w miejsce najmniej dogodne, gdzie mogło narobić największych szkód; kiedy znalazł starożytny skarb w skrzynce zakopanej na skraju pola, klucz do skrzynki złamał się, gdy Farfal przekręcał go w zamku, pozostawiając w powietrzu tylko słabe echo pieśni odległego chóru, a skrzynka rozpadła się w proch. Młode kobiety, które obdarzał uczuciem, zakochiwały się w innych mężczyznach albo zamieniały w gruły, albo też porywały je deodandy. Tak po prostu było.

– Słońce zgasło – oznajmił Balthazar Nierychliwy do swego syna.

– A zatem to już to – odparł Farfal. – Nadszedł koniec.

Teraz, kiedy słońce zgasło, zrobiło się chłodniej.

– Wkrótce nadejdzie – powiedział Balthazar. – Zostało nam zaledwie kilka minut. Dobrze, że przygotowałem się na ten dzień.

Uniósł wysoko lampę z rybnym olejem i wmaszerował do chaty.

Farfal podążył za ojcem do małego domku, składającego się z jednej dużej izby

i zamkniętych na klucz drzwi na jej końcu. Właśnie do nich podszedł teraz Balthazar. Postawił przed nimi lampę, zdjął z szyi klucz i przekręcił w zamku.

Farfalowi opadła szczęka.

– Te kolory – powiedział. – Nie odważę się tam przejść.

– Chłopcze – rzucił ojciec – przechodź i stąpaj bardzo ostrożnie.

A potem, kiedy Farfal nawet nie drgnął, ojciec przepchnął go przez drzwi i zamknął je za nimi.

Farfal stał tam, mrugając, by oczy przywykły do światła.

– Jak zapewne spostrzegasz – jego ojciec oparł dłonie na pojemnym brzuchu i rozejrzał się po pokoju, w którym się znaleźli – pomieszczenie to nie istnieje czasowo w znanym ci świecie. Istnieje natomiast ponad milion lat przed naszymi czasami, w dniach Ostatniego Imperium Remorańskiego, okresie słynącym ze wspaniałej muzyki lutniowej, doskonałej kuchni, a także piękna i posłuszeństwa klasy niewolniczej.

Farfal potarł ręką oczy, a potem spojrzął na drewniane okno stojące pośrodku pomieszczenia. Okno, przez które właśnie weszli, jakby było drzwiami.

– Zaczynam pojmować – odparł – dlaczego tak często nie można się było z tobą skontaktować. Wydaje mi się bowiem, że widziałem, jak wiele razy przechodzisz przez drzwi do tego pomieszczenia, lecz nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Rozumiałem tylko, że musi minąć nieco czasu, zanim powrócisz.

Balthazar Nierychliwy zaczął zdejmować ubranie uszyte z ciemnych worków; po chwili stał nagi – grubas o długiej siwej brodzie i krótko przystrzyżonych siwych włosach. Wkrótce jego ciało zasłoniły jaskrawokolorowe jedwabne szaty.

– Słońce! – wykrzyknął Farfal, wyglądając przez niewielkie okienko pomieszczenia. – Spójrz tylko! Jest pomarańczowoczerwone, jak świeżo poruszony ogień! A czujesz to gorąco? – Po czym dodał: – Ojciec. Czemu nigdy nie przyszło mi do głowy spytać, dlaczego tak wiele czasu spędzasz w drugiej izbie naszej jednoizbowej chaty? Ani nawet w myślach nie zdziwiło mnie istnienie owej izby?

Balthazar zawiązał ostatnie troczki, okrywając swój wybitny brzuch jedwabną tkaniną, po której pełzały haftowane, eleganckie potwory.

– Możliwe – przyznał – że wynika to częściowo z Inwokacji Indyferencji Empusy. – Uniósł wiszące na szyi małe czarne pudełeczko z kraciastym okienkiem, niczym mały pokoić, ledwo dość duże, by pomieścić chrząszcza. – To ona, właściwie przygotowana i inwokowana, chroni nas przed dostrzeżeniem. Tak jak nie mogłeś zastanawiać się nad moimi odejściami, ludzie w tych czasach i miejscu nie zdumiewają się ani moją osobą, ani niczym co robię, a co mogłoby się sprzeciwić moralności i zwyczajom Osiemnastego i Ostatniego Większego Imperium Remorańskiego.

– Zdumiewające – mruknął Farfal.

– Nie ma znaczenia, że słońce zgasło i że za kilka godzin, albo w najlepszym razie tygodni, wszystko, co żyje na Ziemi, umrze. Tu bowiem, w tych czasach, jestem Balthazarem Przebiegłym, kupcem handlującym z powietrznymi statkami, handlarzem antyków, przedmiotów magicznych i cudów – a ty, mój synu, także zostaniesz tutaj. Dla wszystkich, którzy interesowałiby się twoim pochodzeniem, będziesz po prostu i wyłącznie moim sługą.

– Twoim sługą? – powtórzył Farfal Pechowiec. – Dlaczego nie mogę być twoim synem?

– Z różnych powodów – oznajmił jego ojciec – zbyt drobnych i trywialnych, by w tym

momencie o nich dyskutować. – Powiesił czarne pudełko na gwoździu w kącie pokoju. Farfalowi wydało się, że widzi nóżkę albo głowę, jakby z wnętrza owego pudełka machał do niego jakiś żukowaty stwór, ale nie zatrzymał się, by mu się przyjrzeć. – A także dlatego, że w tych czasach mam już licznych synów, których spłodziłem z moimi konkubinami, i raczej nie ucieszyliby się, słysząc o kolejnym. Choć, biorąc pod uwagę rozbieżność waszych dat urodzin, musiałby minąć ponad milion lat, nim mógłbyś odziedziczyć jakikolwiek majątek.

– Masz majątek?

Farfal rozglądał się po pomieszczeniu nowymi oczami. Całe życie spędził w jednoizbowej chacie u kresu czasu, u stóp niewielkiego wzgórza, żywiąc się strawą, którą ojciec łowił siatkami w powietrzu – zazwyczaj tylko morskimi ptakami i skrzydlatymi jaszczurkami, choć od czasu do czasu łapało się też coś innego: stworzenia podające się za anioły albo wielkie, napuszone, karaluchowate istoty o wysokich metalowych koronach, albo też duże galaretki barwy brązu. Wyjmowali je z siatek, a potem albo z powrotem wyrzucali w powietrze, albo jedli, albo też wymieniali na coś z nielicznymi ludźmi odwiedzającymi te strony.

Ojciec uśmiechnął się złośliwie i z miną człowieka głaskającego zwierzę przyglądał imponującą siwą brodę.

– Istotnie, majątek – rzekł. – W tych czasach małe i średnie kamyki z końca Ziemi cieszą się wielkim popytem: istnieją zaklęcia, czary i magiczne instrumenty, do których są niemal niezbędne. A ja właśnie nimi handluję.

Farfal Pechowiec pokiwał głową.

– A jeśli nie zechcę zostać sługą – rzekł – lecz poproszę, abys odesłał mnie tam, skąd przybyliśmy, przez to okno? Co wtedy?

– Nie mam cierpliwości do podobnych pytań – odparł jedynie Balthazar Nierychliwy. – Słońce już zgasło. Za kilka godzin, może minut, nadejdzie koniec świata. Może wszechświat także się skończy. Nie myśl więcej o tych sprawach. Zamiast tego przyniosę z targu w przystani magiczne stworzenie zamykające do okna. A kiedy mnie nie będzie, ty tymczasem możesz uporządkować i wyczyścić wszystkie przedmioty, które widzisz w tej szafce. Uważaj tylko, byś nie dotknął palcami zielonego fletu (obdarzy cię bowiem muzyką, lecz zadowolenie w twojej duszy zastąpi nieuleczalną tęsknotą), nie zmocz też onyksowego bogadila. – Poklepał czule dłoń syna, wspomniały, bogaty mąż w mieniących się jedwabiach. – Ocaliłem cię przed śmiercią, mój chłopcze. Sprowadziłem cię poprzez czas do nowego życia. Jakie ma to znaczenie, czy w tym życiu będziesz synem, czy sługą? Życie to życie, nieskończenie lepsze niż alternatywa, albo tak przynajmniej zakładamy, bo nikt nie powraca, by zaprotestować. Oto moje motto.

To rzekłszy, pogrzebał pod oknem i wyjął szarą ścierkę, którą wręczył Farfalowi.

– Proszę, do roboty! Spisz się dobrze, a pokażę ci, jak bardzo różni się suta starożytna uczta od wędzonych morskich ptaków i marynowanego korzenia ossakera. I pod żadnym pozorem, z żadnego powodu nie przesuwaj okna. Jego pozycja jest dokładnie skalibrowana. Gdybyś je przesunął, mogłoby otworzyć się wszędzie.

Zakrył okno kawałkiem tkaniny, dzięki temu wyglądało znacznie mniej intrygująco niż wielkie drewniane okno stojące bez podparcia pośrodku pomieszczenia.

Balthazar Nierychliwy wyszedł drzwiami, których Farfal wcześniej nie zauważył. Szczęknięty zasuwane rygle. Farfal sięgnął po szmatę i zaczął bez entuzjazmu odkurzać i polerować.

Po kilku godzinach zauważył światło przenikające przez okno, tak jasne, że przeświecało nawet przez tkaninę. Wkrótce jednak znów zgasło.

Farfala przedstawiono w domostwie Balthazara Przebiegłego jako nowego sługę. Miał okazję zobaczyć pięciu synów i siedem konkubin Balthazara (choć nie pozwalano mu się do nich odzywać), poznał też zarządcę domu, który opiekował się kluczami, i pokojówki, krzątające się tu i ówdzie na rozkaz zarządcy, i stojących najniżej w całej hierarchii prócz samego Farfala.

Pokojówki nie znosiły jasnoskórego przybysza, bo tylko jemu oprócz ich pana wolno było wchodzić do Sanctum Sanctorum, komnaty cudów mistrza Balthazara, miejsca, w którym mistrz wcześniej zamykał się wyłącznie sam.

I tak płynęły dni i tygodnie. Farfal przestał zdumiewać się na widok jasnego, pomarańczowoczerwonego słońca, tak wielkiego i niezwykłego, ani kolorów dziennego nieba (głównie lososiwego i różowofioletowego), ani faktu, że na targowisko statków przybywały okręty z odległych światów, przywożące ładunki cudów.

Nawet w otoczeniu owych wspaniałości zapomnianej ery, w świecie pełnym cudów, Farfal czuł się nieszczęśliwy. Oznajmił to Balthazarowi, gdy następnym razem kupiec podszedł do drzwi swojego Sanctum.

– To niesprawiedliwe.

– Niesprawiedliwe?

– Że czyszczę i poleruję cuda i drogocенności, podczas gdy ty i twoi pozostali synowie bierzecie udział w ucztach, przyjęciach i bankietach, poznajecie ludzi i inne istoty, i radujecie się życiem, tu, u zarania czasów.

– Najmłodszy syn – odparł Balthazar – nie zawsze cieszy się przywilejami starszych braci, a oni wszyscy są starsi od ciebie.

– Ten rudowłosy ma zaledwie piętnaście lat, ciemnoskóry czternaście, bliźniacy najwyżej dwanaście, a ja jestem mężczyzną siedemnastoletnim...

– Są starsi od ciebie o ponad milion lat – przypomniał ojciec. – Nie chcę więcej słuchać tych bzdur.

Farfal Pechowiec zagryzł dolną wargę, by nie odpowiedzieć.

W tym właśnie momencie na dziedzińcu wybuchło zamieszanie, jakby ktoś wyważył wielkie drzwi. Usłyszeli krzyki zwierząt i domowego ptactwa. Farfal podbiegł do małego okienka i wyjrzał.

– Przyszli ludzie – zameldował. – Widzę światło odbijające się od ich broni.

Jego ojciec wcale się nie zdziwił.

– Oczywiście. Teraz mam dla ciebie zadanie, Farfalu. Ze względu na pewien bezpodstawny optymizm z mojej strony, niemal zabrakło nam już kamieni, na których wspiera się moje bogactwo, i ze wstydem odkryłem, że chwilowo przyjąłem zbyt wiele zamówień. Musimy zatem powrócić do naszego dawnego domu i pozbierać co tylko się da. Bezpieczniej będzie, jeśli pójdziemy obaj. A czas stanowi klucz.

– Pomogę ci – odparł Farfal – jeśli zgodzisz się w przyszłości traktować mnie lepiej.

Z dziedzińca dobiegły krzyki.

– Balthazarze? Łotrze! Oszuście! Kłamco! Gdzie moje trzydzieści kamieni? – Głos był niski i przenikliwy.

– W przyszłości będę cię traktować znacznie lepiej – odparł ojciec. – Przysięgam.

Podszedł do okna i ściągnął tkaninę. Wewnątrz drewnianej ramy nie dostrzegł żadnego światła, jedynie głęboką, bezkształtną ciemność.

– Może świat już całkiem się skończył – mruknął Farfal – i nie ma tam niczego prócz niczego.

– Od chwili naszego przybycia minęło tam zaledwie kilka sekund – odparł ojciec. – Taka jest natura czasu. W młodości płynie szybciej, a jego koryto jest węższe. Pod koniec wszechrzeczy czas rozlewa się i spowalnia, jak olej wylany na nieruchomą taflę stawu.

Następnie zdjął zaspane magiczne stworzenie zamykające, które umieścił na oknie zamiast zamka, i pchnął wewnętrzne skrzydło tak, że otwarło się powoli. Powiał przez nie mroźny wiatr, od którego Farfal zadrżał.

– Wysyłasz nas na śmierć, ojciec – rzekł.

– Wszyscy zmierzamy ku śmierci – odrzekł ojciec. – A jednak wciąż tu jesteś, milion lat przed swymi narodzinami, i nadal żyjesz. Zaprawdę, wszyscy złożeni jesteśmy z cudów. A teraz, synu, oto worek. Wkrótce przekonasz się, że nasączyłem go Nasączającą Miksturą Niezwykłej Pojemności Swanna, toteż pomieści wszystko, co do niego włożysz, niezależnie od wagi, masy bądź objętości. Kiedy tam dotrzemy, musisz zebrać jak najwięcej kamieni i umieścić w worku. Ja sam pobiegnę na wzgórze do sieci i sprawdzę, czy nie ma w nich jakichś skarbów – albo czegoś, co uznawano by za skarb, gdybym sprowadził to ze sobą tu i teraz.

– Mam iść pierwszy? – spytał Farfal, ściskając worek.

– Oczywiście.

– Jest tak zimno.

W odpowiedzi ojciec pchnął go mocno w plecy palcem. Farfal, mamrocząc pod nosem, przecisnął się przez okno, ojciec podążył jego śladem.

– Naprawdę tu okropnie – zauważył Farfal.

Wyszli z chaty u kresu czasu i schylił się, by pozbierać kamyki. Wrzucił pierwszy do worka, w którym zabłysnął zielenią, podniósł kolejny. Niebo było ciemne, ale zdawało się, że coś je wypełnia, coś pozbawionego kształtu.

Nagle błysnęło, tak jakby błyskawica, w jej świetle ujrzał ojca ściągającego sieci z drzew na szczycie wzgórza.

Trzask. Sieci zapłonęły i zniknęły. Balthazar, zdyszany, na łeb na szyję zbiegał ze zbocza, ręką wskazywał niebo.

– To Nicość! – rzucił. – Nicość połknęła szczyt wzgórza! Nicość przejmuje panowanie.

Nagle powiał potężny wiatr. Farfal patrzył, jak jego ojciec zaczyna skwierczeć, unosi się w powietrze i znika. Cofnął się przed Nicością, ciemnością wewnątrz ciemności, na której brzegach tańczyły maleńkie błyskawice. Zawrócił i pobiegł do domu, do drzwi wiodących do drugiej izby. Ale nie wszedł do niej. Stał w drzwiach i odwrócił się z powrotem do Umierającej Ziemi. Farfal Pechowiec widział, jak nicość pochłania zewnętrzne mury, odległe wzgórza i niebo. Potem patrzył, nie mrugnawszy okiem, jak połyka zimne słońce. Patrzył, aż w końcu nie zostało już nic, oprócz ciemnego bezkształtu, który ciągnął go ku sobie, jakby nie mógł się już doczekać chwili, gdy zniszczy wszystko.

Dopiero wtedy Farfal wszedł do wewnętrznej izby w chacie, do Sanctum swego ojca sprzed miliona lat.

Usłyszał walenie do drzwi zewnętrznych.

– Balthazarze? – dobiegł głos z dziedzińca. – Dostałeś dzień, o który mnie błagałeś, łotrze. Teraz dawaj trzydzieści kamieni. Daj mi kamienie albo dotrzymam słowa – każę zabrać twoich synów poza świat, by harowali w telbańskich kopalniach bdelium. Kobiety będą przygrywać w pałacu rozkoszy Luthiusa Limna, gdzie obdarzę je zaszczytem grania słodkiej muzyki, podczas gdy ja, Luthius Limn, będę tańczył i śpiewał, a potem namiętnie i atletycznie kochał się

z moimi katamitkami. Nie zamierzam nawet strzepić języka, opisując los, jaki spotka twoją służbę. Twoje zakłęcie ukrywające na nic się nie zda, bo jak widzisz bez większych problemów znalazłem ten pokój. A teraz daj mi trzydzieści kamieni, nim otworzę drzwi i zamienię twoje tłuste cielsko w smalec do smażenia, a kości rzucę psom i deodantom.

Farfal zadrżał ze strachu. Czas, pomyślał, potrzebuję czasu. Próbował przemówić tak nisko, jak tylko zdołał.

– Jedną chwilkę, Luthiusie Limnie! – zawołał. – Jestem właśnie w trakcie skomplikowanej operacji magicznej, oczyszczającej twoje kamienie z negatywnej energii. Jeśli mi w tym przeszkodzisz, skutki będą katastrofalne.

Rozejrzał się po pokoju. Jedyne okienko było zbyt małe, by mógł się przez nie przecisnąć. Po drugiej stronie jedynych drzwi czekał Luthius Limn.

– Faktycznie, prawdziwy ze mnie pechowiec. – Westchnął.

Potem wziął worek, który dał mu ojciec, i zgarnął do niego wszystkie drobiazgi, durnostojki i bibeloty, jakich zdołał dosięgnąć; cały czas uważał, by nie dotykać gołymi palcami zielonego fletu. Zniknęły w głębi worka, który wcale więcej nie ważył i nie wydawał się pełniejszy niż wcześniej. Spojrzał na okno pośrodku pomieszczenia – jedyne wyjście prowadziło w nicość, na kres wszechrzeczy.

– Dosyć! – dobiegł głos zza drzwi. – Straciłem już cierpliwość, Balthazarze. Dziś wieczór moi kucharze usmażą twoje narządy wewnętrzne. – Rozległ się głośny łomot, jakby coś ciężkiego i twardego uderzyło w drzwi.

Potem Farfal usłyszał krzyk, a potem ciszę.

– Czy on nie żyje? – rozległ się głos Luthiusa Limna.

Kolejny głos – Farfalowi wydało się, że brzmi jak jeden z jego przyrodnych braci, odparł:

– Podejrzewam, że drzwi są magicznie chronione i zabezpieczone.

– Zatem – zagrzmiął zdecydowanym tonem Luthius Limn – przejdziemy przez ścianę.

Farfal był pechowy, ale nie głupi. Zdjął czarne lakierowane pudełeczko z gwoździa, na którym powiesił je ojciec. Zobaczył, jak coś porusza się w środku i przesuwa.

– Ojciec zabronił mi przesuwać okno – rzekł do siebie.

A potem przyłożył do niego ramię i pchnął gwałtownie, przesuując ciężką konstrukcję o niemal pół cala. Ciemność wypełniająca okno zaczęła się zmieniać i jaśnieć perłowym światłem.

Założył sobie pudełko na szyję.

– Wystarczy – rzekł do siebie Farfal Pechowiec i w chwili, gdy coś rąbnęło o ścianę pomieszczenia, chwycił kawałek sznurka, przywiązał sobie do lewego przegubu skórzany worek z pozostałością skarbów Baltazara Przebiegłego, po czym przecisnął się przez okno.

Zapłonęło światło tak jasne, że zamknął oczy i przeszedł na drugą stronę.

Farfal zaczął spadać.

Wymachiwał rękami w powietrzu, zaciskając mocno powieki w oślepiającym świetle. Na skórze czuł prąd powietrza.

Coś uderzyło go i pochłonęło: woda, gęsta, ciepła. Farfal szarpnął się, zbyt zaskoczony, by oddychać. Wypląnął na powierzchnię wynurzył głowę i odetchnął głęboko. A potem zaczął szamotać się w wodzie, póki jego dłonie nie chwyciły jakiejś rośliny i nie wypełznął na czworakach z zielonej wody na gąbczastą ziemię, zostawiając za sobą mokry ślad.

* * *

– Światło – rzekł mężczyzna u Denny’ego. – Światło było oślepiające, a słońce jeszcze nie wzeszło. Ale zdobyłem je – postukał palcem w oprawkę okularów – i trzymam się zawsze w cieniu, by zbyt mocno nie poparzyć skóry.

– A teraz? – spytałem.

– Sprzedaję rzeźby – wyjaśnił. – I szukam kolejnego okna.

– Chcesz wrócić do własnych czasów?

Pokręcił głową.

– Są martwe – rzekł. – Podobnie jak wszystko co znałem i wszystko takie jak ja. Jest martwe. Nie wrócę w ciemność u kresu czasu.

– Zatem gdzie?

Podrapał się po szyi. Przez rozpiętą koszulę widziałem wiszące na sznurku małe czarne pudełeczko, nie większe od medalika. Wewnątrz coś się poruszało: chyba jakiś chrząszcz. Ale na Florydzie żyją wielkie żuki. To nic ciekawego.

– Chcę wrócić na sam początek – oznajmił. – Kiedy wszystko się zaczęło. Chcę stanąć tam w świetle wszechświata, który się budzi, o świecie wszystkiego. Jeśli coś mnie ma oślepić, niechaj to będzie to. Chcę być przy narodzinach słońc. To starożytne światło nie jest dla mnie dość jasne.

Następnie wziął w dłoń serwetkę i sięgnął przez nią do skórzanego worka. Uważając, by dotykać go tylko przez materiał, wyciągnął instrument podobny do fletu, długi mniej więcej na ćwierć metra, zrobiony z zielonego jadeitu czy czegoś podobnego. Położył go przede mną na stole.

– To za jedzenie – oznajmił. – Wyraz wdzięczności.

Następnie wstał i odszedł, a ja siedziałem bardzo długo, wpatrując się w zielony flet: w końcu wyciągnąłem rękę i poczułem jego chłód pod palcami. A potem łagodnie, nie ważąc się dmuchnąć ani spróbować zagrać muzyki z kresu czasu, przyłożyłem ustnik do warg.

„I zapłacę jak Aleksander”

Niski człowieczek wpadł Pod Fontannę i zamówił bardzo dużą whisky.

– Ponieważ – poinformował cały pub – zasłużyłem na nią.

Wyglądał na wyczerpanego, spocony i wymięty, jakby nie spał kilka dni. Miał krawat, tak luźny, że niemal rozwiązany, oraz siwiejące, niegdyś zapewne rude włosy.

– Na pewno – odparł Brian.

– Poważnie! – rzucił mężczyzna. Pociągnął łyk whisky, jakby chciał sprawdzić, czy mu smakuje, czy nie, a potem zadowolony jednym haustem opróżnił pół szklaneczki. Przez chwilę stał bez ruchu niczym posąg. – Słuchajcie – dodał. – Słyszycie to?

– Co? – spytałem.

– Tak jakby szept tła, biały szum, który, kiedy się na nim skupicie, zamienia się w piosenkę, którą chcielibyście usłyszeć?

Wytężyłem słuch.

– Nie.

– Właśnie – odparł niezwykle zadowolony z siebie. – Czyż to nie cudowne? Zaledwie wczoraj wszyscy Pod Fontanną narzekali na Wispamuzak. Obecny tu profesor MacIntosh narzekał, że nie dość, że w głowie cały czas tkwi mu „Bohemian Rhapsody” Queen, to jeszcze teraz łązi za nim po Londynie. Dzisiaj zniknęła, jakby nigdy jej nie było. Nikt z was nie pamięta, że istniała. A to wszystko dzięki mnie.

– Ja co? – zdumiał się profesor MacIntosh. – Coś o Queen? – A potem: – Czy ja pana znam?

– Spotkaliśmy się – odparł niski człowieczek. – Ale niestety, ludzie mnie zapominają. To z powodu mojej pracy.

Wyjął portfel, wyciągnął wizytówkę i podał mi.

Napisano na niej: OBEDIAH POLKINGHORN, a niżej mniejszymi literami: ZANALAZCA.

– Jeśli mogę spytać – zagadnąłem – co to jest zanalazca?

– To ktoś, kto zajmuje się odwracaniem wynalazków – odparł i uniósł szklanekę, całkiem pustą. – Ach. Przepraszam. Sally, poproszę jeszcze jedną bardzo dużą whisky.

Reszta zebranego tego wieczoru tłumu najwyraźniej uznała, że mężczyzna jest zarówno szalony, jak i mało interesujący. Wrócili do przerwanych rozmów. Ja natomiast nie miałem wyjścia.

– Zatem – rzekłem, poddając się z rezygnacją konwersacyjnemu losowi – od dawna jest pan zanalazcą?

– Od czasów wczesnej młodości – odparł. – Zacząłem zanaidować, kiedy miałem osiemnaście lat. Nigdy się pan nie zastanawiał, dlaczego nie mamy odrzutowych plecaków?

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się.

– Kiedy byłem chłopcem, widziałem kawałek o nich w „Świecie Jutra” – wtrącił Michael, gospodarz. – Jeden gość poleciał z takim plecakiem. Potem wylądował. Rymond Burry ewidentnie uważał, że wkrótce będą powszechnie dostępne.

– Ach tak, ale nie są – odparł Obediah Peolkinghorn. – Ponieważ znalazłem je jakieś dwadzieścia lat temu. Musiałem. Doprowadzały wszystkich do szału. To znaczy, z pozoru wydawały się bardzo atrakcyjne i takie tanie, ale wyobraźcie sobie kilka tysięcy znudzonych nastolatków, którzy zakładają je, a potem zaczynają śmigać wszędzie dokoła, zawisać za oknami sypialni, zderzać się z latającymi samochodami...

– Chwileczkę – wtrąciła Sally – nie ma przecież latających samochodów.

– To prawda – odparł człowieczek. – Ale tylko dlatego, że je znalazłem. Nie uwierzylibyście, jakie powodowały korki. Człowiek unosił wzrok i widział tylko podwozia cholernych latających samochodów, od horyzontu po horyzont. Czasami przesłaniały całe niebo. Ludzie wyrzucali z ich okien śmieci... Łatwo się nimi kierowało – zasilala je moc grawito-słoneczna – ale nie rozumiałem, że muszą zniknąć, póki nie usłyszałem, jak jakaś kobieta mówiła o nich w Radio Four. „Czemuż, Ach Czemuż Nie Wystarczyły Nam Nielatające Samochody?”. Miało to sens. Trzeba było coś zrobić. Znalazłem je. Zrobiłem spis wynalazków, bez których świat miewałby się lepiej, i jeden za drugim znanajdowałem je wszystkie.

Do tej pory wokół niego zgromadziła się grupka słuchaczy. Ucieszyłem się, że mam miejsce siedzące.

– Wymagało to mnóstwa pracy – ciągnął. – Bo widzicie, praktycznie nie da się nie wynaleźć latającego samochodu, gdy tylko wynajdzie się lumenbańki. W końcu zatem musiałem znaleźć i je. Bardzo tęsknię za osobistymi lumenbańkami: pozbawionymi masy przenośnymi źródłami światła, które unoszą się pół metra nad głową i przesuwają tam gdzie chcemy. Cudowny wynalazek. Ale nie ma co płakać nad nierozlanym mlekiem i nie da się naprawić omletu bez nierozbijania kilku jajek.

– Nie spodziewa się pan chyba, że w to uwierzemy? – rzucił ktoś, wydało mi się, że Joselyn.

– Właśnie – przytaknął Bryan. – To znaczy, zaraz nam pan powie, że znalazł pan statki kosmiczne.

– Ależ tak. – Obediah Polkinghorn sprawiał wrażenie niezwykle zadowolonego z siebie. – Dwa razy. Musiałem. Bo widzicie, w chwili gdy robimy ziuuuu w kosmos, zmierzając na planety i jeszcze dalej, natykamy się na rzeczy, które powodują tak wiele innych wynalazków. Natychmiastowy transporter Polaroida. On był najgorszy. I telepatyczny translator Mocketta. Ten też był najgorszy. Ale dopóki nie mamy nic gorszego niż rakieta na Księżyc, mogę nad wszystkim zapanować.

– Jak dokładnie wygląda znanajdowanie różnych rzeczy? – spytałem.

– To trudne – przyznał. – Polega na wysnuwaniu nici prawdopodobieństwa z materii wszechświata. Trochę przypomina to wyciąganie igły ze stogu siana. Tyle że nici te zwykle są długie i poplątane jak spaghetti. Więc raczej wyciąganie nitki spaghetti ze stogu siana.

– Pewnie chce się przy tym pić – zauważył Michael.

Dałem mu znak, by nalał mi jeszcze pół kufła cydru.

– Strasznie mozolna robota – odparł człowieczek. – Tak. Ale szczerę się tym, że dobrze sobie radzę. Każdego dnia budzę się i nawet jeśli usnąłem coś, co mogło być cudowne, myślę sobie: Obediahu Polkinghornie, dzięki czemuś, co znalazłeś, świat jest szczęśliwszym miejscem.

Spojrzał na resztkę swojej szkockiej i zakręcił szklanką; płyn zawirował w niej leniwie.

– Problem w tym – dodał – że po zniknięciu Wispamuzaku to koniec. Skończyłem. Znalazłem wszystko. Nie ma już horyzontów do nieodkrycia, ani gór do niepokonania.

– Energia jądrowa? – podsunął „Tweet” Peston.

– Przed moim narodzeniem – odparł Obediah. – Nie mogę zajądywać rzeczy wynalezionych przed tym, nim się urodziłem. W przeciwnym razie mógłbym znaleźć coś, co prowadziło do mojego urodzenia, a wówczas, gdzie byśmy byli? – Nikt nie znał odpowiedzi. – Po kolana w odrzutowych plecakach i latających samochodach, oto gdzie. Nie mówiąc o Marsjańskim Deputacie Morrisona. – Na moment sposepniał. – Och, to dopiero paskudztwo. I lek na raka. Ale, szczerze mówiąc, biorąc pod uwagę to, co zrobił z oceanami, wolę już raka. Nie, znalazłem wszystko, co widniało na liście. Teraz wrócę do domu – odparł z odważną miną Obediah Polkinghorn – i zapłaczę jak Aleksander, bo nie ma już więcej światów do niepodbicia. Co jeszcze zostało do znalezienia?

Pod Fontanną zapadła cisza.

Nagle zadzwonił iPhone Briana. Jego dzwonkiem byli Ruttlesi, śpiewający „Cheese and Onions”.

– Tak? – rzucił, a potem: – Oddzwonię.

To niefortunne, jak wyciągnięcie telefonu może wpłynąć na innych ludzi wokół. Czasami myślę, że to dlatego, że pamiętamy czasy, kiedy mogliśmy palić w pubach, i wyjmujemy komórki razem, tak jak kiedyś paczki papierosów. Ale tak naprawdę pewnie po prostu łatwo się nudzimy.

Niezależnie od powodu błysnęły telefony.

Crown Baker zrobił zdjęcie nam wszystkim, a potem wrzucił na twittera. Joselyn zaczęła czytać SMS-y. Tweet Peston zatweetował, że jest Pod Fontanną i spotkał swego pierwszego znalazcę. Profesor MacIntosh sprawdził wyniki pierwszej serii meczów, podał nam je i wysłał mejla do brata w Invernes, by na nie ponarzekać. Telefony ożyły, rozmowa zamarła.

– Co to takiego? – spytał Obediah Polkinghorn.

– To iPhone 5 – wyjaśnił Ray Arnold, unosząc swoją komórkę. – Crown używa Nexusa X. Z Androidem. Telefony. Internet. Aparat fotograficzny. Muzyka. Ale najważniejsze są aplikacje. Wie pan, że istnieje ponad tysiąc efektów dźwiękowych pierdzenia na samego iPhone’a? Chce pan posłuchać nieoficjalnej aplikacji pierdzącej Simpsonów?

– Nie – odparł Obediah. – Z całą pewnością nie chcę. Kategorycznie. – Odstawił niedokończony drinka. Poprawił krawat. Zapiął płaszcz. – Nie będzie łatwo – rzekł jakby do siebie. – Ale dla dobra wszystkich... – A potem umilkł i uśmiechnął się szeroko. – Uroczo było rozmawiać z wami wszystkimi – oznajmił do nikogo w szczególności, wychodząc Spod Fontanny.

Godzina Nic

I

Władcy Czasu zbudowali więzienie. Wzniesli je w czasie i miejscu niewyobrażalnym dla istot, które nigdy nie opuściły Układu Słonecznego, gdzie się zrodziły, albo doświadczyły jedynie podróży w przyszłość sekunda za sekundą, zmierzając wyłącznie naprzód. Przeznaczono je tylko dla Rodziny. Było stuprocentowo bezpieczne: kompleks niewielkich, przyjemnie urządzonych pokojów (w końcu Władcy Czasu nie byli potworami. Potrafili okazywać miłosierdzie, jeśli odpowiadało to ich celom), przesunięty w fazie w stosunku do reszty wszechświata.

W miejscu tym istniały wyłącznie owe pokoje: nie da się przekroczyć otchłani pomiędzy mikrosekundami. W istocie pomieszczenia te stały się samoistnym wszechświatem, czerpiącym światło, ciepło i grawitację z reszty stworzenia, zawsze odległym o ułamek chwili.

Rodzina krążyła po pokoju, cierpliwa, nieśmiertelna, i czekała.

Czekała na pytanie. Mogła tak czekać po kres czasu (ale nawet wtedy, kiedy Czas Się Skończy, Rodzina tego nie dostrzeże, uwięziona w oderwanej od niego mikrochwili).

Władcy Czasu zasilali więzienie olbrzymimi silnikami, skonstruowanymi w jądrach czarnych dziur, niedostępnymi dla nikogo: nikt nie zdołałby do nich dotrzeć prócz samych konstruktorów. Zwielokrotnienie silników stanowiło dodatkowe, stuprocentowe zabezpieczenie. Nic nie mogło pójść źle.

Dopóki istnieją Władcy Czasu, Rodzina pozostanie w swoim więzieniu, a reszta wszechświata będzie bezpieczna. Tak było i tak zawsze miało być.

A gdyby coś poszło nie tak, Władcy Czasu dowiedzieliby się. Nawet gdyby, co niewyobrażalne, którykolwiek z silników zawiódł, sygnały alarmowe rozdźwięczałyby się na Gallifrey na długo przed tym, nim więzienie Rodziny powróciłoby do naszego czasu i naszego wszechświata. Władcy Czasu uwzględnili w swoich planach wszystko.

To znaczy wszystko, prócz możliwości, że pewnego dnia nie będzie już Władców Czasu ani Gallifrey. Że Władcy Czasu znikną z wszechświata – oprócz jednego.

Kiedy zatem więzienie zatrzęsło się i rozpadło, jak po trzęsieniu ziemi, wyrzucając z siebie Rodzinę, i gdy Rodzina uniosła wzrok i ujrzała w górze światło galaktyk i słońc, nieprzetworzone i nieprzefiltrowane, i pojęła, że powróciła do wszechświata, zrozumiała, że to tylko kwestia czasu, nim pytanie znów zostanie zadane.

A ponieważ była ostrożna, przejrzała cały wszechświat, w którym się znalazła. Nie pragnęła zemsty: nie leżało to w jej naturze. Chciała tego, co zawsze. A poza tym...

We wszechświecie wciąż pozostawał jeden Władca Czasu.

Rodzina musiała coś z tym zrobić.

II

W środę jedenastoletnia Polly Browning wsunęła głowę przez uchylone drzwi gabinetu ojca.

– Tato. Przed drzwiami stoi jakiś człowiek w masce królika i mówi, że chce kupić dom.

– Nie bądź niemądra, Polly.

Pan Browning siedział w kącie pokoju, który lubił nazywać swoim gabinetem. Pośrednik handlu nieruchomościami optymistycznie opisał go jako trzecią sypialnię, choć ledwie mieściły się w nim szafka i stolik karciany, na którym spoczywał nowiutki komputer Amstrada. Pan Browning starannie wprowadzał do niego liczby ze sterty paragonów i krzywił się. Co pół godziny zapisywał wykonaną dotąd pracę i komputer przez kilka chwil wydawał z siebie głośne zgrzyty, nagrywając dane na dyskietce.

– Nie jestem niemądra. Mówi, że zapłaci ci za niego siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Teraz to już przesadziłaś. Dom jest na sprzedaż za sto pięćdziesiąt tysięcy. – I będziemy mieli szczęście, jeśli na dzisiejszym rynku dostaniemy choć tyle, pomyślał. Było lato 1984 i pan Browning z rozpaczą myślał, jak mało prawdopodobne będzie znalezienie kupca na niewielki dom na końcu Claversham Row.

Polly z namysłem pokiwała głową.

– Chyba powinieneś z nim pomówić.

Jej ojciec wzruszył ramionami. I tak musiał zapisać dotychczasową pracę. Kiedy komputer zaczął zgrzytać, pan Browning zszedł na dół. Polly, która planowała wrócić do siebie na górę i popisać w pamiętniku, teraz postanowiła usiąść na schodach i dowiedzieć się, co się stanie.

We frontowym ogródku stał wysoki mężczyzna w masce królika. Trudno to nazwać szczególnie przekonującą maską. Zakrywała mu całą twarz, nad głową kiwało się dwoje długich uszu. W dłoni trzymał dużą skórzaną brązową torbę. Panu Browningowi skojarzyła się ona z lekarskimi torbami z dzieciństwa.

– Słuchaj no pan – zaczął, lecz mężczyzna w masce królika przyłożył odziany w rękawiczkę palec do malowanych króliczych ust i gospodarz umilkł.

– Proszę mnie spytać, która jest godzina – dobiegł cichy głos zza nieruchomego pyszczka króliczej maski.

– Rozumiem, że jest pan zainteresowany domem – powiedział pan Browning.

Wiszący na furtce napis NA SPRZEDAŻ pokrywały brudne deszczowe smugi.

– Możliwe. Może mnie pan nazywać panem Królikiem. Proszę spytać, która godzina.

Pan Browning wiedział, że powinien wezwać policję. Powinien coś zrobić, żeby tamten sobie poszedł. Co za wariat nosi króliczą maskę?

– Dlaczego założył pan maskę królika?

– To nie było właściwe pytanie. Ale noszę ją, bo reprezentuję niezwykle sławną i ważną osobistość, która ceni sobie swoją prywatność. Proszę mnie spytać, która godzina.

Pan Browning westchnął.

– Która godzina, panie Króliku? – spytał.

Mężczyzna w króliczej masce uniósł wyżej głowę; język jego ciała sugerował radość i zachwyty.

– Godzina, w której zostanie pan najbogatszym człowiekiem przy Claversham Row. Kupuję pański dom, za gotówkę, i daję ponad dziesięć razy więcej niż jest wart, bo w tej chwili idealnie mi pasuje. – Otworzył brązową skórzaną torbę i wyjął pliki pieniędzy, każdy zawierający pięćset („proszę przeliczyć, no proszę”) nowiusieńkich pięćdziesięciofuntowych banknotów oraz dwie plastikowe reklamówki, do których zaczął je przekładać.

Pan Browning obejrzał pieniądze. Wyglądały na prawdziwe.

– Ja... – Zawahał się. Co właściwie musi zrobić? – Będę potrzebował paru dni. Żeby wpłacić pieniądze do banku. Upewnić się, że są prawdziwe. I oczywiście będziemy musieli przygotować umowę.

– Umowa już jest przygotowana – oznajmił mężczyzna w króliczej masce. – Proszę tu podpisać. Jeśli w banku stwierdzą, że coś jest nie tak z pieniędzmi, będzie pan mógł zatrzymać je i dom. Wrócę w sobotę, by przejąć pustą posesję. Zdoła pan do tego czasu zabrać wszystkie rzeczy, prawda?

– No nie wiem – odparł pan Browning, a potem dodał: – Na pewno. To znaczy, oczywiście.

– Wrócę tu w sobotę – powtórzył mężczyzna w króliczej masce.

– To bardzo nietypowy sposób prowadzenia interesów – zauważył pan Browning. Stał we frontowych drzwiach, trzymając w rękach dwie reklamówki, zawierające siedemset pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Tak – zgodził się mężczyzna w króliczej masce. – Istotnie. W takim razie do zobaczenia w sobotę.

I odszedł. Panu Browningowi wyraźnie ulżyło. Nagle ogarnęło go irracjonalne przekonanie, że gdyby nieznajomy zdjął króliczą maskę, pod spodem nie byłoby niczego.

Polly pobiegła na górę zapisać w pamiętniku wszystko, co widziała i słyszała.

* * *

W czwartek wysoki młody człowiek w tweedowej marynarce i w muszce zastukał do drzwi. W domu nikogo nie było i nikt nie odpowiedział, toteż, okrążywszy dom, mężczyzna odszedł.

* * *

W sobotę pan Browning stał w swej pustej kuchni. Z powodzeniem wpłacił pieniądze do banku, tym samym pozbywając się wszystkich długów. Meble, które chcieli zatrzymać, umieszczono już w ciężarówce firmy przeprowadzkowej i wysłano do wuja pana Browninga, dysponującego ogromnym, nieużywanym garażem.

– A jeśli to jakiś dowcip? – spytała pani Browning.

– Nie widzę, co mogło być śmiesznego w podarowaniu komuś siedmiuset pięćdziesięciu tysięcy funtów – odrzekł pan Browning. – W banku mówią, że są prawdziwe. Nikt nie zgłosił kradzieży. Po prostu jakiś bogaty ekscentryk chce kupić nasz dom za znacznie więcej, niż jest wart.

Zarezerwowali dwa pokoje w miejscowym hotelu, choć okazało się to trudniejsze, niż pan Browning sądził. Musiał też przekonać panią Browning, pracującą jako pielęgniarka, że stać ich teraz na pobyt w hotelu.

– Co się stanie, jeśli on nigdy nie wróci? – spytała Polly.

Siedziała na schodach i czytała książkę.

– Nie bądź niemądra – odparł pan Browning.

– Nie nazywaj swojej córki niemądrą, bo ma rację. Nie znasz jego nazwiska, numeru telefonu ani niczego takiego.

Zachowywała się niesprawiedliwie – zawarli przecież kontrakt i wyraźnie widniało na nim P.S.Donim, a także adres londyńskiej firmy prawniczej. Pan Browning zadzwonił do nich i usłyszał, że owszem, wszystko odbyło się zgodnie z prawem.

– To ekscentryk – wyjaśnił pan Browning. – Ekscentryczny milioner.

– Założę się, że to on chowa się za tą króliczą maską – wtrąciła Polly. – Ten ekscentryczny milioner.

Zadzwonił dzwonek. Pan Browning podszedł do drzwi frontowych, obok dreptały żona i córka. Wszyscy liczyli na to, że poznają nowego właściciela ich domu.

– Witam – powiedziała pani w kociej masce.

Trudno ją nazwać bardzo realistyczną maską. Polly zauważyła jednak błyszczące za nią oczy.

– Jest pani nową właścicielką? – spytała pani Browning.

– Albo nią, albo przedstawicielką właściciela.

– Gdzie jest... pani przyjaciel? Ten w króliczej masce?

Mimo maski kota młoda dama (czy naprawdę była młoda? W każdym razie jej głos brzmiał młodo) sprawiała wrażenie sprawnej i niemal szorstkiej.

– Zabrali państwo cały swój dobytek? Obawiam się, że wszystko, co zostało, przejdzie na własność nowego właściciela.

– Mamy wszystko, na czym nam zależy.

– Doskonale.

– Mogłabym przyjść pobawić się w ogrodzie? – wtrąciła Polly. – W hotelu nie mają ogrodu.

Na dębie w ogrodzie na tyłach wisiała huśtawka; Polly uwielbiała siedzieć na niej i czytać.

– Nie bądź niemądra – upomniał pan Browning. – Kupimy nowy dom i będziesz miała własny ogród z huśtawką. Sam zamontuję ci ich kilka.

Kobieta w kociej masce przykucnęła.

– Jestem pani Kot. Spytaj mnie, która godzina, Polly.

Polly pokiwała głową.

– Która godzina, pani Kot?

– Godzina, kiedy ty i twoja rodzina opuszczacie to miejsce i nigdy tu nie wracacie – odparła pani Kot, powiedziała to jednak łagodnie.

Kiedy Polly dotarła do końca ogrodowej ścieżki, pomachała jej na pożegnanie.

III

Stali w pomieszczeniu kontrolnym TARDIS. Wracali do domu.

– Wciąż nie rozumiem – mówiła Amy. – Dlaczego szkieletorzy tak bardzo się na ciebie wściekali? Sądziłam, że chcieli się wyzwolić spod władzy króla Ropucha?

– Nie złościł się o to. – Młody mężczyzna w tweedowej marynarce i muszce odgarnął dłonią włosy. – Wydaje mi się wręcz, że wolność dość ich ucieszyła. – Przebiegł palcami po panelu kontrolnym TARDIS, głaszcząc dźwignie, muskając pokręta. – Po prostu zdenerwowali się, bo

zabrałem im wywijasty wihajster.

– Wywijasty wihajster?

– Leży na... – Machnął rękami, które wyglądały, jakby się składały wyłącznie z łokci i stawów.

– Na tym czymś stołowatym. Skonfiskowałem go.

Amy sprawiała wrażenie poirytowanej. W istocie wcale się nie złościła, ale czasami lubiła odgrywać irytację, by mu pokazać, kto jest szefem.

– Czemu nigdy nie nazywasz rzeczy tak jak należy? To stołowate coś? Nazywa się stół.

Podeszła do stołu. Wywijasty wihajster okazał się błyszczący i elegancki: miał rozmiar i ogólny kształt bransolety, ale skręcał się tak, że oko miało problemy z podążaniem wzdłuż niego.

– Naprawdę? To dobrze. – Wyraźnie się ucieszył. – Zapamiętam.

Amy podniosła wywijasty wihajster. Okazał się zimny i znacznie cięższy, niż na to wyglądał.

– Po co go skonfiskowałeś? I czemu w ogóle mówisz „skonfiskowałeś”? To coś, co robią nauczyciele, kiedy przynosisz do szkoły coś, czego nie wolno. Moja kumpela, Mels, pobiła szkolny rekord liczby skonfiskowanych rzeczy. Jednego wieczoru poprosiła mnie i Rory’ego, żebyśmy zrobili jakieś zamieszanie, a ona tymczasem włamała się do szafy nauczycieli, bo tam trzymali jej rzeczy. Musiała przejść przez dach i okno kibla dla nauczycieli...

Ale Doktora nie interesowały wybryki dawnej szkolnej koleżanki Amy. Nigdy go nie ciekawiły.

– Skonfiskowałem – powtórzył. – Dla ich własnego bezpieczeństwa. To technologia, której nie powinni mieć. Zapewne kradziona. Wzmacniacz i zapętłacz czasu. Mógł wywołać paskudne zamieszanie. – Pociągnął dźwignię. – No i jesteśmy. Wszyscy wysiadają.

Rozległ się rytmiczny zgrzyt, jakby silniki samego wszechświata protestowały, szum poruszonego powietrza i duża, niebieska policyjna budka zmaterializowała się na tyłach domu Amy Pond. Był początek drugiego dziesięciolecia dwudziestego pierwszego wieku.

Doktor otworzył drzwi TARDIS.

– To dziwne – rzekł.

Stał w drzwiach, nie próbując wyjść na zewnątrz. Amy podeszła do niego. Zagroził jej drogę ręką, by nie mogła wyjść z TARDIS. Na zewnątrz był cudowny, słoneczny, niemal bezchmurny dzień.

– Coś jest nie tak?

– Wszystko – odparł. – Nie czujesz?

Amy spojrzała na swój ogród. Był zarośnięty i zaniedbany, ale też zawsze tak wyglądał, odkąd sięgała pamięcią.

– Nie – odparła. – Jest cicho. Żadnych samochodów ani ptaków. Nic.

– Żadnych fal radiowych – dodał Doktor. – Nawet Radio Four.

– Słyszysz fale radiowe?

– Oczywiście, że nie. Nikt nie słyszy fal radiowych – odparł nieprzekonująco.

I wtedy rozległ się głos.

– UWAGA, GOŚCIE. WTARGNĘLIŚCIE W PRZESTRZEŃ RODZINY. TEN ŚWIAT NALEŻY DO RODZINY. JESTEŚCIE TU INTRUZEM.

Był to dziwny, szepczący głos, Amy podejrzewała, że odzywał się głównie w jej głowie.

– To Ziemia! – zawołała. – Nie należy do was. – A potem dodała: – Co zrobiliście z ludźmi?

– KUPILIŚMY JĄ OD NICH. WKRÓTCE POTEM WYMARLI Z PRZYCZYN NATURALNYCH.

SZKODA.

– Nie wierzę wam! – krzyknęła Amy.

– NIE NARUSZYLIŚMY ŻADNYCH GALAKTYCZNYCH PRAW. PLANETA ZOSTAŁA NABYTA LEGALNIE I PRAWOMOCNIE. PROKLAMACJA CIENIA PRZEPROWADZIŁA DOKŁADNE ŚLEDZTWO I W PEŁNI POTWIERDZIŁA NASZĄ WŁASNOŚĆ.

– Nie jest wasza! Gdzie Rory?

– Amy? Z kim ty rozmawiasz? – spytał Doktor.

– Z głosem. Tym w mojej głowie. Nie słyszysz go?

– Z KIM ROZMAWIASZ? – spytał Głos.

Amy zamknęła drzwi TARDIS.

– Dlaczego to zrobiłaś? – spytał Doktor.

– Dziwny szepczący głos w mojej głowie. Twierdził, że kupili planetę. I że Proklamacja Cienia powiedziała, że wszystko w porządku. Poinformował mnie, że wszyscy ludzie wymarli w sposób naturalny. Ty go nie słyszałaś. Nie wiedział, że tu jesteś. Element zaskoczenia. Zamknęłam drzwi.

Amy Pond pod wpływem stresu potrafiła działać niezwykle sprawnie. W tej chwili znajdowała się pod wpływem stresu, choć trudno byłoby to zauważyć, gdyby nie wywijasty wihajster, który trzymała w dłoniach i wyginała i skręcała w kształty sprzeczne z wyobraźnią i wkraczające w osobliwe wymiary.

– Powiedzieli, kim są?

Zastanawiała się chwilę.

– „Wtargnęliście w przestrzeń Rodziny. Ten świat należy do Rodziny”.

– To może być ktokolwiek – odparł. – To znaczy... to jak nazwać się ludźmi. W sumie to właśnie znaczy nazwa każdej rasy. Oprócz Daleków. Bo Dalek po skarońsku to Nienawidząca Wszystkiego Maszyna Śmierci W Metalowej Obudowie. – Puścił się biegiem do panelu kontrolnego. – Coś takiego. Nie wydarza się w jeden dzień. Ludzie tak po prostu nie wymierają. I jest dwa tysiące dziesiąty. Co oznacza...

– Co oznacza, że zrobili coś Rory'emu.

– Co oznacza, że zrobili coś wszystkim. – Nacisnął kilka klawiszy staroświeckiej maszyny do pisania i po ekranie wiszącym nad konsolą TARDIS zaczęły przepływać wzory. – Nie słyszałem ich... Oni nie słyszeli mnie. Ty słyszałaś i mnie, i ich. Aha. Lato tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt cztery! Oto punkt rozbieżności...

Jego dłonie zaczęły obracać, przekręcać i naciskać dźwignie, pompy, przełączniki i coś małego, co brzęknęło: *ding*.

– Gdzie jest Rory? Chcę go zobaczyć, w tej chwili – zażądała Amy, gdy TARDIS z szarpnięciem odleciała w czas i przestrzeń. Doktor tylko raz i na krótko spotkał Rory'ego Williamsa, jej narzeczonego. Nie sądziła, by rozumiał, co widzi w Rorym, czasami ona sama nie była dokładnie pewna, co widzi w Rorym. Ale co do jednego miała pewność: nikt nie odbierze jej narzeczonego.

– Dobre pytanie. Gdzie jest Rory? A także, gdzie siedem miliardów innych ludzi?

– Chcę mojego Rory'ego.

– Cóż, będzie tam, gdzie cała reszta. A ty powinnaś być z nimi. Chwilowo zgaduję, że żadne z was nawet się nie urodziło.

Amy spojrzała po sobie, sprawdzając stopy, nogi, łokcie, dłonie (wywijasty wihajster lśnił

niczym escherowski koszmar na jej przegubie. Zdjęła go i zostawiła na panelu kontrolnym). Uniosła rękę i szarpnęła garść kasztanowych włosów.

– Skoro się nie narodziłam, to co tu robię?

– Jesteś niezależnym neksem temporalnym, chronoplastycznie utworzonym jako odwrotność... – Dostrzegł wyraz jej twarzy i umilkł.

– Twierdzisz, że jestem czasu-prastu, tak?

– Tak – odparł z powagą. – Chyba tak. No dobra. Jesteśmy. – Poprawił muszkę precyzyjnym gestem, zawadiacko przekrzywiając ją na bok.

– Ale Doktorze. Rasa ludzka nie wymarła w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym.

– Nowa linia czasu. To paradoks.

– A ty jesteś paradoktorem?

– Tylko Doktorem. – Znow poprawił muszkę do poprzedniego położenia i wyprostował się. – To wszystko ma w sobie coś znajomego.

– Co?

– Nie wiem. Hm. Rodzina. Rodzina. Rodzina. Z jakiegoś powodu wciąż myślę o maskach. Kto nosi maski?

– Rabusie napadający na banki.

– Nie.

– Bardzo brzydki ludzie?

– Nie.

– Może Halloween. W Halloween ludzie noszą maski.

– Tak! Właśnie!

– To ma jakieś znaczenie?

– Najmniejszego. Ale jest prawdą. No dobrze. Wielka rozbieżność strumienia czasu. A nie da się przejąć planety poziomu piątego w sposób, który zadowolilby Proklamację Cienia, chyba że...

– Chyba że co?

Doktor zamarł. Zagryzł dolną wargę.

– Och – rzucił po chwili. – Oni chyba nie...

– Chyba nie co?

– Nie mogli. To znaczy, to byłoby kompletnie...

Amy odrzuciła włosy, dokładając wszelkich starań, by utrzymać na wodzy swój temperament. Krzyczenie na Doktora nigdy nie pomagało. No, może czasami.

– Kompletnie co?

– Kompletnie niemożliwe. Nie da się przejąć planety poziomu piątego. Chyba że zrobi się to legalnie. – Na panelu kontrolnym TARDIS coś zawirowało, coś innego dingnęło. – Jesteśmy tu, w neksemie. Chodź! Zbadajmy tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty.

– Tobie się to podoba – rzuciła Amy. – Mój cały świat został przejęty przez tajemniczy głos. Wszyscy ludzie wymarli. Rory zniknęły. A ty się dobrze bawisz.

– Wcale nie – zaprotestował Doktor, starając się usilnie nie pokazać, jak bardzo dobrze się bawi.

* * *

Browningowie zamieszkali w hotelu, a tymczasem pan Browning szukał nowego domu. Hotel

był przepelniony. Jak dowiedzieli się z rozmów z innymi gośćmi hotelowymi przy śniadaniu, tak się złożyło, że wszyscy oni akurat sprzedali swe domy i mieszkania. Wszyscy też okazywali dziwną wstrzemięźliwość w informowaniu, kto kupił ich poprzednie miejsca zamieszkania.

– To śmieszne – rzekł pan Browning po upływie dziesięciu dni. – W całym mieście nie ma niczego na sprzedaż. Ani nigdzie w okolicy. Wszystko wykupiono.

– Musi coś być – wtrąciła pani Browning.

– Nie w tej części kraju – uciął pan Browning.

– Co mówi pośredniczka handlu nieruchomości?

– Nie odbiera telefonu – odparł pan Browning.

– W takim razie chodźmy z nią porozmawiać – zaproponowała pani Browning. – Idziesz z nami, Polly?

Dziewczynka pokręciła głową.

– Czytam książkę.

Państwo Browning ruszyli do miasta. Agentkę spotkali przed drzwiami firmy, zawieszała właśnie kartkę z napisem „Pod nowym kierownictwem”. W witrynie nie było żadnych ofert sprzedaży, tylko mnóstwo domów i mieszkań z napisem „sprzedane”.

– Zamyka pani firmę? – spytał pan Browning.

– Ktoś złożył mi propozycję nie do odrzucenia – odparła agentka.

W dłoni trzymała, na oko ciężką, foliową reklamówkę. Browningowie zgadywali, co w niej jest.

– Ktoś w masce królika? – podsunęła pani Browning.

Kiedy wrócili do hotelu, w lobby czekała już na nich kierowniczka, z informacją, że nie pomieszkają tu długo.

– To nowi właściciele – wyjaśniła. – Zamykają hotel na czas remontu.

– Nowi właściciele?

– Właśnie go kupili. Słyszałam, że zapłacili mnóstwo pieniędzy.

Z jakichś powodów ani trochę nie zaskoczyło to Browningów. I nadal się nie dziwili, póki nie wrócili do swego pokoju i nie odkryli, że nigdzie nie ma Polly.

IV

– Tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty – zastanawiała się na głos Amy Pond. – Myślałam, że będzie wyglądał jakoś, no nie wiem. Bardziej, no nie wiem. Historycznie. Nie czuję się, jakbym była bardzo dawno temu. Ale moi rodzice jeszcze się nawet nie poznali.

Zawahała się, jakby miała powiedzieć więcej o rodzicach, ale coś odciągnęło jej uwagę. Przeszli przez jezdnię.

– Jacy oni byli? – spytał Doktor. – Twoi rodzice?

Wzruszyła ramionami.

– Zwyczajni – odparła bez zastanowienia. – Mama i tato.

– Brzmi prawdopodobnie – zgodził się Doktor, stanowczo zbyt chętnie. – No dobrze, teraz musisz mieć oczy szeroko otwarte.

– Czego szukamy?

To było małe angielskie miasteczko i, jak dotąd, według Amy, wyglądało dokładnie jak małe

angielskie miasteczko. Zupełnie takie samo jak to, które opuściła, tyle że bez kawiarni ani sklepów z telefonami komórkowymi.

– To łatwe. Szukamy czegoś, czego nie powinno tu być. Albo czegoś, co powinno być, ale go nie ma.

– Jakiego czegoś?

– Sam nie wiem – przyznał Doktor, potarł ręką brodę. – Może gazpacho?

– Co to jest gazpacho?

– Zimna zupa. Ale ona ma być zimna. Gdybyśmy zatem szukali w całym tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym i nie znaleźli żadnego gazpacho, to mogłoby być wskazówką.

– Zawsze taki byłeś?

– Jaki?

– Szaleniec. Z wehikułem czasu.

– O nie. Minęły wieki, nim zdobyłem wehikuł czasu.

Przeszli przez centrum miasteczka, szukając czegoś nietypowego i nie znajdując niczego, nawet gazpacho.

* * *

Polly zatrzymała się przed furtką wiodącą do ogrodu przy Claversham Row, patrząc na dom, w którym mieszkała, odkąd wprowadzili się tutaj, gdy miała siedem lat. Podeszła do drzwi frontowych, nacisnęła dzwonek i zaczęła. Ulżyło jej, gdy nikt nie otworzył. Zerknęła w głąb ulicy, potem pośpiesznie okrążyła dom, mijając kubły na śmieci, i dotarła do ogrodu.

Francuskie okno prowadzące do niego miało zatrzask, który nie zamykał się jak trzeba. Polly uznała za niezwykle mało prawdopodobne, by nowi właściciele go naprawili. Jeśli tak, będzie musiała wrócić tu, kiedy będą w domu, i poprosić, a to byłoby niezręczne i krępujące.

Na tym właśnie polega problem z ukrywaniem przedmiotów. Czasami w pośpiechu zostawia się je gdzieś. Nawet ważne rzeczy. A nie istniało nic ważniejszego niż jej pamiętnik.

Polly prowadziła go, odkąd przyjechała do miasteczka. Był jej najlepszym przyjacielem: zwierzała mu się, opowiadała o dziewczynach, które ją gnębiły, o tych, które się z nią zaprzyjaźniły, o pierwszym chłopaku, który jej się spodobał. Czasami był jak najbliższy przyjaciel: sięgała po niego w czasach problemów, zamętu bądź bólu. To w niego przelewała swoje myśli.

A teraz leżał ukryty pod obluźowaną deską podłogi w wielkiej szafie w jej pokoju.

Polly postukała mocno dłonią w lewe skrzydło oszklonych drzwi, tuż obok framugi. Drzwi zachybotały i otworzyły się powoli.

Weszła do środka. Zdziwiła się, odkrywszy, że nowi właściciele niczym nie zastąpili mebli, które zabrali jej rodzice. W środku wciąż pachniało ich domem. Panowała cisza: nie było nikogo. Świetnie. Pośpieszyła na górę, wystraszona, że może wciąż tu być, kiedy wróci pan Królik albo pani Kot.

Wspięła się po schodach. Na podeście coś musnęło jej twarz – dotknęło łagodnie jak nić albo pajęczyna. Uniosła wzrok. Dziwne. Sufit wydawał się kudłaty, zwisały z niego podobne do włosów nici, albo może podobne do nici włosy. W tym momencie zawahała się, pomyślała o ucieczce – ale widziała już drzwi swojej sypialni. Wciąż wisiał na nich plakat Duran Duran. Czemu go nie zdjęli?

Starając się nie patrzeć na włochaty sufit, otworzyła pchnięciem drzwi pokoju.

Wyglądał inaczej. Nie było w nim mebli, a w miejscu, gdzie dawniej stało łóżko, leżały płachty papieru. Zerknęła w dół: zdjęcia z gazet, powiększone do rozmiarów naturalnych. Ktoś wyciął w nich dziury na oczy. Rozpoznała Ronalda Reagana, Margaret Thatcher, papieża Jana Pawła, królową...

Może zamierzali urządzać przyjęcie. Maski nie wyglądały zbyt przekonująco.

Podeszła do wbudowanej szafy na końcu pokoju. Jej pamiętnik z okładką ze Smash Hits tkwił tam w ciemności pod deską. Otworzyła drzwi szafy.

– Witaj, Polly – powiedział mężczyzna w szafie. Miał na sobie maskę, tak jak pozostali. Maskę zwierzęcą: ta przedstawiała jakiegoś wielkiego szarego psa.

– Cześć. – Polly nie wiedziała, co innego powiedzieć. – Ja... zostawiłam swój pamiętnik.

– Wiem. Czytałem go. – Uniósł zeszyt. Nie był tym samym człowiekiem co gość w króliczej masce, kobieta w kociej masce, ale wszystko, co było z nimi nie tak, tu wydawało się jeszcze wzmocnione. – Chcesz go odzyskać?

– Tak, proszę – odparła Polly.

Czuła się zraniona i zdradzona: ten człowiek czytał jej pamiętnik. Ale i tak chciała go z powrotem.

– Wiesz, co musisz zrobić, żeby go dostać?

Pokręciła głową.

– Spytaj mnie, która jest godzina.

Otworzyła usta. Zupełnie w nich zaschło. Oblizwała wargi.

– Która godzina? – wymamrotała.

– I moje imię – dodał. – Wymów moje imię. Jestem pan Wilk.

– Która godzina, panie Wilku? – spytała Polly. Nagle nieproszone w jej głowie pojawiło się wspomnienie podwórkowej zabawy.

Pan Wilk uśmiechnął się (ale jak maska może się uśmiechać?) i otworzył usta tak szeroko, że ujrzała liczne rzędy ostrych, jakże ostrych zębów.

– Godzina obiadu – odparł.

I wtedy Polly zaczęła krzyczeć, a on ruszył ku niej. Nie krzyczała zbyt długo.

V

TARDIS wylądowała na małym kawałku trawy, zbyt skromnym, by być parkiem, zbyt nieregularnym na skwer, w samym centrum miasta. Doktor siedział przed nim na leżaku i przeglądał swoje wspomnienia.

Miał niewiarygodną pamięć. Problem w tym, że musiała pomieścić tak wiele. Przeżył jedenaście żyć (albo więcej: istniało przecież jeszcze jedno, o którym usilnie starał się nie myśleć), a w każdym życiu w inny sposób zapamiętywał różne rzeczy.

Najgorsze w byciu tak starym jak on (już od dawna zrezygnował z prób pilnowania tego w sposób, który znaczyłby cokolwiek dla kogokolwiek prócz niego samego) było to, że czasami rzeczy nie pojawiały się w jego głowie wtedy, kiedy ich potrzebował.

Maski. Niewątpliwie stanowiły tego część. I Rodzina. Kolejna część.

I czas.

Wszystko sprowadzało się do czasu. Tak, to było to.

Stara opowieść. Sprzed jego czasów – tego był pewien. To coś, co usłyszał jako chłopiec. Spróbował przypomnieć sobie historie, które opowiadano mu w dzieciństwie na Gallifrey, nim zabrali go do akademii Władców Czasu i jego życie na zawsze się zmieniło.

Amy wracała z wycieczki przez miasto.

– Maximelos i trzech ogronów! – zawołał do niej.

– Co z nimi?

– Jeden był zbyt groźny, jeden zbyt głupi, a jeden akurat.

– A ma to znaczenie, bo...?

Z roztargnieniem pociągnął się za włosy.

– Ee, pewnie żadnego. Po prostu próbuję sobie przypomnieć historię z dzieciństwa.

– Po co?

– Nie mam pojęcia. Nie pamiętam.

– Jesteś – oznajmiła Amy Pond – niezwykle frustrujący.

– Tak – przyznał radośnie Doktor. – Pewnie tak.

Na drzwiach TARDIS powiesił tabliczkę. Brzmiała następująco:

DZIEJE SIĘ COŚ TAJEMNICZEGO I NIE W PORZĄDKU? WYSTARCZY ZAPUKAĆ!
ŻADEN PROBLEM NIE JEST ZBYT MAŁY.

– Jeśli nie przyjdzie do nas, ja pójdę do tego. Nie, skreśl to, odwrotnie. A poza tym zmieniłem wystrój wnętrza, żeby nie zaskoczyć ludzi. Co znalazłaś?

– Dwie rzeczy. Po pierwsze, księcia Karola. Widziałam go w kiosku z gazetami.

– To był na pewno on?

Amy zastanowiła się.

– No cóż, wyglądał jak księżę Karol. Tylko znacznie młodszy. A kioskarka spytała, czy wybrał już imię dla następnego królewskiego dziecka. Zaproponowałam Rory'ego.

– Księżę Karol w kiosku. Dobra. Co jeszcze?

– Nie ma żadnych domów na sprzedaż. Sprawdziłam każdą ulicę w mieście. Ani jednego napisu NA SPRZEDAŻ. Ludzie koczują w namiotach na skraju miasta. Mnóstwo wyjeżdża, by poszukać miejsca do mieszkania, bo tu niczego nie ma. Dziwne.

– Tak.

Prawie już miał. Amy otworzyła drzwi TARDIS. Zajrzała do środka.

– Doktorze, w środku jest taka sama jak na zewnątrz.

Uśmiechnął się promiennie i zabrał ją na szczegółową wycieczkę po nowym biurze. Składało się na nią stanie za drzwiami i wymachiwanie prawą ręką. Większość przestrzeni zajmowało biurko ze staroświeckim telefonem i maszyną do pisania. Z tyłu zamykała je ściana. Amy eksperymentalnie przepchnęła ręce przez ścianę (trudno to było zrobić z otwartymi oczami, łatwo kiedy je zamknęła), potem zacisnęła powieki i przepchnęła także głowę. Teraz widziała pomieszczenie kontrolne TARDIS w miedzi i szkle. Cofnęła się o krok do maleńkiego biura.

– To hologram?

– Coś w tym stylu.

Nagle usłyszeli niepewne pukanie do drzwi TARDIS. Doktor otworzył.

– Przepraszam. Napis na drzwiach. – Mężczyzna sprawiał wrażenie udręczonego, włosy mu

rzędy. Omiótł wzrokiem maleńkie pomieszczenie, wypełnione głównie biurkiem, i zrobił ruch, jakby chciał wejść do środka.

– Tak! Witaj! Wejź proszę! – rzucił Doktor. – Żaden problem nie jest dla nas zbyt mały!

– Umm. Nazywam się Reg Browning. Chodzi o moją córkę. Polly. Miała na nas czekać w pokoju w hotelu. Ale jej tam nie ma.

– Ja jestem Doktor. A to Amy. Rozmawiał pan z policją?

– A wy nie jesteście policją? Myślałem, że tak.

– Dlaczego? – wtrąciła Amy.

– To budka policyjna. Nie wiedziałem nawet, że znów je wprowadzają.

– Dla niektórych z nas – odparł wysoki młody mężczyzna z muszką – nigdy nie zniknęły. Co powiedziała policja?

– Odparli, że będą mieć na nią oko. Ale, szczerze mówiąc, byli trochę zajęci. Sierżant dyżurny mówił, że niespodziewanie wygasła umowa najmu komisariatu i szukają nowego miejsca. Twierdził, że cała ta sprawa z umową najmu to dla nich poważny cios.

– Jaka jest Polly? – wtrąciła Amy. – Czy mogła zatrzymać się u przyjaciół?

– Sprawdziłem u jej przyjaciół. Nikt jej nie widział. Mieszkamy w tej chwili w hotelu Rose przy Wednesbury Street.

– Jesteście tu przejazdem?

Pan Browning opowiedział im o mężczyźnie w króliczej masce, który w zeszłym tygodniu zastukał do drzwi, by kupić ich dom za znacznie więcej niż był wart, i zapłacił gotówką. Opowiedział o kobiecie w kociej masce, która przejęła dom...

– A tak. Cóż, to wszystko tłumaczy – oznajmił Doktor, jakby istotnie cokolwiek to wyjaśniało.

– Naprawdę? – zdziwił się pan Browning. – Wiecie, gdzie jest Polly?

Doktor pokręcił głową.

– Panie Browning. Reg. Czy istnieje jakakolwiek możliwość, że mogła wrócić do waszego domu?

Tamten wzruszył ramionami.

– Możliwe. Myślicie...

Ale wysoki młody człowiek i rudowłosa szkocka dziewczyna precyzyjnie się obok niego, zatrzasnęły drzwi policyjnej budki i puścili się biegiem przez trawnik.

VI

Amy dotrzymywała kroku Doktorowi. Po drodze, dysząc, zasypywała go pytaniami.

– Myślisz, że jest w domu?

– Obawiam się, że tak. Tak. Mam tak jakby pomysł. Posłuchaj, Amy, nie pozwól, by ktokolwiek cię namówił na zadanie im pytania, która jest godzina. Jeśli sami spytają, nie odpowiadaj. Tak będzie bezpieczniej.

– Mówisz serio?

– Niestety, tak. I uważaj na maski.

– Dobra. Czyli mamy do czynienia z niebezpiecznymi obcymi? Noszą maski i pytają która godzina?

– To brzmi jak oni, owszem. Ale moi rodacy rozprawili się z nimi bardzo dawno temu. To

niemal niewyobrażalne...

Zatrzymali się, gdy dotarli na Claversham Row.

– A jeśli to naprawdę to, o czym myślę, jeśli to ona, oni... Istnieje tylko jedno rozsądne rozwiązanie.

– To znaczy?

– Ucieczka – odparł Doktor i nacisnął dzwonek.

Chwila ciszy, a potem drzwi się otwarły i z dołu spojrziała na nich dziewczynka. Miała najwyżej jedenaście lat, włosy splotła w warkoczyki.

– Cześć – powiedziała. – Nazywam się Polly Browning. A wy?

– Polly! – wykrzyknęła Amy. – Twój rodzice martwią się o ciebie.

– Przyszłam zabrać swój pamiętnik – wyjaśniła dziewczynka. – Leżał pod obłuzowaną deską w moim starym pokoju.

– Rodzice cały dzień cię szukali! – Amy zastanawiała się, czemu Doktor się nie odzywa.

Dziewczynka – Polly – zerknęła na zegarek.

– To dziwne. Według niego jestem tu tylko pięć minut. Przyszłam o dziesiątej rano.

Amy wiedziała, że jest późne popołudnie.

– Która godzina? – spytała.

Polly rozradowana uniosła wzrok. Tym razem Amy wydało się, że dziewczynka ma w sobie coś dziwnego. Coś płaskiego. Coś niemal maskowatego...

– Godzina, kiedy wchodzisz do mojego domu – oznajmiła dziewczynka.

Amy zamrużyła. Nagle wydało jej się, że choć nawet nie drgnęli, razem z Doktorem znaleźli się w przedpokoju. Dziewczynka stała na schodach, patrzyła na nich, twarz miała na wysokości ich twarzy.

– Czym ty jesteś? – spytała Amy.

– Jesteśmy Rodziną – odparła dziewczynka niebędąca dziewczynką. Głos miała głębszy, mroczniejszy, bardziej gardłowy.

Amy pomyślała, że wygląda jakby przykuciała, jak coś wielkiego w papierowej masce z pobieżnie naszkicowaną twarzą dziewczynki. Nie rozumiała, jak mogła się nabrać i uznać, że to prawdziwa twarz.

– Słyszałem o was – oznajmił Doktor. – Moi rodacy uważali, że jesteście...

– Potwornością – odparła przykucnięta istota w papierowej masce. – I zakłóceniem wszystkich praw czasu. Odcięli nas od reszty Stworzenia. Ale uciekłem, a to znaczy, że wszyscy uciekliśmy. I jesteśmy gotowi zacząć od początku. Już rozpoczęliśmy nabywanie tego świata...

– Recyklingujecie pieniądze w czasie – wtrącił Doktor. – Kupujecie za nie ten świat, począwszy od tego domu, miasta...

– Doktorze? Co się dzieje? – spytała Amy. – Możesz wyjaśnić mi cokolwiek?

– Nawet wszystko – odparł Doktor. – Choć chyba wolałbym nie móc. Przybyli tu, żeby przejąć Ziemię. To oni staną się mieszkańcami tej planety.

– O nie, Doktorze – poprawiła wielka, przykucnięta istota w papierowej masce. – Nic nie rozumiesz. Nie dlatego przejmujemy planetę. Zajmiemy ten świat i pozwolimy ludzkości wymrzeć po prostu po to, by cię tu ściągnąć.

Doktor chwycił Amy za rękę.

– Uciekaj! – krzyknął.

Ruszył do drzwi frontowych...

...i znalazł się na szczycie schodów. Zawołał:

– Amy!

Nikt nie odpowiedział. Coś musnęło mu twarz: coś, co niemal przypominało futro. Odsunął to pacnięciem.

Ujrzał jedne otwarte drzwi i skierował się ku nim.

– Witam – powiedziała osoba w pokoju gardłowym, kobiecym głosem. – Tak się cieszę, że zdołałeś przybyć, Doktorze.

To była Margaret Thatcher, premier Wielkiej Brytanii.

– Wiesz przecież, kim jesteśmy, mój drogi? – spytała. – Strasznie byłoby szkoda, gdybyś nie wiedział.

– Rodzina – odrzekł Doktor. – Populacja składająca się z tylko jednego osobnika, ale mogącego przemieszczać się w czasie równie łatwo i niepostrzeżenie, jak człowiek przechodzący przez ulicę. Jest was tylko jeden, ale zasiedlacie dane miejsce, przenosząc się w tył i w przód w czasie, aż w końcu gromadzą się was setki, potem tysiące i miliony współdziałających ze sobą w różnych chwilach waszej własnej linii czasu. Trwa to, dopóki miejscowa struktura czasu się nie załamie niczym spróchniałe drewno. Potrzebujecie innych istot, przynajmniej na początku, by spytać która godzina i stworzyć kwantową superpozycję, pozwalającą wam uwiązać się do miejsca w czasoprzestrzeni.

– Doskonale – rzuciła pani Thatcher. – Wiesz, co powiedzieli Władcy Czasu, gdy otoczyli nasz świat? Powiedzieli, że ponieważ każde z nas to Rodzina w innym momencie czasowym, zabicie choćby jednego z nas oznaczałoby akt ludobójstwa wobec całego gatunku. Nie możesz mnie zabić, bo zabicie mnie oznaczałoby zabicie nas wszystkich.

– Wiesz, że jestem ostatnim z Władców Czasu?

– O tak, mój drogi.

– Zobaczmy. Zbierasz pieniądze z mennicy w chwili, gdy je drukują, kupujesz za nie różne rzeczy, zwracasz chwilę później i od nowa. Recykling w czasie. A maski... Pewnie wzmacniają pole przekonania. Ludzie chętniej sprzedają różne rzeczy, gdy wiedzą, że prosi ich o to osobiście przywódca jego państwa. Aż w końcu wszystko sprzedasz sobie. Czy zabijesz ludzi?

– Nie ma potrzeby, mój drogi. Stworzymy im nawet rezerwaty: na Grenlandii, Syberii, Antarktydzie... Ale i tak wymrą. Kilka miliardów żyjących w miejscu mogącym utrzymać kilka tysięcy. Cóż, mój drogi... to nie będzie piękny widok. – Pani Thatcher poruszyła się.

Doktor skupił się na postrzeganiu jej taką, jaką była w istocie. Zamknął oczy. Gdy je otworzył, ujrzał przysadzistą postać w prymitywnej czarno-białej masce, do której przyczepiono zdjęcie Margaret Thatcher.

Doktor wyciągnął rękę i zerwał maskę z Rodziny.

Często widział piękno tam, gdzie nie dostrzegali go ludzie. Radowały go wszelkie istoty. Ale twarz Rodziny trudno było docenić.

– Ty... budzisz odrazę u samej siebie – rzekł. – Rany. To dlatego nosicie maski. Nie lubisz swojej twarzy, prawda?

Rodzina nie odpowiedziała. Jej twarz, jeśli była to jej twarz, zwijała się i skręcała.

– Gdzie jest Amy? – spytał Doktor.

– Nadmiarowa w stosunku do wymagań – dobiegł inny, podobny głos zza jego pleców. Chudy mężczyzna w króliczej masce. – Wypuściliśmy ją. Potrzebujemy tylko ciebie, Doktorze. Nasze więzienie, zbudowane przez Władców Czasu, było męką, bo tkwiliśmy w nim jak w pułapce,

ograniczeni do jedności. Ty także jesteś tylko jeden. I zostaniesz tu, w tym domu, na zawsze.

Doktor krążył od pokoju do pokoju, uważnie badając swoje otoczenie. Mury domu były miękkie i pokryte cienką warstwą futra. Poruszały się też łagodnie, do wewnątrz i na zewnątrz, jak gdyby...

– Oddychały. To żywy pokój. Dosłownie.

– Oddaj mi Amy – powiedział. – Opuść tę planetę. Znajdę ci miejsce, gdzie będziesz mógł pójść. Nie możesz wciąż na nowo zapętlać się w czasie. To wszystko niszczy.

– A kiedy tak się dzieje, zaczynamy od nowa gdzie indziej – odparła kobieta w kociej masce na schodach. – Pozostaniesz uwięziony aż do końca życia. Będziesz się tu starzał, regenerował, umierał, raz za razem. Nasze więzienie przetrwa, dopóki ostatni Władca Czasu nie odejdzie na zawsze.

– Naprawdę sądzicie, że tak łatwo zdołacie mnie zatrzymać? – spytał Doktor.

Zawsze dobrze jest udawać, że panuje się nad sytuacją, nieważne jak bardzo martwił się, że utknął tu na dobre.

– Szybko! Doktorze! Tu, na dole! – To był głos Amy. Doktor zbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, zmierzając w stronę miejsca, z którego dobiegał: drzwi frontowych. – Doktorze!

– Jestem. – Szarpnął drzwi. Zamknięte na klucz. Wyciągnął śrubokręt i potraktował strumieniem dźwięku klamkę.

Rozległ się szcęk i drzwi się otworzyły: oślepił go nagły blask słońca. Doktor z radością ujrział swoją przyjaciółkę i znajomą niebieską budkę policyjną. Nie był pewien, którą z nich objąć najpierw.

– Dlaczego nie weszłaś do środka? – spytał Amy, otwierając drzwi TARDIS.

– Nie mogę znaleźć klucza. Musiałam go upuścić, kiedy mnie gonili. Dokąd polecimy?

– W bezpieczne miejsce. No, bezpieczniejsze. – Zamknął drzwi. – Masz jakieś sugestie?

Amy zatrzymała się u stóp schodów w pomieszczeniu kontrolnym i powiodła wzrokiem po lśniącej miedzianym świetle, szklanej kolumnie pośrodku panelu kontrolnego TARDIS, po drzwiach.

– Niesamowita, prawda? – rzucił Doktor. – Pocziwa, stara dziewczynka, nigdy mi się nie znudzi.

– Tak, pocziwa dziewczynka – odparła Amy. – Myślę, że powinniśmy udać się do samego początku czasu, Doktorze. Jak najwcześniej zdołamy. Nie znajdą nas tam i będziemy mogli wymyślić, co zrobić dalej.

Spoglądała ponad ramieniem Doktora na konsolę, patrząc, jak jego dłonie się poruszają, jakby ogromnie zależało jej na tym, by nie zapomnieć ani jednego gestu. TARDIS zniknęła z 1984 roku.

– Do początku czasu? Bardzo sprytne, Amy Pond. Nigdy wcześniej się tam nie wybraliśmy. To miejsce, gdzie nie powinniśmy móc się udać. Dobrze, że mam to.

Uniósł wywijasty wihajster, podłączył go do konsoli TARDIS z pomocą kilku uchwytów szcękowych i czegoś, co wyglądało jak kawałek sznurka.

– Proszę – rzucił z dumą. – Popatrz tylko.

– Tak – odparła Amy. – Uciekliśmy z pułapki Rodziny.

Silniki TARDIS zaczęły jęczeć, całe pomieszczenie dygotało i podskakiwało.

– Co to za hałas?

– Zmierzamy dokądś, gdzie TARDIS nie powinna móc dotrzeć. Gdzieś, gdzie nie

odważyłbym się udać bez wywijastego wichajstra, który podbija naszą moc i tworzy pęcherz czasowy. Hałas to protesty silników, jakbyśmy wjeżdżali na strome zbocze starym samochodem. Może to potrwać jeszcze kilka minut, ale na pewno spodoba ci się, kiedy już dojrzymy: początek czasu. Doskonała sugestia.

– Na pewno mi się spodoba. – Amy uśmiechnęła się. – To musi być wspaniałe uczucie, uciec z więzienia Rodziny.

– I to jest właśnie zabawne – odparł Doktor. – Pytasz mnie o ucieczkę z więzienia Rodziny. Z tamtego domu. I oczywiście uciekłem, traktując śrubokrętem kłamkę. To nieco zbyt proste. Ale co, jeśli pułapką nie był dom? Co, jeśli Rodzina nie pragnęła wcale torturować i zabić Władcy Czasu? Co, jeśli chcieli dostać coś znacznie, znacznie ważniejszego? Co, jeśli pragnęli zdobyć TARDIS?

– Po co Rodzinie TARDIS? – spytała Amy.

Doktor spojrział na nią. Spojrział na nią jasnymi oczami, niezaćmionymi nienawiścią ani złudzeniem.

– Rodzina nie może podróżować zbyt daleko w czasie. Nie tak łatwo. A to, co robią, jest powolne i wymaga wysiłku. Rodzina musiałaby przenieść się w czasie w przód i w tył piętnaście milionów razy tylko po to, by zasiedlić Londyn. Co jednak, gdyby miała do dyspozycji cały czas i przestrzeń? Co, gdyby cofnęła się do samego początku wszechświata i tam rozpoczęła swoje istnienie? Wówczas zasiedliłaby wszystko. W całym kontinuum czasoprzestrzennym nie istniałaby żadna inteligentna istota niebędąca Rodziną. Ich jedność wypełniłaby wszechświat, nie pozostawiając miejsca niczemu innemu. Wyobrażasz to sobie?

Amy oblizwała wargi.

– O tak – odparła – wyobrażam.

– Musiałabyś tylko zdobyć TARDIS, posadzić przy sterach Władcę Czasu, a cały wszechświat stałby się twoim podwórkiem.

– O tak. – Teraz Amy uśmiechała się szeroko. – Z pewnością.

– Jesteśmy już niemal na miejscu – oznajmił Doktor. – Początek czasu, proszę. Powiedz mi, że Amy jest bezpieczna.

– Dlaczego niby mam ci to mówić? – spytała Rodzina w masce Amy Pond. – To nieprawda.

VII

Amy słyszała, jak Doktor zbiega po schodach. Słyszała wołający go głos, który brzmiał dziwnie znajomo, a potem dźwięk, który wypełnił jej serce rozpaczą: gasnące szu-szu odlatującej TARDIS.

W tym momencie drzwi się otwały i wyszła do przedpokoju.

– Uciekł i zostawił cię – oznajmił niski głos. – Jakie to uczucie, być porzuconą?

– Doktor nie porzuca przyjaciół – poinformowała Amy istotę kryjącą się w cieniu.

– Ależ tak. W tym przypadku z całą pewnością to uczynił. Możesz czekać tak długo, jak zechcesz, on nigdy nie wróci – oznajmiła istota i wyszła z cienia w półmrok.

Była wielka. Jej kształt, choć humanoidalny, miał w sobie coś zwierzęcego (wilczego, pomyślała Amy Pond, cofając się o krok od tego stwora).

Miała na sobie maskę, nieprzekonującą, drewnianą maskę, najwyraźniej mającą

przedstawić wściekłego psa czy może wilka.

– Zabrał kogoś, kogo wziął za ciebie na wycieczkę TARDIS. I za kilka chwil rzeczywistość zostanie odmieniona. Władcy Czasu zmienili Rodzinę w jednego, samotnego osobnika, odciętego od reszty stworzenia. Stosowne jest zatem, by to Władca Czasu przywrócił nam nasze właściwe miejsce w porządku wszechrzeczy: wszystko inne stanie się mną albo strawą dla mnie. Spytaj mnie, która jest godzina, Amy Pond.

– Po co?

Teraz pojawiło się więcej mrocznych postaci: kobieta o kociej twarzy na schodach. Dziewczynka w kącie. Mężczyzna z króliczą głową, stojący za jej plecami, i to on się odezwał.

– Bo to będzie szybka śmierć. Łatwa śmierć. Za kilka chwil i tak nigdy byś nie istniała.

– Spytaj mnie – powtórzyła postać w wilczej masce. – Spytaj: która godzina, panie Wilku?

W odpowiedzi Amy Pond uniosła rękę i zerwała wilczą maskę z twarzy potężnej istoty, i ujrzała Rodzinę.

Ludzkie oczy nie zostały stworzone do oglądania Rodziny. Pełzająca, wijąca się, skręcająca masa tworząca tę twarz budziła przerażenie: maski chroniły nie tylko ją samą, ale też wszystkich innych.

Amy Pond patrzyła w twarz Rodziny.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić, to mnie zabij – rzekła. – Ale nie wierzę, by Doktor mnie opuścił. I nie będę cię pytać, która godzina.

– Szkoda – odparła Rodzina twarzą rodem z koszmaru. A potem ruszyła ku niej.

* * *

Silniki TARDIS jęknęły raz jeszcze i umilkły.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Rodzina.

Maska Amy Pond zamieniła się teraz w płaski, nabazgrany niezręcznie rysunek dziewczęcej twarzy.

– Jesteśmy na początku wszystkiego – przytaknął Doktor – bo tam właśnie chciałaś się znaleźć. Ale jestem gotów załatwić to w inny sposób. Mogę znaleźć dla ciebie rozwiązanie. Dla was wszystkich.

– Otwórz drzwi – warknęła Rodzina.

Doktor otworzył drzwi. Wiatry szalejące wokół TARDIS odepchnęły go od nich.

Rodzina stanęła w drzwiach TARDIS.

– Jest tak ciemno.

– Jesteśmy na samym początku. Jeszcze przed powstaniem światła.

– Wyjdę w pustkę – oznajmiła Rodzina. – A ty mnie spytasz, która godzina. A ja powiem sobie, tobie i całemu Stworzeniu: godzina, w której Rodzina obejmie władzę, zajmie wszystko, najędzie. Godzina, w której wszechświat stanie się tylko mną, moją własnością i tym, co zachowam, by to pożreć. Godzina, gdy rozpocznie się pierwsze i ostateczne panowanie Rodziny. Świat bez końca, aż po kres czasu.

– Ja bym tego nie robił – wtrącił Doktor. – Na twoim miejscu. Wciąż możesz zmienić zdanie.

Rodzina upuściła maskę Amy Pond na podłogę TARDIS.

Przecisnęła się przez drzwi TARDIS, prosto w otchłań.

– Doktorze! – zawołała, jej twarz skręcała się niczym masa robactwa. – Spytaj mnie, która

godzina.

– Mogę zrobić coś lepszego – odparł Doktor. – Mogę powiedzieć ci dokładnie, która jest godzina. To żadna godzina. Godzina nic. Mikrosekunda przed Wielkim Wybuchem. Nie jesteśmy na początku czasu. Jesteśmy przed początkiem. Władcy Czasu naprawdę nie lubili ludobójstwa. Ja sam też za nim nie przepadam. Bo wówczas zabija się także potencjał. Co, jeśli pewnego dnia pojawi się dobry Dalek? Co, jeśli...? – Zawiesił głos. – Kosmos jest wielki. Czas jeszcze większy. Mogłem wam pomóc znaleźć miejsce, w którym wasz lud żyłby w pokoju. Ale była też dziewczynka imieniem Polly. Zostawiła w domu swój pamiętnik. A wy ją zabiliście. To był błąd.

– Nawet jej nie znałeś! – zawołała Rodzina z otchłani.

– Była dzieckiem – odparł Doktor. – Czystym potencjałem, jak każde dziecko we wszechświecie. Więcej nie muszę wiedzieć. – Wywijasty wihajster przyczepiony do konsoli TARDIS zaczynał iskrzyć i dymić. – Nie masz czasu. Dosłownie. Bo czas zaczyna się dopiero wraz z Wielkim Wybuchem. A jeśli jakakolwiek cząstka istoty zamieszkującej czas zostanie usunięta z czasu... Cóż, tym samym usunie się zewsząd.

Rodzina zrozumiała. Zrozumiała, że w tym momencie cały czas i przestrzeń były jedną maleńką cząsteczką, mniejszą od atomu i dopóki za mikrosekundę owa mikročąsteczka nie eksploduje, nic się nie wydarzy. Nic nie może się wydarzyć. A Rodzina znalazła się po niewłaściwej stronie owej mikrosekundy.

Odcięte od czasu, wszystkie inne części Rodziny przestały istnieć. Jedność będąca wielością poczuła zalewającą ją falę nieistnienia.

– Na początku – przed istnieniem – było słowo. A słowo to brzmiało Doktor!

Lecz drzwi już się zamknęły, a TARDIS zniknęła niewzruszenie. Rodzina została sama w otchłani przed stworzeniem.

Sama na zawsze, uwięziona w chwili, czekająca, aż zrodzi się czas.

VIII

Młody mężczyzna w tweedowej marynarce okrążył dom na końcu Claversham Row. Zastukał do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Wrócił do błękitnej budki i pomajstrował przy najmniejszej kontrolce: zawsze łatwiej pokonać tysiąc lat niż dwadzieścia cztery godziny.

Spróbował raz jeszcze.

Czuł nici czasu, rozwijające się i rozplatające. Czas jest bardzo złożony: w końcu nie wszystko, co się wydarzyło, naprawdę się wydarzyło. Jedynie Władcy Czasu to rozumieli, a nawet oni nie potrafili opisać.

W ogrodzie domu przy Claversham Row stała pobrudzona tabliczka z napisem „NA SPRZEDAŻ”.

Zastukał do drzwi.

– Cześć – powiedział. – Ty musisz być Polly. Szukam Amy Pond.

Dziewczynka miała włosy zaplecione w warkoczyki. Popatrzyła podejrzliwie na Doktora.

– Skąd znasz moje imię? – spytała.

– Jestem bardzo sprytny – odparł z powagą Doktor.

Polly wzruszyła ramionami. Wróciła do domu, Doktor pomaszerował za nią. Z ulgą ujrzał, że

na ścianach nie ma śladu futra.

Amy siedziała w kuchni, popijała herbatę z panią Browning. W tle grało Radio Four. Pani Browning opowiadała Amy o swojej pracy pielęgniarki i długich dyżurach. Amy mówiła, że jej narzeczony też jest pielęgniarzem i doskonale to wszystko zna.

Kiedy Doktor wszedł, gwałtownie uniosła głowę i posłała mu spojrzenie mówiące: masz wiele do wyjaśnienia.

– Pomyślałem, że tu będziesz – oznajmił Doktor. – Jeśli nie przestanę szukać.

* * *

Wyszli z domu przy Claversham Row: niebieska budka policyjna parkowała na końcu ulicy, pod kasztanowcami.

– W jednej chwili – rzuciła Amy – ten stwór przymierzał się, by mnie pożreć. W następnej siedziałam w kuchni, rozmawiałam z panią Browning i słuchałam „The Archers”. Jak to zrobiłeś?

– Jestem bardzo sprytny – odparł Doktor. To był dobry tekst i postanowił używać go jak najczęściej.

– Wracajmy do domu – poprosiła Amy. – Czy tym razem będzie tam Rory?

– Wszyscy na świecie tam będą – odparł Doktor. – Nawet Rory.

Weszli do TARDIS. Doktor już wcześniej uprzątnął poczerwiałe szczątki wywijastego wihajstra z konsoli: TARDIS nie zdoła więcej dotrzeć do chwili przed narodzinami czasu, ale też, zważywszy wszystkie okoliczności, może to i dobrze.

Postanowił odstawić Amy prosto do domu – no, może zboczyć tylko na chwilę do Andaluzji w czasach rycerskich, gdzie w małej gospodzie przy drodze do Sewilli podano mu najlepsze gazpacho, jakiego kosztował.

Doktor był niemal zupełnie pewny, że zdoła ją znaleźć...

– Wracamy prosto do domu – oznajmił. – Po lunchu. A przy lunchu opowiem ci historię Maximelosa i trzech ogronów.

Brylanty i perły: baśń

Dawno temu, w dawnych czasach, gdy drzewa chodziły, a gwiazdy tańczyły, była sobie dziewczynka, której matka umarła, a potem zjawiła się nowa matka i poślubiła jej ojca, przywożąc ze sobą własną córkę. Wkrótce ojciec podążył do grobu za żoną, pozostawiając córkę samą.

Nowa matka nie lubiła dziewczyny i źle ją traktowała, zawsze faworyzując własną córkę, bezczelną i nieuprzejmą. Pewnego dnia macocha wręczyła dziewczynie, zaledwie osiemnastoletniej, dwadzieścia dolarów na narkotyki.

– Nie zatrzymuj się nigdzie po drodze – poleciła.

Dziewczyna zatem wzięła banknot dwudziestodolarowy i schowała do torebki jabłko, bo czekała ją długa wędrówka. A potem wyszła z domu i pomaszzerowała na koniec ulicy, gdzie zaczynała się gorsza część miasta.

Po drodze zobaczyła psa, uwiązanego do latarni; dyszał, cierpiąc w upale.

– Biedactwo – rzekła dziewczyna i dała mu wody.

Winda nie działała. Tamtejsza winda nigdy nie działała. W połowie schodów dziewczyna zobaczyła dziwkę o opuchniętej twarzy, patrzącą na nią pożółkłymi oczami.

– Proszę. – Dziewczyna dała dziwce jabłko.

Dotarła na piętro diler a trzy razy zastukała do drzwi. Kiedy otworzył, patrząc na nią bez słowa, pokazała mu dwudziestodolarówkę.

– Jaki tu straszny bałagan. – Przepisnęła się obok niego. – Kiedykolwiek pan tu sprząta? Gdzie są szczotki i szmaty?

Diler wzruszył ramionami. Pokazał ręką szafę.

Dziewczyna otworzyła ją, znalazła szczotkę i szmatę. Napęlniła wodą umywalkę w łazience i zaczęła szorować mieszkanie.

Kiedy w pokojach zrobiło się czyściej, powiedziała:

– Poproszę o zakupy mojej matki.

Diler zniknął w sypialni i wrócił z plastikową torebką. Dziewczyna schowała ją do kieszeni i wyszła na schody.

– Panienko – zagadnęła dziwka. – Jabłko było smaczne, ale okropnie mnie boli. Masz może coś?

– To dla mojej matki – wyjaśniła dziewczyna.

– Proszę?

– Biedne stworzenie. – Dziewczyna zawahała się, po czym wręczyła jej torebkę. – Macocha na pewno zrozumie.

Wyszła z budynku. Kiedy przechodziła, pies przemówił do niej:

– Lśniesz jak diament, dziewczyno.

Dotarła do domu. Matka czekała na nią w salonie.

– Gdzie prochy? – spytała ostro.

– Przepraszam – odparła dziewczyna i z jej ust posypały się diamenty, grzechocząc na podłodze.

Macocha ją uderzyła.

– Au! – Z ust dziewczyny wyrwał się rubinowoczerwony krzyk bólu i na podłogę spadł rubin.

Macocha padła na kolana i pozbierała klejnoty.

– Ładne – zauważyła. – Ukradłaś je?

Dziewczyna pokręciła głową. Bała się mówić.

– Masz ich może więcej?

Dziewczyna znów zaprzeczyła, zaciskając usta.

Macocha chwyciła jej wrażliwą skórę na ręce między palce i uszczypnęła z całych sił, ściskając, dopóki w oczach dziewczyny nie zalśniły łzy, ta jednak nadal milczała. Zatem macocha zamknęła dziewczynę w pozbawionej okna sypialni, by nie mogła uciec.

Kobieta zaniosiła diamenty i rubiny do Lombardu i Sklepu z Bronią Ala na rogu, gdzie Al, nie zadając żadnych pytań, zapłacił jej pięćset dolarów.

Potem posłała drugą córkę, by kupiła narkotyki.

Ta dziewczyna była samolubna. Ujrzała psa dyszącego w słońcu i, upewniwszy się, że jest uwiązany i nie pobiegnie za nią, kopnęła go. Przecisnęła się obok dziwki na schodach. Dotarłszy do mieszkania dilerka, zastukała do drzwi. Spojrzał na nią, a ona bez słowa wręczyła mu dwadzieścia dolarów. W drodze powrotnej dziwka siedząca na stopniu zagadnęła.

– Proszę...?

Ale dziewczyna nawet nie zwolniła.

– Suka! – zawołała dziwka.

– Żmija – rzucił pies, gdy mijała go na chodniku.

Z powrotem w domu wyjęła narkotyki i otworzyła usta, by powiedzieć matce „proszę”. Ze środka wysłiznęła się jaskrawokolorowa żabka, przeskoczyła z jej ręki na ścianę, gdzie zawisła, patrząc na nie niemrugającymi oczami.

– O mój Boże! – rzuciła dziewczyna. – To obrzydliwe!

Po pierwszej pojawiło się jeszcze pięć barwnych rzekotek i jeden mały wąż w czerwone, czarne i żółte paski.

– Czerwień i czerni – mruknęła dziewczyna. – Jest jadowity? – (Trzy kolejne rzekotki, jedna ropucha, mały, biały ślepy wąż i mała iguana). Cofnęła się szybko.

Jej matka, która nie bała się węży ani niczego, kopnęła węża w paski, który ugryzł ją w nogę. Kobieta krzyknęła i zaczęła wymachiwać rękami, jej córka także wrzasnęła, długo, przeciągle, i z jej ust wysunął się zdrowy, dorodny pyton.

Pierwsza dziewczyna, nosząca imię Amanda, usłyszała krzyki, a potem ciszę, ale w żaden sposób nie mogła się dowiedzieć, co się stało.

Zastukała do drzwi. Nikt ich nie otworzył. Nikt nie odpowiedział. Słyszała tylko szelest, jakby coś dużego i beznogiego przesuwano się po wykładzinie.

Kiedy Amanda zrobiła się głodna, nieopisanie głodna, zaczęła mówić.

– Oblubienico nietknięta milczenia – zaczęła. – Przybrana córo przetrwania i ciszy...

Mówiła, choć słowa ją dławily.

– „Piękno jest prawdą, prawda pięknem”[*] – tyle wiedzieć wam dane i nie trzeba więcej...
Ostatni szafir stuknął o drewnianą podłogę pozbawionego okien pokoju Amandy.
Zapadła absolutna cisza.

* Cytaty z „Ody do urny greckiej” Johna Keatsa w przekładzie Agnieszki Fulińskiej.

Powrót Chudego Białego Księcia

Był monarchą wszystkiego, co dostrzegał, nawet kiedy stał nocą na balkonie pałacu, słuchał raportów i spoglądał w niebo na mrugające gorzko gwiazdne skupiska i wiry. Władał światami. Od tak dawna próbował rządzić mądrze i dobrze, i być dobrym władcą, ale rządy to rzecz trudna, a mądrość bywa bolesna. Odkrył też, że niemożliwe jest, by rządzący czynił wyłącznie dobro, nie da się bowiem niczego zbudować bez burzenia i nawet on nie mógł zadbać o każde życie, każdy sen, każdą ludność każdego świata.

Drobina za drobiną, chwila za chwilą, śmierć za drobną śmiercią, przestał się przejmować.

Wiedział, że nie umrze, bo tylko ludzie podlegli umierają, a on nie podlegał nikomu.

Mijał czas. Pewnego dnia w głębokich lochach mężczyzna z krwią na twarzy spojrzął na księcia i oznajmił, że stał się on potworem. W następnej chwili przestał istnieć: ot, przypis w podręczniku historii.

Przez następne kilka dni książę z uwagą analizował tę rozmowę i w końcu pokiwał głową.

– Zdrajca miał rację – rzekł. – Stałem się potworem. No cóż. Zastanawiam się, czy ktokolwiek z nas od samego początku planuje coś takiego.

Kiedyś, bardzo dawno temu, miał kochanki, ale działo się to u zarania księstwa. Teraz, o zmierzchu świata, gdy wszystkie rozkosze były dostępne od ręki (lecz tego, co zdobywamy bez wysiłku, sami nie cenimy) i zniknęła konieczność rozpatrywania kwestii związanych z sukcesją (sama myśl bowiem, że ktokolwiek mógłby pewnego dnia zastąpić księcia, graniczyła z bluźnierstwem), nie miał już kochanek ani żadnych wyzwań. Czuł się tak, jakby spał – choć oczy miał otwarte, a jego wargi przemawiały, nic nie mogło go obudzić.

Następnego dnia po tym, jak księciu przyszło do głowy, że jest potworem, nadszedł Dzień Dziwnych Kwiatów, który obchodzono, nosząc kwiecie dostarczane do książęcego pałacu ze wszystkich światów i poziomów rzeczywistości. Owego dnia mieszkańcy książęcego pałacu, pokrywającego cały kontynent, jak każe tradycja radowali się, odrzucali troski i zmartwienia. Książę jednak nie był szczęśliwy.

– Jak można sprawić, abyś poczuł się szczęśliwy? – spytał żuk informacyjny na jego ramieniu, czekający, by przekazać kaprysy i pragnienia władcy setkom setek światów. – Wystarczy jedno słowo, Wasza Miłość, a imperia powstaną i upadną, byś się uśmiechnął. Dla twojej rozrywki gwiazdy zamienią się w ogniste nowe.

– Może potrzebuję serca – odparł książę.

– Natychmiast każę wyrwać, wyciąć, wypruć, wypatroszyć i na inne sposoby usunąć setkę setek serc z dziesiątka tysięcy piersi idealnych okazów ludzkości – oznajmił żuk informacyjny. – Jak życzysz sobie je przygotować? Czy mam powiadomić szefów kuchni, czy też wypychaczy, chirurgów albo rzeźbiarzy?

– Musi mi na czymś zależeć – wyjaśnił książę. – Muszę cenić życie. Muszę się przebudzić.

Żuk zaczął świergotać i piskać na jego ramieniu; miał dostęp do mądrości dziesięciu tysięcy światów, ale nie mógł nic poradzić swemu panu, gdy ten wpadał w podobny nastrój, toteż milczał. Przekazał swe obawy poprzednikom, starszym żukom i skarabeuszom informacyjnym, obecnie śpiącym w zdobnych puzdrach na setce setek światów, a skarabeusze naradziły się między sobą, z żalem, bo w ogromie czasu nawet to wydarzyło się już wcześniej, i były gotowe poradzić sobie z tym problemem.

Uruchomiły zatem bardzo stary protokół, pochodzący z zarania dziejów. Książę odprawiał właśnie rytuał Dnia Dziwnych Kwiatów, chudą twarz miał pozbawioną wyrazu, jak człowiek, który widzi świat takim, jaki jest w istocie, i zupełnie go sobie nie ceni, gdy mała skrzydlata istota wyleciała z trzepotem z pąka, w którym się ukrywała.

– Wasza Miłość – wyszeptała – moja pani cię potrzebuje. Proszę. Jesteś jej jedyną nadzieją.

– Twoja pani? – powtórzył książę.

– To stworzenie pochodzi spoza otchłani – wyćwierkał żuk na jego ramieniu. – Z jednego z miejsc, które nie uznają wszechwładzy książęcej, z krain poza życiem i śmiercią, pomiędzy istnieniem a nieistnieniem. Musiało się ukryć wewnątrz importowanej pozaświatowej orchidei. Jego słowa to pułapka. Każę je zniszczyć.

– Nie – uciał książę. – Zostaw je.

A potem zrobił coś, czego nie czynił od wielu lat, i pogładził żuka chudym białym palcem. Zielone oczy poczerniały, żuk zaćwierkał i umilkł, aż zapadła doskonała cisza.

Książę ujął maleńką istotkę w dłonie i wrócił do własnych komnat, a ona opowiadała mu o mądrej i szlachetnej królowej, i o olbrzymach – każdym piękniejszym od poprzednich i każdym większym, bardziej niebezpiecznym i potwornym – więżących wspomnianą królową.

A gdy tak mówiła, książę przypominał sobie dni, kiedy chłopiec z gwiazd przybył do Świata w poszukiwaniu fortuny (w tamtych czasach bowiem wszędzie roilo się od fortun czekających na odnalezienie); i wspominając to, odkrył, że jego młodość jest mniej odległa niż przypuszczał. Żuk informacyjny leżał milcząco na jego ramieniu.

– Dlaczego cię do mnie przysłała? – spytał istotkę.

Ta jednak, wypełniwszy już swoje zadanie, umilkła i po chwili zniknęła, równie szybko i trwale jak gwiazda zgaszona na książęcy rozkaz.

Książę przekroczył próg swoich prywatnych komnat i włożył wyłączonego żuka informacyjnego do pudełka przy łóżku. W gabinecie kazał służbie przynieść długi czarny futerał. Otworzył go własnoręcznie i dotknięciem uruchomił głównego doradcę. Ten otrząsnął się i wpełzł na jego ramiona na wężowy sposób, wciskając gadzi język w neurogniazdko u podstawy czaszki. Książę poinformował węża, co zamierza zrobić.

– To niemądre – oznajmił główny doradca, przechowujący w pamięci informacje i porady wszystkich wcześniejszych doradców książęcych, najpierw jednak przez chwilę badał swego poprzednika.

– Szukam przygody, nie mądrości – odparł książę.

W kącikach jego ust zatańczył cień uśmiechu: uśmiechu, którego służący nie widzieli od tak dawna, że nikt tego nie pamiętał.

– W takim razie, jeśli nie dasz się zniechęcić, weź rumaka bojowego – rzekł doradca.

Była to dobra rada. Książę wyłączył głównego doradcę i posłał po klucz do stajni rumaka bojowego. Na kluczu tym nie grano od tysiąca lat: kurz pokrywał jego struny.

Kiedys istniało sześć rumaków bojowych, dla każdego z władców i władczyń wieczoru. Były piękne, mądre, niepowstrzymane, a gdy księżę ze smutkiem musiał zakończyć karierę każdego z władców wieczoru, odmówił zniszczenia ich rumaków i zamiast tego umieścił je tam, gdzie nie mogły zagrażać światom.

Teraz wziął klucz i zagrał otwierające arpeggio. Brama się otwarła i ze środka z kocim wdziękiem wyłonił się rumak bojowy, czarny jak atrament, jak gagat, jak węgiel. Uniósł głowę, spoglądając na świat dumnymi oczami.

– Dokąd ruszamy? – spytał. – Z czym mamy walczyć?

– Ruszamy poza światy – odparł księżę. – A co do walki... cóż, to się okaże.

– Mogę cię zabrać wszędzie – oznajmił rumak. – I zabiję tych, którzy spróbują cię zranić.

Księżę wsiadł na grzbiet rumaka bojowego, zimny metal pod jego udami ugiął się niczym żywe ciało. Kazał mu ruszać.

Wystarczył jeden skok, by rumak pędził przez pianę i wiry podprzestrzeni: razem mknęli przez obłąd pomiędzy światami. Księżę zaśmiał się wtedy, w miejscu gdzie nikt go nie słyszał, gdy podróżowali tak razem przez podprzestrzeń, poruszając się wiecznie w podczasy (którego nie dolicza się do sekund człowieczego życia).

– To mi wygląda jakby na pułapkę – oznajmił rumak bojowy, gdy przestrzeń pod galaktykami parowała wokół nich.

– Tak – zgodził się księżę. – Nie wątpię w to.

– Słyszałem o tej królowej – dodał rumak – albo czymś podobnym do niej. Żyje między życiem a śmiercią i wzywa na zagładę wojowników, bohaterów, poetów i marzycieli.

– Zgadza się – przytaknął księżę.

– A kiedy wrócimy do przestrzeni rzeczywistej, spodziewam się zasadzki – dodał rumak.

– To się wydaje bardziej niż prawdopodobne – zgodził się księżę, kiedy dotarli do celu i wyprysnęli z podprzestrzeni z powrotem w świat istniejący.

Strażnicy pałacu byli tak piękni, jak zapowiedziano, i także groźni. Czekali.

– Co robisz?! – zawołali, ruszając do ataku. – Czy nie wiesz, że obcym zabrania się tu wstępu? Zostań z nami. Pozwól nam się kochać. Pochłonimy cię swoją miłością.

– Przybywam ocalić waszą królową – oznajmił księżę.

– Ocalić królową? – Roześmiali się. – Nim zechce na ciebie spojrzeć, każe ci odciąć głowę i ułożyć na półmisku. Przez lata wielu ludzi przybywało ją ratować. Ich głowy spoczywają na złotych półmiskach w jej pałacu. Twoja będzie najświeższa!

Byli tam mężczyźni wyglądający jak upadłe anioły i kobiety podobne powstałym demonom. Ludzie tak piękni, że gdyby nie brak człowieczeństwa, mogliby stać się wszystkim, czego księżę pożył. Napierali coraz bliżej, skóra na odwłok, ciało na zbroję, by poczuć jego chłód i by on poczuł ich ciepło.

– Zostań z nami. Pozwól się nam kochać – szeptali, sięgając ku niemu ostrymi szponami i zębami.

– Nie sądzę, by wasza miłość mi posłużyła – odparł księżę.

Jedna z kobiet, o jasnych włosach i oczach barwy osobliwego przejrzyściego błękitu, przypomniała mu kogoś dawno zapomnianego, kochankę, która odeszła z jego życia bardzo dawno temu. Odnalazł jej imię w umyśle i już miał wykrzyknąć, by sprawdzić, czy się odwróci, czy go zna, ale rumak bojowy chlasnął ostrymi pazurami i jasnobłękitne oczy zamknęły się na zawsze.

Rumak poruszał się szybko jak pantera i każdy ze strażników padał na ziemię, przez chwilę wstrząsany drgawkami, a potem nieruchomiejąc.

Książę stanął przed pałacem królowej. Zeskoczył z grzbietu rumaka na świeżą ziemię.

– Dalej pójde sam – oznajmił. – Zaczekaj, a pewnego dnia powrócę.

– Nie wierzę, byś kiedykolwiek wrócił – odparł rumak bojowy. – Jeśli trzeba, zaczekam aż do kresu czasu. Nadal jednak boję się o ciebie.

Książę musnął ustami czarną stal głowy rumaka i pożegnał go. Pomaszerował dalej, ratować królową. Przypomniał sobie potwora, który rządził światami i nigdy nie umierał, i uśmiechnął się, bo nie był już tym człowiekiem. Po raz pierwszy od czasów pierwszej młodości miał coś do stracenia, i to odkrycie sprawiło, że znów stał się młody. Serce zaczęło mu walić w piersi, gdy maszerował przez pusty pałac. Roześmiał się głośno.

Czekała na niego w miejscu, gdzie umierają kwiaty. Była wszystkim, co sobie wyobraził. Spódnicę miała prostą i białą, kości policzkowe wydatne i bardzo ciemne, włosy długie, nieskończenie ciemnej barwy kruczego skrzydła.

– Przychodzę, by cię ocalić – oświadczył.

– Przychodzisz, by ocalić sam siebie – poprawiła go.

Jej głos brzmiał niemal jak szept, niczym wietrzyk, który potrząsał martwymi płatkami.

Książę skłonił głowę, choć dorównywała mu wzrostem.

– Trzy pytania – wyszeptala. – Odpowiedz prawidłowo, a dostaniesz wszystko, czego pożądasz. Odpowiedz źle, a twoja głowa na zawsze spocznie na złotym półmisku. – Skórę miała barwy brązu martwych płatków róży, oczy ciemnozłote niczym bursztyn.

– Zadał swoje trzy pytania – odparł z pewnością siebie, której wcale nie czuł.

Królowa wyciągnęła palec i delikatnie pogładziła jego policzek. Książę nie pamiętał, kiedy po raz ostatni ktoś dotknął go bez pozwolenia.

– Co jest większe niż wszechświat? – spytała.

– Podprzestrzeń i podczas – odparł książę. – Obejmują bowiem wszechświat, a także wszystko, co nie jest wszechświatem. Podejrzewam jednak, że szukasz bardziej poetycznej, mniej dokładnej odpowiedzi. Zatem umysł, potrafi bowiem objąć wszechświat, ale też wyobrazić sobie rzeczy, które nigdy nie istniały i nie istnieją.

Królowa milczała.

– Zgadza się? Czy też nie? – spytał książę.

Przez chwilę zatęsknił za wężowym szeptem głównego doradcy, przekazującego poprzez neurozłące zbiorową mądrość wszystkich doradców, albo nawet za świergotem żuka informacyjnego.

– Drugie pytanie – oznajmiła królowa. – Co jest większe od króla?

– Oczywiście książę – rzekł książę. – Bo wszyscy królowie, papieże, kanclerze, cesarze i tym podobni służą i podlegają mojej woli. Znów jednak podejrzewam, że szukasz odpowiedzi mniej dokładnej, a bardziej twórczej. Zatem znów, umysł jest większy od króla. I księcia. Bo choć sam nikomu nie podlegam, są tacy, którzy mogą wyobrazić sobie świat, gdzie istnieje coś ponad mną, coś jeszcze ponad tym czymś i tak dalej. Nie! Zaczekaj! Mam odpowiedź. Pochodzi z Wielkiego Drzewa: Kether, korona. Idea monarchii jest większa niż jakikolwiek król.

Królowa przyglądała się księciu bursztynowymi oczami.

– Oto ostatnie pytanie dla ciebie. Czego nigdy nie możesz cofnąć?

– Mojego słowa – oznajmił książę. – Choć teraz, gdy się nad tym zastanawiam, kiedy już dam

słowo, czasami okoliczności się zmieniają, a czasami światy zmieniają się także w niefortunny, nieoczekiwany sposób. Od czasu do czasu, jeśli tak się dzieje, muszę zmodyfikować swoje słowo zgodnie z rzeczywistością. Powiedziałbym śmierci, ale gdybym w istocie odkrył, że potrzebuję kogoś, kogo wcześniej się pozbyłem, po prostu obdarzyłbym go nowym ciałem...

Królowa wyraźnie się niecierpliwiła.

– Pocałunku – odparł ksiązę.

Skinęła głową.

– Istnieje dla ciebie nadzieja – rzekła. – Wierzysz, że jesteś moją jedyną nadzieją, ale tak naprawdę ja jestem twoją. Wszystkie odpowiedzi były zupełnie złe. Ale ostatnia nie tak zła jak poprzednie.

Ksiązę rozważył myśl, że miałby stracić głowę dla tej kobiety, i odkrył, że ta perspektywa niepokoi go mniej, niżby oczekiwał.

W ogrodzie martwych kwiatów powiał wiatr, księciu skojarzył się z pachnącym duchem.

– Chciałbyś poznać odpowiedź? – spytała królowa.

– Odpowiedzi – poprawił. – Oczywiście.

– Tylko jedną odpowiedź, a brzmi ona: serce – wyjaśniła. – Serce jest większe niż wszechświat, może bowiem znaleźć w sobie współczucie dla wszystkiego we wszechświecie, a sam wszechświat nie czuje litości. Serce jest większe niż król, bo potrafi ujrzeć króla takim, jakim jest naprawdę, i nadal go kochać. A kiedy dasz komuś swoje serce, nie możesz już tego cofnąć.

– Powiedziałem pocałunek – przypomniał ksiązę.

– Nie była to odpowiedź tak zła jak pozostałe – rzekła.

Wiatr wiał coraz wyżej i mocniej, w mgnieniu oka powietrze wypełniły martwe płatki. A potem ucichł równie nagle jak się pojawił i połamane płatki posypały się na posadzkę.

– A zatem pierwsze zadanie, które mi wyznaczyłaś, nie powiodło mi się. A przecież nie sądzę, by moja głowa wyglądała dobrze na złotym półmisku – powiedział ksiązę. – Ani na jakimkolwiek półmisku. Wyznacz mi więc zadanie, misję, coś, co mogę wykonać, by dowieść, że jestem godzien. Pozwól, abym uratował cię z tego miejsca.

– Mnie nigdy nie trzeba ratować – odparła królowa. – Twoi doradcy, skarabeusze i programy już z tobą skończyli. Przysłali cię tutaj, tak jak wielu przed tobą, dawno temu, bo lepiej, żebyś zniknął z własnej woli, by nie musieli zabijać cię we śnie. A także mniej niebezpiecznie. – Ujęła jego rękę w dłonie. – Chodź – poleciała.

Razem wyszli z ogrodu martwych kwiatów, mijając fontanny światła, bryzgające blaskiem w otchłań, do cytadeli pieśni, gdzie za każdym zakrętem czekały doskonałe głosy, śpiewające, nucące i odbijające się echem, choć nie było tam nikogo, kto by śpiewał.

Za cytadelą rozciągała się tylko mgła.

– Tam – oznajmiła królowa. – Dotarliśmy do kresu wszechrzeczy, gdzie nie istnieje nic prócz tego, co stworzymy sami, aktem woli bądź desperacji. W tym miejscu mogę przemawiać swobodnie. Jesteśmy tu tylko my dwoje. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie musisz umierać. Możesz zostać ze mną. Będiesz szczęśliwy i w końcu znajdziesz szczęście, serce, wartość istnienia. A ja będę cię kochać.

Ksiązę popatrzył na nią z błyskiem zdumienia i gniewu.

– Prosiłem, by znów mogło mi na czymś zależeć. Prosiłem o coś, o co mógłbym dbać. Prosiłem o serce.

– A oni dali ci wszystko, o co prosiłeś. Ale nie możesz być ich władcą, mając te rzeczy. Zatem nie możesz wrócić.

– Ja... Sam prosiłem, by do tego doprowadzili – przyznał książę. Nie wyglądał już na zagniewanego.

Mgły na skraju tego miejsca były jasne, raniły jego oczy, gdy spoglądał w nie zbyt mocno bądź długo.

Ziemia zaczęła się trząść, jakby pod stopami olbrzyma.

– Czy cokolwiek jest tu prawdziwe? – spytał książę. – Czy cokolwiek jest trwałe?

– Wszystko jest prawdziwe – odparła królowa. – Olbrzym nadchodzi. I cię zabije, chyba że go pokonasz.

– Ile razy przez to przechodziłaś? – spytał książę. – Ile głów wylądowało na złotych półmiskach?

– Niczyja głowa nie wylądowała na złotym półmisku – odparła. – Nie jestem zaprogramowana, by ich zabijać. Walczą o mnie, zdobywają mnie i zostają ze mną, póki po raz ostatni nie zamkną oczu. Radzi są zostać, albo sprawiam, że tacy się stają. Ale ty... Ty potrzebujesz niezadowolenia, prawda?

Zawahał się. W końcu pokiwał głową.

Objęła go i ucałowała powoli, łagodnie. Pocałunku raz danego nie można odebrać.

– Czyli teraz będę walczył z olbrzymem i cię uratuję?

– Tak to się dzieje.

Spojrzał na nią. Popatrzył na siebie, na grawerowaną zbroję, na swą broń.

– Nie jestem tchórzem. Nigdy nie wycofałem się z walki. Nie mogę wrócić, ale nie będę rad, jeśli zostanę tu z tobą. Zatem zaczekam tutaj i pozwolę olbrzymowi się zabić.

Spojrzała na niego przerażona.

– Zostań ze mną. Zostań.

Książę popatrzył za siebie w pustą biel.

– Co tam leży? – spytał. – Co jest za mgłą?

– Uciekniesz? – spytała. – Zostawisz mnie?

– Pójdę – odparł. – Ale nie odejdę od czegoś. Ruszę ku czemuś. Pragnę serca. Co jest po drugiej stronie tej mgły?

Królowa pokręciła głową.

– Za mgłą leży Malkuth: Królestwo. Ale nie istnieje, dopóki nie sprawisz, że będzie istniało. Staje się, kiedy je tworzysz. Jeśli odważysz się wejść w mgłę, zbudujesz świat albo przestaniesz istnieć. A ty możesz to zrobić. Nie wiem, co się stanie, prócz jednego: jeśli ode mnie odejdziesz, nie będziesz już mógł wrócić.

Nadal słyszał walenie, nie był jednak pewien, czy to stopy olbrzyma. Bardziej przypominało raz, dwa, trzy, uderzenia jego własnego serca.

Odwrócił się ku mgle, nim zdążył zmienić zdanie, i pomaszerował w nicość, zimną i lepłą na skórze. Z każdym krokiem czuł, jak staje się mniejszy. Neurogniazdka umierały, nie przekazywały już nowych informacji, w końcu stracił nawet własne imię i stanowisko.

Nie był pewien, czy szuka jakiegoś miejsca, czy też je tworzy. Ale pamiętał jej ciemną skórę i bursztynowe oczy. Pamiętał gwiazdy – uznał, że tam, dokąd zmierza, także będą gwiazdy. Muszą istnieć gwiazdy.

Maszerował dalej. Podejrzewał, że przedtem był w zbroi, teraz jednak czuł na twarzy i szyi

wilgoć, i odziany w cienkie palto drżał w zimnym nocnym powietrzu.

Potknął się, natrafiając stopą na krawężnik.

A potem wyprostował się i zerknął na rozmazane latarnie we mgle. Gdzieś blisko – zbyt blisko – przejechał samochód, po czym zniknął w dali, tylne światła zabarwiły mgłę szkarłatem.

Moja dawna rezydencja, pomyślał ciepło, i natychmiast pojawiła się chwila czystego zdumienia, że Beckenham mogło być jego dawnym czymkolwiek. Dopiero co się tu wprowadził. Miało posłużyć za bazę. Za miejsce, dokąd można uciec. Przecież o to chyba chodziło?

Lecz myśl o człowieku, który uciekał (może władcy albo księciu, dodał w duchu i spodobał mu się kształt tego słowa w głowie) wciąż wisiała w jego umyśle niczym początek piosenki.

– Wolę napisać jakąśtam piosenkę, niż władać światem – powiedział głośno, smakując słowa w ustach.

Oparł o ścianę futerał z gitarą, wsunął rękę do kieszeni budrysówki, znalazł ogryzek ołówka i mały notes, i zapisał je. Miał nadzieję, że wkrótce znajdzie dobre trzysylabowe słowo, którym zastąpi „jakąśtam”.

Potem pchnął drzwi i wszedł do pubu. Kiedy znalazł się w środku, chwyciła go w objęcia ciepła, piwna atmosfera. Cichy gwar i pomruk pubowych rozmów. Ktoś zawołał go po imieniu, a on pomachał bladą dłonią, pokazując zegarek i gwiazdy. Dym papierosowy nadawał powietrzu lekki błękitnawy odcień. Zakasłał raz jeden głęboko w piersi i sam zatęsknił za papierosem.

Wspiął się na górę po wyświeconej czerwonej wykładzinie, dzierżąc futerał z gitarą niczym broń i z każdym krokiem wszystko, co tkwiło w jego umyśle, nim skręcił za róg High Street, rozplywało się i znikało. Przystanął w ciemnym korytarzu przed drzwiami salki na piętrze. Z pomruku głosów i brzęku szklanek wiedział, że zebrała się tam już grupka ludzi, czekających i pracujących. Ktoś stroił gitarę.

Potworną? – pomyślał młody mężczyzna. To trzy sylaby.

Obrócił to słowo kilka razy w umyśle, po czym uznał, że znajdzie coś lepszego, coś mocniejszego, coś bardziej pasującego do świata, który zamierzał podbić. I z jedynie przelotnym żalem porzucił je na zawsze, i wszedł do środka.

Żeńskie końcówki

Najdroższa,

pozволь, że zacznę ten list, będący wstępem do spotkania, oficjalną i staroświecką deklaracją: kocham cię. Nie znasz mnie (choć wiele razy mnie widziałaś, uśmiechałaś się do mnie, kładłaś monety na dłoni), ja natomiast znam ciebie (ale nie tak dobrze, jak bym chciał. Chciałbym być przy tobie, kiedy rano unosisz powieki, widzisz mnie i witasz uśmiechem. Z pewnością tak wyglądałby raj?). Oświadczam ci to zatem teraz, na papierze, czarno na białym. Powtarzam raz jeszcze: kocham cię.

Piszę to po angielsku, w twoim języku, języku, którym także władam. Całkiem dobrze mówię po angielsku. Kilka lat temu byłem w Anglii i Szkocji, całe lato stałem w Covent Garden, prócz miesiąca na festiwalu w Edynburgu. Wśród ludzi wrzucających mi pieniądze w Edynburgu był pan Kevin Spacey, aktor, i pan Jerry Springer, amerykański gwiazdor telewizyjny, który przyjechał tam obejrzyć operę opartą na własnej biografii.

Bardzo długo zwlekałem z napisaniem tego listu, choć od dawna chciałem to zrobić i wielokrotnie układałem go sobie w głowie. Czy mam napisać o tobie? O mnie?

Najpierw ty.

Uwielbiam twoje włosy, długie i rude. Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, uznałem, że musisz być tancerką, i nadal uważam, że masz ciało tancerki. Nogi i postawę, uniesioną głowę, proste plecy. To twój uśmiech powiedział mi, że jesteś cudzoziemką, jeszcze nim usłyszałem jak mówisz. W moim kraju uśmiechamy się rozbłyskami, jak słońce, które wychodzi zza chmury, oświetla pola i zbyt szybko znów się skrywa. Tutaj uśmiechy są cenne i rzadkie. Ty jednak uśmiechałaś się cały czas, jakby radowało cię wszystko, co widzisz. A kiedy ujrzałaś mnie po raz pierwszy, uśmiechnęłaś się jeszcze szerzej niż przedtem. Uśmiechnęłaś się, a ja zagubiłem się w tym uśmiechu, niczym małe dziecko w wielkiej puszczy – błąka się, lecz już nigdy nie odnajdzie drogi do domu.

Jeszcze w młodości odkryłem, że oczy zbyt wiele zdradzają. Część moich kolegów po fachu nosi ciemne okulary albo nawet (tych zwykle wyśmiewam, uznając ich za amatorów) maski zakrywające całe twarze. Po co komu maska? Moje rozwiązanie to teatralne szkła kontaktowe, zasłaniające białka. Kupiłem je w amerykańskim sklepie wysyłkowym za niecałe pięćset euro. Oczywiście są ciemnoszare i wyglądają jak kamień. Dzięki nim zyskałem znacznie więcej niż pięćset euro, wielokrotnie na sobie zarobiły. Zważywszy na mój zawód, być może sądzisz, że jestem biedny, ale mylisz się. W istocie zapewne zdziwiłabyś się, jak wiele pieniędzy zgromadziłem. Mam skromne potrzeby i zawsze doskonale zarabiam.

Chyba że pada.

A czasem nawet kiedy pada. Inni, jak pewnie zauważyłaś, ukochana, podczas deszczu

ukrywają się, osłaniają parasolkami, odbiegają. Ja zostaję na miejscu. Zawsze. Po prostu czekam nieruchomo. To sprawia, że moja gra jest jeszcze bardziej przekonująca.

Bo to jest gra, taka sama jak wtedy, gdy pracowałem w teatrze jako asystent iluzjonisty, czy wcześniej tancerz (stąd właśnie tak dobrze znam ich ciała). Zawsze postrzegałem widownię jako złożoną z poszczególnych, odrębnych osób. Odkryłem, że to samo dotyczy wszystkich aktorów i tancerzy, prócz tych o kiepskim wzroku, dla których widownia stanowi jedną rozmazaną plamę. Ja jednak wzrok mam dobry, mimo szkieł kontaktowych.

– Widziałeś tego wążacza w trzecim rzędzie? – mawialiśmy za kulisami. – Strasznie pożądliwie wpatruje się w Minou.

A Minou odpowiadała:

– A, tak. Natomiast kobiecie przy przejściu, tej, która wygląda jak niemiecka kanclerz, same zamykają się oczy.

Jeśli choć jedna osoba na sali zasypia, bywa, że tracimy całą widownię. Toteż przez resztę wieczoru graliśmy, zwracając się specjalnie ku kobiecie w średnim wieku, toczącej walkę z sennością.

Za drugim razem, kiedy stanęłaś koło mnie, byłaś tak blisko, że czułem zapach twojego szamponu. Pachniał kwiatami i owocami. Wyobrażam sobie Amerykę jako cały kontynent pełen kobiet pachnących kwiatami i owocami. Rozmawiałaś z młodym mężczyzną z uniwersytetu. Uskarżałaś się na problemy, jakie nasz język sprawia Amerykanom.

– Rozumiem, skąd rodzaje u mężczyzn i kobiet – mówiłaś. – Ale co sprawia, że fotel jest rodzaju męskiego, a sroka żeńskiego? Dlaczego rzeźba ma żeńską końcówkę?

W tym momencie twój towarzysz roześmiał się i wskazał na mnie. Ale naprawdę, jeśli ktoś jedynie przechodzi przez rynek, nie ma pojęcia czym jestem. Moja szata wygląda jak stary marmur poplamiony wodą, zwiertzały, pokryty porostami. Skóra przypomina granit. Póki się nie poruszę, równie dobrze mógłbym być zrobiony z kamienia i starego brązu, a nie ruszam się, jeśli nie zechcę. Po prostu stoję.

Niektórzy bardzo długo czekają na rynku, nawet w deszczu, chcąc zobaczyć co zrobię. Źle się czują, nie wiedząc, po prostu muszą się upewnić, że jestem prawdziwy, nie udaję. To niepewność zatrzymuje ludzi niczym mysz w pułapce.

Chyba jednak za dużo piszę o sobie. Wiem, że to mój pierwszy list, nie tylko miłosny, ale też inicjujący znajomość. Powinienem napisać coś o tobie. O twoim uśmiechu. Twoich oczach, jakże zielonych. (Nie znasz prawdziwej barwy moich oczu. Powiem ci. Są piwne). Lubisz muzykę klasyczną, ale masz też w swoim iPodzie nano Abbe i Kida Loco. Nie używasz perfum. Większość twojej bielizny jest sprana i wygodna, choć masz też komplet z czerwonej koronki, stanik i majteczki, które wkładasz na wyjątkowe okazje.

Ludzie patrzą na mnie na rynku, lecz ich wzrok przyciąga jedynie ruch. Nauczyłem się zatem poruszać tak lekko, tak delikatnie, że przechodzień sam nie potrafi orzec, czy coś zobaczył, czy nie. Rozumiesz? Zbyt często ludzie nie dostrzegają tego, co się nie rusza. Oczy to widzą, ale umysł nie i odrzuca tę wiedzę. Mam ludzkie kształty, ale nie jestem człowiekiem. Żeby zatem mnie zobaczyli, spojrzeli na mnie, by ich wzrok nie powędrował dalej, muszę wykonywać drobniutkie ruchy, by ściągnąć na siebie spojrzenia. Wtedy i tylko wtedy zaczynają mnie widzieć. Choć nie zawsze wiedzą, co zobaczyli.

Myślę o tobie jako o szyfrze, który muszę złamać, o zagadce czekającej na rozwiązanie. Układance, którą muszę złożyć w jedną całość. Wędruję przez twoje życie i stoję bez ruchu na

skraju własnego. Moje gesty – posągowe, precyzyjne – zbyt często bywają błędnie interpretowane. Pragnę cię. W to nie wątpię.

Wiem, że masz młodszą siostrę. Ma konta na MySpace i Facebooku. Czasami rozmawiamy przez komunikator. Ludzie zbyt często zakładają, że średniowieczny posąg istnieje jedynie w piętnastym wieku. To nieprawda: mam własny pokój i laptopa. Mój komputer jest chroniony hasłem. Uprawiam bezpieczne surfowanie. Twoje hasło to twoje imię. To niebezpieczne. Każdy mógłby odczytać twoją pocztę, obejrzyć zdjęcia, z historii przeglądarki wydedukować zainteresowania. Zwłaszcza ktoś ciekawski, gotów poświęcić niezliczone godziny na odtwarzanie złożonej budowli twojego życia, na przykład dopasowując twarze ludzi na zdjęciach do imion w mailach. Nietrudno byłoby zrekonstruować życie z komputera albo wiadomości w komórce. Przypominałoby to trochę rozwiązywanie krzyżówki.

Pamiętam, kiedy w końcu pozwoliłem sobie uwierzyć, że często patrzysz na mnie i tylko na mnie w drodze przez rynek. Przystawałaś. Podziwiałaś mnie. Raz zobaczyłaś, jak ruszam się dla dziecka, i powiedziałaś towarzyszącej ci kobiecie, dość głośno, bym usłyszał, że mógłbym być prawdziwą rzeźbą. Uważam to za największy komplement. Oczywiście opanowałem wiele różnych stylów ruchu – mogę poruszać się jak maszyna, drobną serią szarpnięć i zatrzymań. Umiem ruszać się jak robot czy automat. Albo jak posąg, który ożył po setkach lat trwania w kamieniu.

Wiele razy słyszałem, jak mówisz o pięknie tego niewielkiego miasta. O tym, jak stojąc w plamie światła przenikającego przez kościelny witraż, czułaś się jak uwięziona wewnątrz kalejdoskopu klejnotów. Jakbyś znalazła się w jądrze gwiazdy. Poza tym martwi cię choroba matki.

Na studiach dorabiałaś jako kucharka i twoje opuszki pokrywają blizny pozostałe po tysiącach drobnych skaleczeń.

Kocham cię, i to miłość każe mi dowiedzieć się o tobie wszystkiego. Im więcej wiem, tym bliższy cię jestem. Wybierałaś się do mojego kraju z chłopakiem, ale złamał ci serce. A jednak przyjechałaś, żeby zrobić mu na złość, i wciąż się uśmiechałaś. Zamykam oczy i widzę twój uśmiech. Zamykam oczy i widzę, jak maszerujesz przez rynek pośród stad gołębi. Kobiety w tym kraju nie maszerują. Poruszają się niepewnie, nieśmiało, chyba że są tancerkami. A kiedy śpisz, trzepoczą ci rzęsy. Widzę, jak tulisz policzek do poduszki. Jak śnisz.

Ja śnię o smokach. Kiedy byłem mały, w domu powiedzieli mi, że pod starym miastem żyje smok. Wyobraziłem sobie, jak zwija się pod budynkami, niczym czarny dym, wypełniający szczeliny między piwnicami, bezcielesny, a jednak wciąż obecny. Tak właśnie myślę o smoku, a teraz i o przeszłości. To czarny smok, utkany z dymu. Kiedy gram, smok mnie pożera i staje się częścią przeszłości. Naprawdę mam wtedy siedemset lat. Królowie przychodzą i odchodzą. Armie przybywają i asymilują się albo powracają do domu, pozostawiając po sobie zburzone budynki, wdowy i bękarty. Lecz rzeźby trwają, podobnie jak smok z dymu i przeszłość.

Mówię tak, choć rzeźba, którą naśladuję, wcale nie pochodzi z tego miasta. Stoi przed kościołem w południowych Włoszech. Miejscowi uważają, że przedstawia siostrę Jana Chrzyciela albo może miejscowego władcę, który podarował ją kościołowi, by uczcić fakt, że nie umarł na dżumę, czy też anioła śmierci.

Wyobrażałem sobie, że jesteś czysta, o ukochana, czysta i cnotliwa. Lecz raz odkryłem czerwone koronkowe majteczki, wciśnięte na samo dno kosza z brudną bielizną. Po bliższym przyjrzeniu upewniłem się, że poprzedniego wieczoru bez cienia wątpliwości oddałaś się

rozpuście. Jedynie ty wiesz z kim, bo nie wspominałaś o tym incydencie w listach do domu ani w sieciowym dzienniku.

Pewnego razu mała dziewczynka spojrzała na mnie i odwróciła się do matki.

– Czemu jest taka nieszczęśliwa? – spytała.

Oczywiście tłumaczę to na twój język (dziewczynka mówiła o mnie jako o rzeźbie, stąd żeńska końcówka).

– Dlaczego uważasz, że jest nieszczęśliwa?

– Inaczej czemu ludzie mieliby zamieniać się w posągi?

Jej matka uśmiechnęła się.

– Może jest nieszczęśliwie zakochana – podsunęła.

Nie byłem nieszczęśliwie zakochany, jedynie gotów czekać na właściwy moment, a to zupełnie co innego.

Mam czas. Zawsze jest czas – to dar, jaki otrzymałem, gdy zacząłem udawać rzeźbę. Powinienem dodać: jeden z darów.

Czasami przechodziłaś koło mnie, unosiłaś wzrok i uśmiechałaś się, a czasem mijałaś mnie, ledwie zerkając, jakbym był zwykłym przedmiotem. To naprawdę niezwykle, jak niewielką uwagę przykładają ludzie do czegoś, co trwa w bezruchu. Budziłaś się nocą, wstawałaś, szłaś do swej małej łazienki, oddawałaś mocz, wracałaś do łóżka i zasypiałaś błogo. Nie dostrzegłabyś czegoś, co pozostawałoby idealnie nieruchome, prawda? Czegoś pośród cieni?

Gdybym mógł, sporządziłbym papier na ten list z mojego własnego ciała. Zastanawiałem się, czy nie zmieszać atramentu z krwią bądź śliną, ale nie. Istnieje coś takiego jak przesada, choć z drugiej strony, wielka miłość wymaga wielkich gestów, nieprawdaż? A ja nie przywykłem do wielkich gestów. Lepiej znam się na tych drobnych. Kiedyś wystraszyłem małego chłopca tak bardzo, że aż krzyknął, po prostu uśmiechając się do niego w chwili, gdy w końcu uwierzył, że jestem z marmuru. To najdrobniejszych gestów nigdy się nie zapomina.

Kocham cię, potrzebuję, pragnę. Jestem twój, a ty moja. Proszę. Właśnie wyznałem ci miłość.

Mam nadzieję, że wkrótce poznasz ją sama. A wówczas już nigdy się nie rozstaniemy. Za chwilę nadejdzie pora, by się odwrócić, odłożyć list. W tej chwili jestem z tobą w starym mieszkaniu z irańskimi kobiercami na ścianach.

Zbyt wiele razy mnie mijałaś.

Koniec.

Jestem tu z tobą. Jestem tu teraz.

Kiedy odłożysz ten list. Kiedy odwrócisz się i spojrzysz na drugą stronę pokoju, oczami pełnymi ulgi, radości czy nawet zgrozy...

Wówczas się poruszę. Tylko odrobinę. I w końcu mnie zobaczysz.

Przestrzegać formalności

Jak wiecie, nie zaproszono mnie na chrzciny. Pogódź się z tym, powiadacie.
Ale to dzięki drobnym formalnościom i tradycjom kręci się ten świat.
Każda z moich dwunastu sióstr otrzymała zaproszenie, wygrawerowane i dostarczone
Przez lokaja. Pomyślałam, że może mój lokaj gdzieś się zgubił.

Nie dociera do mnie zbyt wiele zaproszeń. Ludzie nie zostawiają już kart wizytowych.
A nawet jeśli to robią, odpowiadam, że byłam poza domem
I opłakiwałam upadek manier u młodszych pokoleń.
Jedzą z otwartymi ustami. Przerywają innym.

Maniery to podstawa, podobnie formalności. Kiedy je tracimy,
Tracimy wszystko. Bez nich równie dobrze moglibyśmy nie żyć.
Nudne stworzenia, do niczego się nie nadają. Młodzi powinni poznać jakiś fach, rąbać albo
prząść,
Powinni znać swoje miejsca i się ich trzymać. Nie odzywać się niepytani. Siedzieć cicho.

Moja najmłodsza siostra nieodmiennie się spóźnia i przerywa innym. Ja sama jestem bardzo
punktualna.
Powiedziała jej, że kto późno przychodzi, ten sam sobie szkodzi. Tak mówiłam,
W czasach, gdy jeszcze rozmawiałyśmy, kiedy wciąż mnie słuchała. Zaśmiała się.
Można by bronić tezy, że nie powinnam zjawiać się nieproszona.

Ale ludziom należy się nauczka. Bez niej niczego się nie uczą.
Ludzie to sny, niezręczność i gapiostwo. Kłują się w palce,
Krwawią, chrapią i się ślinią. Grzeczność jest cichutka jak grób,
Niewzruszona, róże bez cierni. Albo białe lilie. Ludzie muszą się nauczyć.

Moja siostra oczywiście się spóźniła. Punktualność jest grzecznością księżniczek,
Podobnie jak zapraszanie na chrzciny wszystkich potencjalnych matek chrzestnych.
Mówili, że sądzili, iż nie żyję. Może faktycznie nie żyję. Już nie pamiętam,
Ale mimo wszystko należy przestrzegać formalności.

Dzięki mnie czekałaby ją uporządkowana, grzeczna przyszłość.

Osiemnaście to dość dużo. W zupełności wystarczy.

Potem życie staje się zbyt skomplikowane. Miłość i cierpienie to sprawy wielce nieporządne.
Chrzcziny są uroczystością głośną, hałaśliwą. I nader drażliwą,
Zupełnie jak śluby. Zaproszenia giną. Kłócimy się o pierwszeństwo i o dary.

Na pogrzeb by mnie zaprosili.

Śpiąca i wrzeczono

Było to królestwo leżące najbliżej państwa królowej, przynajmniej mierząc lotem ptaka, lecz nawet ptaki tam nie latały. Wysokie pasmo gór, wyznaczające granicę pomiędzy dwoma królestwami, zniechęcało je tak samo jak ludzi i powszechnie uważano ów łańcuch za nieprzebyty.

Wielu przedsiębiorczych kupców po obu stronach gór wynajmowało awanturników, zlecając im poszukiwanie przełęczy, która, gdyby faktycznie istniała, zapewniłaby kontrolującemu ją mężczyźnie lub kobiecie ogromny majątek. Jedwabie z Dorimaru mogłyby w ciągu kilku tygodni, najwyżej miesięcy, nie w ciągu lat, trafić do Kanselaire. Ale żadna przełęcz nie istniała, toteż choć oba królestwa miały wspólną granicę, nikt nie podróżował z jednego do drugiego.

Nawet krasnoludki, choć twarde, odporne i zbudowane w równym stopniu z krwi i kości, jak i z magii, nie potrafiły przepawić się przez góry.

Nie był to jednak dla nich żaden problem. Nie przechodziły przez góry. Podróżowały pod nimi.

* * *

Trzy krasnoludki pospołu podróżowały chyżo ciemnymi ścieżkami pod górami.

– Szybciej! Szybciej! – rzucał maszerujący z tyłu. – Musimy kupić jej najwspanialsze jedwabie z Dorimaru. Jeśli się nie pośpieszymy, mogą je sprzedać, a wówczas będziemy musieli się zadowolić tkaniną drugiej jakości.

– Wiemy! Wiemy! – odparł krasnal z przodu. – I kupimy też skrzynkę, w której zaniesiemy z powrotem materiał, by pozostał idealnie czysty, nietknięty kurzem.

Krasnoludek maszerujący pośrodku unosił wysoko kamień, nie upuszczając go ani nie gubiąc, i koncentrował się wyłącznie na tym. To był rubin, wyciosany prosto ze skały, wielkości kurzego jaja. Po oszlifowaniu i oprawieniu można by zań kupić królestwo, teteż bez trudu zdolają go wymienić na najlepsze jedwabie z Dorimaru.

Krasnoludkom nie przyszloby do głowy, by dać swej młodej królowej coś, co same wykopały z ziemi. To było zbyt łatwe, zbyt rutynowe. Dopiero odległość sprawiała, że dar nabierał magicznego uroku. Tak przynajmniej uważały.

* * *

Tego ranka królowa obudziła się bardzo wcześnie.

– Za tydzień od dziś – powiedziała głośno. – Za tydzień od dziś będę zamężna.

Wydawało się to jednocześnie nieprawdopodobne i niezwykle ostateczne. Zastanawiała się, jakie to uczucie, być zamężną kobietą. Uznała w końcu, iż będzie to oznaczać kres jej życia, jeśli życie jest okresem wyborów. Za tydzień od dziś nie będzie miała wyboru. Będzie rządzić swym ludem. Rodzić dzieci. Może umrze w połogu, może jako stara kobieta, albo w bitwie. Ale droga wiodąca ku jej śmierci pozostanie nieunikniona, wyznaczona każdym uderzeniem serca.

Słyszała cieśli pracujących na łące pod zamkiem: budowali trybuny, które pozwolą jej ludowi oglądać ceremonię zaślubin. Każde stuknięcie młotka brzmiało niczym głuche uderzenie wielkiego serca.

* * *

Trzy krasnoludki wygramoliły się z dziury w stromej rzecznej skarpie i wspięły na łąkę – jeden, drugi, trzeci. Wdrapały się na szczyt granitowej skały, przeciągnęły, zaczęły wymachiwać nogami, podskakiwać i znów się przeciągać. Potem puściły się biegiem na północ, w stronę skupiska niskich budynków tworzących wioskę Giff, a w szczególności w stronę tamtejszej gospody.

Karczmarz był ich przyjacielem – jak zawsze przyniosły mu butelkę kanselairskiego wina, ciemnoczerwonego, słodkiego i mocnego, zupełnie niepodobnego do ostrych, jasnych win z tych okolic. On je nakarmi, doradzi i pośle w dalszą drogę.

Karczmarza o piersi wielkiej jak jego beczki, a głowie kudłatej i rudej niczym lisi ogon, znaleźli przy barze. Był wczesny ranek. Podczas poprzednich wizyt krasnoludków o tej porze dnia w gospodzie panowały pustki, dziś jednak musiało się tam zebrać ze trzydzieści osób i żadna nie miała radosnej miny.

Krasnoludki, spodziewające się ujrzeć pustą salę, poczuły na sobie wzrok wszystkich zebranych.

– Mości Foxen – pozdrowił karczmarza najwyższy z nich.

– Chłopcy – odparł karczmarz, który sądził, że krasnoludki to zaledwie młodziki, mimo że każdy z nich był cztery, może pięć razy starszy od niego. – Wiem, że podróżujecie górkami przełęczami. Musimy stąd uciec.

– Co się dzieje? – spytał najniższy krasnoludek.

– Sen! – odparł pijus spod okna.

– Pomór! – rzuciła kobieta w bogatej sukni.

– Katakлизм! – wykrzyknął druciarz, pobrzękując do wtóru garnkami. – Nadciąga katastrofa!

– Podróżujemy do stolicy – wyjaśnił najwyższy krasnoludek, nie roślejszy od dziecka i pozbawiony brody. – Czy w stolicy wybuchła zaraza?

– To nie zaraza – odparł pijus spod okna. Miał długą siwą brodę z żółtymi plamami po piwie i winie. – Mówię wam, to sen.

– Jak sen może być zarazą? – zdumiał się najniższy krasnal, także bez brody.

– Czarownica! – odparł pijus.

– Zła wróżka – poprawił jegomość o tłustej twarzy.

– Z tego, co słyszałam, była czarodziejką – wtrąciła pomywaczka.

– Kimkolwiek była – uciął pijus – nie zaproszono jej na uroczystość z okazji narodzin.

– To wszystko bzdury – wtrącił druciarz. – Nieważne, czy dostałaby zaproszenie na

uroczystość nadania imienia, czy też nie, i tak przeklełaby księżniczkę. To jedna z leśnych wiedźm, które tysiące lat temu przepędzono z miast, i to bardzo wredna. Przekleła małą tuż po narodzinach, mówiąc, że w dniu swych osiemnastych urodzin dziewczyna ukłuje się w palec i zaśnie na zawsze.

Jegomość o tłustej twarzy otarł czoło. Pocił się, choć w gospodzie nie było wcale gorąco.

– Z tego, co ja słyszałem, miała umrzeć, ale inna wróżka, tym razem dobra, zamieniła magiczny wyrok śmierci na sen. Magiczny sen.

– No i tak – podjął pijus. – Dziewczyna ukłuła się w palec nie wiadomo czym, a potem zasnęła. A inni ludzie w zamku – władca i władczyni, rzeźnik, piekarz, mleczarka, damy dworu – wszyscy zasnęli tak jak ona, nikt z nich nie postarzał się nawet o dzień odkąd zamknęli oczy.

– I były też róże – dodała pomywaczka. – Róże, które wyrosły wokół zamku, coraz gęściej i gęściej, aż w końcu nie dało się przez nie przejść. To było jakieś sto lat temu, prawda?

– Sześćdziesiąt. Może osiemdziesiąt – poprawiła kobieta, która dotąd się nie odzywała. – Wiem, bo moja ciotka Letitia pamiętała to z czasów, kiedy była mała, a miała najwyżej siedemdziesiątkę, kiedy zmarła na czerwonkę. W Święto Plonów od tego dnia minie ledwie pięć lat.

– ...I dzielni mężowie – ciągnęła pomywaczka. – O tak, a także dzielne niewiasty, wszyscy próbowali przebyć puszcę Acaire, dotrzeć do stojącego w jej sercu zamku, obudzić księżniczkę, a tym samym wszystkich śpiących. Lecz każdy z tych bohaterów stracił życie w lesie, zamordowany przez bandytów albo nadziany na ciernie róż okalających zamek.

– Obudzić? Jak? – spytał średni krasnoludek, wciąż ściskając w dłoni drogocenny kamień, bo zawsze skupiał się na rzeczach najważniejszych.

– Zwykłym sposobem. – Pomywaczka zarumieniła się. – Tak przynajmniej głoszą opowieści.

– Jasne – wtrącił najwyższy krasnal. – Czyli co, chlusnąc jej w twarz miską zimnej wody i krzyknąc „Pobudka, pobudka!”?

– Pocałunkiem – odparł pijus. – Ale nikt nigdy nie dotarł tak blisko. Próbują od ponad sześćdziesięciu lat. Mówią, że czarownica...

– Wróżka – poprawił tłusciuch.

– Czarodziejka – rzekła z naciskiem pomywaczka.

– Nieważne – uciął pijus. – Wciąż tam jest. Tak powiadają. Jeśli ktoś dotrze blisko. Jeśli przedrze się przez róże, będzie na niego czekać. Jest stara jak wzgórze, zła jak żmija, to zło, magia i śmierć.

Najniższy krasnoludek przekrzywił głowę.

– Czyli mamy śpiącą kobietę w zamku i może czarownicę albo wróżkę, która jej pilnuje. Skąd więc zaraza?

– W ciągu ostatniego roku – zaczął wyjaśniać jegomość o tłustej twarzy – najpierw na południu, za stolicą. Pierwszy raz usłyszałem o tym od podróżnych przybywających ze Stede, na północ od puszczy Acaire.

– Ludzie w miastach zaczęli zasypiać – wtrąciła pomywaczka.

– Mnóstwo ludzi zasypia – zauważył najwyższy krasnoludek.

Krasnoludki rzadko sypiają: najwyżej dwa razy do roku, za każdym razem przesywiają kilka tygodni. On sam spał dość długo w czasie swego długiego życia, by nie uważać snu za cokolwiek wyjątkowego ani ciekawego.

– Zasypiali niezależnie od tego, co robili, i już się nie budzili – wyjaśnił pijus. – Spójrz na nas,

uciekliśmy z miast aż tutaj. Zostawiliśmy braci i siostry, żony i dzieci, śpiących teraz w domach, oborach i przy warsztatach. My wszyscy.

– Rozszerza się coraz szybciej i szybciej – dodała chuda rudowłosa niewiasta, która dotąd milczała. – Teraz pokonuje milę, może dwie dziennie.

– Jutro dotrze tutaj. – Pijus opróżnił swój kufel i gestem polecił karczmarzowi znów go napęlić. – Nie mamy już dokąd przed tym uciec, jutro wszystko tu zaśnie. Niektórzy z nas postanowili poszukać ucieczki w pijaństwie, nim zmorzy nas sen.

– Ale czego się bać we śnie? – spytał najniższy krasnoludek. – To tylko sen. Wszyscy go znamy.

– Idźcie zobaczcie – zaproponował pijus. Uniósł głowę i wypił z kufla tyle ile zdołał, potem spojrział na nich mętnymi oczami, jakby dziwił się, że wciąż tu są. – No dalej, ruszajcie. Idźcie, zobaczcie sami. – Przełknął resztę trunku i położył głowę na stole.

Krasnoludki poszły i zobaczyły.

* * *

– Śpią? – spytała królowa. – Wyjaśnijcie. Jak to, śpią?

Krasnoludek stał na stole, by móc jej patrzeć prosto w oczy.

– Śpią – powtórzył. – Czasami skuleni na ziemi. Czasem na stojąco. Śpią w swoich kuźniach, z szydlami w dłoniach, podczas dojenia krów. Zwierzęta śpią na polach. Ptaki także spały, widzieliśmy je na drzewach bądź martwe połamane na polach, w miejscach, gdzie spadły z nieba.

Królowa miała na sobie suknię ślubną bielszą niż śnieg, wokół niej krzątały się i uwijały dwórki, druhny, szwaczki i modystki.

– A dlaczego wasza trójka też nie zasnęła?

Krasnal wzruszył ramionami. Miał rdzawobrazową brodę, która królowej zawsze kojarzyła się z rozłozszonym jeżem, uczepionym dolnej części twarzy.

– Krasnoludki to istoty magiczne. Ten sen także jest magiczny. Ale poczułem senność.

– A potem?

Była królową i wypytywała go, jakby nikt ich nie słuchał. Dwórki zaczęły zdejmować z niej suknię, zabrały ją, złożyły i zapakowały, by dało się przyszyć ostatnie koronki i wstążki, żeby wyglądała idealnie.

Jutro miał się odbyć ślub królowej. Wszystko musiało być idealne.

– Kiedy wróciliśmy do gospody Foxena, wszyscy już spali, każdy mąż i niewiasta. Strefa snu rozszerza się o kilka mil dziennie.

Góry oddzielające obie krainy były niewiarygodnie wysokie, ale bynajmniej nie szerokie. Królowa umiała liczyć. Z niezwykle poważną miną odgarnęła jasną dłońią kruczocharne loki.

– Jak zatem sądzisz? – spytała krasnoludka. – Gdybym się tam udała, czy i ja zasnęłabym jak oni?

Nieświadomie podrapał się po tyłku.

– Przespałaś rok – odparł. – A potem znów się obudziłaś, bez żadnej szkody. Jeśli ktokolwiek z dużych może pozostać przytomny, to właśnie ty.

Na zewnątrz mieszczanie rozwieszali proporce na ulicach i ozdabiali drzwi i okna białymi kwiatami. Polerowano srebra, protestujące dzieci wciskano siłą do wanien pełnych letniej wody

(najstarsze dziecko zawsze lądowało jako pierwsze, w najgorętszej, najczystszej wodzie), a potem szorowano szorstkimi flanelowymi myjkami, póki ich otarte buzie nie poczerwieniały. Potem znów zanurzano je w wodzie i myto też skórę za uszami.

– Lękam się – rzekła królowa – że jutro nie dojdzie do ślubu.

Zażądała mapy królestwa, zidentyfikowała wioski najbliżej gór, wyprawiła posłańców, by polecili mieszkańcom ewakuować się pod karą niezadowolenia władczyni.

Następnie wezwała premiera i oznajmiła, że pod jej nieobecność będzie kierował królestwem i że powinien dołożyć wszelkich starań, by go nie stracić ani nie zniszczyć.

Wezwała narzeczonego i poinformowała, żeby nie brał tego do siebie i że nadal wezmą ślub, choć jest tylko księciem, a ona już królową. Potem połaskotała go pod uroczą brodą i pocałowała, aż w końcu się uśmiechnął.

Kazała sobie przynieść kolczugę.

Kazała przynieść miecz.

Zażądała zapasów i konia, a potem wyjechała z pałacu, kierując się na wschód.

* * *

Po całym dniu jazdy ujrzała widmowe i odległe kształty gór tworzących granicę jej królestwa. Rysowały się niczym chmury na tle nieba.

Krasnoludki już na nią czekały w ostatniej gospodzie u podnóża gór. Poprowadziły ją daleko w głąb tuneli, trasą, którą tylko one podróżują. Mieszkała z nimi, gdy była zaledwie dzieckiem, więc się nie bała. Podczas wędrówki głębokimi tunelami krasnoludki nie odzywały się do niej, od czasu do czasu rzucały tylko „Uwaga na głowę”.

* * *

– Czy zauważyliście – zagadnął najniższy z krasnoludków – coś niezwykłego?

Krasnoludki miały imiona, ale nie wolno im było zdradzać ich ludziom, traktowano je bowiem jak uświęcone.

Królowa też miała imię, lecz w dzisiejszych czasach ludzie nazywali ją wyłącznie Jej Wysokością. W tej historii panuje wyraźny niedostatek imion.

– Bardzo wiele niezwykłych rzeczy – odparł najwyższy z krasnoludków.

Znajdowali się w gospodzie mości Foxena.

– A to, że nawet pośród śpiących jest coś, co nie śpi?

– Ja nie – rzekł średni, drapiąc się po brodzie. – Bo każde z nich leży dokładnie tak, jak je zostawiliśmy, z opuszczoną głową, drzemiąc, ledwie oddycha dość mocno, by poruszyć oplatające ich pajęczyny.

– Tkacze pajęczyn nie śpią – wyjaśnił najwyższy krasnoludek.

I rzeczywiście: pracowite pająki snuły swe nici od palca do twarzy, od brody do stołu. W głębokim dekolcie pomywaczki widniała skromna pajęczyna. Większa i grubsza oplatała siwą brodę pijusa. Sieci kołysały się i podskakiwały poruszane prądami powietrza z otwartych drzwi.

– Zastanawiam się – rzekł jeden z krasnoludków – czy w końcu umrą z głodu, czy też istnieje magiczne źródło energii, która pozwala im spać bardzo długo.

– Zakładam to drugie – rzekła królowa. – Skoro, jak mówiliście, pierwotne zaklęcie rzuciła czarownica siedemdziesiąt lat temu, a obecni przy tym śpią do dziś niczym Rudobrody pod swym wzgórzem, najwyraźniej nikt z nich nie zestarzał się ani nie umarł z głodu.

Krasnoludki pokiwały głowami.

– Jesteś bardzo mądra – rzucił jeden z nich. – Zawsze byłaś mądra.

Królowa wydała z siebie odgłos zdumienia i zgrozy.

– Ten człowiek – wskazała ręką – spojrzał na mnie.

To był jegomość o tłustej twarzy. Poruszał się powoli, rozdzierając pajęczyny, i odwrócił głowę, tak że spoglądał wprost na nią. Patrzył, owszem, ale nie uniósł powiek.

– Ludzie poruszają się we śnie – zauważył najniższy z krasnoludków.

– Owszem – przyznała królowa – w istocie. Ale nie w ten sposób. To było zbyt powolne, zbyt świadome, rozmyślne.

– Może to sobie wyobraziłaś – podsunął krasnoludek.

Głowy reszty śpiących poruszyły się powoli, świadomie, jakby z rozmysłem. Teraz każda z twarzy zwracała się ku królowej.

– Nie wyobraziłaś sobie – dodał ten sam krasnoludek. To on miał rudobrazową brodę. – Ale patrzą na ciebie tylko zamkniętymi oczami. To nie takie złe.

Wargi śpiących poruszyły się jednocześnie, z ust nie dobył się żaden głos, jedynie szmer oddechu.

– Czy oni powiedzieli to, co wydaje mi się, że powiedzieli? – spytał najniższy krasnoludek.

– Powiedzieli „Mamo. Dziś są moje urodziny” – odparła królowa i zadrżała.

* * *

Nie jechali konno. Konie, które mijali, spały na polach i nie dało się ich ocucić.

Królowa maszerowała szybko. Krasnoludki – dwakroć szybciej, by dotrzymać jej kroku.

Królowa odkryła, że ziewa.

– Schył się ku mnie – polecił najwyższy krasnoludek. Kiedy tak właśnie uczyniła, kilka razy uderzył ją w twarz. – Lepiej, żebyś nie zasypiała – dodał wesoło.

– Tylko ziewnęłam – zaprotestowała królowa.

– Jak myślisz, daleko jeszcze do zamku? – spytał najniższy krasnoludek.

– Jeśli dobrze pamiętam opowieści i mapy – odparła – puszcza Acaire leży jakieś siedemdziesiąt mil stąd. Trzy dni marszu. – A potem dodała: – Dziś w nocy będę musiała się przespać. Nie mogę maszerować przez trzy dni bez snu.

– A zatem śpij – rzekły krasnoludki. – Obudzimy cię o wschodzie słońca.

Tej nocy zasnęła w stogu siana na łące, otoczona krasnoludkami, zastanawiając się, czy się obudzi, by ujrzeć kolejny poranek.

* * *

Zamek w puszczy Acaire był szarą, przysadzistą budowlą, porośniętą pnącymi różami. Opadały aż do fosy i oplatały najwyższą wieżę. Co roku róże się rozrastały. Z tych najbliższych kamiennych murów zamku pozostały jedynie martwe brązowe pędy i łodygi, najeżone starymi cierniami ostrymi jak noże. Piętnaście stóp dalej rośliny zieleniły się, kwitły i rosły gęsto. Pnące

róże, żywe i martwe, tworzyły brązowy szkielet pokryty kolorem, który zamazywał ostre krawędzie szarej twierdzy.

Drzewa w puszczy Acaire tłoczyły się blisko siebie, przy ziemi zalegała ciemność. Sto lat wcześniej był to las tylko z nazwy: miejsce polowań, królewski park pełen jeleni, dzików i niezliczonych ptaków. Teraz zamienił się w gęsty gąszcz, a stare ścieżki wiodące przez las zarosły i zostały zapomniane.

* * *

Jasnowłosa dziewczyna w najwyższej wieży spała.

Wszyscy ludzie w zamku spali. Każdy z nich spał głęboko – prócz jednej osoby.

Włosy starej kobiety były szare, przetykane bielą i tak rzadkie, że prześwitywała przez nie skóra głowy. Kuśtykała gniewnie przez zamek, wsparta na lasce, jakby napędzała ją wyłącznie nienawiść. Po drodze trzaskała drzwiami, gadając do siebie.

– Po zakichanych schodach obok zakichanego kucharza. I co niby teraz gotujesz, co, wielki tłusty zadku? Masz w rondlach tylko kurz i kurz, a sam wyłącznie chrapiesz.

W kuchennym ogrodzie, starannie utrzymanym, stara kobieta zebrała rukolę i rozspankę, wyrwała też z ziemi dużą rzepę.

Osiemdziesiąt lat wcześniej w pałacu hodowano pięćset kur, w gołębniku mieszkały setki tłustych białych synogarlic. Po zielonym kwadratowym trawniku wewnątrz murów kicały króliki, błyskając białymi ogonami, a w fosie i stawie roilo się od ryb: karpi, pstrągów i szczupaków. Teraz zostały tylko trzy kury. Siatką wybrała z wody wszystkie śpiące ryby. Nie było już królików ani gołębi.

Pierwszego konia zabiła sześćdziesiąt lat temu. Zjadła, ile zdołała, nim mięso przybrało kolory tęczy, a truchło zaczęło śmierdzieć i roić się od much i czerwi. Teraz zarzynała większe ssaki tylko w zimie, kiedy nic niegniło i mogła odcinać i przypiekać zamrożone kawałki zwierzęcego trupa aż do roztopów.

Stara kobieta minęła śpiącą matkę z niemowlęciem drzemiącym u piersi; przechodząc, odkurzyła ich z roztargnieniem, pilnując, by zaspana buzia dziecka pozostała na sutku.

W ciszy zjadła posiłek złożony z rzepy i zieleniny.

* * *

To było pierwsze wielkie miasto, na które się natknęli. Wysokie bramy wydawały się niemożliwie grube, ale stały otworem.

Trzy krasnoludki głosowały za jego ominięciem, nie czuły się bowiem dobrze w miastach, nie ufały domom i ulicom jako rzeczom nienaturalnym. Ale podążyły za swoją królową.

Już w mieście sama liczba ludzi sprawiła, że wszyscy poczuli się niezręcznie. Mijali śpiących jeźdźców na śpiących koniach; śpiących dorożkarzy na nieruchomych powozach, w których tkwili śpiący pasażerowie; śpiące dzieci ściskające piłki, obręcze i sznurki wirujących bąków; śpiące kwiaciarki przy kramach pełnych brązowych, zgniłych, zasuszonych kwiatów; a nawet śpiących handlarzy ryb obok marmurowych stołów pokrytych szczątkami cuchnących ryb, roilo się na nich robactwo. I tylko ono było jedynym źródłem ruchu i dźwięku, na jakie natknęli się królowa i krasnoludki.

– Nie powinno nas tu być – narzekał krasnal o wścieklej brązowej brodzie.

– Ta droga jest krótsza niż jakakolwiek inna – odparła królowa. – Poza tym prowadzi do mostu i, wybierając inne, musielibyśmy przeprowiać się przez rzekę.

Królowa była osobą zrównoważoną. Wieczorem położyła się spać, rankiem ocknęła. Senna choroba jej nie dotknęła.

Wędrując przez miasto, słyszeli tylko szelest robactwa i od czasu do czasu chrapnięcia i ruchy śpiących. A potem małe dziecko śpiące na schodach odezwało się głośno i wyraźnie:

– Czy przędziesz? Mogę zobaczyć?

– Słyszeliście to? – rzuciła królowa.

– Spójrzcie – odparł jedynie najwyższy krasnoludek. – Śpiący się budzą.

Mylił się. Nie budzili się. Śpiący natomiast wstawali. Powoli dźwigali się na nogi i stawiali niepewne, niezgrabne, senne kroki, lunatykowali, ciągnąc za sobą zwiewne woale pajęczyn. Wszędzie nieodmiennie pojawiały się pajęczyny.

– Ilu ludzi, to znaczy takich zwyczajnych, mieszka w podobnym mieście? – spytał najmniejszy krasnoludek.

– Różnie – odparła królowa. – W naszym najwyżej dwadzieścia, może trzydzieści tysięcy. To jednak wydaje się większe niż nasze miasta, powiedziałabym pięćdziesiąt tysięcy. Albo więcej. Czemu?

– Ponieważ – odrzekł krasnolud – najwyraźniej wszyscy zacierają w naszą stronę.

Śpiący nie poruszają się szybko. Potykają się, chwieją, wloką jak dzieci brodzące w rzekach melasy, jak starcy o stopach ciężkich od gęstego, mokrego błota.

Śpiący kierowali się w stronę krasnoludków i królowej. Krasnoludki wyprzedzały ich z łatwością, biegnąc, a królowa przyspieszając kroku. A jednak, a jednak było ich tak wielu. Każdą kolejną ulicę wypełniali ludzie spowici w pajęczyny, wędrujący z zamkniętymi oczami bądź otwartymi i wywróconymi w głąb czaszki, tak że widać było tylko białka. A wszyscy ospale dreptali naprzód.

Królowa zawróciła i pobiegła aleją, krasnoludki popędziły za nią.

– To niehonorowe – zauważył jeden. – Powinniśmy zostać i walczyć.

– W walce z przeciwnikiem, który nie ma pojęcia, że tam jesteśmy – wydyszała królowa – nie ma niczego honorowego. Ani w walce z kimś, kto śni o łowieniu ryb, uprawianiu ogrodu albo dawno nieżyjących kochankach.

– Co by z nami zrobili, gdyby nas złapali? – spytał biegnący obok krasnoludek.

– Chcesz się przekonać? – spytała królowa.

– Nie – przyznał krasnoludek.

Biegli i biegli, nie zatrzymywali się, póki nie opuścili miasta drugą bramą i nie pokonali mostu spinającego oba brzegi rzeki.

* * *

Stara kobieta od tuzina lat nie wdrapywała się na najwyższą wieżę. To była ciężka wspinaczka, każdy krok opłacała bólem kolan i bioder. Wspinała się po kręconych schodach, stawiając drobne kroczyki, każdemu towarzyszyło przeszywające cierpienie. Nie było tu poręczy, niczego, co ułatwiłoby wspinaczkę. Czasami wspierała się na lasce, by chwilę odetchnąć, a potem szła dalej.

Laską rozgarniała też pajęczyny: gęste sieci wiszące pod sklepieniem i zasnuwające schody. Stara kobieta wymachiwała laską i rozdierała je, a pająki umykały na ściany.

Wspinaczka była długa i mozolna, w końcu jednak kobieta dotarła do pokoju na wieży.

Nie było w nim niczego oprócz wrzeciona i stołka obok okna o wielu szybkach, a także łoża pośrodku okrągłego pomieszczenia. Łoże zasłano pyszną, szkarłatno-złotą narzutą, widoczną pod warstwą kurzu, okrywającą i chroniącą przed światem śpiącą w nim osobę.

Wrzeciono leżało na ziemi obok stołka, tam gdzie upadło niemal osiemdziesiąt lat wcześniej.

Stara kobieta szturchnęła kijkiem warstwę kurzu, który wzbił się w powietrze. Długą chwilę patrzyła na śpiącą.

Włosy dziewczyny miały złocistożółty kolor polnych kwiatów, usta były różowe jak płatki róż pnących się po pałacowych ścianach. Od bardzo dawna nie oglądała światła słonecznego, lecz jej skóra pozostała kremowa, nie blada i niezdrowa.

Pierś unosiła się i opadała niemal niedostrzegalnie w półmroku.

Stara kobieta schyliła się i podniosła wrzeciono.

– Gdybym wbiła ci to wrzeciono w serce – powiedziała głośno – nie byłabyś już taka ładniutka, co? Co?

Ruszyła w stronę śpiącej dziewczyny w zakurzonej białej sukni, potem opuściła rękę.

– Nie. Nie mogę. Na wszystkich bogów, chciałabym móc to zrobić.

Z wiekiem wszystkie zmysły słabły, lecz wydało jej się, że słyszy głosy dobiegające z lasu. Dawno temu widziała, jak przybywają książęta i bohaterowie, patrzyła, jak giną nabici na różane ciernie, ale od wielu lat nikt, żaden bohater nie dotarł do zamku.

– Ech – rzuciła głośno. Często mówiła na głos, bo któż mógłby ją usłyszeć. – Nawet jeśli tu dotrą, zginą z krzykiem na przeklętych cierniach. Nic nie poradzą – nikt nic nie poradzi. Zupełnie nic.

* * *

Drwal śpiący obok pnia drzewa, na wpół zwałonego pół stulecia wcześniej, a teraz tworzącego łuk, otworzył usta, gdy królowa i krasnoludki przechodzili obok.

– Ojej! – powiedział. – Cóż to musiał być za niezwykle prezent na dzień nazwania!

Trzej bandyci śpiący pośrodku czegoś, co wyglądało na dawną ścieżkę, pokrzywieni, jakby zasnęli podczas wspinaczki na drzewo, i nie budząc się, spadli na ziemię, odezwali się chórem.

– Przyniesiesz mi różę?

Jeden z nich, rosły mężczyzna, gruby jak niedźwiedź jesienią, złapał królową za kostkę, kiedy go mijiała. Najmniejszy z krasnoludów nie wahał się ani sekundy: odrąbał dłoń swym toporem, a królowa odgięła kolejno palce mężczyzny, aż w końcu dłoń odpadła na stos liści.

– Przynieś mi różę – powiedzieli jednym głosem trzej śpiący bandyci; z kikuta ręki tłuściocha krew spływała ospale na ziemię. – Tak bardzo się ucieszę, jeśli tylko przyniesiesz mi różę.

* * *

Wyczuli zamek na długo przed tym, nim go ujrzeli: był jak fala snu, która ich odpychała. Gdy kierowali się w jego stronę, ich umysły zasnuwała mgła, tracili ducha, myśli mętniały. Kiedy się odwracali, budzili się do świata, czuli mądrzejsi, bystrzejsi, trzeźwiejsi.

Królowa i krasnoludki parli coraz głębiej w tę umysłową mgłę.

Czasami jeden z krasnoludków ziewał i potykał się, za każdym razem pozostałe brały go za rękę i prowadziły naprzód, mamrocząc i wysilając się, póki nie odzyskał trzeźwości umysłu.

Królowa nie zasypiała, choć w puszczy roilo się od ludzi, których tam być nie powinno. Maszerowali obok niej ścieżką. Czasami przemawiali do niej.

– Teraz pomówmy o tym, jak kwestie filozofii naturalnej kształtują dyplomację – powiedział jej ojciec.

– Moje siostry rządziły światem – oznajmiła macocha, powłócząc żelaznymi trzewikami na leśnej ścieżce. Jarzyły się ciemnym pomarańczowym blaskiem, lecz żaden z suchych liści nie zapłonął od ich dotknięcia. – Śmiertelnicy powstali przeciw nam, obalili nas. Toteż czekałyśmy w zakamarkach, w miejscach, w których nas nie dostrzegali. A teraz mnie wielbią. Nawet ty, moja pasierbico. Nawet ty mnie uwielbiasz.

– Jesteś taka piękna – szepnęła jej matka, która zmarła dawno temu. – Jak szkarłatna róża leżąca wśród śniegu.

Czasami obok nich biegły wilki, wyrzucając w powietrze chmury kurzu i liści z leśnego poszycia. Lecz ich przejście nie poruszało wielkich pajęczyn zasnuwających ścieżkę niczym rzędy zasłon. Czasami też wilki przenikały przez pnie drzew i odbiegały w ciemność.

Królowa lubiła wilki. Posmutniała, gdy jeden z krasnoludków zaczął krzyczeć, mówiąc, że tutejsze pająki są większe od świń, i wilki zniknęły z jej głowy i świata (to nieprawda. Pająki miały zupełnie zwyczajny rozmiar, przywykły jednak do snucia swych sieci w spokoju i tego, że nie przeszkadzają im podróży ani czas).

* * *

Most zwodzony nad fosą okazał się opuszczony. Przeszli przez niego, choć zdawało się, że wszystko ich odpycha. Nie mogli jednak wejść do zamku: bramę zarosły grube cierniste pędy i świeże łodygi pokryte różami.

Na cierniach królowa dostrzegła ludzkie szczątki: szkielety w zbrojach i bez zbroi. Niektóre wisiały wysoko na zamkowych murach i zastanawiała się, czy wspięli się tam, szukając drogi do środka, i zginęli, czy też umarli na ziemi, a róże, rosnąc, pociągnęły ich w górę?

Nie doszła do żadnego wniosku. Możliwe były oba te rozwiązania.

A potem jej świat stał się ciepły i przytulny. Gdyby tylko na parę chwil zamknęła oczy, nie stałoby się nic złego. Komu by to przeszkadzało?

– Pomóżcie mi – wychrypiała.

Krasnoludek o rdzawej brodzie zerwał z najbliższego krzaka róży cierń i wbił go mocno w kciuk królowej, po czym wyszarpnął. Na kamienne płyty przed bramą skapnęła kropla krwi.

– Au! – rzuciła królowa, a potem: – Dziękuję!

Razem, królowa i krasnoludki, przyglądali się grubej ciernistej barierze. Wyciągnęła rękę, zerwała z najbliższego kolczastego pędu kwiat i wpięła go sobie we włosy.

– Moglibyśmy zrobić podkop – zaproponował jeden z krasnoludków. – Przejść pod fosą do fundamentów i wyzej. Zabrałoby nam to ledwie parę dni.

Królowa zastanawiała się. Bolał ją kciuk i cieszyła się, że boli.

– Wszystko zaczęło się tutaj około osiemdziesięciu lat temu. Zaczęło się powoli. Dopiero od niedawna się rozszerza coraz szybciej i szybciej. Nie wiemy, czy śpiący zdołają się obudzić.

Niczego nie wiemy prócz tego, że możemy nie mieć kolejnych dwóch dni.

Oszacowała wzrokiem gąszcz cierni, żywych i martwych, dziesięciolecia suchych pnączy, których kolce po śmierci pozostały równie ostre jak za życia. Ruszyła wzdłuż muru, póki nie dotarła do szkieletu. Zerwała mu z ramion zetlałą tkaninę i, robiąc to, pomacała ją. Była sucha, owszem. Świetnie nadawała się na hubkę.

– Ma ktoś krzesiwo? – spytała.

* * *

Stare pędy płonęły bardzo szybko. Po kwadransie pomarańczowe, gorące płomienie wystrzeliły w górę. Przez moment zdawało się, że otaczają cały budynek, a potem zniknęły, pozostawiając tylko osmalony kamień. Resztki krzaków, dość silne, by przetrwać gorąco, królowa z łatwością wyrąbała mieczem, potem wspólnie odciągnęli je i wrzucili do fosy.

Czwórka podróżnych wkroczyła do zamku.

Stara kobieta wyjrzała z okna o wielu szybkach na płomienie w dole. Do środka sączył się dym, lecz ani ogień, ani róże nie sięgały do najwyższej wieży. Wiedziała, że ktoś atakuje zamek, i ukryłaby się w pokoju na wieży, gdyby w ogóle istniała jakakolwiek kryjówka. Gdyby śpiąca nie zajmowała łoża.

Zakłęta i zaczęła mozolnie schodzić na dół, stopień za stopniem. Zamierzała dotrzeć na zamkowe mury, skąd mogła podreptać na przeciwną stronę budynku, do piwnic. Tam by się ukryła. Znała cały budynek lepiej niż ktokolwiek. Poruszała się wolno, ale była sprytna i umiała czekać. Och, jak umiała czekać.

Usłyszała ich krzyki na schodach.

– Tędy!

– Tu, w górę!

– Tu jest chyba jeszcze gorzej! Chodźcie! Szybko!

Odwróciła się wtedy i ze wszelkich sił spróbowała pośpieszyć naprzód, ale jej nogi poruszały się nie szybciej niż wtedy, gdy wspinała się tędy wcześniej. Doścignęli ją, gdy dotarła na szczyt schodów, trzech mężczyzn sięgający jej do bioder, a tuż za nimi młoda kobieta w poplamionym podróżnym stroju. Nieznajoma miała najczarniejsze włosy, jakie kiedykolwiek stara kobieta oglądała.

– Złapcie ją – poleciła młoda kobieta rozkazującym tonem.

Mali ludzie zabrali jej kijek.

– Jest silniejsza niż na to wygląda – mruknął jeden z nich, w głowie wciąż dzwoniło mu od ciosu wymierzonego kijkiem, nim go jej zabrali. Zaprowadzili ją z powrotem do okrągłej komnaty na wieży.

– Ogień? – spytała stara kobieta, która od dziesięcioleci nie rozmawiała z nikim, kto mógłby odpowiedzieć. – Czy ktoś zginął w pożarze? Czy widzieliście króla bądź królową?

Młoda kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie wydaje mi się. Śpiący, których mijaliśmy, byli wszyscy w środku, a mury są grube. Kim jesteś?

Imiona. Imiona. Stara kobieta zmrużyła oczy, po czym pokręciła głową. Była sobą, a imię, z którym przysła na świat, pożarł czas i brak użycia.

– Gdzie jest księżniczka?

Stara kobieta tylko na nią patrzyła.

– I dlaczego ty nie śpisz?

Nie odpowiedziała. Przez chwilę zaczęli dyskutować między sobą z napięciem, mali ludzie i królowa.

– Czy to jest czarownica? Ma w sobie magię, ale nie sądzę, by swoją własną.

– Pilnujcie jej – poleciła królowa. – Jeśli to czarownica, ten kijek może okazać się ważny. Nie dopuszczajcie jej do niego.

– To mój kijek – wtrąciła stara kobieta. – Chyba należał do mojego ojca. Ale na nic mu się już nie przyda.

Królowa nie zwracała na nią uwagi. Podeszła do łóżka, odciągnęła jedwabną narzutę. Z pościeli spojrzała na nich ślepo twarz śpiącej.

– A zatem tu się to wszystko zaczęło – powiedział jeden z małych ludzi.

– W jej urodziny – dodał drugi.

– Cóż – rzucił trzeci. – Ktoś musi czynić honory.

– Ja to zrobię – oznajmiła łagodnie królowa.

Pochyliła głowę tuż nad śpiącą kobietą, dotknęła różowych warg własnymi karminowymi ustami i pocałowała śpiącą dziewczynę – długo i mocno.

* * *

– Zdziałało? – spytał krasnoludek.

– Nie wiem – odparła królowa. – Ale szkoda mi jej. Biedactwo. Przespała całe życie.

– Ty spałaś rok, zmożona tym samym magicznym snem – zauważył krasnoludek. – Nie głodowałaś. Nie gniłaś.

Postać na łóżku poruszyła się, jakby śniło jej się coś złego i próbowała się obudzić.

Królowa nie zwracała na nią uwagi. Zauważyła coś na podłodze obok łóżka; schyliła się i podniosła ów przedmiot.

– Natomiast to – rzekła – to cuchnie magią.

– Wszędzie tu jest magia – zauważył najmniejszy krasnoludek.

– Nie, to. – Królowa zademonstrowała drewniane wrzeciono, z dolną połową oplecioną nicią. – To cuchnie magią.

– To było tutaj, w tej komnacie – odezwała się nagle stara kobieta. – Byłam wówczas zaledwie dziewczyną, nigdy dotąd nie zapuszczałam się tak daleko, ale wspięłam się po wszystkich schodach, w kółko i w kółko, w górę, aż w końcu dotarłam do najwyższej komnaty. Zobaczyłam łóżko, to które widzicie, choć wtedy nikt w nim nie leżał, tylko stara kobieta siedziała na stołku i przędła wełnę na swym wrzecionie. Nigdy wcześniej nie widziałam takiego. Spytała, czy chciałabym spróbować, zabrała wełnę i dała mi do potrzymania wrzeciono. A potem złapała mnie za kciuk, przycisnęła go do ostrego końca, aż popłynęła krew, i dotknęła tą krwią nici. A potem powiedziała...

Przerwał jej głos. Młody, dziewczęcy, wciąż ciężki od snu.

– Powiedziałam: teraz odbiorę ci sen, dziewczyno, tak jak odbiorę ci zdolność zranienia mnie we śnie, ktoś bowiem musi pozostać na jawie, kiedy będę spać. Twoja rodzina, przyjaciele, twój świat, także zasną. A potem położyłam się na łóżku i zasnęłam, i oni także, a kiedy spali, kradłam cząstki ich życia, cząstki snów i we śnie odzyskałam swoją młodość, urodę i moc.

Spałam i robiłam się coraz silniejsza. Naprawiałam szkody wyrządzone przez czas i tworzyłam dla siebie świat pełen śpiących niewolników.

Siadała na łóżku. Wyglądała tak pięknie, tak bardzo młodo.

Kobieta spojrzała na dziewczynę i dostrzegła to, czego szukała: ten sam wyraz co w oczach jej macochy. I zrozumiała, jaką istotą była owa dziewczyna.

– Dano nam do zrozumienia – oznajmił najwyższy krasnoludek – że kiedy się obudzisz, reszta świata ocknie się wraz z tobą.

– A skądże ten pomysł? – spytała złotowłosa dziewczyna, jakże młodzieńcza i niewinna (ach, ale te oczy! Oczy miała takie stare). – Wolę, kiedy śpią. Są wówczas bardziej... ulegli. – Przez chwilę milczała, potem uśmiechnęła się. – Już w tej chwili idą po was. Wezwałam ich tutaj.

– To wysoka wieża – zauważyła królowa. – A śpiący ludzie nie poruszają się szybko. Wciąż zostało nam nieco czasu na rozmowę, wasza mroczność.

– Kim jesteś? Dlaczego miałybyśmy rozmawiać? Skąd wiedziałas, że tak należy się do mnie zwracać?

Dziewczyna zsunęła się z łóżka i przeciągnęła rozkosznie, prostując wszystkie palce, a potem przeczesując nimi złociste loki. Uśmiechnęła się i zdawało się, że w mrocznej komnacie zajaśniało słońce.

– Mali ludzie zostaną teraz tam, gdzie są. Nie lubię ich. A ty, dziewczyno. Ty też zaśniesz.

– Nie – odparła królowa.

Zważyła w dłoni wrzecziono. Oplatająca je nić była czarna ze starości i czasu.

Krasnoludki zamarły, kołysząc się, zamknęły oczy.

– Zawsze jest z wami tak samo. Potrzebujecie młodości i potrzebujecie urody. Własne zużyłyście dawno temu, teraz wyszukujecie coraz bardziej skomplikowane metody ich zdobywania. I zawsze pożądacie władzy.

Stały teraz niemal nos w nos i jasnowłosa dziewczyna wydawała się o wiele młodsza od królowej.

– Czemu po prostu nie zaśniesz? – spytała, uśmiechając się niewinnie, tak jak uśmiechała się macocha królowej, kiedy czegoś pragnęła. Ze schodów daleko w dole dobiegł hałas.

– Przespałam rok w szklanej trumnie – odparła królowa. – A kobieta, która mnie tam umieściła, była znacznie potężniejsza i niebezpieczniejsza, niż ty kiedykolwiek będziesz.

– Potężniejsza ode mnie? – Dziewczyna sprawiała wrażenie rozbawionej. – Władam milionem śpiących. Z każdą chwilą snu rosnę w siłę, a krąg śpiących rozszerza się coraz szybciej i szybciej z każdym mijającym dniem. Mam swoją młodość – tak wiele młodości! Mam swą urodę. Żadna broń mnie nie zrani. Nikt, kto żyje, nie jest potężniejszy ode mnie.

Umilkła i przyjrzała się królowej.

– Nie jesteś z naszej krwi. Ale masz nieco umiejętności. – Uśmiechnęła się uśmiechem naiwnej dziewczyny, która ocknęła się w wiosenny poranek. – Rządzenie światem nie będzie łatwe. Podobnie utrzymanie porządku wśród tych sióstr, które przetrwały aż do obecnych zdegenerowanych czasów. Będę potrzebowała kogoś, kto stanie się moimi oczami i uszami, zajmie się wymierzaniem sprawiedliwości, doglądaniem wszystkiego, gdy będę zajęta czymś innym. Pozostanę w samym sercu sieci. Nie będziesz rządzić ze mną, lecz pode mną, ale to nadal władza, i to władza nad kontynentami, nie małym królestwem.

Wyciągnęła rękę i pogładziła bladą skórę królowej, która w półmroku komnaty zdawała się niemal biała jak śnieg.

Królowa nie odpowiedziała.

– Kochaj mnie – rzekła dziewczyna. – Wszyscy będą mnie kochać, a ty, która mnie obudziłaś, musisz mnie kochać najmocniej ze wszystkich.

Królowa poczuła, jak coś porusza się w jej sercu. Przypomniała sobie wówczas swoją macochę. Jej macocha lubiła być wielbiona. Ciężko jej było nauczyć się pozostawać silną, odczuwać własne emocje, nie cudze, ale gdy raz poznało się, na czym polega ta sztuka, już się nie zapominało. Poza tym nie chciała rządzić kontynentami.

Dziewczyna uśmiechnęła się do niej oczami koloru porannego nieba.

Królowa nie odpowiedziała uśmiechem. Wyciągnęła rękę.

– Proszę – rzekła – to nie moje.

Podążyła wrzeciono stojącej obok kobiecie. Ta z namysłem zważyła je w rękach. Pokrzywionymi od artretyzmu palcami zaczęła rozwijać nić.

– To było moje życie – oznajmiła. – Wątek mojego życia.

– To było twoje życie. Oddałaś mi je – odparła z irytacją śpiąca. – I trwało już stanowczo zbyt długo.

Czubek wrzeciona pozostał ostry mimo upływu dziesięcioleci.

Stara kobieta, która kiedyś była księżniczką, ścisnęła mocno nić w dłoni i wbiła czubek wrzeciona w pierś złotowłosej dziewczyny.

Ta spojrzała na strużkę czerwonej krwi, ściekającą po piersi i plamiącą szkarłatem biel sukni.

– Żadna broń mnie nie zrani – oznajmiła nadąsanym, dziewczęcym głosem. – Już nie. Spójrz. To tylko zadrapanie.

– To nie jest broń – oznajmiła królowa, która zrozumiała, co się stało. – To twoja własna magia. I zadrapanie w zupełności wystarczy.

Krew dziewczyny wsiąkała w nić, niegdyś owiniętą wokół wrzeciona, nić zbiegającą z niego do surowej wełny w dłoni starej kobiety.

Dziewczyna spojrzała na krew plamiącą suknię, na krew na nici.

– To było tylko ukłucie – rzekła jedynie. – Nic więcej. – Sprawiała wrażenie zagubionej.

Hałas na schodach robił się coraz głośniejszy, powolne, nieregularne szuranie, jakby setki lunatyków z zamkniętymi oczami wspinały się po kręconych kamiennych schodach.

W małej komnacie nie było gdzie się ukryć: miała tylko jedno okno, wąską szczelinę w kamieniu.

Stara kobieta, która nie spała od wielu lat, a niegdyś była księżniczką, odezwała się.

– Odebrałaś mi marzenia. Odebrałaś mi sny. Dostyc tego.

Była bardzo stara, palce miała powykręcane jak korzenie głogowego krzaku, powieki nad długim nosem opadały ciężko, ale w tej chwili jej oczy wyglądały jak u kogoś młodego.

Zakołysała się, zachwiała i upadłaby na podłogę, gdyby królowa jej nie złapała.

Królowa zaniósła starą kobietę do łóża, zdumiona, jak mało waży, położyła ją na szkarłatnej narzucie. Pierś starej kobiety uniosła się i opadła.

Hałas na schodach był coraz głośniejszy. Nagle zrobiło się cicho, a potem wybuchł zgiełk, jakby setki ludzi przemawiały równocześnie, z gniewem, zdumieniem i oszołomieniem.

– Ale... – zaczęła piękna dziewczyna i teraz nie było w niej już nic dziewczęcego ani pięknego. Twarz jej się wydłużyła i straciła krągłość. Dziewczyna sięgnęła do najniższego krasnoludka, wyrwała mu zza pasa toporek. Uniosła go, wymachując groźnie, pomarszczonymi chudymi rękami.

Królowa dobyła miecza (o klindze wyszczerbionej i porysowanej od cierni), ale zamiast pchnąć, cofnęła się o krok.

– Słuchaj! Oni się budzą. Wszyscy się budzą. Powiedz mi jeszcze raz o młodości, którą im ukradłaś. Opowiedz o swojej urodzie i mocy, raz jeszcze powtórz, jaka jesteś sprytna, wasza mroczność.

Kiedy ludzie dotarli do komnaty na wieży, ujrzeni starą kobietę, śpiącą na łożu, i królową, wysoką i dumną, obok niej krasnoludki kręcące głowami i drapiące się po nich.

Na podłodze zobaczyli coś jeszcze: stosik kości, kosmyk włosów, cienkich i białych jak świeżo wysnuta pajęczyna, strzępy szarych łachmanów, a nad tym wszystkim tłusty kurz.

– Zaopiekujcie się nią. – Królowa wskazała ciemnym drewnianym wrzecionem starą kobietę na łożu. – Uratowała wam życie.

A potem odeszła z krasnoludkami. Nikt z ludzi w komnacie ani na schodach nie odważył się ich zatrzymać, nikt też nigdy nie zrozumie, co się wydarzyło.

* * *

Jakąś milę od zamku, na polanie w puszczy Acaire królowa i krasnoludki rozpalili ognisko z suchych gałązek i spalili w nim nić i wełnę. Najniższy z krasnoludków porąbał wrzeciono na kawałki czarnego drewna swoim toporem; je także spalili. Płonące drewno wydzielało cuchnący dym, od którego królowa zaczęła kaszleć. W powietrzu wisiał ciężki smród magii.

Potem pogrzebali zwęglone kawałki pod korzeniami jarzębiny.

Wieczorem znaleźli się na skraju lasu, na udeptanym trakcie. Za wzgórzem widzieli wioskę, z kominów unosił się dym.

– A zatem – zagadnął brodaty krasnoludek. – Jeśli pomaszerujemy wprost na zachód, pod koniec tygodnia dotrzemy do gór, a po dziesięciu dniach do twego pałacu w Kanselaire.

– Tak – odparła królowa.

– Ślub się opóźni, ale odbędzie się wkrótce po powrocie. Ludzie będą świętować, a w całym królestwie zapanuje bezgraniczna radość.

– Tak – powtórzyła królowa.

Dłuższą chwilę milczała, siedząc na mchu pod dębem i smakując ciszę w rytm uderzeń serca.

Istnieje wybór, pomyślała, gdy posiedziała już dostatecznie długo. Zawsze istnieje wybór.

Dokonała wyboru.

Ruszyła naprzód, krasnoludki podążyły za nią.

– Wiesz chyba, że kierujemy się na wschód, prawda? – spytał jeden z nich.

– O tak – odparła królowa.

– No to w porządku – rzekł krasnoludek.

Odeszli na wschód, cała czwórka, z dala od zachodu słońca i krain, które znali, w noc.

Czarownica

Czarownica tak stara, jak morwy pień,
W domu żyła w zegarów stu zgiełku,
Sprzedawała sztorm, smutek, spokojny dzień,
I swe życie trzymała w pudełku.

Drzewo było najstarsze ze wszystkich drzew,
Nie zna świat ten podobnej starości.
Lecz we wrześniu traw zieleń plamił sok niczym krew,
Jak namiętność, jak żar mej wściekłości.

Odmierzały zegary schwymany czas,
Grały, piałły, dzwoniły, łykały.
Minutami karmiła te młodsze, zaś
Starsze lata ze smakiem zjadały.

Kiedy gniew we mnie kipiał, sprzedała mi
Sztorm, co grzmiał wulkanami i śmiechem,
I słuchałem, jak pieśń błyskawicy grzmi,
Aż mój obłęd się stał jeno echem.

Trzy mi smutki sprzedała, spowite w len.
Pierwszy dałem dziecku mego wroga,
Drugi moja kobieta przerobiła na dżem,
Trzeci czeka, bo u nas znów zgoda.

Kiedys żony żeglarzy zapłaciły, by
Narzuciła na sztorm sznury grube,
Radowały się, lecz wnet mężowie ich
wystawili cierpliwość na próbę.

Życie skryła w pudełku jak męska dłoń
Z prochu, pyłu, a mrocznym jak serce,
Tylko czas, ból i ciszę włożyła doń,

Sama w morze patrzyła bluźniercze.

(Lecz on nigdy nie wrócił. Nie wrócił tu...)

Czarownica tak stara, jak morwy pień
W domu żyła w zegarów stu zgiełku,
Sprzedawała sztorm, smutek, spokojny dzień,
I swe życie trzymała w pudełku.

W Relig Odhráin

Gdy Kolumba święty przybył na Ione, piękną wyspę,
Wraz z nim na ląd zszedł i Oran,
Choć niektórzy powiadają,
Że zaczekał w cieniu wyspy, aż na brzeg zeskokczy święty,
Ja uważam, że przybyli razem, jak irlandzcy bracia,
Złotowłosy mąż, Kolumba, i ten drugi, ciemny Oran.

Był on *odran*, obcy, inny. Inni także tam przybyli
Na Ionie oznajmili: „Zbudujemy tu kaplicę”.
Właśnie to czynili święci. (*Oran*: kapłan słońca, ognia,
albo *odhra*, ciemnowłosy). Lecz sypała się kaplica
I Kolumba znalazł radę w sennej marze – objawieniu,
że Orana trzeba murom, jego śmierci w fundamentach.

Inni twierdzą, że to kwestia doktrynalna i że święci
Jak to krewcy Irlandczycy posprzeczaali się o Niebo.
Lecz że prawdę mrok już skrywa, pozostały tylko czyny,
(Po ich czynach ich poznanie): kazał więc Kolumba chwycić
i pogrzebać tam Orana, wciąż żywego, w twardej ziemi.

Trzy dni później powrócili, zbrojni w w szpadle i kilofy,
odkopali wnet Orana, by Kolumba mógł go objąć,
dotknąć twarzy i pożegnać. Po trzech dniach wytarli błoto,
Wtedy święty Oran mrugnął i uśmiechnął się do druha.

Umarł, ale powstał z martwych, i wymówił głosem wiatru
Słowa znane tylko zmarłym.

Mówił: w Niebie nikt nie czeka na niewinnych i na dobrych,
nie istnieje wieczna kara, nie ma Piekła dla bezbożnych,
A Bóg nie jest wcale taki...
„Cisza!”. huknął doń Kolumba,
By uchronić swoich mnichów, zepchnął błoto na Orana.

Pogrzebali go na zawsze. I nazwali owo miejsce
Saint Oran's, i na cmentarzu tym spoczęło wielu królów:
królów Szkocji i Norwegii, wszyscy legli w owej ziemi,
na Ionie, pięknej wyspie.

Są i tacy, którzy twierdzą, że to druid, kapłan słońca
Pogrzebany, spoczął w ziemi na Ionie, by ochronić
Fundamenty, ale dla mnie to za proste i znieważa
to Kolumbę (który krzyknął „Ziemi! Sypcie na Orana,
usta mu zatkajcie błotem, albo ściągnie na nas zgubę!”),
Uważają, że to zbrodnia, bo pogrzebać kazał święty
pod kaplicą też świętego.

A tymczasem Święty Oran,
ów heretyk i męczennik, wciąż kaplicy strzeże murów.
A królowie i księżęta, spoczywają na cmentarzu
i w kaplicy jego miana, bo Orana imię noszą.
I w tym wiecznym potępieniu towarzyszą mu te słowa,
które kiedyś wypowiedział. Nie ma piekła dla grzeszników.
Nie ma Nieba dla bezgrzesznych. Bóg nie jest tym, czym się zdaje.

Może głosił je też dalej, umarł bowiem i zmartwychwstał,
Po czym został uciszony, przygnieciony ziemią z wyspy.
I Kolumbę obok niego pogrzebano na Ionie
lata później. Ale zwłoki wykopano i zabrano
Do Downpatrick, gdzie spoczęły obok świętych, wraz z Patrykiem
I Brygidą. Zatem mroczny
Oran to jedyny święty na Ionie, pięknej wyspie.

Nie szukajcie na cmentarzu królów dawnych i potężnych,
Czy biskupów i ich bogactw. Święty Oran sam ich strzeże
I powstanie z mroku grobu niczym ciemność, niczym obcy,
Bo nie widzi już on słońca. Dotknie was i posmakuje,
Pozostawi w was swe słowa.
(Bóg nie jest tym, czym się zdaje. Ani Piekło, ani Niebo).

Wtedy opuścicie cmentarz, zapomnicie ów cień grozy,
i pomasujecie karki, pamiętając tylko jedno:
Umarł, aby nas ocalić. Zabił go święty Kolumba
Na Ionie, pięknej wyspie.

Czarny pies

W samotnej głowie dziesięć języków
A jeden rankiem ruszył wśród krzyków
Po chleb dla żywych i dla umrzyków.

I. W barze

Za drzwiami pubu lało jak z cebra.

Cień wciąż nie był do końca przekonany, że znalazł się w pubie. Owszem, w głębi sali stał niewielki szynkwias, a za nim butelki i parę kraników, w których pociągało się wajchę. Było też kilka wysokich stołów i ludzie popijający przy owych stołach, ale nadal bardziej przypominało to pokój w czyimś domu. Wrażenie wzmacniały jeszcze psy. Cieniowi wydawało się, że każdy w pubie prócz niego ma ze sobą psa.

– Co to za rasa? – spytał zaciekawiony.

Przypominały mu charty, ale mniejsze i spokojniejsze, bardziej rozważne, mniej nerwowe niż te, z którymi zdarzało mu się stykać.

– Lurchery – odparł właściciel pubu, wychodząc zza kontuaru. W dłoni trzymał kufel piwa, który sobie nalał. – To najlepsze psy. Kłusownicze. Szybkie, mądre, śmiertelnie groźne.

Nachylił się i podrapał za uszami kasztanowo-białego, pasiastego zwierzaka, który przeciągnął się, rozkoszując podrapywaniem. Nie wyglądał szczególnie groźnie i Cień powiedział to głośno.

Gospodarz, mężczyzna o bujnej, siwiejącej rudej czuprynie, z namysłem poskrobał się po brodzie.

– I tu się pan mylisz – rzekł. – W zeszłym tygodniu spacerowałem z jego bratem po Cumpsey Lane. Nagle z żywopłotu wystawia głowę lis, wielki, rudy mikita, najwyżej dwadzieścia metrów dalej, po czym spokojnie wylazi na ścieżkę. Ćwiek go widzi. Jak nie skoczy, jak z procy. Ledwie się zorientowałem, capnął zębami lisa za kark, raz jeden ugryzł, mocno potrząsnął i po krzyku.

Cień obejrzał uważnie Ćwieka, szarego psa śpiącego przy niewielkim kominku. On też wyglądał raczej niegroźnie.

– Co to za rasa, lurcher? Angielska, tak?

– Tak naprawdę to nie rasa – wyjaśniła siwowłosa kobieta bez psa, oparta o pobliski stół. – To krzyżówka ras znanych z szybkości i wytrzymałości: wyżła, charta, collie.

Siedzący obok mężczyzna uniósł palec.

– Musi pan zrozumieć – dodał wesoło – że kiedyś istniały prawa co do tego, kto mógł posiadać psy czystej rasy. Miejscowi nie mogli, wolno im było natomiast hodować kundle, a lurchery są lepsze i szybsze niż psy rasowe. – Czubkiem palca wskazującego podsunął zjeżdżające po nosie okulary. Miał staroświeckie bokobrody, ciemne, przetykane białymi nitkami.

– Moim zdaniem wszystkie kundle są lepsze niż rasowce – wtrąciła kobieta. – To dlatego Ameryka jest tak ciekawym krajem. Pełno w niej kundli.

Cień nie potrafił ocenić, ile miała lat – była siwa, ale sprawiała wrażenie młodszej od swych włosów.

– Tak naprawdę, kochanie – rzekł łagodnie mężczyzna z bokobrodami – zdziwiłabyś się, słysząc, że Amerykanie mają znacznie większego bzika na punkcie psów rasowych niż Brytyjczycy. Spotkałem kiedyś kobietę z amerykańskiego klubu kynologicznego i szczerze mówiąc, przeraziła mnie. Naprawdę się bałem.

– Nie mówiłam o psach, Ollie – wyjaśniła kobieta. – Tylko o... Zresztą nieważne.

– Co pan pije? – spytał gospodarz.

Do ściany obok baru taśmą przyklejono ręcznie zapisaną kartkę, uprzedzającą klientów, by nie zamawiali jasnego piwa „bo fanga w nos bywa obraźliwa”.

– Co jest dobre i miejscowe? – spytał Cień, który przekonał się już, że to zazwyczaj najmądrzejsza odpowiedź.

Gospodarz i kobieta podsunęli mu kilka propozycji różnych miejscowych piw i cydrów. Drobnym mężczyzną z bokobrodami przerwał im, by podkreślić, że w jego opinii dobre to nie brak złego, lecz coś bardziej pozytywnego: to coś, co czyni świat lepszym. Potem zachichotał na znak, że tylko żartował i że wie, iż rozmowa naprawdę dotyczyła jedynie trunków.

Piwo, którego gospodarz nalał Cieniowi, okazało się ciemne i bardzo gorzkie. Nie był pewien, czy mu smakuje.

– Co to?

– Nazywają je Czarnym Psem – wyjaśniła kobieta. – Istnieje wersja, że to z powodu tego, jak człowiek się czuje, gdy wypije za wiele.

– Coś jak nastroje Churchilla – dodał drobnym człowieczek.

– Tak naprawdę piwo nazwano na cześć miejscowego psa – dodała młodsza kobieta. Miała na sobie oliwkowozielony sweter, stała pod ścianą. – Ale nie prawdziwego. Na wpół wymyślonego.

Cień spojrzał na Ćwieka i zawahał się.

– Czy nic mi nie robi, jeśli pogłaszczę go po głowie? – spytał, przypominając sobie, co spotkało lisa.

– Oczywiście, że nie – odparła siwowłosa kobieta – on to uwielbia. Prawda?

– No, prawie odgryzł palec tego palanta z Glossop – dorzucił gospodarz. W jego głosie dźwięczał podziw zabarwiony ostrzegawczą nutą.

– Chyba pracował dla lokalnych władz – rzekła kobieta. – A zawsze uważałam, że nie ma nic złego w tym, że psy ich gryzą. Albo kontrolerów VAT-u.

Kobieta w zielonym swetrze podeszła do Cienia. Nie trzymała w dłoni drinka. Miała ciemne, krótkie włosy i chmurkę piegów na nosie i policzkach.

– Nie pracujesz w lokalnych władzach, prawda? – Spojrzała na niego.

Cień pokręcił głową.

– Jestem tak jakby turystą – rzekł, w sumie nie było to kłamstwem. W każdym razie

podróżował.

– Kanadyjczyk? – spytał gość z bokobrodami.

– Amerykanin – poprawił Cień. – Ale już dość długo jestem w drodze.

– W takim razie – oznajmiła siwowłosa kobieta – tak naprawdę nie jest pan turystą. Turysty zjawiają się, oglądają zabytki i wyjeżdżają.

Cień wzruszył ramionami, uśmiechnął się i pochylił. Podrapał lurchera gospodarza po głowie.

– Nie przepada pan za psami, prawda? – spytała ciemnowłosa.

– Nie przepadam za psami – odparł Cień.

Gdyby był innym człowiekiem, człowiekiem, który opowiada, co dzieje się w jego głowie, mógłby jej wyjaśnić, że jego żona w młodości hodowała psy i czasami nazywała Cienia Pieskiem, bo bardzo chciała mieć psa, a nie mogła. Ale zachował to dla siebie. To jedna z rzeczy, jakie podobały mu się u Brytyjczyków: nawet gdy chcieli wiedzieć, co dzieje się w środku, nie pytali. Świat wewnątrz pozostawał światem wewnątrz. Jego żona nie żyła już od trzech lat.

– Jakby się mnie kto pytał – powiedział mężczyzna z bokobrodami – ludzie dzielą się na miłośników psów i na miłośników kotów. W takim razie czy uważa się pan za miłośnika kotów?

Cień zastanowił się.

– Sam nie wiem. W dzieciństwie nigdy nie mieliśmy żadnych zwierzątek, bo stale się przeprowadzaliśmy, ale...

– Wspominam o tym – podjął tamten – bo nasz gospodarz ma także kota. Może zechce go pan zobaczyć.

– Kiedyś był tutaj, ale przenieśliśmy go do salki na zapleczu – dodał gospodarz zza kontuaru.

Cienia zdumiało, że tamten z taką łatwością śledzi rozmowę, jednocześnie przyjmując zamówienia posiłków i podając drinki.

– Czy kot drażnił psy? – spytał.

Ulewa na zewnątrz jeszcze się wzmogła. Wiatr jęczał, gwizdał i zawodził. Drwa płonące w niewielkim kominku przygasły i sypnęły iskrami.

– Nie tak, jak pan myślisz – odparł gospodarz. – Znaleźliśmy go, kiedy przebiliśmy się do sąsiedniego pomieszczenia podczas rozbudowy baru. – Uśmiechnął się szeroko. – Proszę zobaczyć.

Cień podążył za nim do pokoju obok, mężczyzna z bokobrodami i siwowłosa kobieta ruszyli za nimi, drepzcząc tuż za jego plecami.

Obejrzał się i zerknął na bar. Ciemnowłosa obserwowała go. Gdy dostrzegła jego spojrzenie, uśmiechnęła się ciepło.

Salka obok okazała się lepiej oświetlona, większa i nieco mniej przypominająca czyjś salon. Ludzie siedzieli przy stołach i jedli. Same dania wyglądały smacznie i jeszcze smaczniej pachniały. Gospodarz poprowadził Cienia na sam koniec, do zakurzonej szklanej gabloty.

– Tu jest – oznajmił z dumą.

Kot był brązowy, na pierwszy rzut oka wydawał się zbudowany ze ścięgien i cierpienia. Dziury w miejscu oczu wypełniały gniew i ból, pyszczek otwierał się szeroko, jakby stworzenie wrzeszczało, kiedy zamieniało się w wysuszoną skórę.

– Praktyka umieszczania zwierząt w murach budynku przypomina praktykę zamurowywania żywcem dzieci w fundamentach domu, który ma przetrwać wieki – wyjaśnił mężczyzna z bokobrodami. – Choć przyznam, że zmumifikowane koty zawsze kojarzą mi się

z mumiami kotów znajduwanymi w świątyni Bast w egipskim Bubastis. Było ich tam tak wiele, że wysyłano je do Anglii, gdzie po zmieleniu wysypywano je na pola jako tani nawóz. W czasach wiktoriańskich z mumii produkowało się także farbę. Jakiś odcień brązu.

– Wygląda żałośnie – zauważył Cień. – Ile może mieć lat?

Gospodarz podrapał się po policzku.

– Oceniamy, że mur, w którym tkwił, zbudowano gdzieś między początkiem czternastego a siedemnastego wieku. Tak wynika z ksiąg parafialnych. W tysiąc trzysetnym roku nie ma tu nic, w tysiąc sześćsetnym stoi dom. Dokumenty z okresu pomiędzy zaginęły.

Wydawało się, że martwy kot w szklanej gablocie, pozbawiony futra, obserwował ich pustymi dziurami oczu.

Mam oczy wszędzie, gdzie krąży mój lud, szepnął głos gdzieś z tyłu umysłu Cienia. Na moment pomyślał o polach nawiezionych zmielonymi mumiami kotów i o tym, jak dziwne musiały rodzić plony.

– Wsadzili w ścianę raz chłopaka – rzekł mężczyzna zwany Ollie. – Żył tam i umarł, doła taka. I nikt się nie śmiał, nikt nie płakał. W dawnych czasach zamurowywano różne rzeczy, by strzegły budowli i zapewniały jej bezpieczeństwo. Czasami dzieci. Zwierzęta. W kościołach robili to wręcz rutynowo.

Deszcz bębnił nierytmicznie o szyby. Cień podziękował gospodarzowi za pokazanie kota i razem wrócili do baru. Ciemnowłosa kobieta zniknęła; Cień pożałował przez moment, że odeszła. Wyglądała tak przyjaźnie. Postawił kolejkę mężczyźnie z bokobrodami, siwowłosej kobiecie i gospodarzowi.

Ten zanurkował za bar.

– Mówią mi Cień – oznajmił Cień. – Cień Moon.

Mężczyzna z bokobrodami klasnął w dłonie z zachwytem.

– Och! Jak cudownie! W dzieciństwie miałem wilczura imieniem Cień. To prawdziwe imię?

– Tak mnie nazywają – odparł Cień.

– Ja jestem Moira Callanish – oznajmiła siwowłosa kobieta. – To mój partner, Oliver Bierce. Wie całkiem sporo i bez wątpienia w trakcie waszej znajomości opowie ci wszystko, co wie.

Uścisnęli sobie dłonie. Kiedy gospodarz wrócił z drinkami, Cień spytał, czy ma może pokój do wynajęcia – zamierzał tej nocy przejść jeszcze kawałek, ale deszcz brzmiał, jakby nie zamierzał ustępować. Owszem, Cień miał solidne buty i wodoodporne okrycie, ale nie chciał maszerować w ulewie.

– Kiedyś miałem, ale potem mój syn wprowadził się z powrotem. Czasami namawiam ludzi, żeby przenocowali w stodole, ale poza tym nic więcej nie mogę zaoferować.

– A mógłbym gdzieś coś wynająć w wiosce?

Gospodarz pokręcił głową.

– To parszywa noc. Ale Porsett leży zaledwie kilka mil dalej i mają tam całkiem niezły hotel. Zadzwoń do Sandry, uprzedzę, że się pan zjawi. Jak się pan nazywa?

– Cień – powtórzył. – Cień Moon.

Moira zerknęła na Olivera i powiedziała coś, co brzmiało jak dzieciaczki i zwierzaczki. Oliver na moment zagryzł wargę, potem z entuzjazmem pokiwał głową.

– Może miałbyś ochotę zanoć u nas? Sypialnia gościnna jest ciasnawa, ale stoi w niej łóżko. No i jest tam ciepło. I sucho.

– Bardzo chętnie – odparł Cień. – Mogę zapłacić.

– Nie bądź niemądry – rzuciła Moira. – Miło będzie mieć gościa.

II. Klatka hańby

Oliver i Moira mieli własne parasole. Oliver uparł się, by Cień zabrał jeden, podkreślając fakt, iż Cień góruje nad nim, toteż idealnie się nadaje do chronienia przed deszczem ich obu.

Para miała także niewielkie latarki. Ich promienie skojarzyły się Cieniowi z wieśniakami z filmu grozy, szturmującymi zamek na wzgórzu, a błyskawice i grzmoty wzmocniły jeszcze wizję. Dziś, mój stworze, pomyślał, obdarzę cię życiem! Powinno to wyglądać zabawnie, zamiast tego wydało mu się niepokojące. Martwy kot sprawił go w dziwny nastrój.

Wąskimi drogami między polami płynęła deszczówka.

– W pogodną noc – Moira musiała podnieść głos, by usłyszał ją w szumie deszczu – przeszlibyśmy przez pola. Ale teraz są mokre i błotniste, więc pójdziemy Shuck's Lane. To drzewo było kiedyś drzewem wisielców. – Wskazała ręką masywny pień jawora na rozstajach. Pozostało mu tylko kilka gałęzi sterczących w noc, jakby ktoś o nich zapomniał.

– Moira mieszka tu, odkąd skończyła dwadzieścia lat – oznajmił Oliver. – Ja przyjechałem z Londynu osiem lat temu. Z Turnham Green. Kiedyś, wcześniej, kiedy miałem czternaście lat, byłem tu na wakacjach i nigdy nie zapomniałem. Tego miejsca się nie zapomina.

– Ta ziemia wchodzi ci w krew – dodała Moira. – Mniej więcej.

– A krew wsiąka w ziemię – stwierdził Oliver. – W taki czy inny sposób. Weźmy na przykład to drzewo wisielców. Zostawiali na nich ludzi w klatce hańby, póki nic z nich nie zostało. Włosy trafiały do ptasich gniazd, kruki rozdziobywały ciało, oczyszczając kości, chyba że wcześniej pojawił się inny trup do wystawienia.

Cień był niemal pewien, że wie, co to jest klatka hańby, ale i tak zapytał. Nigdy nie szkodzi zapytać, a Oliver z całą pewnością należał do ludzi, którzy uwielbiają wiedzieć coś dziwnego i przekazać tę wiedzę innym.

– To coś jak wielka żelazna klatka dla ptaków. Wystawiano w nich ciała skazanych na śmierć przestępców, gdy wymierzono im już sprawiedliwość. Klatki hańby zamykano na klucz, by rodzina i przyjaciele nie mogli wykraść trupa i urządzić mu porządnego chrześcijańskiego pogrzebu. Miały też przekonywać przechodniów, by nie zbaczali z wąskiej ścieżki prawa, choć wątpię, by kogokolwiek do czegośkolwiek zniechęciły.

– Kogo skazywali na śmierć?

– Każdego, kto miał pecha. Trzysta lat temu istniało ponad dwieście przestępstw karanych śmiercią. W tym podróżowanie z Cyganami dłużej niż miesiąc, kradzież owcy – i w ogóle kradzież czegośkolwiek wartego powyżej dwunastu pensów – oraz pisanie listów z groźbami.

Wyglądał, jakby miał wyrecytować długą listę, ale Moira mu przerwała.

– Oliver ma rację co do wyroków śmierci, ale w tych okolicach w klatce wystawiano tylko morderców. I zostawiano w niej trupy czasami przez dwadzieścia lat. Rzadko zdarzają się tu morderstwa. – A potem, jakby próbowała zmienić temat na coś lżejszego, dodała: – Teraz idziemy Shuck's Lane. Miejscowi mawiają, że w pogodną noc, czyli zdecydowanie nie dzisiaj, czasami możesz zobaczyć, jak idzie za tobą Czarny Shuck. To coś jakby magiczny pies.

– My nigdy go nie widzieliśmy, nawet w pogodne noce – wtrącił Oliver.

– I bardzo dobrze – dodała Moira. – Bo jeśli go zobaczysz, umrzesz.

– Tyle że Sandra Wilberforce twierdziła, że go widziała, a jest zdrowa jak koń.

Cień uśmiechnął się.

– Co robi Czarny Shuck?

– Nic nie robi – odparł Oliver.

– Ależ robi. Idzie za tobą do domu – poprawiła Moira. – A potem, nieco później, umierasz.

– Nie brzmi to zbyt strasznie – zauważył Cień. – Oprócz tej części o umieraniu.

Dotarli do końca ulicy, deszczówka przepływała strumieniem po grubych, trekkingowych butach Cienia.

– Jak właściwie się poznaliście? – spytał.

Zwykle było to bezpieczne pytanie, kiedy miało się do czynienia z parami.

– W pubie – odparł Oliver. – Przyjechałem tu na święta.

– Kiedy poznałam Olivera, byłam z kimś innym – dodała Moira. – Przeżyliśmy krótki, burzliwy romans, a potem razem uciekliśmy. Bardzo nie w naszym stylu.

Nie wyglądają na ludzi, którzy uciekają razem, pomyślał Cień. Ale też wszyscy ludzie są dziwni. Wiedział, że powinien coś powiedzieć.

– Ja byłem żonaty. Moja żona zginęła w wypadku samochodowym.

– Tak mi przykro – rzuciła Moira.

– Bywa – mruknął Cień.

– Kiedy wrócimy do domu – oznajmiła Moira – zrobię nam wszystkim grzań whisky. To whisky i wino imbirowe z gorącą wodą. I wezmę gorącą kąpiel. Inaczej złapię coś śmiertelnego.

Cień wyobraził sobie, jak wyciąga rękę i łapie w nią coś śmiertelnego, jak piłkę do koszykówki. Zadrżał.

Deszcz lał jeszcze mocniej i nagły rozbłysk światła na moment wypalił im w oczach obraz świata dokoła: każdego szarego kamienia w murze, każdego źdźbła trawy, każdej kałuży i drzewa. Wszystko pojawiło się idealnie oświetlone, a potem zniknęło, pochłonięte przez głębszą ciemność, pozostawiając powidoki w oślepionych nocą oczach Cienia.

– Widzieliście to? – spytał Oliver. – To ci dopiero. – Nad ich głowami przetoczył się grzmot. Cień odczekał aż ucichnie, nim się odezwał.

– Niczego nie widziałem – odparł. Kolejna błyskawica, mniej jasna i wydało mu się, że dostrzega, jak coś oddala się od nich na odległym polu. – To? – spytał.

– To osioł – wtrąciła Moira. – Zwykły osioł.

Oliver przystanął.

– Popelniliśmy błąd, wracając tak do domu. Trzeba było wziąć taksówkę. To błąd.

– Ollie – odparła Moira – już niedaleko. Poza tym to tylko odrobina deszczu. Nie jesteś zrobiony z cukru, skarbie.

Kolejna błyskawica, tak jasna, że niemal oślepiająca. Na polach nie pozostało nic ciekawego. Ciemność. Cień odwrócił się do Olivera, lecz drobny mężczyzna nie stał już obok niego. Jego latarka leżała na ziemi. Cień zamrugał, próbując zmusić oczy do widzenia. Mężczyzna leżał skulony na mokrej trawie pobocza.

– Ollie? – Moira przykucnęła przy nim, odrzucając na bok parasolkę, oświetliła mu twarz. Potem spojrzała na Cienia. – Nie może tu tak siedzieć. – W jej głosie dźwięczało oszołomienie i troska. – Leje jak z cebra.

Cień schował do kieszeni latarkę Olivera, oddał Moirze parasol, a potem podniósł dziewczynkę. Nie ważył zbyt wiele, a Cień był potężnym mężczyzną.

– To daleko?

– Niedaleko – rzekła. – Naprawdę. Jesteśmy prawie w domu.

Maszerowali w milczeniu przez cmentarz na skraju wioskowego błonia i do wioski. Cień widział światła w oknach szarych kamiennych domów wzdłuż jedynej ulicy. Moira skręciła do jednego z nich, stojącego nieco dalej od drogi; podążył za nią. Przytrzymała przed nim otwarte tylne drzwi.

Kuchnia okazała się obszerna i ciepła, pod jedną ze ścian stała sofa, na wpół pokryta różnymi pismami. Belkowany sufit wisiał nisko i Cień musiał się schylić. Zdjął z Olivera płaszcz przeciwdeszczowy i upuścił na ziemię. Na kamiennej posadzce zaczęła zbierać się woda. Cień tymczasem posadził mężczyznę na sofie.

Moira napelniła dzbanek.

– Wezwiemy karetkę?

Pokręciła głową.

– To się po prostu zdarza? Oliver upada i mdleje?

Gospodyni krzątała się, zdejmując kubki z półki.

– Było tak już wcześniej. Tyle że nie trwało tak długo. Cierpi na narkolepsję i jeśli coś go zaskoczy albo przestraszy, bywa, że po prostu pada. Wkrótce się ocknie. Będzie chciał herbaty. Żadnej grzanej whisky, nie dla niego. Czasami bywa nieco ogłupiały i nie wie gdzie jest, czasem pamięta wszystko, co się działo, kiedy był nieprzytomny. I nie cierpi robić zamieszania. Połóż swój plecak obok kuchenki.

Woda w dzbanku zawrzała, Moira nalala parującego wrzątku do imbryka.

– Wypije filiżankę prawdziwej herbaty. Ja chyba zdecyduję się na rumianek, inaczej dziś nie zasnę. Uspokoi mi nerwy. A ty?

– Jasne, napiję się herbaty.

Cień przeszedł tego dnia ponad dwadzieścia mil i wiedział, że nietrudno mu będzie zasnąć. Moira go zadziwiła: sprawiała wrażenie idealnie opanowanej w obliczu dolegliwości partnera. Zastanawiał się, jak wiele z tego to niechęć do okazania słabości w obliczu nieznanego. Podziwiał ją, choć uważał też, że to osobliwe. Anglicy byli dziwni. Ale dobrze rozumiał pragnienie, by nie robić zamieszania. O, tak.

Oliver poruszył się na kanapie. Moira podeszła do niego z filiżanką w dłoni, pomogła usiąść. Pociągnął łyk herbaty, wciąż nieco oszołomiony.

– Szedł za mną aż do domu – oznajmił.

– Co za tobą szło, Ollie, skarbie? – Jej głos brzmiał spokojnie, ale dawało się w nim wyczuć troskę.

– Pies – odparł mężczyzna na sofie i znów napił się herbaty. – Czarny pies.

III. Cięcia

Tego wieczoru Cień dowiedział się kilku rzeczy, gdy tak siedział przy kuchennym stole z Moirą i Oliverem:

Dowiedział się, że Oliver nie czuł się szczęśliwy ani spełniony, pracując w londyńskiej agencji reklamowej. Przeprowadził się do wioski, przechodząc na bardzo wczesną rentę z powodów zdrowotnych. Teraz, pierwotnie dla rozrywki, a potem coraz bardziej dla pieniędzy, naprawiał

i odnawiał bezzaprawowe mury. Wyjaśnił, że budowa muru wymaga prawdziwych umiejętności i sztuki, to doskonałe ćwiczenie fizyczne, a jeśli zrobić wszystko jak należy, także praca bliska medytacji.

– Kiedyś w tych okolicach mieszkały setki speców od budowy murów bez zaprawy. Teraz został może tuzin wiedzących, co robią. Widuje się mury naprawiane cementem albo pustakami. To umierająca sztuka. Chętnie bym ci pokazał, jak to robię. To użyteczna umiejętność. Czasami, kiedy podnosisz kamień, musisz pozwolić, by sam ci powiedział, gdzie ma trafić. A wtedy staje się nie do ruszenia. Nie da się go wyrzucić nawet czołgiem. Niesamowite.

Dowiedział się, że Ollie kilka lat wcześniej, krótko po tym, jak zeszli się z Moirą, cierpiał na głęboką depresję, ale przez ostatnie kilka lat radzi sobie znakomicie. No, poprawił się, względnie znakomicie.

Dowiedział się, że Moira ma własny majątek, że rodzinny fundusz powierniczy oznaczał, że wraz z siostrami nie musiała pracować, ale i tak przed trzydziestką poszła do kolegium nauczycielskiego. Że już nie uczy, ale jest niezwykle aktywna w sprawach lokalnej społeczności i z powodzeniem zorganizowała kampanię przeciw likwidacji miejscowych linii autobusowych.

Z tego, czego Oliver nie mówił, Cień dowiedział się, że tamten czegoś się boi, bardzo boi, a kiedy spytał, co tak bardzo go przerażało i co miał na myśli, mówiąc, że czarny pies przyszedł za nim do domu, w odpowiedzi tylko zająknął się i odwrócił wzrok. Cień zrozumiał, że nie warto zadawać dalszych pytań.

Oto czego Oliver i Moira dowiedzieli się o Cieniu, gdy tak siedzieli przy kuchennym stole:

Prawie nic.

Cień ich polubił. Nie był głupcem: w przeszłości ufał ludziom, którzy go zdradzili, ale polubił tę parę i podobało mu się, jak pachnie w ich domu – chlebem domowej roboty, dżemem i orzechową pastą do drewna – toteż tej nocy, kładąc się spać w ciasnym pokoiku, martwił się o drobnego człowieczka z bokobrodami. Co, jeśli to coś, co dostrzegł na polu, nie było osłem? Co, jeśli to rzeczywiście olbrzymi pies? Co wtedy?

Kiedy się ocknął, deszcz już nie padał. Cień zrobił sobie grzanekę w pustej kuchni. Moira weszła z ogrodu, wpuszczając kuchennymi drzwiami chłodny powiew wiatru.

– Dobrze spałeś? – spytała.

– Tak. Bardzo dobrze.

Śniło mu się, że jest w zoo. Otaczały go zwierzęta, których nie widział, parskające i wężące w swych zagrodach. Był dzieckiem, szedł razem z matką, czuł się bezpieczny i kochany. Zatrzymał się przed klatką lwa, ale to, co w niej tkwiło, okazało się sfinksem, pół lwem, pół kobietą wymachującą ogonem. Uśmiechnęła się do niego i był to uśmiech jego matki. Usłyszał jej głos, z ostrym akcentem, ciepły, koci.

– Poznaj siebie – usłyszał głos.

– Wiem, kim jestem – odparł Cień we śnie, zaciskając dłonie na prętach klatki. Za prętami rozciągała się pustynia. Widział piramidy. Widział cienie na piasku.

– Zatem kim jesteś, Cieniu? Przed czym uciekasz? Dokąd uciekasz?

– Kim jesteś?

I obudził się, nie wiedząc, czemu zadaje sobie to pytanie, i tęskniąc za matką, która zmarła dwadzieścia lat wcześniej, gdy był nastolatkiem. Poczł dziwną pociechę, wspominając, jak ścisnęła w palcach jego dłoń.

– Boję się, że dziś rano Ollie trochę niedomaga.

– Przykro mi to słyszeć.

– Tak. Cóż. Nic na to nie poradzimy.

– Bardzo dziękuję za pokój. Chyba czas ruszać w drogę.

– Zechcesz najpierw na coś spojrzeć? – poprosiła Moira.

Cień pokiwał głową i wyszedł za nią na dwór, okrążając dom. Pokazała palcem różaną rabatę.

– Na co to według ciebie wygląda?

Cień pochylił się.

– Odcisk łapy olbrzymiego psa – odparł – by zacytować doktora Watsona.

– Tak – potwierdziła – bez wątpienia.

– Jeśli w tych okolicach krąży widmowy duch psa – zauważył Cień – nie powinien zostawiać odcisków łap. Prawda?

– Trudno mnie nazwać specem w tej dziedzinie – odparła Moira. – Kiedyś miałam przyjaciółkę, która mogłaby ci o tym opowiedzieć, ale ona... – Urwała. Po chwili dodała weselszym tonem: – Wiesz, pani Camberley, dwa domy dalej, hoduje dobermana. Idiotyczne stworzenie.

Cień nie był pewien, czy mówiąc „idiotyczne stworzenie”, miała na myśli panią Camberley, czy też jej psa.

Wydarzenia poprzedniego wieczoru wydały mu się mniej niepokojące i osobliwe, łatwiej wytłumaczalne. Jakie to ma znaczenie, że obcy pies poszedł za nimi do domu? Oliver przestraszył się albo coś go zaskoczyło i upadł. To wina szoku, narkoleksji.

– Cóż, zanim ruszysz w drogę, spakuję ci lunch – oznajmiła Moira. – Jajka na twardo. Coś w tym stylu. Po paru godzinach marszu ucieszysz się, że je masz.

Wrócili do domu. Moira poszła coś schować i wróciła wyraźnie wstrząśnięta.

– Ollie zamknął się w łazience – oznajmiła.

Cień nie był pewien, co powiedzieć.

– Wiesz, czego bym chciała? – podjęła.

– Nie wiem.

– Chciałabym, żebyś z nim porozmawiał. Chciałabym, żeby otworzył drzwi. Chciałabym, żeby pomówił ze mną. Słyszę go tam. Słyszę go. – Po chwili dodała: – Mam nadzieję, że się znów nie kaleczy.

Cień wrócił do przedpokoju, stanął przy drzwiach łazienki, zawołał Olivera po imieniu.

– Słyszysz mnie? Nic ci nie jest?

Nic. Najmniejszego dźwięku.

Spojrzał na drzwi. Zrobiono je z drewna. Dom był stary, w tamtych czasach budowano wszystko solidnie, by przetrwało. Kiedy dziś rano korzystał z łazienki, odkrył, że drzwi zamykają się na haczyk. Napał na klamkę, naciskając mocno, potem rąbnął ramieniem o drzwi. Otworzyły się z trzaskiem pękającego drewna.

W więzieniu widział, jak umiera człowiek dźgnięty nożem w bezsensownej kłótni. Teraz przypomniał sobie krew, rozlewającą się kałużą wokół jego ciała, kiedy leżał na tyłach boiska. Widok ten poruszył Cienia, zmusił się jednak, by patrzeć, nie odwracać wzroku. Gdyby go odwrócił, w jakiś sposób stanowiłoby to oznakę braku szacunku.

Oliver siedział nagi na podłodze łazienki, ciało miał blade, pierś i krocze porastały gęste, ciemne włosy, w dłoni trzymał ostrze staroświeckiej żyłетки. Naciął nim sobie ręce, pierś nad

sutkami, wewnętrzną stronę ud i penisa. Wysmarował krwią własne ciało, czarno-białe linoleum na podłodze, białą emalię wanny. Spoglądał przed siebie, patrzył prosto na Cienia, ale Cień nie był pewien, czy go widzi.

– Ollie! – zawołała Moira z przedpokoju.

Cień pojął, że blokuje wejście, i zawahał się, niepewny, czy pozwolić, by zobaczyła, co jest na podłodze, czy też nie.

Zdjął z wieszaka różowy ręcznik i owinał nim Olliego. To zwróciło uwagę drobnego mężczyzny. Zamrugnął, jakby ujrzał Cienia po raz pierwszy.

– Pies – powiedział. – To dla psa. Rozumiesz, trzeba go nakarmić. Zaprzyjaźniamy się.

– O mój drogi, słodki Boże – rzuciła Moira.

– Zadzwoń po pogotowie.

– Proszę, nie – zaprotestowała. – Lepiej mu będzie w domu, ze mną. Nie wiem, co bym... Proszę?

Cień podniósł Olliego opatulonego w szlafrok, zaniósł do sypialni jak dziecko i położył na łóżku. Moira szła tuż za nim. Podniosła leżącego obok łóżka iPada, dotknęła ekranu i zabrzmiała muzyka.

– Oddychaj, Ollie – powiedziała. – Pamiętaj. Oddychaj. Wszystko będzie dobrze. Nic ci nie będzie.

– Nie mogę oddychać – odparł cichutko Ollie. – Nie tak naprawdę. Ale czuję swoje serce. Czuję, jak bije mi serce.

Moira uściśnęła mu dłoń i usiadła na łóżku. Cień zostawił ich samych.

Kiedy wróciła do kuchni z podwiniętymi rękawami i dłońmi cuchnącymi kremem odkażającym, siedział na sofie, czytając przewodnik po miejscowych szlakach turystycznych.

– Jak on się miewa?

Wzruszyła ramionami.

– Musisz zorganizować mu pomoc.

– Tak. – Przystanęła pośrodku kuchni, rozglądając się, jakby nie wiedziała, gdzie się obrócić. – Czy ty... To znaczy, musisz dziś ruszać w drogę? Masz jakiś plan podróży?

– Nikt na mnie nie czeka. Nigdzie.

Spojrzała na niego, w ciągu godziny jej twarz postarzała się i wychudła.

– Kiedy zdarzyło się to wcześniej, potrzebował kilku dni i był zdrow jak szczypiołek. Depresja nie trwa długo. Toteż zastanawiałam się, czy nie zechciałbyś, no, zostać tu trochę? Dzwoniłam do siostry, ale jest w trakcie przeprowadzki. A sama sobie nie poradzę. Naprawdę nie. Nie po raz drugi. Ale nie mogę żądać, żebyś został, nie, jeśli ktoś na ciebie czeka.

– Nikt nie czeka – powtórzył Cień. – I zostanę. Ale uważam, że Oliver potrzebuje pomocy specjalisty.

– Tak – zgodziła się Moira. – Potrzebuje.

Późnym popołudniem zjawił się doktor Scathelocke. Przyjaźnił się z Oliverem i Moirą. Cień nie był do końca pewien, czy więcej brytyjscy lekarze wciąż składają wizyty domowe, czy też była to tylko wizyta towarzyska. Doktor poszedł do sypialni, wrócił dwadzieścia minut później.

Usiadł z Moirą przy kuchennym stole.

– To bardzo płytkie rany – oznajmił. – Wołanie o pomoc. Szczerze mówiąc, niewiele możemy dla niego zrobić w szpitalu, czego nie da się załatwić tutaj, przynajmniej jeśli chodzi o te cięcia. Kiedyś w tym skrzydle pracował tuzin pielęgniarek. Teraz próbują zamknąć je całkowicie.

Przekazać wszystko miejscowej społeczności.

Doktor Scathelocke miał jasne włosy, wzrostem dorównywał Cieniowi, był jednak zdecydowanie chudszy. Cieniowi skojarzył się z właścicielem pubu; zastanowił się przelotnie, czy nie są przypadkiem spokrewnieni. Doktor wypisał szybko kilka recept, Moira wręczyła je Cieniowi wraz z kluczykami do starego białego range rovera.

Cień pojechał do sąsiedniej wioski, znalazł małą aptekę i zaczął cierpliwie na realizację recept. Czuł się niezręcznie, stojąc w przesadnie oświetlonym przejściu i wpatrując się w ekspozycję płynów i kremów do opalania, wyjątkowo zbędnych tego mokrego, zimnego lata.

– Ty jesteś panem Amerykaninem – usłyszał za plecami kobiecy głos.

Cień odwrócił się. Miała krótkie ciemne włosy i ten sam oliwkowozielony sweter, co wcześniej w pubie.

– Chyba tak – odparł.

– Miejscowe plotki głoszą, że Ollie czuje się kiepsko, a ty pomagasz.

– Szybko się rozchodzą.

– Miejscowe plotki podróżują szybciej od światła. Jestem Cassie Burglass.

– Cień Moon.

– Niezłe imię – zauważyła. – Mam od niego dreszcze. – Uśmiechnęła się. – Jeśli wciąż masz ochotę położyć podczas pobytu tutaj, radzę, żebyś się wybrał na wzgórze tuż za wioską. Idź ścieżką aż do rozwidlenia, a potem skręć w lewo. Doprowadzi cię na Wod's Hill. Niesamowite widoki. Publiczne prawo drogi. Jeśli pójdziesz w lewo i w górę, nie ma szans, żebyś zabłądził.

Uśmiechnęła się do niego. Może po prostu przyjaźnie przyjmowała obcych.

– Nie dziwię się jednak, że wciąż tu jesteś – podjęła. – Kiedy to miejsce zatopi w tobie szpony, trudno stąd odejść. – Znów się uśmiechnęła i spojrzała mu prosto w oczy, jakby próbowała podjąć jakąś decyzję. – Zdaje się, że pani Patel ma już twoje leki. Miło się gadało, panie Amerykaninie.

IV. Pocałunek

Cień pomagał Moirze. Poszedł do wiejskiego sklepiku i kupił wszystko z jej listy zakupów. Ona tymczasem siedziała w domu, pisząc przy kuchennym stole bądź czuwając w korytarzu przed drzwiami sypialni. Ledwie się odzywała. Załatwiał wszystko, jeżdżąc białym range roverem. Olivera widywał głównie w przedpokoju, gdy ten, szurając nogami, wędrował do łazienki i z powrotem. Nie odzywał się do niego.

W całym domu panowała cisza: Cień wyobrażał sobie czarnego psa, przycupniętego na dachu, zasłaniającego całe słońce, wszelkie emocje, uczucia i prawdę. Coś przykręciło głośność w tym domu, wszystkie kolory wepchnęło w objęcia czerni i bieli. Wolałby być gdzie indziej, ale nie mógł ich zostawić. Siedział na łóżku, patrząc przez okno na deszcz ściekający po szybie, i czuł, jak kolejne sekundy życia upływają, by nigdy już nie powrócić.

Było zimno i mokro, ale trzeciego dnia wzeszło słońce. Świat bynajmniej się nie ogrzał, lecz Cień spróbował wyrwać się z szarej mgły i postanowił trochę pozwiedzać. Poszedł pieszo do sąsiedniej wioski, ścieżkami przez pola, wzdłuż długiego muru. Brzegi wąskiego strumyka łączyła kładka niewiele szersza od zwykłej deski; Cień z łatwością jednym susem przeskoczył strugę. Potem wspiął się na wzgórze: u jego stóp rosły drzewa, dąb i głóg, jawor i buk.

Stopniowo stawały się coraz rzadsze. Podążał krętym szlakiem, czasem wyraźnym, czasem nie, aż w końcu dotarł do naturalnego miejsca odpoczynku, małej łąki wysoko na zboczu. Tam odwrócił się do niej plecami i ujrzał rozciągające się przed nim doliny i pagórki, oddane w odcieniach zieleni i szarości, niczym ilustracje z książki dla dzieci.

Nie był tu sam – kobieta o krótkich ciemnych włosach siedziała przycupnięta wygodnie na szarym głazie na zboczu i szkicowała. Drzewo za plecami osłaniało ją przed wiatrem. Na sobie miała zielony sweter i dżinsy, i nim jeszcze dostrzegł twarz, rozpoznał Cassie Burglass.

Kiedy podszedł bliżej, odwróciła się.

– Co myślisz? – spytała, unosząc i demonstrując mu szkicownik.

Nakreślony pewną kreską rysunek przedstawiał zbocze wzgórza.

– Bardzo dobry. Jesteś zawodową artystką?

– To takie hobby – odparła.

Cień spędził dość czasu wśród Anglików, by wiedzieć, że może to oznaczać, że w istocie to zwyczajne hobby, ale równie dobrze jej prace mogły być regularnie wystawiane w National Gallery bądź Tate Modern.

– Musi ci być zimno – zauważył. – Masz na sobie tylko sweter.

– Jest mi zimno – potwierdziła. – Ale tu, na górze, przywykłam do tego. Nie przeszkadza mi. Jak się miewa Ollie?

– Wciąż nie najlepiej – odparł Cień.

– Biedny stary dureń. – Powiodła wzrokiem między kartką a otoczeniem. – Choć trudno mi szczerze go żałować.

– Niby dlaczego? Czy zanudzał cię na śmierć ciekawymi faktami?

Roześmiała się, parszkając lekko w głębi gardła.

– Naprawdę powinieneś posłuchać wioskowych plotek. Kiedy Ollie i Moira się poznali, oboje byli związani z kimś innym.

– Wiem o tym. Powiedzieli mi. – Zastanawiał się chwilę. – Zatem był wcześniej z tobą?

– Nie on. Ona. Byłyśmy razem od czasu college'u. – Na moment umilkła, przyciemniła coś, skrobiąc ołówkiem o papier. – Zamierzasz spróbować mnie pocałować? – spytała.

– Ja, uch. Ja, umm – odparł, po czym dodał szczerze: – Nie przyszło mi to do głowy.

– Cóż – obdarzyła go uśmiechem – to lepiej niech, do cholery, przyjdzie. To znaczy, sama cię tu zaprosiłam i przyszedłeś na Wod's Hill, żeby się ze mną spotkać. – Znowu skupiła wzrok na papierze i rysunku. – Mówią, że na tym wzgórzu odbywały się mroczne obrzędy. Mroczne i nieprzystojne. A ja mam ochotę także zrobić coś nieprzystojnego. Z gościem Moiry.

– To ma być jakaś zaplanowana zemsta?

– To nic zaplanowanego. Po prostu mi się podobasz. A w okolicy nie ma już nikogo, kto by mnie pragnął. Nie, jako kobiety.

Kiedy Cień ostatnio pocałował kobietę, był jeszcze w Szkocji. Pomyślał o niej i o tym, czym w końcu się stała.

– Ale jesteś prawdziwa, tak? – spytał. – To znaczy... jesteś prawdziwym człowiekiem. To znaczy...

Odłożyła szkicownik na glaz i wstała.

– Pocałuj mnie i sam sprawdź.

Zawahał się. Westchnęła, i to ona go pocałowała.

Na wzgórzu panował ziąb i usta Cassie także były zimne. Miała bardzo miękkie wargi. Gdy

dotknęła swym językiem jego, Ciebie cofnął się.

– Tak naprawdę cię nie znam – powiedział.

Odchyliła się, patrząc mu w twarz.

– Wiesz – rzekła – ostatnio marzę tylko o kimś, kto spojrzy w moją stronę i dostrzeże prawdziwą mnie. Już się poddałam, gdy zjawiłeś się ty, pan Amerykanin o zabawnym imieniu. Ale spojrzaleś na mnie i zrozumiałam, że mnie zobaczyłeś. I tylko to się liczy.

Dłonie Cienia obejmowały ją, czując miękkość swetra.

– Ile czasu jeszcze tu będziesz? W tych okolicach? – spytała.

– Kilka dni. Dopóki Oliver nie wydobrzeje.

– Szkoda. Nie mógłbyś zostać na zawsze?

– Przepraszam?

– Nie masz za co przepraszać, mój słodki. Widzisz tamten otwór?

Zerknął na zbocze, ale nie dostrzegł tego, co wskazała. Porastał je gęszcz chaszczy i niskich drzewek, poprzecinany na wpół zwalonymi murkami. Wskazała palcem rysunek, na którym przedstawiła ciemny kształt, jakby wejście pośrodku gęszczy janowca na zboczu.

– Tam, popatrz.

Wyteżył wzrok i tym razem zobaczył natychmiast.

– Co to? – spytał Ciebie.

– Brama Piekieł – odparła dostojnie.

– Uh-huh.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Tak ją tu nazywają. Pierwotnie mieściła się tu rzymska świątynia czy coś nawet starszego. Ale tylko tyle z niej pozostało. Jeśli lubisz podobne rzeczy, powinieneś obejrzeć, choć w sumie się zawiedziesz: to tylko krótki korytarz, wiodący w głąb wzgórza. Wciąż się spodziewam, że zjawią się tu jacyś archeolodzy, rozkopią go, skatalogują znaleziska. Ale nie.

Cień uważnie obejrzał rysunek.

– To co właściwie wiesz o wielkich czarnych psach? – spytał.

– Chodzi ci o tego z Shuck's Lane? – Skinął głową. – Powiadają, że kiedyś wszędzie dokoła wałęsały się barghesty. Ale teraz został tylko ten z Shuck's Lane. Doktor Scathelocke mówił mi kiedyś, że to pamięć ludowa. Ogary życzeń to wszystko, co pozostało z Dzikiego Łowu opartego na idei Odyna i jego polujących wilków, Frekiego i Geriego. Ja uważam, że trzeba sięgnąć jeszcze dalej w przeszłość. Do pamięci jaskiniowej. Druidów. Istoty, która czai się w ciemności poza kręgiem ognia i jeśli zapuścisz się samotnie zbyt daleko, rozszarpie cię na strzępy.

– A zatem go widziałaś?

Pokręciła głową.

– Nie. Badałam tę kwestię, ale nigdy go nie widziałam. Moja na wpół wymyślona, miejscowa bestia. A ty?

– Nie wydaje mi się. Może.

– Może kiedy ty przybyłeś, przebudziłeś go. W końcu przebudziłeś też mnie.

Uniosła rękę, przyciągnęła do siebie jego głowę i znów go pocałowała. Potem wzięła prawą dłoń Cienia, znacznie większą od swojej, i wsunęła ją sobie pod sweter.

– Cassie, mam zimne ręce – ostrzegł ją.

– I co? Ja mam zimne wszystko. Tu, na górze, istnieje wyłącznie zimno. Po prostu uśmiechaj się i udawaj, że wiesz co robisz – odparła.

Przesunęła lewą dłoń Cienia wyżej, aż w końcu jego palce spoczęły na koronkowym staniku. Pod koronką czuł twardość sutka i miękką krzywiznę piersi.

Powoli zaczynał poddawać się chwili, wciąż jednak dręczyło go wahanie, połączenie niezgrabności i niepewności. Sam nie wiedział co myśleć o tej kobiecie: ostatecznie miała zaszłości z jego dobroczyńcami. Cień nie lubił uczucia, że ktoś go wykorzystuje: zbyt wiele razy spotykało go to wcześniej. Ale jego lewa dłoń dotykała piersi Cassie, prawa obejmowała jej kark i pochylał się, a teraz dotknął ustami jej ust, a ona przywarła do niego tak mocno, że pomyślał, że próbuje zająć tę samą przestrzeń co on. Jej wargi smakowały miętą, kamieniem, trawą i zimnym popołudniowym wietrzykiem. Zamknął oczy, pozwalając sobie radować się pocałunkiem i tym, jak ich ciała poruszają się razem.

Cassie zamarła. Gdzieś blisko nich zamiauczał kot. Cień otworzył oczy.

– Jezu – rzucił.

Otaczały ich koty. Białe i pręgowane, brązowe, rude i czarne, długo- i krótkowłose. Dobrze wykarmione, w obrózkach oraz zawadiackie, o poszarpanych uszach, wyglądające jakby mieszkaly w stodołach i na skraju głuszy. Obserwowały Cienia i Cassie zielonymi oczami, niebieskimi oczami, złocistymi oczami i trwały w bezruchu. Tylko okazjonalne machnięcie ogona bądź mrugnięcie pary kocich oczu dowodziło, że żyją.

– To dziwaczne – zauważył.

Cassie cofnęła się o krok. Już jej nie dotykał.

– Są z tobą? – spytała.

– Wątpię, by były z kimkolwiek. To przecież koty.

– Chyba są zazdrosne – mruknęła Cassie. – Popatrz tylko. Nie lubią mnie.

– To... – Cień miał dodać „nonsens”, ale nie, miało to sens. Była pewna kobieta, bogini, kontynent dalej i wiele lat temu, której zależało na nim na jej własny sposób. Przypomniał sobie ostre jak szpilki paznokcie i kocią szorstkość języka.

Cassie beznamytnie spojrzała na Cienia.

– Nie wiem, kim jesteś, panie Amerykaninie – oznajmiła. – Nie tak naprawdę. Nie wiem, czemu możesz na mnie spojrzeć i ujrzeć prawdziwą mnie albo dlaczego mogę z tobą rozmawiać, choć tak trudno przychodzi mi rozmowa z innymi ludźmi. Ale tak jest. I wiesz, z pozoru wydajesz się zupełnie spokojny i normalny, ale jesteś znacznie dziwniejszy ode mnie. A ja jestem kurewsko dziwaczna.

– Nie odchódź – poprosił Cień.

– Powiedz Olliemu i Moirze, że mnie widziałeś. Powiedz im, że będę czekać w miejscu, gdzie rozmawialiśmy po raz ostatni, jeśli chcą mi coś powiedzieć.

Zabrała swój szkicownik i ołówki, a potem odeszła szybko, stąpając ostrożnie między kotami, które nawet na nią nie zerknęły, cały czas wbijając wzrok w Cienia, gdy oddalała się wśród falujących traw i rozkołysanych gałązek.

Cień chciał ją zawołać, zamiast tego przykucnął i poparzył na koty. Zapytał:

– Co się dzieje? Bast? To twoja robota? Znalazłaś się daleko od domu. I czemu wciąż cię obchodzi, kogo całuję?

Kiedy przemówił, jakby przełamał zaklęcie. Koty zaczęły się poruszać, odwracać, wstawać, myć w skupieniu.

Szylkretowa kotka tryknęła go kilka razy nagłaco łebkiem, złakniona uwagi. Cień pogłaskał ją z roztargnieniem, trąc kostkami o czoło zwierzątka.

Jak błyskawica chlasnęła szponami, ostrymi niczym maleńkie szable, tak że z przedramienia popłynęła krew. Potem zamruczała, odwróciła się i po chwili cała zbieranina zniknęła na zboczu, umykając bez śladu za kamienie i w poszycie.

V. Żywi i umarli

Kiedy Cień wrócił do domu, odkrył, że Oliver opuścił w końcu swój pokój. Siedział w ciepłej kuchni z kubkiem herbaty, czytając książkę o rzymskiej architekturze. Był ubrany, ogolił podbródek i przyszyty bokobrody. Miał na sobie pizamę, a na niej prosty szlafrok.

– Czuję się trochę lepiej – oznajmił na widok Cienia. – Miałeś to kiedyś? Taką depresję?

– Z dzisiejszej perspektywy, chyba tak. Po śmierci żony – odparł Cień. – Wszystko stało się płaskie. Przez długi czas nic nie miało znaczenia.

Oliver pokiwał głową.

– To trudne. Czasami myślę, że czarny pies istnieje naprawdę. Leżę w łóżku, rozmyślając o obrazie Fuseliego, przedstawiającym koszar siedzący na piersi śpiącego. Coś jak Anubis. A może Set? Wielki czarny stwór. Czym właściwie był Set? Jakimś osłem?

– Nigdy nie zetknąłem się z Setem – odparł Cień. – Nie moje czasy.

Oliver zaśmiał się.

– Cóż za cierpki humor. A mówią, że wy, Amerykanie, nie znacie się na ironii. – Zawiesił głos. – W każdym razie to już przeszłość. Znów stoję na nogach. Gotów stawić czoło światu. – Pociągnął łyk herbaty. – Prawdę mówiąc, trochę mi wstyd. Zapomnijmy o tych bzdetach z psem Baskerville'ów.

– Naprawdę nie masz się czego wstydzic. – Cień pomyślał, że Anglicy wszędzie, gdzie patrzą, umięją znaleźć wstyd.

– No cóż. Poza tym wszystko to jest trochę niemądre. I naprawdę czuję się znacznie żwawiej. Cień przytaknął.

– Skoro czujesz się lepiej, to chyba powinienem ruszać na południe.

– Nie ma pośpiechu – zaprotestował Oliver. – Zawsze miło jest mieć towarzystwo. Nie wychodzimy z Moirą tak często, jak byśmy chcieli, zazwyczaj wypuszczamy się najwyżej do pubu. Niestety, niezbyt to ekscytujące.

Moira wróciła z ogrodu.

– Ktoś widział sekator? Wiem, że go miałam. Lada moment zgubię własną głowę.

Cień zaprzeczył, niepewny, co to jest sekator. Miał ochotę opowiedzieć im o kotach na wzgórzu i jak się zachowywały, ale nie potrafił wymyślić, jak to opisać, by zrozumieli dziwaczność całej sceny. Zamiast tego bez namysłu wypalił:

– Na Wod's Hill wpadłem na Cassie Burglass. Pokazała mi Bramę Piekieł.

Wpatrywali się w niego. W kuchni zapadła niezręczna cisza.

– Rysowała ją – dodał.

Oliver nie odrywał od niego wzroku.

– Nie rozumiem – powiedział.

– Odkąd tu przyjechałem, natknąłem się na nią parę razy – wyjaśnił Cień.

– Co? – Moira poczerwieniała. – Co ty mówisz? – A potem: – Kim ty, kim ty, do kurwy nędzy, jesteś, że tu przychodzisz i gadasz takie rzeczy?

– Ja? Nikim – odparł Cień. – Po prostu zaczęła ze mną rozmawiać. Mówiła, że kiedyś byliście razem.

Moira wyglądała, jakby chciała go uderzyć.

– Po tym, jak zerwałyśmy, wyprowadziła się – oznajmiła. – To nie było przyjemne zerwanie. Czuliśmy się bardzo zraniona. Zachowała się oburzająco. A potem, pewnej nocy, zebrała się i wyjechała z wioski. I nigdy tu nie wróciła.

– Nie chcę rozmawiać o tej kobiecie – powiedział cicho Oliver. – Ani teraz, ani nigdy.

– Słuchajcie, była z nami w pubie – przypomniał Cień. – Tamtej pierwszej nocy. Wtedy nie mieliście z nią problemów.

Moira patrzyła na niego. Nie odpowiadała, jakby powiedział coś w nieznanym jej języku. Oliver potarł dłonią czoło.

– Ja jej nie widziałem – rzekł tylko.

– No cóż, kiedy ją dziś spotkałem, prosiła żebym powiedział cześć – wyjaśnił Cień. – Mówiła też, że będzie czekać, gdyby ktoś z was chciał jej coś powiedzieć.

– Nie mamy jej nic do powiedzenia. Absolutnie nic. – Oczy Moiry zwilgotniały, ale nie płakała. – Nie mogę uwierzyć, że ta cholerna baba wróciła do naszego życia po wszystkim, przez co przez nią przeszliśmy. – Przeklinała jak ktoś, kto niezbyt dobrze sobie z tym radzi.

Oliver odłożył książkę.

– Przepraszam – oznajmił – nie czuję się zbyt dobrze.

Pomaszerował do sypialni i zamknął za sobą drzwi.

Moira niemal automatycznie zabrała jego kubek i zaniósła do zlewu, opróżniła i zaczęła myć.

– Mam nadzieję, że jesteś z siebie zadowolony – oznajmiła, szorując kubek białą plastikową szcztoką, jakby próbowała zmyć z porcelany obrazek Beatrix Potter przedstawiający wiejski domek. – A już dochodził do siebie.

– Nie wiedziałem, że tak go to poruszy.

Cień miał wyrzuty sumienia. Wiedział, że Cassie łączy wspólna przeszłość z jego gospodarzami. Mógł się nie odzywać. Milczenie jest zawsze bezpieczniejsze.

Moira wytarła kubek zielono-białą ściereczką. Biały wzór na ściERCIE przedstawiał komiczne owce, zielony – trawę. Zagryzła dolną wargę, łzy, wcześniej wzbierające w oczach, teraz popłynęły jej po policzkach.

– Mówiła coś o mnie? – spytała po chwili.

– Tylko, że byliście ze sobą.

Moira pokiwała głową i otarła łzy ze swej młodo-starej twarzy komiczną ściERCĄ.

– Nie mogła tego znieść, kiedy zeszliśmy się z Oliem. Po tym, jak się wyprowadziłam, po prostu odwiesiła pędzle, zamknęła mieszkanie i wyjechała do Londynu. – Energicznie wydmuchiwała nos. – No ale cóż. Nie mogę narzekać. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. A Ollie to dobry człowiek. Tyle że w głowie ma czarnego psa. Moja matka cierpiała na depresję. To ciężkie.

– Tylko wszystko pogorszyłem – odparł Cień. – Powinienem już odejść.

– Zostań do jutra. Nie wyrzucam cię, mój drogi. To przecież nie twoja wina, że na nią wpadłeś, prawda? – Opadły jej ramiona. – O, tu jest, leży na lodówce. – Wzięła coś, co wyglądało jak bardzo małe ogrodowe nożyce. – Sekator – wyjaśniła. – Głównie do przycinania róż.

– Zamierzasz z nim porozmawiać?

– Nie. Rozmowy z Oliem o Cassie nigdy się dobrze nie kończą. A kiedy jest w tym stanie,

mogłabym jeszcze bardziej go pogrążyć. Poczekam, aż dojdzie do siebie.

Tego wieczoru Cień zjadł samotnie w pubie, pod gniewnym wzrokiem kota w szklanej gablocie. Nie spotkał nikogo znajomego. Rozmawiał krótko z gospodarzem o miłym pobycie w wiosce. Potem wrócił piechotą do domu Moiry, mijając stary jawor, drzewo wisielców przy Shuck's Lane. W blasku księżycy nie dostrzegł niczego na polach: ani psa, ani osła.

W domu było ciemno. Najciszej jak mógł przekradł się do swojego pokoju i przed snem spakował resztkę dobytku do plecaka. Wiedział, że wyruszy wcześniej rano.

Leżał w łóżku, przyglądając się światłu księżycy w małym pokoju. Przypomniawszy sobie, jak stał w pubie, tuż obok Cassie Burglass. Wspomniawszy rozmowę z gospodarzem i tamtą z pierwszego wieczoru oraz kota w gablocie. I gdy rozmyślał o tym wszystkim, opuściła go wszelka senność. Leżał rozbudzony w małym łóżku.

W razie potrzeby Cień umiał poruszać się bardzo cicho. Wyśliznął się z pościeli, naciągnął ubranie, a potem, niosąc w ręku buty, otworzył okno, chwycił zewnętrzny parapet i bezszelestnie zeskoczył na rabatkę poniżej. Wyprostował się szybko i włożył buty, sznurując je w półmroku. Księżyc od pełni dzieliło jeszcze kilka dni, był dość jasny, by rzucać cienie.

Cień cofnął się w plamę ciemności przy murze i czekał.

Zastanawiał się, czy postępuje sensownie. Całkiem prawdopodobne, że się mylił, że pamięć splatała psikusy jemu bądź też innym ludziom. Wszystko to wyglądało bardzo nieprawdopodobnie, ale też doświadczył już wcześniej wielu nieprawdopodobnych rzeczy. A jeśli się mylił, to co straci? Kilka godzin snu?

Patrzył, jak lis przebiega przez trawnik, jak dumny biały kot podkrada się do małego gryzonia i zabija go, jak kilka innych kotów przemyka po ogrodowym murze. Na jego oczach łasica prześliznęła się z cienia do cienia pośród kwiatów. Powolna procesja gwiazdozbiorów przesuwawała się po niebie.

Drzwi frontowe otwały się i wyszła z nich postać. Cień niemal oczekiwał Moiry, ale to był Oliver, ubrany w pizamę i narzucony na nią gruby szlafrok w szkocką kratę. W ręku trzymał gumki i wyglądał nieco idiotycznie, jak schorowany bohater czarno-białego filmu albo aktor grający w sztuce. Księżycowy blask pozbawiał świat wszelkich kolorów.

Oliver pociągnął drzwi frontowe, póki zamek nie szczęknął, po czym ruszył w stronę ulicy, stąpając po trawie, nie po chrzęszczącej żwirowej ścieżce. Nie oglądał się za siebie, nigdzie nie patrzył. Pomaszerował ulicą, a Cień odczekał, aż tamten niemal zniknie mu z oczu, a potem ruszył za nim. Wiedział, dokąd kieruje się Oliver, dokąd musi iść.

Cień nie kwestionował dłużej swoich podejrzeń, już nie. Wiedział, dokąd obaj zmierzają, z pewnością, jaką zwykle czujemy we śnie. Nawet się nie zdziwił, gdy w połowie Wod's Hill zastał Olivera siedzącego na pieńku i czekającego na niego. Niebo na wschodzie odrobinę zaczynało jaśnieć.

– Brama Piekieł – powiedział mały człowieczek. – Z tego, co mi wiadomo, zawsze ją tak nazywali. Od wielu, wielu lat.

Obaj ruszyli dalej krętą ścieżką, Oliver w swym szlafroku, pasiastej pizamie i za dużych czarnych gumiakach miał w sobie coś cudownie komicznego. Serce Cienia waliło jak szalone.

– Jak ją tu ściągnąłeś? – spytał.

– Cassie? Nie ściągnąłem. To był jej pomysł, żebyśmy spotkali się na wzgórzu. Uwielbiała tu przychodzić i malować. Widać stąd bardzo daleko, a samo wzgórze jest święte i ona to ubóstwiała. Oczywiście nie dla chrześcijan. Wręcz przeciwnie. Dla dawnej religii.

– Druidów? – Cień nie był pewien, jakie dawne religie mieli tu, w Anglii.

– Możliwe. Zdecydowanie możliwe. Ale osobiście uważam, że jest wcześniejsza od druidów. Nie ma nawet nazwy. Po prostu to coś, co wyznają ludzie w tych okolicach, pod płaszczykiem tego, w co wierzą. Druidzi, wikingowie, katolicy, protestanci, nie ma znaczenia. Kościoły, zbierające pozorne hołdy. Stara religia pozwala rosnać plonom i podnieść się twojemu fiutowi i sprawia, że nikt nie buduje pierdzielonej autostrady prowadzącej przez wyjątkowo piękny obszar przyrodniczy. Brama trwa, wzgórze trwa, to miejsce trwa. Ma dobrze, dobrze ponad dwa tysiące lat. Lepiej nie majstrować przy czymś tak potężnym.

– Moira nie wie, prawda? – spytał Cień. – Myśli, że Cassie wyjechała.

Niebo na wschodzie jaśniało, lecz na zachodzie nadal panowała fioletowoczarna noc roziskrzona punkcikami gwiazd.

– Chciałem, żeby tak myślała. A właściwie, co innego mogła sobie pomyśleć? Może byłoby inaczej, gdyby zainteresowała się tym policja... Ale to nie... No cóż. Chronią same siebie. Wzgórze. Brama.

Zbliżali się do niewielkiej łąki na zboczu wzgórza. Minęli głąz, na którym Cień widział rysującą Cassie. Szli dalej.

– Czarny pies z Shuck's Lane – ciągnął Oliver. – Nie sądzę, aby to naprawdę był pies. Ale krąży tu już tak długo. – Z kieszeni szlafroka wyciągnął małą ledową latarkę. – Naprawdę rozmawiałeś z Cassie?

– Rozmawialiśmy. Nawet ją pocałowałem.

– Dziwne.

– Pierwszy raz zobaczyłem ją w pubie, tego wieczoru, gdy poznałem ciebie i Moirę. To dzięki temu zacząłem się domyślać. Dzisiaj Moira zachowywała się, jakby od lat nie widziała Cassie. Zdumiała się, kiedy spytałem. Ale owego pierwszego wieczoru Cassie stała tuż za mną i zwracała się do nas wszystkich. Dziś w pubie spytałem, czy Cassie tam była. Nikt nie wiedział o kim mówię. Wy tutaj wszyscy się znacie. Istniało tylko jedno logiczne wytłumaczenie. Nadawało sens wszystkiemu, co mówiła. Wszystkiemu.

Oliver dotarł już niemal w miejsce, które Cassie nazywała Bramą Piekieł.

– Myślałem, że to będzie takie proste. Oddam ją wzgórze, a ona zostawi nas w spokoju. Zostawi Moirę w spokoju. Jak mogła cię pocałować?

Cień milczał.

– To tutaj – oznajmił Oliver.

W zboczu wzgórza otwierało się zagłębienie, niczym krótki korytarz. Może kiedyś, dawno temu, stała tu jakaś budowla, ale zbcze zwietrzało i kamienie powróciły do wzgórza, któremu je odebrano.

– Niektórzy sądzą, że to oddawanie czci diabłu – oznajmił Oliver. – Ja uważam, że się mylą. Ale też bóg jednych to diabeł drugich, czyż nie?

Wszedł w głąb korytarza, Cień podążył za nim.

– Co za pierdoły – oznajmił kobiecy głos. – Ale też zawsze pierdzieliłeś jak potłuczony, Ollie. Ty tchórzliwy, wątpy fiutku.

Oliver nawet nie drgnął ani w ogóle nie zareagował.

– Ona jest tutaj – rzekł. – W murze. To tu ją zostawiłem.

Oświetlił latarką mur stojący w krótkim tunelu wiodącym w głąb wzgórza. Starannie oglądał kamienie, jakby szukał znajomego miejsca, potem sapnął cicho, gdy je rozpoznał. Z kieszeni

wyciągnął kompaktowe metalowe narzędzie, sięgnął jak najwyżej zdołał i podważył nim niewielki kamień. Potem zaczął wyciągać z muru kolejne w określonej sekwencji: każdy otwierał miejsce pozwalające na usunięcie kolejnego, na zmianę, duże i małe.

– Pomóż mi. Chodź.

Cień wiedział, co zobaczy za murem, ale i tak posłusznie wyciągał kamienie, kładąc je kolejno na ziemi, jeden za drugim.

Czuł smród, narastający w miarę, jak otwór stawał się coraz większy, odór starego rozkładu i pleśni. Cuchnęło niczym zepsuta kanapka z mięsem. Cień najpierw zobaczył jej twarz, choć ledwo dawało się cokolwiek rozpoznać: zapadnięte policzki, puste oczodoły, skórę ciemną i zeschniętą, i jeśli nawet pokrywały ją piegi, to nie dało się ich już rozpoznać. Ale włosy należały do Cassie Burglass, krótkie i czarne, a w świetle ledowej latarki widział, że martwa istota ma na sobie oliwkowozielony sweter i znajome niebieskie dżinsy.

– Zabawne. Wiedziałem, że nadal tu jest – oznajmił Oliver – ale mimo to musiałem ją zobaczyć. Po całej tej gadaninie. Musiałem sprawdzić. Dowieść, że wciąż tu jest.

– Zabij go – powiedział kobiecie głos. – Rąbnij go kamieniem. On zabił mnie. Teraz zabije ciebie.

– Zamierzasz mnie zabić? – spytał Cień.

– Ależ oczywiście – odparł człowieczek niezwykle rozsądnym tonem. – Wiesz o Cassie. A kiedy znikniesz, będę mógł w końcu zapomnieć o tym wszystkim, raz na zawsze.

– Zapomnieć?

– Wybaczyć i zapomnieć. Ale to trudne. Niełatwo jest wybaczyć samemu sobie, z pewnością jednak zdołam zapomnieć. Proszę. Chyba już wystarczy miejsca, żebyś tam wszedł, jeśli się przecisniesz.

Cień spojrział na niego z góry.

– Tak z czystej ciekawości – rzekł wyraźnie zainteresowany. – Jak zamierzasz mnie zmusić? Nie masz przy sobie broni. A ja, Ollie, jestem dwa razy wyższy od ciebie. Wiesz, że mógłbym po prostu skrócić ci kark.

– Nie jestem głupcem – odparł Oliver. – Nie jestem też złym człowiekiem. Może nie wybitnie dobrym, ale nie czas teraz na dyskusję o tym. Zrobiłem to, co zrobiłem, bo byłem zazdrosny, nie dlatego, że zachorowałem. Ale nie przyszedłbym tu sam. Widzisz, to jest świątynia Czarnego Psa. Te miejsca były pierwszymi świątyniami. Przed kamiennymi kręgami i monolitami, oddawano cześć im, czekającym, składano ofiary, lękano się ich, łagodzano ich gniew. Czarne shucki i barghesty, chyzostopy i ogary życzeń. Były tu i wciąż czuwają.

– Uderz go kamieniem – powtórzył głos Cassie. – Uderz teraz, Cieniu, proszę.

Korytarz, w którym stali, sięgał nieco dalej w głąb wzgórze: sztuczna jaskinia o ścianach z kamiennych murów. Nie przypominał starożytnej świątyni. Nie wyglądał jak brama piekieł. Na tle słabego światła przedświt Cień widział ciemną sylwetkę Olivera.

– On jest we mnie – rzekł człowieczek łagodnym, niezmiennie uprzejmym głosem. – A ja jestem w nim.

Czarny pies wypełnił wejście, odcinając drogę do świata na zewnątrz i Cień pojął, że czymkolwiek jest, to nie prawdziwym psem. Jego oczy płonęły blaskiem, który skojarzył mu się z gnijącymi morskimi stworami. W rozmiarach i złowieszczości był dla wilka tym, czym tygrys dla rysia: czystym drapieżnikiem, istotą ukształtowaną z niebezpieczeństwa i groźby. Wyższy od Olivera, spojrział na Cienia i warknął głęboko w piersi. A potem skoczył.

Cień uniósł rękę, by osłonić gardło, i stwór zatopił kły w jego mięśniu tuż pod łokciem. Ból był niewiarygodny. Wiedział, że powinien walczyć, osuwał się na kolana i krzyczał, nie mogąc myśleć jasno, niezdolny skupić się na niczym poza strachem, że ten potwór potraktuje go jak posiłek, strachem, że zmiążdży mu kość przedramienia.

Na jakimś głębszym poziomie podejrzewał, że to pies tworzy ów strach, że on sam, Cień, tak naprawdę wcale się aż tak nie boi. Nie do końca. Ale to nie miało znaczenia. Kiedy stwór wypuścił jego rękę, Cień płakał i cały dygotał.

– Wejź tam, Cieniu – poleciał Oliver – przez dziurę w murze. Tylko szybko. Albo każę mu odgryźć ci twarz.

Cieniowi krwawiła ręka, wstał jednak i bez słowa protestu przecisnął się przez dziurę w ciemność. Gdyby został tam z bestią, umarłby szybko i w bólu. Wiedział to z równą pewnością jak to, że jutro wzejdzie słońce.

– No owszem – rzekł głos Cassie w jego głowie – wzejdzie. Ale o ile nie pozbierasz się do kupy, ty nigdy tego nie zobaczysz.

W dziurze za murem ledwie starczyło miejsca dla niego i trupa Cassie. Widział wyraz bólu i wściekłości na jej twarzy, identyczny jak na pyszczku kota w szklanej gablocie, i nagle zrozumiał, że ona także została zamurowana tu żywcem.

Oliver podniósł z ziemi kamień i umieścił w otworze.

– Moja własna teoria – powiedział, dźwigając drugi i wkładając na miejsce – brzmi, że to prehistoryczny wilkor. Ale jest większy niż nawet wilkory. Może to potwór z naszych snów, z czasów, gdy kuliliśmy się w jaskiniach. Może zwyczajny wilk, ale my byliśmy mniejsi, maleńcy hominidzi, którzy nie potrafili biegać dość szybko, by mu uciec.

Cień oparł się o skałę za plecami. Ścisnął lewą rękę prawą, by powstrzymać krwawienie.

– To wzgórze Woda – oznajmił. – I pies Woda. To byłoby do niego podobne.

– Nieważne.

Kolejne kamienie spoczęły na kamieniach.

– Ollie – rzucił Cień – bestia cię zabije. Już jest wewnątrz ciebie. To niedobrze.

– Stary Shuck mnie nie zabije. Stary Shuck mnie kocha. Cassie jest w murze – odparł Oliver i z hukiem upuścił kamień na poprzednie. – Teraz znalazłeś się obok niej. Nikt na ciebie nie czeka. Nikt cię nie będzie szukać. Nikt po tobie nie zapłacze. Nikt za tobą nie zatęskni.

Cień wiedział, choć nikomu nie potrafiłby wyjaśnić skąd wie, że w tej małej dziurze było ich troje, nie dwoje: Cassie Burglass, obecna ciałem (przegniłym, wysuszonym i wciąż cuchnącym rozkładem) i duchem, a także coś jeszcze, coś, co otarło mu się o nogi, a potem łagodnie trąciło zranioną rękę. Gdzieś z bliska przemówił głos. Znał ten głos, choć nie rozpoznawał akcentu.

To był głos, którym przemawiałby kot, gdyby był kobietą: wyrazisty, mroczny, melodyjny. Rzekł: Nie powinno cię tu być, Cieniu. Musisz wziąć się w garść i zacząć działać. Pozwalasz, by reszta świata podejmowała za ciebie decyzje.

– To nie do końca sprawiedliwe, Bast – powiedział głośno.

– Musisz siedzieć cicho – rzekł łagodnie Oliver. – Mówię serio.

Zręcznie i szybko układał kamienie na poprzednich miejscach. Sięgały już Cieniowi do piersi.

– Mrr. Nie? Mój słodki, ty naprawdę nie masz pojęcia. Nie masz pojęcia, kim jesteś ani czym jesteś, ani co to oznacza. Jeśli on zamuruje cię i umrzesz w tym wzgórzu, ta świątynia będzie stała wiecznie – a jakkolwiek zbieraninę wierzeń wyznają miejscowi, będzie na nich działała i tworzyła magię. Ale słońce wciąż zajdzie nad nimi, a niebo poszarzeje. Wszystko będzie

płakać, i choć nie będą wiedzieli kogo oplakuje, świat stanie się gorszy – dla ludzi, kotów, dla pamiętanych i zapomnianych. Umarłeś i powróciłeś. Jesteś ważny, Cieniu, i nie możesz spotkać się tu ze swą śmiercią, żalosna ofiara ukryta w zboczu wzgórza.

– Co zatem proponujesz? – wyszeptał.

– Walcz. Bestia to twór umysłu. Czerpie swoją moc z ciebie, Cieniu. Jesteś blisko, toteż stała się bardziej rzeczywista. Dostatecznie, by zawładnąć Oliverem. Dostatecznie, by cię zranić.

– Mnie?

– Myślisz, że duchy mogą rozmawiać ze wszystkimi? – spytał w ciemności nagłący głos Cassie Burglass. – Jesteśmy ćmami. A ty płomieniem.

– Co powinienem zrobić? – spytał Cień. – Zranił mnie w rękę. O mało nie rozszarpał gardła.

– Och, mój słodki. To tylko stwór z cieni. Pies nocy. Przerośnięty szakal.

– Jest prawdziwy – zaprotestował Cień.

Ostatnie kamienie z łoskotem wsuwały się na miejsce.

– Czy naprawdę boisz się psa swojego ojca? – spytał głos kobiety. Cień nie wiedział: bogini czy ducha.

Ale znał odpowiedź. Tak. Tak, bał się.

Lewa ręka była morzem bólu, nie mógł nią poruszać. Prawą dłoń miał śliską i lepłą od własnej krwi. Tkwił zamurowany w dziurze między murem a skałą. Ale, przynajmniej na razie, żył.

– Pozbieraj się do kupy – rzuciła Cassie. – Ja zrobiłam wszystko, co mogłam. Działaj.

Zaparł się o skałę za murem i uniósł stopy. A potem kopnął odzianymi w ciężkie buty nogami razem, najmocniej jak potrafił. Przez ostatnie kilka miesięcy przeszedł tak wiele mil. Był potężnym mężczyzną, silniejszym niż większość. Włożył w to kopnięcie wszystko co miał.

Mur eksplodował.

Bestia rzuciła się na niego, czarny pies rozpaczy, lecz tym razem Cień był gotowy. Tym razem to on był napastnikiem. Chwył ją.

– Nie stanę się psem mego ojca.

Prawą dłoń zacisnął na paszczy bestii. Spojrzał w jej zielone oczy. Nie wierzył, że to pies, nie tak naprawdę.

– Jest dzień – powiedział do psa w myślach, nie głośno. – Uciekaj. Czymkolwiek jesteś, uciekaj. Wracaj do swej szubienicy, wracaj do swojego grobu, mały ogarze życzeń. Potrafisz nas tylko przygnębiać, wypełniać świat cieniami i złudzeniami. Epoka, kiedy biegałeś z Dzikim Łowem, polowałeś na przerażonych ludzi, już minęła. Nie wiem, czy należysz do mojego ojca, czy też nie. Ale wiesz co? Nie obchodzi mnie to.

To rzekłszy, Cień odetchnął głęboko i wypuścił psi pysk.

Stwór nie zaatakował. Wydał z siebie dźwięk, zdumiony skowyt głęboko w gardle, brzmiały niemal jak skomlenie.

– Wracaj do domu – polecił głośno Cień.

Pies zawahał się. Cień już przez chwilę myślał, że zwyciężył, że jest bezpieczny, że pies po prostu odejdzie. Wówczas jednak stwór opuścił głowę, zjeżył futro na karku i wyszczerzył kły. Cień wiedział, że nie odejdzie, póki nie zginie.

Korytarz na zboczu wzgórza wypełniał się światłem: wschodzące słońce świeciło wprost w niego. Cień zastanawiał się, czy ludzie, którzy zbudowali go tak dawno temu, ustawili swą świątynię zgodnie z promieniami poranka. Odstąpił krok na bok, potknął się o coś i upadł

niezgrabnie na ziemię.

Obok Cienia na trawie leżał Oliver, bezwładny i nieprzytomny. Cień zahaczył stopą o jego nogę. Mężczyzna miał zamknięte oczy, warknął gdzieś w głębi gardła i Cień usłyszał ten sam dźwięk, wzmocniony i zwycięski, dobiegający od strony mrocznej bestii, blokującej wylot świątyni.

Cień leżał na ziemi, ranny. Wiedział, że już jest trupem.

Coś miękkiego łagodnie dotknęło jego twarzy.

Coś innego otarło mu się o dłoń. Zerknął w bok i zrozumiał. Zrozumiał, czemu Bast była z nim w tym miejscu i kto ją tu sprowadził.

Przemielono je i wysypano na te pola ponad sto lat wcześniej, wykradzione ziemi wokół świątyni Bastet i Beni Hasan. Całe tony zmumifikowanych kotów, tysiące, a każdy stanowiący maleńką podobiznę bóstwa, każdy będący aktem wiary, zachowanym na wieczność.

Były tu, w tym miejscu, obok niego: brązowe, płowe jak piasek i cienistoszare, koty w lamparcie cętki i w tygrysie pręgi, dzikie, gibkie i starożytne. Nie były to miejscowe koty, które wysłała Bast, by czuwały nad nim poprzedniego dnia. Oto przodkowie owych kotów, naszych współczesnych kotów, pochodzący z Egiptu, z delty Nilu, sprzed tysięcy lat, sprowadzeni tu, by rosły miejscowe rośliny.

Ćwierkały i poszczekiwały, ale nie miauczały.

Czarny pies warknął głośniejsze, ale nie spróbował zaatakować. Cień zmusił się, by usiąść.

– Zdawało mi się, że już ci kazałem wracać do domu, Shuck.

Pies nawet nie drgnął. Cień otworzył prawą dłoń i machnął. Był to gest odprawy, zniecierpliwienia. Zakończcie to.

Koty skoczyły, lekko, jak wytresowane. Ładowały na potworze, napięte sprężyny zębów i szponów, ostrych i mocnych jak za życia. Ostre jak brzytwy pazury szarpały czarne boki olbrzymiej bestii, rozdzierały jej oczy. Rozjuszony pies próbował je chwycić; rzucił się na ścianę, zwalając kolejne kamienie, usiłując zrzucić z siebie napastników, bez powodzenia. Wściekłe zęby wbijały się w uszy, pysk, ogon, łapy.

Bestia szczerknęła i warknęła, a potem wydała dźwięk, który, pomyślał Cień, gdyby dobiegał z ludzkiego gardła, byłby krzykiem.

Nigdy do końca nie wiedział, co się stało dalej. Widział, jak czarny pies dotyka pyskiem ust Olivera i pcha mocno. Mógłby przysiąc, że stworzyciel wszedł w Olivera, niczym niedźwiedź w rzekę.

Oliver otrząsnął się gwałtownie na piasku. Krzyk ucichł, a bestia zniknęła. Słońce wypełniło dziurę w zboczu.

Cień poczuł, że drży. Miał wrażenie, jakby dopiero co przebudził się ze snu na jawie: załwały go emocje niczym blask słońca: strach i odraza, smutek i ból, głęboki ból.

Towarzyszył im też gniew. Oliver próbował go zabić. Wiedział o tym i po raz pierwszy od kilku dni myślał jasno.

– Hej tam! – rozległ się męski głos. – Wszystko w porządku?

Miejscowy pies ze szczerknięciem wbiegł do dziury, obwąchał wspartego o mur Cienia i nieprzytomnego Olivera Bierce'a, a także szczątki Cassie Burglass.

Wylot korytarza wypełniła męska sylwetka, szara papierowa wycinanka na tle wschodzącego słońca.

– Ćwiek! Zostaw to! – rzucił. Pies wrócił do jego nogi. – Usłyszałem czyjś krzyk – wyjaśnił mężczyzna. – No, w sumie nie mógłbym przysiąc, czy to był ktoś. Ale go słyszałem. To pan?

A potem zobaczył ciało i zamarł.

– Na pierdoloną matkę wszystkich pierdolonych świętych.

– Nazywała się Cassie Burglass – wyjaśnił Cień.

– Dawna dziewczyna Moiry? – spytał mężczyzna. Cień go znał: to był właściciel pubu, choć nie pamiętał, czy tamten kiedykolwiek mu się przedstawił. – Ja piórkuje. Myślałem, że wyjechała do Londynu.

Cieniowi zrobiło się niedobrze.

Gospodarz ukląkł obok Olivera.

– Serce wciąż mu bije – rzekł. – Co się stało?

– Sam nie wiem – odparł Cień. – Kiedy zobaczył ciało, krzyknął, to pewnie jego pan usłyszał.

A potem po prostu upadł. I wtedy wbiegł pański pies.

Mężczyzna spojrzał na niego nerwowo.

– A pan? Jak pan wygląda! Człowieku, co ci się stało?

– Ollie poprosił, żebym przyszedł tu z nim. Mówił, że chce mi wyznać coś okropnego. – Cień powiódł wzrokiem po murach wzdłuż obu ścian korytarza. Były tam inne zamurowane wnęki. Domyślał się, co by znalazł, gdyby otworzył którąkolwiek z nich. – Prosił, żeby mu pomóc otworzyć mur. Zrobiłem to. Padając, wywrócił mnie. Zupełnie mnie zaskoczył.

– A wyjaśnił, czemu to zrobił?

– Z zazdrości – powiedział Cień. – Był zazdrosny o Moirę i Cassie, nawet po tym, jak Moira rzuciła Cassie dla niego.

Mężczyzna odetchnął głośno i pokręcił głową.

– Ja cię kręcę. Ostatni gość, którego bym podejrzewał o coś podobnego. Ćwiek! Zostaw! – Wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i zadzwonił na policję, potem przeprosił. – Muszę schować worek ze zwierzyną, zanim się tu zjawią – wyjaśnił.

Cień wstał i obejrzał swoje ręce. Sweter i płaszcz na lewej miał rozdarte, jakby przez wielkie zęby, ale skórę pod spodem nietkniętą. Na ubraniu nie dostrzegł ani śladu krwi, podobnie na dłoniach.

Zastanawiał się, jak wyglądałby jego trup, gdyby czarny pies go zabił.

Duch Cassie stał obok niego. Patrzył na własne ciało, które do połowy wypadło z dziury w murze. Cień zauważył, że palce i paznokcie ma zniszczone, jakby w godzinach przed śmiercią próbowała podważyć kamienie.

– Spójrz na to – rzekła, wciąż patrząc na siebie. – Biedactwo. Jak kot w szklanej gablocie. Odwróciła się do Cienia. – Tak naprawdę mi się nie podobałeś – dodała. – Nawet odrobinę. Ale nie żałuję. Musiałam jakoś zwrócić twoją uwagę.

– Wiem – odparł Cień. – Szkoda tylko, że się nie poznaliśmy, kiedy jeszcze żyłaś. Moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

– Założę się, że tak. Było mi tu ciężko. Dobrze, że to już koniec. I przepraszam, panie Amerykaniu. Postaraj się mnie nie nienawidzić.

Cieniowi do oczu napłynęły łzy. Otarł je koszulą. Kiedy znów spojrzał, został sam w korytarzu.

– Nie nienawidzę cię – powiedział.

Poczuł dłoń ściskającą jego własną. Wyszedł na dwór w poranne słońce, odetchnął i zadrzał, słuchając odległych syren.

Dwaj mężczyźni zjawili się i znieśli Olivera na noszach aż do szosy, z której zabrała go

karetką, zawodząc głośno, by łażące po jezdni owce zechciały łaskawie zejść na trawiaste pobocze.

Po zniknięciu karetki zjawiała się policjantka w towarzystwie młodszego kolegi. Znali gospodarza, Cień nie zdziwił się, słysząc, że to także Scathelocke. Obojgu zaimponował widok szczątków Cassie – do tego stopnia, że młodszy mężczyzna musiał w pośpiechu opuścić korytarz i zwymiotował na paprocie.

Jeśli nawet któremuś z nich przyszło do głowy zbadać inne zamurowane wnęki w korytarzu w poszukiwaniu dowodów zbrodni sprzed stuleci, zdołali zdusić ten pomysł w zarodku, a Cień nie zamierzał im tego proponować.

Złożył krótkie zeznanie, a potem podjechał z nimi na miejscowy komisariat, gdzie bardziej szczegółowo opisał wszystko wysokiemu policjantowi z bujną brodą. Policjantowi najwyraźniej najbardziej zależało na tym, by Cień dostał kubek rozpuszczalnej kawy i by jako amerykański turysta nie odniósł niewłaściwych wrażeń z wizyty na angielskiej wsi.

– Zwykle tak tu nie jest. Żyjemy naprawdę spokojnie. To urocze miejsce. Nie chciałbym, by pan sądził, że coś takiego to norma.

Cień zapewnił go, że wcale tak nie myśli.

VI. Zagadka

Kiedy wyszedł z komisariatu, Moira już na niego czekała. Stała z kobietą po sześćdziesiątce, która samym swym wyglądem dodawała otuchy. Sprawiała wrażenie kogoś, kogo w czasie kryzysu chce się mieć przy boku.

– Cieniu, to Doreen. Moja siostra.

Doreen uściśliła mu dłoń, wyjaśniając, że żałuje, że nie było jej tu przez ostatni tydzień, ale właśnie się przeprowadzała.

– Doreen jest sędzią z sądu hrabstwa – wyjaśniła Moira.

Cień nie potrafił sobie jej wyobrazić w roli sędziego.

– Czekają, aż Ollie się ocknie – oznajmiła Moira. – Wówczas zamierzają postawić mu zarzut morderstwa. – Wypowiedziała to słowo z namysłem, lecz jednocześnie tonem, jakim mogłaby poprosić Cienia o opinię, gdzie powinna zasadzić lwie paszcze.

– A ty? Co zamierzasz zrobić?

Podrapała się po nosie.

– Jestem w szoku. Nie mam pojęcia, co dalej począć. Wciąż myślę o ostatnich kilku latach. Biedna, biedna Cassie. Nawet nie podejrzewała, że Ollie ma w sobie tyle zła.

– Ja nigdy go nie lubiłam. – Doreen pociągnęła nosem. – Zanadto sypał faktami i nigdy nie wiedział, kiedy przestać. Wciąż tylko gadał i gadał, jakby próbował coś ukryć.

– Twój plecak i pranie są w samochodzie Doreen – oznajmiła Moira. – Pomyślałam, że mogłybyśmy cię gdzieś podrzucić, jeśli trzeba. Albo gdybyś wołał pójść pieszo, możesz iść.

– Dziękuję – odparł Cień. Wiedział, że nie będzie mile widziany w domku Moiry. Już nigdy.

– Mówiłeś, że widziałeś Cassie – dodała Moira szybko, gniewnie, jakby nic innego jej nie interesowało. – Powiedziałeś nam to wczoraj; przez to właśnie Olliemu odbiło. Tak bardzo mnie to zraniło. Dlaczego mówiłeś, że ją widziałeś, skoro nie żyła? Nie mogłeś jej widzieć.

Cień zastanawiał się nad tym, kiedy składał zeznanie na policji.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Nie wierzę w duchy. Pewnie to ktoś miejscowy zażartował sobie z jankieskiego turysty.

Moira przyglądała mu się zielonkawymi oczami, jakby próbowała uwierzyć, lecz nie umiała postawić ostatniego kroku. Siostra wzięła ją za rękę.

– Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, Horacy. Chyba nie powinniśmy wnikać głębiej.

Moira długi czas wpatrywała się w Cienia z niedowierzaniem i gniewem, w końcu odetchnęła głęboko.

– Tak. Tak, chyba nie powinniśmy.

W samochodzie zapadła cisza. Cień chciał przeprosić Moirę, powiedzieć coś, by poczuła się lepiej.

Minęli drzewo wisielców.

– W samotnej głowie dziesięć języków – wyrecytowała Doreen głosem nieco wyższym i bardziej uroczystym niż zwykle. – A jeden rankiem ruszył wśród krzyków po chleb dla żywych i dla umrzących. To zagadka napisana o tym rogu i tym drzewie.

– Co właściwie znaczy?

– Strzyżyk uwił gniazdo wewnątrz czaszki trupa wywieszzonego w klatce. Wyfrunął między szczękami, by wykarmić młode. Pośród śmierci wciąż rodzi się życie.

Cień jeszcze trochę pomyślał nad tym i odparł jej, że tak, chyba tak.